

1. 9. 786. Ont. Arch.

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 4/21 — 5/22

1949



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

M. KUKIEL — Książę Adam \* K. ROGALINSKI — Z dialektyki postępu \* P. HOSTOWIEC — Niemcy zimą 1948/1949 (dok.) \* J. ZADEYKANSKI — Polacy w literaturze francuskiej \* ST. VINCENZ — Czym może być dziś dla nas Dante \* X. GLINKA — Wspomnienie o Leśmianie ♦ R. WRAGA — «Trust» ♦ ARKUSZE POETYCKIE ♦ STRATY KULTURY POLSKIEJ ♦ KRONIKA KULTURALNA ♦ SPRAWY i TROSKI ♦ NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI ♦ KSIĄŻKI ♦ LISTY DO REDAKCJI.

## SPIS RZECZY

Od Redakcji:	.....	5
Marian Kukiel:	<i>Książę Adam (Cz. I.): Na roz- drożach historii</i> .....	7
Karol Rogaliński:	<i>Z dialektyki postępu</i> .....	52
Paweł Hostowiec:	<i>Niemcy zimą 1948/1949 (dok.)</i> ..	68
Jan Zadeykański:	<i>Polacy w literaturze francuskiej</i> ..	75
Stanisław Vincenz:	<i>Czym może być dziś dla nas Dante</i> .....	96
Xawery Glinka:	<i>Wspomnienie o Leśmianie</i> .....	122

### ARKUSZE POETYCKIE

Bronisław Przyłuski:	<i>Poemat nielogiczny</i> .....	132
----------------------	---------------------------------	-----



Ryszard Wraga:	<i>«Trust»</i> .....	156
----------------	----------------------	-----

### STRATY KULTURY POLSKIEJ

Paweł Hostowiec:	<i>Wspomnienie o Piotrze Borkow- skim</i> .....	178
------------------	---	-----

### KRONIKA KULTURALNA

Zbigniew Florczak:	<i>Sprawy sztuki w Polsce</i> .....	181
Marian Czuchnowski:	<i>«Sami swoi»</i> .....	190

### SPRAWY I TROSKI

W. A. Zbyszewski:	<i>Bilans emigracji w Anglii</i> .....	197
-------------------	--	-----

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Jan Nowak:	<i>Operacja «Whitehorn»</i> .....	207
------------	-----------------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Aleksander Korczyński i Janusz Kucharski:	<i>Prawdy i legendy dziejów naro- du wybranego</i> .....	226
Józef Ursyn:	<i>Czyżby nowe prądy w literaturze kryminalnej</i> .....	233

### LISTY DO REDAKCJI

Klaudiusz Hrabyk:	.....	238
-------------------	-------	-----

*Numer ufundowany przez  
Stefana Zamoyskiego*

*Hôtel Lambert w Paryżu.  
Dnia 5 czerwca 1949 r.*

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Juillet - Août

1949

INSTYTUT



LITERACKI



P. 9786 Chr. Arch.

IMPRIME EN FRANCE.

Tous droits de traduction et reproduction réservés pour tous pays.

„Kultura”. Półtora roku — 20 numerów. Rzym, potem Paryż. W tych 20 numerach około 140 pisarzy, Polacy, Francuzi, Anglicy, Ukraińcy, Amerykanie. Próba stawiania zagadnień takich właśnie, które są „tabu”, o których się nie pisze, ale się o nich szepcze z goryczą. Wszechstronna analiza przemian w Kraju. Wiązanie czytelnika polskiego, rozproszonego po kuli ziemskiej, z żywą myślą Zachodu, z jego literaturą i poezją. Elliot czy Orwell, Malraux czy Halévy, Bernanos i Thierry Maulnier, Burnham i tylu innych. Jeżeli chodzi o pisarzy polskich nieustanny wysiłek drukowania nie bonzów, ale pisarzy młodszych, a przede wszystkim takich, którzy niezależnie od wieku próbują iść własną drogą, bez jakiegokolwiek oportunizmu, z wrogiem nastawieniem do wszelkiej sztancy.

Próbując obiektywnie informować, nasświetlać sprawy bolesne i trudne, pamiętaliśmy, że nie tak nie truje jak zaktamywanie się, jak powtarzane do znudzenia slogany, które w całym piśmiennictwie sowieckim, a już teraz prawie w całej prasie krajowej stworzyły „literaturę” zupełnie nie do zniesienia, jakiego linoleum, na którym żadna świeża trawka wyrosnąć nie może. Nie chcemy również przyjąć innej metody, częściej i na emigracji: przenależania, zamazywania problemów tragicznych w imię takiej czy innej utylitarnej taktyki. Ataki, których pismo nasze doznało, pochodziły przeważnie z tego powodu, że „Kultura” nie mieści się w żadnej szufladce politycznej takiej czy innej grupy czy grupki, że stara się dawać cały wachlarz ustawień i perspektyw polskiej myśli niepodległościowej na emigracji. Te ataki tylko potwierdzały w nas przekonanie, że jedno pismo naprawdę wolne nie tylko, że powinno istnieć, ale że jest to może jeden z obowiązków najważniejszych dziś na emigracji, kiedy rola nasza polityczna może być z natury rzeczy tylko bardzo nikła, kiedy w kraju nikt już nie może pisać inaczej, jak w gorsecie groźnej cenzury.

Nie tylko na emigracji naszej, ale na Zachodzie w ogóle w dziedzinie politycznej również w dziedzinie filozofii i sztuki panuje chaos, w którym trudno jest rozróżnić ziarno od plewy. Ale myśl na Zachodzie jest na szczęście nie zafalszowana przez obowiązek oficjalnego optymizmu, jest nieskończenie bardziej bogata i wielostronna, niż chcieliby ją polskiemu czytelnikowi w Polsce przedstawić wyznawcy dobrowolni, czy wyznawcy przymusowi sowieletyzmu. Śledzenie za tym co się dzieje w świecie myśli, (najciekawsze dokonuje się zwykle w ciszy i zapo-

znaniu), jest trudne, wymaga kontaktów, nieustannej czujności, o wiele szerszego zespołu współpracowników „Kultury”.

Chęć dania czytelnikowi polskiemu tego co Europa i Ameryka dzisiaj pisze najlepszego wraz z próbą drukowania wszystkiego, co w piśmiennictwie emigracyjnym jest wyrazem rzetelnej myśli, autentycznego talentu — zadanie to ogromne przerasta miarę naszych sił, jeżeli nie doznamy pomocy moralnej i materialnej od samych czytelników. Pismo kosztuje; przy naszym rozproszeniu, narastającym kryzysie czytelnictwa, nieprawdopodobnych trudnościach transferowych na świecie, przy niemożliwości zdobycia nawet jednego abonenta na ziemi polskiej, pismo tego typu nie może marzyć na razie o finansowej samowystarczalności. „Kultura” istniała dotychczas dzięki subsydiom jednorazowemu, które otrzymał Instytut Literacki przed trzema laty od Dowódcy 2 Korpusu, dziś Generalnego Inspektora Armii. Od 1-go lipca 1949 r. „Kultura” będzie wychodziła na własne ryzyko. Tym bardziej potrzebni nam są abonenci; prosimy, by każdy czytelnik nam zdobył chociaż jednego. Potrzebni są nam również ludzie ofiarni, którzy chcieliby być fundatorami poszczególnych numerów. Dziś mamy już dwóch Polaków, którzy taki gest zrobili.

Pierwszym z nich, pierwszym Polakiem, który z własnych funduszy, nawet przez nas nieproszony, złożył nam sumę potrzebną na wydanie jednego numeru, jest Stefan Zamoyski. Dlaczego on właśnie? Czy to trumny gadają? Ten major wojsk polskich, uczestnik walk ostatniej wojny w Narwiku, Francji, Belgii i Niemczech, potomek Czartoryskich i Zamoyskich, czuje widocznie na sobie ciężar tej wielkiej tradycji, jest wierny tym swoim przodkom, którzy całe swoje życie na emigracji dla sprawy polskiej sterali. Dziś, kiedy z polskich fortun magnackich, kiedyś ogromnych, pozostały strzępy, przykład Stefana Zamoyskiego może zastanowi i niejednego zachęci. Zachęci może tych nielicznych Polaków, którzy dziś na emigracji coś jeszcze posiadają, czy do czegoś się dorobili, by nie patrzyli z przystawioną już obojętnością na ten ośrodek walki o kulturę polską, ale by mu przyszli, jak Stefan Zamoyski, z pomocą.

W imieniu swoim i czytelników dziękujemy pierwszemu prywatnemu fundatorowi numeru „Kultury”.

REDAKCJA.

## Książę Adam (Cz. I.)

### Na rozdrożach historii

#### I.

#### Dług historiografii polskiej

„... Ten człowiek — pisał o księciu Adamie Askenazy — dziś (u progu tego stulecia) przesłaniany mgłą niepamięci, żył lat prawie sto, zaś odkąd mógł i pokąd mógł, służył Polsce. Służył skróś piorunujących doli narodowej katastrof i gorszych do przebrnięcia martwych zaciszy; w obliczu kilku skróś odmiennych duchem pokoleń, którym dotrzymywać musiał kroku...” A wspominając jego służby pełne zaparcia się, niezmordowane, dodawał historyk: „Tak służyć niepodobna fortunnej, tak tylko nękaną można ojczyźnie...”

„Przesłaniany mgłą niepamięci...” . Dziesięciolecia minęły od jego zgonu, zanim historia zaczęła naukowymi badaniami mgłę tę prześwietlać, a dotąd jeszcze, prawie osiemdziesiąt lat po jego zgonie — brakło naukowej monografii obejmującej całość tego żywota.\*)

Przypomnijmy jego główne fakty. Urodził się książę Adam Jerzy Czartoryski w czasie zawieruchy barskiej, w Rzeczypospolitej jeszcze przedrozbiorowej. Pierwsze kroki w publicznym zawodzie stawiał za Sejmu Czteroletniego; był kolejno żołnierzem w wojnie z Rosją, za bój pod Grannem odznaczony krzyżem Virtuti, — był zakładnikiem u Katarzyny, a później dygnitarzem dworskim. Był przyjacielem i powiernikiem w. księcia Aleksandra Pawłowicza, a po dramatycznych perypetiach najbliższym z doradców młodego cesarza Aleksandra. Był członkiem tajnego komitetu przybocznego, rządzącego de facto lo-

\*) W r. 1882 ukazał się tom pierwszej obszernej, po kronikarsku ujętej biografii przez Bronisława Zaleskiego, już pośmiertnie. Popularny życiorys przez Józefa Bielńskiego (1904), pisany po amatorsku, a z przystosowaniem się do warunków politycznych i cenzuralnych, mało przydatny naukowo.

sami Rosji, ministrem spraw zagranicznych, wprowadzającym politykę ogromnego imperium na nowe tory, ku przebudowie Europy na zasadzie wolności narodów. Był upartym rzecznikiem odbudowy Polski w unii z Rosją, wieloletnim kuratorem Uniwersytetu Wileńskiego, a tym samym całego szkolnictwa w ziemiach zabranych, przez co ugruntowała się tam przewaga kultury polskiej na pokolenia. Był współuczestnikiem prac Kongresu Wiedeńskiego, współtwórcą Królestwa Kongresowego, choć niedopuszczonym do jego rządów, a stał się sztandarowym obrońcą konstytucji i praw przeciw samowoli i samowładztwu.

Był prezesem Rządu Narodowego za Rewolucji Listopadowej, moralnym sprawcą powstania na Litwie i Rusi, a później banitą i wygnańcem; był sternikiem polityki polskiej na Emigracji, przez wielu uznawanym za jej „Naczelnika”, przez niektórych za króla de facto. Przez dziesiątki lat ten tułacz i wygnaniec toczył zaciętą, nieprzejednaną walkę z polityką mikołajowskiej Rosji; a gdy wreszcie dogasał starcem dziewięćdziesięcioletnim, czynny do ostatniego tchu, wskazania jego przyświecały Krajowi, wchodzącemu znowu na drogę walki czynnej o swoje prawa, a było to już w przede dniu styczniowego powstania.

By podjąć się źródłowego opracowania takiego życiorysu, o tej rozpiętości chronologicznej i tylu odegranych rolach w tylu dramatach dziejowych, trzeba panować badaniami i myślą nad czterema co najmniej mocno odcinającymi się okresami naszej historii: rozbiorowym, wczesno-porozbiorowym do Kongresu Wiedeńskiego, po-kongresowym z rewolucją i wojną 1830-31 i międzypowstaniowym albo okresem Wielkiej Emigracji; nad czasami pięciu kolejnych władców Rosji: Katarzyny, Pawła, Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II. Trzeba być, jak był nim Askenazy, historykiem dwóch stuleci.

Wielki historyk nie mógł ogromnej tej postaci pominąć, ani nie sięgnąć do imponującej spuścizny archiwalnej „Księcia Wójewody”, przeniesionej przez syna z Hôtel Lambert do Muzeum X. X. Czartoryskich w Krakowie i odtąd z dużym liberalizmem, a w coraz szerszym zakresie, udostępnianej dla studiów naukowych. W „Napoleonie i Polsce” (1918-19) wyświetlił kwestie związane z pierwszym petersburskim pobytem księcia Adama, dramatycznym powikłaniem i raptownym wygnaniem; rzucił nieco światła na pierwsze lata wielkiej działalności Czartoryskiego przy Aleksandrze I jako cesarzu. Powrócił z czasem do najdrażniejszych spraw tego czasu w szkicu pt. „Nauka wielkoksiążęca”, w zbiorze „Uwagi” (1924). Przedtem o polityce Czartoryskiego w latach 1806-1813 niejedno przyniósł w „Księciu Józefie Poniatowskim” (1905), a ważny materiał dodatkowy, dotyczący się lat 1811-12 przyniosła książka Janusza Iwaszkiewicza „Litwa w roku 1812” (1912), pisana pod jego kierunkiem. Sam w rozprawie „Na rozdrożu” (1911) szczegółowo i źródłowo wyświetlił rolę księcia Adama w chwili przełomowej, gdy do Księstwa Warszawskiego po klęsce Napoleona wkraczali zwycięscy Rosjanie, a polityka polska wahała się w wyborze drogi: wytrwanie przy zwy-

cięzonym mocarzu, jeszcze wczoraj uznawanym za zbawcę, czy przejście na stronę zwycięzcy, łaskawego, umiającego zjednywać i przyrzekać. W dużej zaś rozprawie „Polska i Europa” (1909), będącej raczej komentarzem do obszernych a fascynujących wyciągów z dziennika Czartoryskiego, przedstawił Askenazy jego wysiłki w latach 1813-15, w dobie Kongresu Wiedeńskiego, inny zaś z jego uczniów, Eugeniusz Wawrzakowicz, przydał w monografii „Anglia i Polska 1813-15” (1917) szczegółowe studium zbiegów dyplomatycznych w Londynie i Wiedniu. Wreszcie dla doby Królestwa Kongresowego niejedno wyświetlił „Łukasiński” (1908). Na stosunek wzajemny Czartoryskiego i Konstantego u progu doby mikołajewskiej rzuciły światło „Rozmowy w Belwederze” w „Nowych Wzczasach” (1910). Rzecz o „Genezie i wybuchu Rewolucji Listopadowej” pozostała, niestety, w rękopisie, zaledwie rozpoczęta, a dużo wcześniejsza rozprawa o polskich wysiłkach dyplomatycznych za rewolucji pozostała fragmentem.

Jednakże w pracach Askenazego Czartoryski i jego polityka nie są przeważnie właściwym przedmiotem, nie na nich się koncentruje badanie; występują jako ta druga strona, przeciwstawiona czy Legionom, czy Polsce napoleońskiej, czy Polsce podziemnej za Królestwa; droga księcia Adama jest dla historyka przede wszystkim odwrotnością dróg Dąbrowskiego, Księcia Józefa, Łukasińskiego i raczej w założeniu samym błędna. „Nie rosyjska, przez Petersburg, droga do przyszłej odrodzonej prowadziła Polski, lecz legionowa przez Zachód, przez Francję, przez Napoleona”.

Badania Askenazego i jego szkoły (Iwaszkiewicz, Wawrzakowicz, Mościcki, Kipa), prowadzone przed pierwszą wojną światową, przeorały duży szmat dziejów Czartoryskiego, zaledwie jednak dochodząc do rewolucji listopadowej, wyjątkowo tylko sięgając w dobę Emigracji. Nie uwieńczyła tych badań żadna biograficzna synteza. Trudno za nią uważać zrekonstruowany pośmiertnie z różnych fragmentów lapidarny zarys życiorysu w „Szkicach i portretach”. Co w nim uderza, to jakby powstrzymanie się historyka od objęcia wykładem trzydziestoletniej działalności Czartoryskiego na emigracji; coś jakby odwrócenie się od niej niechętnie. Askenazy długo, choć nie do końca, lekceważył politykę wygnańczą, która wydawała mu się oderwana od rzeczywistości i zagubiona w marzeniach.

W okresie niepodległości podjął rozległe badania nad Czartoryskim Marceli Handelsman, od dawna już przez studia nad dobą napoleońską świetnie wprowadzony w tamten okres jego dziejów. Rzucił najpierw snop światła na idee i programowe założenia polityki Czartoryskiego w dobie kongresowej i emigracyjnej (Francja-Polska, 1926); nastąpił szereg prac szczegółowych jego samego i jego uczniów (Widerszal, Rusjan, Kalikst, Morawski i in.) nad emigracyjną działalnością dyplomatyczną Czartoryskiego. Wyniki tych badań były doniosłe. Okazało się,

że ta dyplomacja wygnańcza nie tylko może zdumiewać rozległością i ciągłością wysiłków, niewyczerpaną inicjatywą i uporem; była ona czymś więcej: siłą poważną nie tylko niepokojącą cara i wyzywającą jego gniewy, ale przeciwstawiającą raz po raz opory jego polityce, piętrzącą przeszkody na jej drogach, wpływającą niekiedy na bieg spraw europejskich.

W książce pt. „Czartoryski, Nicolas I<sup>er</sup> et la question du Proche Orient” (1934) Handelsman dał tymczasową syntezę swoich prac, z koncentracją na okresie wojny krymskiej; w innych pracach przedstawił politykę Czartoryskiego belgijską, włoską, ukraińską (jego uczniowie pisali o belgijskiej, bułgarskiej, węgierskiej, włoskiej etc.).

Wreszcie przyszedł życiorys księcia Adama w „Słowniku Biograficznym” (wśród trzydziestu sześciu innych życiorysów Czartoryskich), w obszerniejszej nieco wersji powtórzony w „Przeglądzie Współczesnym”. Już było wtedy wiadome, że Handelsman pracuje nad książką o księciu Adamie; na razie miała to być rzecz popularna — zdaje się, że jeden z tomów „Plutarcha Polskiego”, o którym myślał wówczas Wegner w Poznaniu.

Ale gdy wybuchła druga wojna światowa, rzecz była dopiero zaczęta. Pisał tę książkę dalej pod okupacją niemiecką, już od r. 1942 zmuszony ukrywać się. Wiosną r. 1943 doprowadzona była do roku 1849. Wtedy postanowił w częściach jej dalszych dać pełny, szczegółowy wykład, z ekspozycją wyników swych wieloletnich badań. Zdumiewającym wysiłkiem doprowadził rzecz do śmierci księcia Adama, zanim dosięgła go — latem 1944 roku — ręka Gestapo.

Maszynopisy, filmy i autografy poszczególnych części ocalały. Towarzystwo Naukowe Warszawskie przystąpiło do wydania tej ważnej spuścizny zgasłego historyka; prof. Stefan Kleniewicz, najwybitniejszy dziś z historyków młodszej generacji w zakresie historii porzoborowej, z pietyzmem przygotował druk dzieła.\*)

Jak mówi sam autor we wruszającej dedykacji, owoc to dwudziestu pięciu lat pracy i „w najtrudniejszych okolicznościach dokonane dzieło pisarskie”. O tym czytelnik pamiętać musi. Wydawca uszanował literalne brzmienie tekstu; mamy wątpliwości, czy nie był uprawniony a nawet zobowiązany do poprawy stylu, gdzie zachodziła potrzeba; a zachodziła nieraz, nie tylko ze względu na poprawność językową, lecz także ze względu na zatraconą się czasem w pośpiesznym pisaniu lub w stanie przemęczenia wyrazistość myśli.

Nie tylko jednak pod względem stylu i wykończenia odbiły się na tym wielkim dziele tragiczne okoliczności. Jak wspomniano, pisane ono było według dwóch kolejnych, zupełnie różnych koncepcji. W tomie pierwszym, właśnie wydanym, a sięgającym po rok 1846, przeważa jeszcze, zwłaszcza w początkowych częściach,

koncepcja pierwotna: popularnej biografii, obywatelskiej się bez wszelkiego aparatu naukowego, a rywalizującej za to z powieściami czy „vies romancées”: próba wskrzeszenia postaci dziejowej z całym jej życiem wewnętrznym, całą jego treścią nie tylko intelektualną, ale zwłaszcza emocjonalną, z dochodzeniem najosobistszego podłoża działalności dziejowej, dyspozycji psychicznych, „kompleksów”. Książka Handelsmana zdaje się w pierwszych rozdziałach jakby iść śladami Stefana Zweiga, próbuje psychoanalizy. Jak on niezbyt szczęśliwie, a dużo mniej udatnie. Nie w tej dziedzinie był nasz historyk najmocniejszy; znakomity badacz, jako pisarz jasny i przekonujący ilekroć szło o egzegezę źródeł, ustalenie faktów i ich genetycznych powiązań, mniej miał natomiast daru narracyjnego, a powieściopisarskiego czy dramatycznego mniej jeszcze.

W dalszych rozdziałach, począwszy od lat pokongresowych, przeważa historia polityczna wyłożona ze spokojem i powagą, przy czym brak przypisów odczuwa się tym dotkliwiej, a także niejeden raz pewną szkicowość w traktowaniu myśli i działań księcia Adama. Cały ten tom czyta się i zamyka z uczuciem, że ogromny wkład badań, gruntowna wiedza autora, wielkie umiłowanie przedmiotu — nie doszły tu do pełnego wyrazu. Sądzić należy, że znajdując go w tomach dalszych, mających przynieść — jak wnosić można z przedmowy wydawcy — gruntowną monografię o działalności księcia Adama od Wiosny Ludów do traktatu paryskiego i zwięzły rzut oka na jego ostatnie lata. Na razie znajdzie czytelnik uzupełnienie tomu pierwszego w dawnej, cennej francuskiej pracy Handelsmana o Czartoryskim i Mikołaju.

Można już zatem, w pewnym oparciu o pośmiertne dzieło Handelsmana i dawniejsze prace jego i innych, zdać sobie sprawę z roli dziejowej księcia Adama, choć niejedna sprawa pozostaje jeszcze do wyświetlenia. Nie podobna sięgnąć ręką po dobrze znajome teki czy folianty, dla nas dziś niedostępne i szukać dalszych odpowiedzi, dodatkowych wyjaśnień, choćby po to, by natknąć się znowu na zamknięte raz na zawsze drzwi tajemnic przeszłości. Szkic niniejszy niewiele światła może przysporzyć, raczej wysuwa wątpliwości, stawia pytania. Podjąć się go trzeba było mimo odcięcia od źródeł, skoro w Kraju trzeba dzisiaj usprawiedliwiać historyka — tak wydawca ekskuzuje Handelsmana — że napisał o Czartoryskim.

## II.

### „Familia”, rodzice, młodość.

O „Familii” Czartoryskich w XVIII w. sporo powiedziała historia; „Słownik Biograficzny” wiele dat i faktów ustalił, dał doskonale życiorysy jej głównych przedstawicieli (Kazimierza, Augusta Michała) pióra Konopczyńskiego, a księżstwa generośćwa (Adama, Kazimierza i Izabelli) pióra Wanickówniej. Dla

\*) M. Handelsman: *Adam Czartoryski*. Tom I. Warszawa, Nakładem Tow. Nauk. Warsz. 1948. Str. XX+334.

roli dziejowej tej rodziny nie jest obojętne, że książęta Czartoryscy to na pewne Gedyminowicze, a prawie na pewno Olgierdowicze, potomkowie wielkich książąt litewskich, a kuzyni królów polskich — Jagiellonów „fratres ac consanguinei”. Pamięć o tym przygasła przez szereg pokoleń, gdy nie mogli rywalizować z materialną potęgą innych, po części świeżo wyrosłych domów pańskich, odżyła w całej pełni, gdy małżeństwo Augusta Czartoryskiego z Zofią Denhoffową, dziedziczką olbrzymiej fortuny Sieniawskich, uczyniło „familie” materialną potęgą a wielkie talenty polityczne dwóch jej pokoleń — Kazimierz, podkanclerzy W. Księstwa Litewskiego i dwaj jego synowie, August, wojewoda ruski i Michał, w. kanclerz litewski — uczyniły ją potęgą polityczną, podmiotem nie tylko w polityce polskiej, ale i partnerem dla obcych.

W ówczesnych stosunkach i przy ówczesnym stanie Rzeczypospolitej nie dziwna, że nie obca im była myśl o koronie. Zbawienie Rzeczypospolitej pogrążonej w bezrządzie i bezwładzie widzieli w przebudowie ustrojowej, w ustanowieniu dziedzicznej, konstytucyjnej monarchii, wprowadzeniu silnego rządu, naprawie sejmowania. Pisma wielkiego Pijara, Stanisława Konarskiego, torowały drogę reformom. W dążeniu do realizacji tego celu nie cofali się przed zamachem stanu i szukaniem obcego, sąsiedzkiego oparcia. Nie było, zdaniem Handelsmana, innej rady, jak oprzeć się o jednego sąsiada, „najlepiej o Rosję”.

To zrobili Czartoryscy. Ich samych Katarzyna odsunęła od korony; właściwy kandydat „familii”, „potężny duchem i fortuną” książę August, nie nadawał się na narzędzie; carowa proponowała tron zrazu synowi jego, Adamowi Kazimierzowi, oczarowana tym świetnym młodzieńcem, który się jednak wymówił od ciężaru korony, a względy imperatorowej w inną zwróciły się stronę. Tron polski przeznaczony został siostrzanowi Czartoryskich, Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, uznanemu za „sujet convenable”. Jego kuzyn i rywal niedoszły marszałkował sejmowi konwokacyjnemu, inaugurującemu wielką reformę Rzeczypospolitej.

„I w rezultacie — mówi krótko Handelsman — niczego nie osiągają: nie potrafią (!) uwolnić Polski od obcej przemocy, ani zapewnić jej najmniejszych reform i przegrywają własną grę o koronę Rzeczypospolitej”.

Jest w tym prawda. Nie cała jednak prawda i nie ma w tym wyjaśnienia, jak się to stało. Sprawa to zdawna sporna w historiografii polskiej, czy godziło się Czartoryskim szukać oparcia w Rosji, czy nie była grzechem pierworodnym ich orientacja polityczna, i wprowadzenie rosyjskiej interwencji w nasze sprawy wewnętrzne, czy też przeciwnie błąd nie polegał na złudzeniu jakie mieli Czartoryscy, że po dokonaniu przewrotu na złudzeniu władzy, będą mogli prowadzić politykę niezależną od imperatorowej, nie podporządkowującą się woli i interesom Rosji, z czym się należało na razie pogodzić.

Utrzymanie się Czartoryskich przy władzy, a może i realizacja

ich programu reform z zachowaniem formalnej odrębności i całości Rzeczypospolitej były zapewne możliwe, ale za cenę wyrzeczenia się niepodległości państwa, za cenę podporządkowania go Katarzynie. Ceny tej nie chcieli i nie mogli zapłacić.

Zarzucał im tę niekonsekwencję Bobrzyński. Dziś oskarża ich o to — jak całą politykę i historiografię polską dwóch stuleci — p. Bocheński w swym publicystycznym traktacie „Dzieje głupoty w Polsce”, dowodząc, że mądrością było dobrowolne i konsekwentne przyjęcie uzależnienia i podległości.

Wtedy przeciw Czartoryskim poszła interwencja rosyjska, przeciw nim i królowi stanęła konfederacja radomska w aliansie z Rosją. Dzieło Czartoryskich zwalone zostało ze szczytem; oni sami zmuszeni zalecić królowi podporządkowanie się rosyjskim nakazom; młodzi księstwo szukają ratunku dla polityki „familii” w przyjaźni z Repninem, z której wyniknął romans jego z młodziutką księżną Izabellą i ciężkie perypetie sercowe, o czym mówią dużo autentyczne — choć może nie ze wszystkim wiarygodne — pamiętniki Lauzun’a.

Próby Czartoryskich, by w czasie zawieruchy barskiej doprowadzić do zgody między królem a narodem, między polityką polską a francuską przeciw Rosji, nie dały wyniku. Gdy kraj spłynął krwią w walce niedołącznie prowadzonej choć ofiarnej, a będącej zarazem wojną domową, kanclerz Michał Czartoryski z gorącą mową: „Ja te drewka zbierałem, kto inny i w innym umyśle podpalili”.

Przyszła katastrofa pierwszego rozbioru. „Familia” przegrała sprawę Polski i własną. Jej wielcy przywódcy schodzili z widowni. W okresie międzyrozbiorowym reprezentuje ją następne pokolenie: księstwo generałostwo Ziemi Podolskich, wspólni spadkobiercy starych książąt.

O księciu Adamie Kazimierzu mało w książce Handelsmana, choć trafnie wskazane uderzające antynomie w jego życiu: komendant Szkoły Rycerskiej, będącej szkołą patriotyzmu, rozzumnie i celowo pracuje „książę generał” nad wychowaniem całego pokolenia narodu tak, by zdołne było kraj podźwignąć, państwo odrodzić. A w tymże czasie wikła się nam w kabały domowych rozterek, zawżina w rosnącej wrogości do króla-kuzyna, daje się wciągnąć w skandaliczne publiczne spory, w walce nie przebiera w sojuszniach domowych i ogląda się za poparciem zewnętrzny. Słusznie zwraca uwagę historyk na pozycję jego niemal monarszą, przez ogromną potęgę gospodarczą, a zarazem na konsekwencje pierwszego rozbioru: uzależnienie od dwóch mocarstw rozbiorowych, Austrii i Rosji, przez dobra posiadane w ziemiach przez nie zabranych; jako „sujet mixte” jest obowiązany do homagialnej przysięgi. Komendant Korpusu Kadetów i generał lejtnant wojska litewskiego zostaje zarazem cesarskim generałem artylerii, a wreszcie feldmarszałkiem.

Trzeba położyć nacisk na szczególny stosunek do tego „poddanego” i na jego specjalną pozycję. Istnieje jego korespondencja z Józefem II, nie oficjalna, nie protokolarna; listy cesarskie



podpisywane pseudonimem „abbé Sartori” — listy przyjaciela. Korespondencja ta trwa nadal za Leopolda II. Ale bo też w korespondencji „księcia generała” roją się nazwiska należące do najwybitniejszych w Europie zarówno w schyłkowej dobie „ancien régime”, jak w nadchodzącej, burzliwej, rewolucyjnej i widać jaki urok miał ten magnat, w wieku Oświecenia jeden z najświetlejszych, którego raczej należało zwać „księciem filozofem” (w znaczeniu wtedy przyjętym), ile miał wielbiciele i przyjaciół, jak rozległe stosunki i wpływy, ile znaczył na przykład we Wiedniu, jak był popularny na Węgrzech (gdzie był powołany do izby magnatów), jak był wszędzie u siebie w domu w ówczesnej Europie.

Podnosząc sprzeczności w które wikłało go życie — jego i tyłu współczesnych — mówi Handelsman o pewnym hamletyzmie jako dziedzictwie po tym pokoleniu i tych czasach. Jeśli „hamletyzmem” nazywa się — zresztą błędnie — jakąś niedomogę energii czynnej wynikającą z przewagi intelektu nad wolą, to było zapewne coś z tego w księciu generale, jak było i w jego najstarszym synu. Zwłaszcza rzuca się jednak w oczy wśród powikłanych, często obłądnych dróg jego życia zawsze w końcu decydujący wzgląd na dobro ojczyzny, obowiązek zaparcia się dla niej osobistych aspiracji, wewnętrzny nakaz służby i ofiary. Ten, który u progu politycznego zawodu miał być wyniesiony na tron polski przez obalenie króla Augusta III Sasa, po latach trzydziestu poskował od króla i sejmu do innego Sasa, elektora Fryderyka Augusta, by go uprosić o przyjęcie następstwa polskiego tronu. Ten przez lata najzaciętszy wróg Stanisława Augusta współdziałał z nim później całą duszą w dziele reformy Rzeczypospolitej i ustanowienia Konstytucji 3-go Maja. Ten świetny przedstawiciel „ancien régime”, skoligacony z domem wirtemberskim a przezeń z domami pruskim i rosyjskim, staje u schyłku swego politycznego żywota jako marszałek Konfederacji Generalnej przy rewolucyjnym mocarzu, Napoleonie i wyprawia doń poselstwo z ledwie przesłoniętym zaproszeniem go na tron polski. Co niewątpliwie było jego cechą — niech kto chce hamletyzmem to nazywa — to brak wszelkiej żądzły władzy i pewna odraza do ubiegania się o nią. Cechowała go również niechęć do skrajności, umiar i rozwaga w wyborze celów, poszukiwanie środkowej drogi. Cechy te przekazał swemu „kochanemu Adalowi”, dla którego głęboką a mądrą żywił przyjaźń. On też kierował edukacją syna, po swojemu celowo i z głęboką rozwagą i postarał się o to, by młodzietki książę Adam przygotował się do życia publicznego nie tylko patrząc na niezbyt budujące sceny sejmikowe nasze, lecz poznał to życie także w Anglii, w kraju, który był kolebką nowożytnego systemu reprezentacyjnego i dokładnie zobaczył, czym jest rządna wolność.

Książę Adam, w trzecim co najmniej pokoleniu Czartoryskich zwolennik instytucji angielskich, wyniósł z lat młodych nie tylko mocne przekonania liberalne, lecz także głębokie, choć nie

bezkrytyczne sympatie dla narodu angielskiego, sympatie już odwzajemniane przez wielu Brytyjczyków.

Bardziej na pierwszym planie ukazuje się w dziele Handelsmana księżna Izabella. Jej uczuciowość wybujała, bardzo żywa wyobraźnia i leżąca w jej charakterze ciągła gorączkowa czynność uczyniły z niej osobistość historyczną zarówno za młodych lat, kiedy była „romansów heroiną smutnych”, jak później, gdy wysublimowana i egzaltowana jej uczuciowość znajdowała ujście w roli „matki Spartanki”, a wreszcie w roli Sybilli, strzegącej ksiąg narodowych przeznaczeń. Nie tylko w osobistym życiu rozchodziły się zrazu ścieżki jej i mężowskie. Książę generał niechętnie się i później poddawał niektórym politycznym impulsom małżonki, w której wraz z przejęciem się losami Polski i polityką wewnętrzną wzbierały ambitne marzenia. Ona zdaje się ponosi odpowiedzialność za nieszczęśliwe małżeństwo córki, Marii, z księciem Ludwikiem Wirtemberskim, wtedy generałem pruskim, później generałem-lejtnantem w wojsku litewskim, którego zdrada w roku 1792 zaciężyła na losach tej kampanii i Polski.

Ten dynastyczny związek skoligacił Czartoryskich naraz z Fryderykiem II, z późniejszym carem Pawłem i z późniejszym cesarzem Franciszkiem, z Poczdamem, Głogowem i Burgiem, ale zbliżał specjalnie do Berlina. Księżna Izabella — wbrew wiekańskim powiązaniom męża — skłonna była szukać przyjaźni pruskiej; była też później — w dobie sejmu wielkiego — jej głosicielką i entuzjastką, aż musiał ją książę generał wyprawiać w daleki wojaż do Anglii, by zapobiec zbytniemu zaangażowaniu się w kierunku, o którego trafności nie ze wszystkim był przekonany.

Młody książę Adam był świadkiem matczynej entuzjazmu, pod komendą szwagra ruszał w pole, przeżył tragedię i hańbę jego zdrady i ujawienie się ohydnej gry pruskiej; wstrząsło nim nieszczęście siostry. Sądzić wolno, że to przeżycie niemniej jak żołnierski chrzest ogniowy pod Grannem głęboko zapadło w jego duszę. Prusom będzie to pamiętać i przez parę dziesięcioleci żadnych już złudzeń co do ich polityki do siebie nie dopuścić. Wątpić zaś można, czy wyniósł z tych przepraw zautannie do matczynej dyplomacji.

Z tym wiąże się pogląd Handelsmana rozwinięty w jego książce: że książę Adam miał jakiś „kompleks matczynej”, że był u swej matki w duchowej niewoli, z której wyzwoliło go dopiero w roku 1817 (czterdziestym siódmym roku jego życia) zawarte wbrew jej woli małżeństwo z Anną Sapieżanką.

Na dziwnym tym przypuszczeniu zbudował Handelsman już w roku 1937 swój szkic pt. „Książę Adam. Próba charakterystyki psychologicznej”.

Podstawą źródłową były nieistniejące już dzisiaj papiery z Podzamcza, a w nich bezcenna korespondencja księżnej Izabelli z synem. Korespondencja świadcząca o miłości synowskiej, o częstym zwierzaniu się matce, a wielkiej w stosunku do niej

delikatności uczuć. Duchowej zależności w tych listach doczytać się trudno. Dla matki — jak dla całej rodziny — był książe Adam „figure de bronze”. Był zamknięty w sobie; nurt jego psychicznego życia szedł głęboko podziemną rzeką. Za młodych jego lat wypominała mu matka jego skrytość, jego „powierzchnowość chłodną... mizantropa albo egoisty”. Nie ona mu dyktowała jego politykę, choć przejmowała się nią, choć pragnęła go widzieć raz wice-królem z ramienia Aleksandra, drugi raz kanclerzem z ramienia Napoleona, a z pewnością, nie zarzekałaby się, gdyby sam miał być wyniesiony na tron. Współczuła mu całą potęgą swych uczuć w jego doli i niedoli, chciała jego szczęścia, próbowała je wreszcie mu narzucić, narzucając mu wbrew wszelkim racjom polityki familijnej — swą wychowanicę, śliczną i szlachetną Zofię Matuszewicównę na żonę, ale daremnie. Tego niepowodzenia przeboleć nie mogła już do końca swego długiego życia. Tyle o ich stosunku wzajemnym zdają się mówić źródła.

Jak wyprawiała go w roku 1792 na wojnę? Można się chyba domyślać ze słów o dwadzieścia lat późniejszych, które zapisała w swym dzienniku, gdy młodszy jej syn, Konstanty, na inną szedł wojnę z tym samym wrogiem: „Niech Bóg go prowadzi, niech błogosławieństwo matki broni go od wszelkich nieszczęść. Niech szlachetnie, odważnie się sprawa. Niech krew jagiellońska, która w żyłach jego płynie, do chwały go wzbudza, a przywiązanie do ojczyzny niech mu wskazuje drogę, którą ma iść szczęśliwie i świetnie”.

Gdy po insurekcji 1794 roku szukali Czartoryscy w wstawie Repnina ratunku od konfiskat i ruiny, zażądał od nich wyprawienia obu młodych książąt do Petersburga na dwór imperatorowej. Jakież wtedy wiatyk na drogę dawała synom księżna? Opowiadano sobie potem na dworze petesburskim, że kazała im składać przysięgę młodego Hannibala, gdy go jako zakładnika wyprawiano do Rzymu. Jeśli istotnie przysięgać miał wtedy książę Adam nienawidzić Rosję, to przysięgi tej nie było mu dane dotrzymać: pokochał niektórych Rosjan, poznał i zrozumiał kraj i ludzi, a chociaż przyszło mu z czasem z Rosjanami i z samą Rosją toczyć o Polskę walki zacięte, nienawidzić ich nie był zdolny, bo i wszelka nienawiść narodowa była mu obca. Ale wolno przypuszczać, że przyrzekał tylko matce, że nigdy nie przestanie być Polakiem i żyć będzie dla Polski. Co sam wtedy czuł, wypowiedział w „Bardzie polskim”, poemacie będącym jakby spowiedzią jego pokolenia w chwili, gdy Polskę wykreślano z liczby państw i narodów: „Dziś przyjdzie podłość znosić, żyć między zbrodniami. Nieszczęśli, których śmierci ominęła ręka!... Tak ciężką i bezecną brzydzę się opieką!... O zgrozo niewoli, co uczucia śmie pętać, myśleć nie dozwoli. Czemuż z braćmi na polu chwały nie zginąłem...”

Tak zaczynała się właściwa historia księcia Adama.

## III.

## Przeprawy petersburskie

Znane są od dawna pierwsze lata petersburskie księcia Adama: pokuta młodych książąt za grzechy familii w antyszambach faworyta carycy, nierychłe dopuszczenie do jej oblicza i łaski, narzucona dworska służba w ponurej, nabrzmiałej tragicznymi powikłaniami i nowymi zbrodniami atmosferze dworu. Mówi o tym wszystkim dużo i szczerze pamiętnik księcia Adama; francuski, wydany wraz z wyborem z jego korespondencji, ukazał się również w przekładzie angielskim.\*) Dodatkowe światło rzuca korespondencja rodzinna, mało przytaczana w dostównym brzmieniu.

Czartoryski powiedział wiele; wszystkiego nie mógł — i wszystkiego nie wiedział wtedy, pewnych rzeczy nie dowiedział się nigdy. Dziwili się młodzi Czartoryscy nienawiści Katarzyny do Pawła, jego strachowi przed matką; dziwili się, że babka odbiera wnuki już w niemowlęctwie rodzicom, sama je wychowuje, od ojca odcina. Przenikały wieści o jej zamiarze odebrania Pawłowi następstwa tronu, przeniesienia na młodzieńczego Aleksandra Pawłowicza. Sam Paweł wymusił rzekomo na synu przysięgę, że cokolwiek się stanie, w ojcu uzna cara.

Tajemnica była znana tylko Katarzynie; poza tym komus z rodziny Szuwałowych i Branickim. Paweł nie był synem Katarzyny. Był synem Czuchonki z „daczy” podmiejskiej. Podstawiony był, z rozkazu carycy Elżbiety przez szefa jej tajnej kancelarii, Aleksandra Szuwałowa, na miejsce urodzonej przez Katarzynę córeczki, późniejszej Aleksandry Branickiej. Imperatorowa chciała, by noworodkiem był chłopak, przyszedł car — i postawiła na swoim. Chłopiec był ładny i mocny. Ale Katarzyna wiedziała, pamiętała i do ostatnich chwil życia wybierała się eliminować nieszczęsnego następcę tronu, którego umysł wyraźnie zresztą nie wytrzymał brzemienia narzucenych mu zadań.

Pierworodny wnuk, Aleksander, miał więcej cech matki, księżniczki Wirtemberskiej niż ojca: typ niemiecki przeważał w jego rysach i psychice. W tym młodym, jasnym, czarującym chłopcu była nadzieja Katarzyny i Rosji.\*\*)

Jego stara się Katarzyna wychować na światłego monarchę w stylu wieku Oświecenia. „P. de La Harpe natchnął go miłością ludzkości, sprawiedliwości, a nawet równości i wolności dla wszystkich” — ale obcy zupełnie krajowi, ludziom i sprawom,

\*) *Mémoires du Prince Adam Czartoryski et Correspondance avec l'Empereur Alexandre I.* Paris, 1887, 2 t. (wydał Ch. de Mazade). — *Memoirs of Prince Adam Czartoryski and his Correspondence...*, London 1888, 2 v. (wyd. A. Giełgud; różni się znacząco od poprzedniego). Pierwotna polska redakcja przytoczona częściowo w pełnym brzmieniu u B. Zaleskiego.

\*\*) O pochodzeniu Pawła: H. Mościcki w Polskim Słowniku Biograficznym, t. II sub voce BRANICKA Aleksandra. O Aleksandrze Iwanowiczu Szuwałowie mówiła Katarzyna, że «szerzył strach i zgrozę na całą Rosję».

niezdolny wyjść poza rezonowania ogólne, nie mógł go przygotować do rzeczywistych jego zadań; wniosłe idee pozostały dla Aleksandra — jak świadczy Czartoryski — frazesami, „des phrases générales”.

Właściwym oficjalnym wychowawcą był kto inny: Mikołaj Sołtykow, dworak dobrze umiejący chadzać po ziemi i błocie — on to Zubowa nastreczył Katarzynie. A wielki książę Paweł też podkszałcał dorastających synów w swoim ulubionym rzeźmiśle „Drillmeistera”; zasmakowali w nim obaj, zwłaszcza Konstanty, wyraźnie obciążony ojcowym dziedzictwem. Na gaczyńskich placach musztry oswajali się z bezduszną i tyrańską dyscypliną ówczesną i z widokiem katowanych żołnierzy. Aleksander z konieczności żył życiem podwójnym; z konieczności nosił jedną maskę wobec ojca, inną wobec babki, nawykał do gry, która stać się miała jego stałym już udziałem.

W długie lata po jego zgonie książę Adam oddając jak zawsze hold jego dobremu intencjom, przypisywał zygzakowaty tor jego działania „szlachetnej próżności”. „Chciał wciąż podbijać serca, robić wrażenie, imponować gabinetom, podobać się generałom, literatom, damom, być podziwianym w najświetniejszych salonach, na najpoufniejszych zebraniach a także na czele armii...”\*)

Wtedy, w młodzieńcze lata, do jego podbojów należał młody, posępny i tajemniczy polski wygnaniec. Powiedział mu, że potępią zbrodnię, jakiej jego babka dopuściła się na Polsce; obiecywał naprawić „tę ohydą niesprawiedliwość”; zapewniał, że będzie to zadaniem jego życia. Czartoryski wierzył w szczerłość tych zapewnień i wszystkie późniejsze zawody, rozczarowania i nieszczęścia nie zabiły w nim wiary w dobrą wolę Aleksandra.

W przestawieniu Handelsmana ta „przyjaźń rosyjska” to w psychice Czartoryskiego nowy kompleks, to zależność duchowa od której wyzwolić miała go dopiero śmierć Aleksandra, walka z Mikołajem. Sprawa to nie tak prosta z tą zależnością. W stosunku swym do Aleksandra nie był Czartoryski ani zaślepiiony, ani uległy. Jego przyjaźń polityczna z Aleksandrem i kilku młodymi, liberalnymi Rosjanami opierała się na założeniu, że Polska ma być odbudowana i oddane jej, co Rosja zabrała. Nie była to przyjaźń kosztem wyrzeczenia się Polski; była przyjaźń w imię jej przywrócenia. Do tej sprawy wypadnie powrócić pisząc o współpracy księcia Adama z cesarzem Aleksandrem I.

Od razu jednak trzeba stwierdzić, że w tej parze przyjaciół nie był Aleksander silniejszym partnerem, że Polak górował nad nim niezmiernie charakterem, wyrobieniem życiowym, wykształceniem, rozzębieniem w sprawach politycznych Europy a nawet bliższych rosyjskich, że było w ich stosunku wzajemnym przez szereg lat bezgraniczne zaufanie ze strony Aleksandra i szukanie instynktowne oparcie w Czartoryskim, a ze

\*) Adam Czartoryski, *Essai sur la Diplomatie*, Paryż 1864, str. 85.

strony księcia Adama wdzięczne, serdeczne przywiązanie, głębsze po tej stronie, bo głębszym był człowiek.

Z przyjściem na tron Pawła rozluźniły się stosunki Aleksandra z Czartoryskim w strachu przed ojcem. Nie udało się też Czartoryskiemu skłonić Aleksandra, by zbliżył się osobiście do uwolnionego Kościuszki. Nie tylko jednak awersja Pawła do liberalnych idei grała tu może rolę.

Przyjaźń Czartoryskiego z młodym wielkim księciem i jego żoną, śliczną i uroczą Elżbietą, księżniczką badeńską, powikłała się tragicznie romansem Czartoryskiego i wielkiej księżnej: była to pierwsza, a bodaj i jedyna wielka miłość w jego życiu, powracająca później po długich jeszcze latach, a bolesnym wspomnieniem odzywająca się do końca. Wiadomość o tym romansie i niezwykłych jego okolicznościach dały pamiętniki hrabiny Gołowin, hrabiny Lieven, księżnej Dino, barona de Barante i inne; Askenazy znalazł potwierdzenie w dzienniku księcia Adama, a w polemice z w. księciem Mikołajem Michajłowiczem, oficjalnym biografem Elżbiety, ogłosił żeń pewne urywki.

Monografia Handelsmana przynosi jeden ważny fakt: że o tym romansie wiedziała matka księcia Adama, że w Puławach martwiła się rodzina losem tych zakochanych i „maleńkiej”, zgastej w niemowlęctwie dzieciny, w. księżniczki Marii, której czarne włoski zdradziły Pawłowi czym jest dzieckiem.

Jak do tego doszło, opowiadają Barante i księżna Dino. Według Barante'a Aleksander sprzykrzył sobie żonę rychło po jej poślubieniu; ale sądząc, że nie godzi się jej skazywać na wierność, której sam dochowywać nie myślał, zawarł z nią umowę pisemną, poręczając wolność obojgu. Według księżnej Dino, Elżbieta przygnębiona obojętnością męża, zwierzyła się wspólnemu przyjacielowi. „Zaszczycony wzruszającym dowodem zaufania, książę Adam z całą gorliwością prawdziwego przywiązania starał się przywrócić jedność w tak drogiej mu rodzinie”. Jednakże — księżna Dino ledwie śmie o tym pisać, choć wie o tym na pewno — Aleksander nie tylko go nie słuchał, ale powtarzał mu często, że to on jako przyjaciel powinien pocieszyć Elżbietę, a zarazem w. księżna sama publicznie okazywała tyle względów księciu Adamowi, że cały Petersburg wkrótce był przekonany, że rady przyjacielskie poskutkowały. Milczący i prawie ponury, książę przy Elżbiecie tylko zapominał o nieszczęściach swej ojczyzny... Tymczasem Katarzyna umarła a Paweł I, który nastąpił po matce, sam zakochany w synowej, usunął pod pretekstem ważnej misji do Włoch szczęśliwego rywala...

W rzeczywistości groźne to było przejście dla księcia Adama i obojga wielkich księstwa, gniew Pawła był straszny, a śmierć „maleńkiej” była, jak podejrzewano, usługą oddaną przez kogoś gniewnemu imperatorowi. Tu zdaje się być również początek nienawiści ku Czartoryskiemu cesarzowej Marii Teodorówny, w. księcia Konstantego i wielu Rosjan z kół zbliżonych do dworu. W grzy szło nie tylko szczęście osobiste księcia Adama, ale i

nadzieje pokładane w przyjaźni Aleksandra. Nastąpiło parę lat maskowanego funkcją dyplomatyczną czysto nominalną wygnania we Włoszech.

Gdy wrócił książę Adam, uczucia Elżbiety już w inną zwracały się stronę. Był później romans jej z Ochotnikowem, oficerem gwardii, zamordowanym — zabójcę nasał rzekomo Konstanty.

Romans z Czartoryskim nawiązał się na nowo w dobie Kongresu Wiedeńskiego. Była mowa o rozwodzie jej z Aleksandrem, o poślubieniu przez nią księcia Adama. Urywki z jego dziennika, ogłoszone przez Askenazego w „Uwagach”, mówią o tym wyraźnie.

Ale już inny był stosunek Aleksandra do tego romansu. Rozwodowi oparł się, od Czartoryskiego się odsunął. Pozostała gorzka jej złamanego życia, jego „jakaś smutna nieszczęść sława”.

Po długich latach, już po zgonie obojga przyjaciół, cesarza Aleksandra I i Elżbiety, w dramatycznej rozmowie w Belwederze usłyszał Czartoryski z ust Konstantego niby dobronudne, okrutne słowa: „Mam twoje listy. Mam liściki... Cesarz narobił wielkich głupstw. Tyś narobił wielkich głupstw. Ale bywa się młodym. Teraz, po pięćdziesiątce, jużbyś tego nie robił. Ja też robiłem wielkie głupstwa. Któż ich nie robi? Odłożyłem pewne listy z tym, że mają być spalone, gdyby mi się coś zdarzyło...”

Jeszcze wtedy, w 1827 roku, mścił się ten romans, dając w księciu chwilę przewagi nad Czartoryskim.

#### IV.

##### Czartoryski rosyjskim mężem stanu

Wybiegliśmy naprzód, szkicując dramat miłości księcia Adama z Elżbietą, wikłający się z dramatem historycznym jego przyjaźni i współpracy z Aleksandrem I. Cofnąć się trzeba teraz do chwili, gdy młody cesarz po pohańbionym, potłuczonym i na miązgę skopanym trupie ojca wyniesiony został na tron.

Było szczęściem Czartoryskiego, że daleko był wtedy od Rosji i tej ponurej sprawy, o której dał zresztą w pamiętnikach gruntowną i rzetelną relację, starając się uwydatnić wszystkie okoliczności pomniejszające winę jego przyjaciela i eliminujące jego bezpośrednią odpowiedzialność za sam akt mordu.\*) Wieść o tym wydarzeniu podawała bratu księżna Maria Wirtemberska: „Piszę do Ciebie w radości, w zachwycie: wiesz już zapewne o wielkiej nowinie o śmierci Wappy (jakiś kryptonim dla Pawła)... Nasz drogi, uwielbiany wielki książę jest cesarzem... Szaleję z radości...” W drodze był już list Aleksandra przyzywający go: „Nie potrzebuję ci mówić, jak niecierpliwie cię wyczekuję...”

Zaczyna się odtąd rola Czartoryskiego jako rosyjskiego męża

\*) Weale jednak Czartoryski nie broni Aleksandra — jak twierdzi Handelsman — przed «podejrzeniem o udział w spisku».

za stanu, odgrywającego przez kilka lat czołową rolę w polityce zagranicznej Rosji, wielką w polityce wewnętrznej, a pozostającego przez dalszych lat dziewięć jedną z czołowych osobistości ówczesnego jej politycznego świata. Pisał niedawno historyk angielski<sup>\*)</sup>, że wiele jest głębokich sekretów zatajonych gdzieś w druku czarno na białym — byle umieć szukać. W danym wypadku rzecz jest prostsza jeszcze, bo szukać nie potrzeba: prawie wszystko co istotne zamyka się w dwóch tomach Czartoryskiego wydania pamiętników i korespondencji Czartoryskiego; pewne do niej uzupełnienie dał w książę Mikołaj Michajłowicz w dziele o Aleksandrze. A listy te i memoranda księcia były przecież pisane dla cesarza, przezeń czytane; to co mówią o ich wzajemnych stosunkach i współpracy nie może podlegać żadnej wątpliwości.

Książka Handelsmana przysparza sporo danych o pracach petersburskich księcia Adama jako członka komitetu tajnego, rady stanu i jako wileńskiego kuratora; w sprawach politycznych mało wnosi nowego, zbyt mało zaś wyczytuje z bezcennej, choć tak łatwo dostępnej jego korespondencji; zbyt mało dochodzi do głosu sam książę Adam.

Jest on od razu wraz z Strogonowem, Koczubejem, Nowosilowem, członkiem „niejawnego komitetu” przy cesarzu, mającego przygotować przebudowę cesarstwa i kierować jego polityką; żartobliwie zwą się „komitetem ocalenia publicznego”. Książę Adam opracowuje nowy ustrój władz centralnych z odpowiedzialnością ministrów za poszczególne resorty, wprowadzony w życie we wrześniu 1802 roku. Na nalegania Aleksandra, z ociąganiem, sam przyjmuje stanowisko towarzysza ministra spraw zagranicznych przy kanclerzu Aleksandrze Woronowie, z kierownictwem faktycznym; od stycznia 1804 formalnie staje u steru polityki zagranicznej. Jest zarazem członkiem Rady do spraw szkolnych, komisji urzędzenia Żydów, co zaś najważniejsze dla sprawy polskiej — od lutego 1803, jako kurator uniwersytetu wileńskiego staje na czele szkolnictwa w ośmiu zachodnich guberniach. Od stycznia 1805 zasiada w Senacie i Radzie Państwa. Jest zrazu najbliższym doradcą monarchy, w pewnych okresach rola jego zbliża się do roli premiera.

Łatwo pojąć, jak opinia rosyjska reagowała na taką decydującą rolę młodego Polaka; wrogość ku niemu wzbierała do tego stopnia, że już w roku 1803 bracia Dołgorukowie wyrażali się, że go wypędzą z dworu fizyczną siłą — a za nimi stała carowa matka, której wpływ na syna stawał się chwilami przemożny od czasu straszliwej nocy, w której usiłowała daremnie pomścić śmierć Pawła i władzę ująć w ręce. Przez poczucie winy Aleksander był wobec niej bezbronny. Odrzucić też trzeba nieprawdopodobne przypuszczenie Handelsmana, że to dla swej wygody, jako ewentualnego „*bouc émissaire*” trzymał

\*) L. B. Namier, *The Diplomatic prelude*, Pref.

przy sobie Aleksander tego ministra „obcego i niepewnego”, cudzoziemca, ściągającego przeciw na obu podejrzenia i nienawiść przez samą swą obcość i przez samo swoje znaczenie i powagę.

Zaraz po objęciu przezeń urzędu pisał ambasador brytyjski do swego ministra: „Książę Czartoryski, przez kilka lat ubiegłych zażyły i najzaufańszy przyjaciel obecnego cesarza rosyjskiego... jest teraz drugą osobą w urzędzie spraw zagranicznych co do rangi, ale może pierwszą co do znaczenia”. Rok później pisał Józef de Maistre, półoficjalny poseł Sardynii, swemu królowi: „Czartoryski jest wyniosły, skryty... Wątpię by Polak, któremu marzyła się korona, mógł być dobrym Rosjaninem...” A w tymże mniej więcej czasie Szymon Woroncow donosił o szczególnej nienawiści ku Czartoryskiemu w Berlinie.

Gdy przybył Czartoryski w roku 1801 do Petesburga, już zastał ważny fakt dokonany w dziedzinie polityki zagranicznej: była nim decyzja zawarcia układu pokojowego z Bonapartem. Wbrew jego zdaniu, poza nim zawarty został traktat paryski z wypuszczeniem z rąk wielkiej okazji do trwałego układu co do przyszłości Europy; w traktacie tym, jak wyrzucał Aleksandrowi, był jeden tylko artykuł ważny, a ten jeden godził w Polskę i Polaków, stanowiąc, że żadna ze stron układających się nie będzie udzielać żadnej pomocy zewnętrznej czy wewnętrznej nieprzyjaciółom drugiej. Szło tu również o rojalistów francuskich, żaden zaś z artykułów traktatu nie może być tłumaczony — jak to czyni Handelsman — w tym sensie, żeby „nakazywały wzajemną wymianę działaczy politycznych”, czy też zapewnienie Rosji „wydania naszych emigrantów”. Nigdy nie byłby Napoleon przyjął tak hańbiącego warunku. Rosja go w tej formie nie stawiała, nie też podobnego nie zasła.

Według Czartoryskiego, Aleksander w tym czasie odwracał się od „krwawych wojen Katarzyny i despotycznego obłądka Pawła”, zarzekał się przeciw „chciwości, chytrności, ambicjom bez miary, słowem przeciw wszelkim ideom zaborczym, które były duszą dawnej polityki rosyjskiej”. Cały swój wysiłek chciał wtedy zwrócić ku wewnętrznej odnowie Rosji. Takim było również wyznaczenie wiary hr. Koczubeja, który w początkach jego panowania kierował polityką zagraniczną Rosji w duchu szlachetnego izolacjonizmu, unikającego angażowania się w sprawy Europy. Było to — zdaniem Czartoryskiego — pograżanie się w politycznej nicości, a było zarazem obce samym Rosjanom.\*\*)

Z tymi ideami i nastrojami cesarz był odosobniony w swym narodzie, był „egzotyczną rośliną wśród swoich, nie był między nimi szczęśliwy, czuł się nieswojo”.

W roku 1802, ulegając wpływowi matki, w tajemnicy przed księciem Adamem i innymi przyjaciółmi, wyprawił się do Kłajpedy w odwiedziny do królewskiej pary pruskiej, związał się

\*) Porównać T. Martens, *Recueil des traités conclus par la Russie*, t. XIII, nr 488.

\*\*) *Mémoires*, t. I, 286, 292-3.

przyjaźnią z królem, a bardziej jeszcze z królową Luizą, a choć go razila jej narzucająca się zalotność, żywił odtąd dla niej rycerski sentyment. „Wasza Cesarska Mość — wypominał mi po czterech latach Czartoryski — nie uważała odtąd Prus za państwo w sensie politycznym, ale za osobę w stosunku do której ma obowiązki do wypełnienia”. Nad dotrzymaniem zaś tej przyjaźni z jej berlińskimi kuzynami czuwała Maria Teodorówna sama i przez braci Dołgorukich. A przyjaźń ta oznaczała przypieczętowanie zagłady imienia polskiego.

Nie dziw, że Czartoryski ociągał się z przyjęciem odpowiedzialności za politykę Rosji, z takim z góry obciążeniem. Ale nie uchylił się od podjęcia niesłychanie trudnego zadania, wierząc że jest to okazja do dokonania rzeczy wielkich dla dobra Europy i Polski. „Znajdowałem się — pisał po latach — w położeniu żołnierza, który przez przyjaźń i przypadek wtrącony w nieswoje szeregi, walczy gorliwie przez poczucie honoru i by nie porzucić swego towarzysza, przyjaciela i pana. Aleksander, śmiem to powiedzieć, był tym wszystkim dla mnie. Jego bezgraniczne zaufanie nakazywało przez obowiązek lojalności służyć z najlepszą wolą i zachęcało do przysporzenia wedle możliwości blasku jego politycznym sprawom w czasie, gdy były mi powierzane. Mocno zresztą wierzyłem, że zdołam pogodzić dążności rosyjskie ze szlachetnymi ideami wprzegając w ten sposób głód dobra ludzkości...”

Tu jest punkt wyjścia koncepcji ówczesnych ks. Adama. Wyłuszczył je w początkach 1803 roku w memoriale o systemacie politycznym, jakiego winna trzymać się Rosja; w opracowaniu zasięgał rad ojca, którego ręką wniesione są w brulionie liczne poprawki czy dopełnienia. Wiosną tegoż roku czytał memoriał cesarzowi, uzyskał jego aprobatę. Zasady, które mu przyświecały przy tej pracy były — sam to w pamiętnikach stwierdza — te same, które przyświecały mu później przy stworzeniu swego wykładu polityki międzynarodowej, „Essai sur la Diplomatie” i które wyznawał do końca. Ten dokument niezmiernie ważny, streszczony przez Askenazego w dziele „Napoleon a Polska” lapidarnie, bo na marginesie właściwego przedmiotu, nie był dotąd ogłoszony. Zaledwie wspomina o nim książka Handelsmana, jakby od wziętu rzeczy ważnych, czy mniej ważnych, o których mówi, nie była ważniejsza myśl polityczna Czartoryskiego.

Nie mamy pod ręką odpisu. Za Askenazem notujemy, że memoriał przewidywał inicjatywę i rolę kierowniczą Rosji w przebudowie Europy, w związku z nowym wielkim ogólnym przesieleniem, ku któremu idzie. Ostrzegał przed wiazaniem się z losem Prus i Austrii, przewidywał że te mocarstwa kiedyś na Rosję uderzą. Zalecał Rosji politykę opartą na poszanowaniu praw narodów. Wbrew interesom Austrii zalecał dążyć do zjednoczenia Włoch jako państwa narodowego. Wbrew Prusom radził odbudowę Polski, łącząc zabór pruski z rosyjskim pod

berłem królewskim czy to samego Aleksandra, czy też — co uważał za lepsze — jako sekundogeniturę pod w. księciem Konstantym, przy czym odzyskanie Galicji uzależniał od możliwości. Wbrew obu tym mocarstwom widział powstanie zachodniego związkowego państwa niemieckiego poza ich wpływem i władzą.

Otwierał rozległe widoki na Bliskim Wschodzie: Rosja opiekunką usamodzielniających się ludów słowiańskich, Rumunów i Greków.

Ogromne te cele miały być osiągnięte przy współdziałaniu z Anglią a przy ugodzie z Francją, postawioną wobec przemożnych sił materialnych i moralnych i zmuszoną przez to wejść na drogę trwałego pokoju. W wykonaniu zalecał Czartoryski umiar, sprawiedliwość, lojalność i bezstronność. „Zdawało się — pisał do Aleksandra po trzech latach — że tylko szlachetność pobudek, wielkość spodziewanych osiągnięć, dobro jedynym słowem ludzkości i sława Rosji mogą zapewnić systemowi, który gabinet twój przyjmie, wsparcie woli wytrwałej i niewzruszonej z twej strony”.

Plan budowany był na idealizmie cara. Czartoryski stopniowo doszedł — „z głębokim bólem” do rozeznania, że cesarz „nie miał mocnego i stanowczego przekonania w sprawach, które zajmowały jego gabinet”. Za aprobatą nie szła mocna decyzja, a wpływ Czartoryskiego nie był, jak widzieliśmy, jedyny. Według Handelsmana „od pierwszych chwil cesarz okazał się bardziej zręczny i bardziej przebiegły od swego ministra, który mógł się już o tym przekonać po nieprzewidzianej eskapadzie Aleksandra do Kłajpedy”. Nie zdaje się nam, by w tym czasie chwiejność i dwulicowość Aleksandra należało uważać za zręczność, ani nawet za przebiegłość. Jego uwikłanie się w przyjaźń pruską nie miało przecież przynieść jemu, Rosji ani Europie niczego prócz doraźnych klęsk i zadatków na dalsze. Nie wydaje się nam również, by wolno było historykowi traktować Czartoryskiego i jego koncepcje polityki rosyjskiej z lekceważeniem czy pobłażliwą wyższością. W koncepcji tej były zarówno tradycyjne tendencje tej polityki, jak wiele z tego, co podjąć miały następne pokolenia.

Zwraca uwagę Handelsman na to, że polityka Czartoryskiego podziałała jako bodziec dla panslawistycznych tendencji Rosji. Ale to nie wszystko. Wykreśliła ona i w program jednolity ujęła dążenia zewnętrznej polityki Rosji aż po nasze dni. Program, który w dobre pierwszej wojny światowej próbuje urzeczywistnić w zgodzie z mocarstwami Zachodu polityka Sazonowa, różnić się będzie głównie od programu Czartoryskiego wyzyciem się tendencji ideologicznych, humanitarnych i liberalnych — ślad zaledwie po nich pozostał — i pomniejszeniem roli i znaczenia Polski. Program, realizowany przez Rosję na oczach naszych, coś jakby wyolbrzymiały program Czartoryskiego, znów do czasu w porozumieniu z Zachodem, różnić się będzie negacją tych zasad i dążeń, w imię których Czartoryski chciał mieć

cesarza rosyjskiego arbitrem Europy, opiekunem Słowian i Greków, oswobodzicielem narodów Europy środkowej i wschodniej. To co Czartoryski chciał osiągnąć w duchu wielkich idei Zachodu, staje się dziś groźną rzeczywistością w walce z Zachodem i z cywilizacją Zachodu. I jeszcze jedno. Zarówno koncepcja Sazonowa automatycznej Polski, jak koncepcja dziś narzucona, różnią się od koncepcji Czartoryskiego przyjętej przez Aleksandra i tym, że przewidywała ona zwrócenie Polsce w całości, czy w znacznej części ziem zabranych, że była koncepcją „reintegracji”, nie zaś nowego rozbioru.

Tu był jej punkt dla Rosjan najdrażliwszy. Pogodzić ich z planem Czartoryjskiego — widział to jasno — mogło tylko wielkie powodzenie, oczywiste polityczne triumfy, a przede wszystkim — co słusznie przypomniał Aleksandrowi — mocna, świadoma i konsekwentna wola realizacji.

Słusznie uwagę zwrócił Askenazy na ten pozorny paradoks, że nie będąc w istocie przeciwnikiem Francji, przeciwnie, licząc na dojscie z nią do porozumienia, Czartoryski musiał w pierwszym etapie dążyć do konfliktu i stał się, niecałkiem rozmyślnie, współtwórcą „trzeciej koalicji”.

W roku 1803 zerwanie pokoju w Amiens i odnowienie wojny francusko-angielskiej otwarło polityce rosyjskiej drogę do akcji dyplomatycznej, mediacyjnej, a zarazem stawiającej na porządku dziennym ogólną rewizję stanu politycznego Europy, opanowywanej stopniowo w drodze faktów dokonanych i narzuconych układów przez Francję Bonapartego, z bezceremonialnym ignorowaniem sprzeciwów petersburskich. Czartoryski przystąpił do sondowania opinii głównych państw — Anglii w pierwszym rządzie — celem uzgodnienia stanowiska, gdy porwanie księcia d'Enghien na terytorium badeńskim, po którym nastąpił sąd wojenny i egzekucja w Vincennes, dało — jako wyraźne naruszenie prawa międzynarodowego — okazję do interwencji cara tym bardziej uzasadnionej, że naruszono terytorium jego teścia, margrabiego badeńskiego.

Nota protestacyjna, z którą wystąpił Czartoryski, spotkała się z szyderczą odpowiedzią Talleyranda: gdyby cesarz Aleksander dowiedział się, że mordercy jego ojca ukrywają się na pograniczu jego państwa, na pewno nie zawahałyby się ich pojąć. Aluzja do bezkarności spiskowców i współwiny Aleksandra była zabójcza<sup>\*)</sup>. Sprawa potoczyła się dalej, niż chciał Czartoryski, ku zerwaniu z Francją, co dokonało się właśnie w chwili, gdy Napoleon wstępował na tron. Dla Rosji pozostał on „Buonapartem”.

Impuls do tego kroku dał sam Aleksander. Ucieszył Czartoryskiego swym uniesieniem, energią, wolą działania. Teraz widział Czartoryski możliwość wystąpienia ze swym systemem politycznym. Tezy jego ujęte zostały w pamiętnej instrukcji dla Nowosilcowa, wysłanego do Anglii w specjalnej misji od cara

<sup>\*)</sup> Rzecz ta nie dość jasno podana u Handelsmana, str. 61.

i Czartoryskiego zarówno do premiera Pitt'a, jak do Fox'a, lidera liberalnej opozycji, by ułożyć się z W. Brytanią co do warunków, jakie należałoby Francji narzucić. Przewidywana była jego następna negocjacja w Paryżu, jako rzecznika wspólnej już polityki Rosji i Anglii w obronie „niepodległości Europy”.

„Instrukcje tajne dla Nowosilcowa” datowane 11 września (st. st.) 1804 roku, znane są z francuskiej edycji pamiętników i papierów księcia Adama; w dziele Handelsmana ledwo wspomiane, zasługiwały na gruntowną tam analizę, na którą brak miejsca w szkicu niniejszym. Szło, krótko mówiąc, o to, by Francji z rąk wytrącić „najpotężniejszą jej broń” — opinię powszechną, że sprawa jej jest sprawą wolności i pomyślności narodów. Broń tę należy podjąć, zwrócić przeciwko Francji. Z góry trzeba ugodzić się, że nie idzie oto, by w krajach oswobodzonych od „jarzma Bonapartego” przywracać „stare nadużycia”, ale o to, by ugruntować w nich wolność opartą na realnych podstawach. Król Sardynii na przykład powinien odzyskać swe posiadłości i więcej jeszcze, ale pod warunkiem nadania swym ludom wolnej, rozumnej konstytucji. W tej formie wyłania się tu koncepcja narodowego, konstytucyjnego państwa włoskiego.

Instrukcja chce Szwajcarię uwolnić, powiększyć i przywrócić tam rząd zgodny z wolą mieszkańców, ale dość silny by mógł strzec jej interesów i neutralności.

Analogiczny jest stosunek do Holandii, gdzie forma rządu i ewentualny wybór dynastii nastąpiłyby z uwzględnieniem „narodowego charakteru i życzeń”.

Podobnie z samą Francją, gdzie nie naród, lecz „tyrański rząd” uważany ma być za przeciwnika, a lud francuski ma być upewniony, że idzie tylko o zerwanie jego łańcuchów i danie mu możności wyboru rządu według uznania. W rzeczywistości zresztą, instrukcja przewidywała porozumienie się Anglii z Rosją co do osoby i dynastii, którą by — w razie obalenia Napoleona — powołano na tron. Zasadą w każdym wypadku jest szukanie rozwiązań opartych na „świętych prawach ludzkości” i ugruntowanie na nich stałego porządku dla dobra ogólnego. Zachwalała instrukcja „rozumną wolność, która zdaje się umacniać rządy, chronić je pewną zaporą od namiętności ludzkich, nieokiełznanej ambicji lub szaleństwa, które często zaćmiewa ludzi będących u steru”; zarazem jednak domagała się, by „prawo narodów, regulujące stosunki federacji europejskiej, zostało ugruntowane na właściwych zasadach”. Tu, wyprzedzając przeszło o sto lat wielkiego prezydenta amerykańskiego, Czartoryski ująć chciał w formę traktatową stosunek wzajemny państw europejskich przy pacyfikacji generalnej, dopełniając tego, co w formie ułamkowej i niedoskonałej usiłował zrobić traktat westfalski. Nie ludząc się nadzieją, że zdoła się osiągnąć wieczny pokój, do tego celu chciał jednak zmierzać przez ustalenie zasad takich, jak uznanie pozytywnego prawa naro-

dów do politycznego bytu, zabezpieczenie praw neutralnych, zobowiązanie się, by nie wszczynać wojny bez wyczerpania możliwości mediacyjnych. Przewidywał powstanie „ligi”, której postanowienia stanowiłyby „nowy kodeks prawa narodów, który po zatwierdzeniu przez większość państw europejskich, stałby się bez trudu niewzruszoną regułą dla gabinetów, gdyż chcący ją naruszyć ściągali na siebie połączone siły nowego związku”.

Zwracała instrukcja uwagę na wielkie korzyści dla mniejszych państw w tym systemie bezpieczeństwa zbiorowego; powodzenie ligi miała zapewnić „mądrość, przykład i impuls Rosji i Anglii”, szerząc ducha „rozsądku i sprawiedliwości”. „Dwa te państwa jedyne w Europie przez długie lata nie miały żadnych ku sobie niechęci i żadnych sprzecznych interesów, a związek ich, mogąc być trwałym, przez to samo będzie skutecznym środkiem zapobieżenia zakłócenia pokoju na przyszłość”.

Po tym wskazaniu wielkiego — ponadnarodowego celu w duchu postuletnich punktów Wilsona, traktatu wersalskiego, paktu Kelloga, instrukcja przechodziła do zasad pacyfikacji Europy z myślą przewodnią wzmocnienia państw drugorzędnych, przy czym wskazywała na niebezpieczeństwo istnienia zbyt małych państw, przewidując ich łączenie w związki federacyjne (o czym nie dość myślano w Wersalu). Tak na przykład zmierzano ona do stworzenia przeciwwagi dla Prus i Austrii przez powstanie poza nimi dużego, federalnego zachodnio-niemieckiego państwa. Co do Austrii, liczone się z zgodliwym jej stanowiskiem i z udziałem jej w wojnie po stronie Anglii i Rosji. Inaczej z Prusami. Tu instrukcja przewidywała wyraźnie użycie przez Rosję przymusu wobec podwójnych, przyjętych właśnie przez Prusy zobowiązań nie przepuszczania przez swe terytorium ani wojsk francuskich, ani rosyjskich. Tu Czartoryski zapewniał sobie możliwość rozegrania całej sprawy przeciw Prusom i ich kosztem.

Co do państwa otomańskiego, instrukcja ostrożnie przyjmowała zasadę jego interwencji, z zastrzeżeniem wyraźnym, że zaborczość francuska i francuski wpływ u Porty nie narzuca innych zobowiązań i z naciskiem na konieczność opieki nad ludami słowiańskimi, Grekami i Mołdo-Wołochami pod uciskiem tureckim.

Wreszcie, w sposób ogólny, jak Wilson po przeszło stu latach, wysuwała najdroższy dla Anglii postulat poszanowania flagi neutralnej i zapewnienia wolności mórz.

Imponujący ten fakt, nabrzmiały przyszłością Rosji i Europy, noszący w pewnych ustępach znamiona genialnego jasnowidzenia, podpisany był przez Aleksandra, kontrasygnowany przez Czartoryskiego. Los jego był do przewidzenia. Pitt'a, stojącego wobec perspektywy inwazji francuskiej, jedno-w tym wszystkim obchodziło — sojusz wojenny, a sprawa celów wojny sprowadzała się dlań do złamania hegemonii francuskiej na kontynencie i odebrania Francji jej zaborów. Praktyczny zmysł angielski spotkał się z cynicznym realizmem Nowosilcowa.

Pierwszą, programową część instrukcji zbyto komplementami; dalsze przeobraziły się w rokowania w układ, stanowiący podstawę trzeciej koalicji przeciw Francji. Nowosilcow chciał jeszcze co prawda jechać do Paryża i próbą układów „zdrzeć maskę” z twarzy Bonapartego; Aleksander jednak stracił tymczasem ochotę do rozmów z „tyranem” zachodnim. Zamiast — jak chciał Czartoryski — stać się arbitrem Europy, wolał już być jej Agamemnonem..

W pamiętnym liście z 5 kwietnia 1806 roku i memoriale z tejże daty Czartoryski wypominał Aleksandrowi, że wtedy, po zerwaniu z Francją, a przed faktycznym wystąpieniem, mając prawie rok czasu zwlekał z przygotowaniami wojennymi, nie powołał nawet dostatecznej liczby rekruta, zwłóczył z koncentracją wojsk gdyż w gruncie rzeczy w wojnę nie wierzył, licząc na jakieś deus ex machina, które da mu sukces bez wojny. Czartoryski widział zaś od chwili zerwania, że sprawa przeważała się ku wojnie; chciał nagłego, potężnego wystąpienia na pomoc austriackiemu sojusznikowi, ale głównie przeciw Prusom. Ten jego plan, nie bez racji a ze zgrozą, nazwany przez pruskich historyków „Mordplan gegen Preussen”, był przyjęty przez Aleksandra, wiadomy w Londynie, gdzie Fox bardzo go aprobował, a nawet Pitt nie wysuwał sprzeciwu; znany był w Wiedniu, gdzie obudził drżemianę skłonności do odwetu za Marię Teresę, trafił do przekonania arcyksięcia Karolowi i przyczynił się do jego pogodzenia się z wojną, której długo się opierał. Pod pozorem wymuszenia przemarszu przez terytorium pruskie wojska rosyjskie miały wtargnąć i zaskoczyć armię pruską niezmobilizowaną, na leżach pokojowych, przy jednoczesnej proklamacji Aleksandra królem polskim. Akces Polaków przygotowany był w dużej mierze i rządziło wszystkie czynniki polityczne polskie tak się zeszyły jak wtedy za Czartoryskim i jego polityką, przy Aleksandrze, przy rozwiązaniu rosyjsko-polskim. Nie było wtedy po prostu innej dostrzegalnej drogi; niepodobna było nie próbować tej, która — zdawało się — stała otworem.

W przededniu wystąpienia przyszło powikłanie. Pod wpływem carowej matki Aleksander wstrzymał wkroczenie wojsk do Prus i sam udał się „do armii”, do Polski. Już z drogi, ponad głową swego ministra, przez Piotra Dołgorukiego, nawiązał nici z Poczdamem. Moment zaskoczenia przeszedł Aleksander, w Puławach przyjmowany jak zbawca przez Polaków, zwłóczył dalej aż do odebrania wiadomości, że król pruski, obrażony naruszeniem jego terytorium Ansbach przez Francuzów, godzi się na przepuszczenie wojsk rosyjskich. Wtedy nastąpiła raptowna, głęboka zmiana w stosunku Aleksandra do Czartoryskiego, odsunięcie się od niego i wspólnych przyjaciół, raptowny, śpieszny wyjazd do Berlina; tam postawa pełna niepewności i chwiejna, co wykorzystwały Prusy; traktat z nimi w Poczdamie niby zapewniający ich zbrojną medację, a w razie odrzucenia uzgodnionych warunków, wystąpienie po stronie koalicji, w istocie zależny w wykonaniu zupełnie od ich wątpliwej dobrej wiary.

„Zawsze żałować będę — pisał po pół roku Czartoryski do cara — że przez zbieg okoliczności musiałem podpisać swym nazwiskiem ten nieszczyśliwy traktat”.

Plan polski był poniechany. W dziele swym o Dołgorukich w. książę Mikołaj Michajłowicz słauił po stuleciu ich zasługę: „Jest podstawa, by przyjąć, że właśnie dzięki działalności księcia Dołgorukiego uniknięto możliwego wtedy ustanowienia królestwa polskiego w tej czy innej formie”). Dla tej zasługi wybaczał Dołgorukiemu, że uwikłał Aleksandra w katastrofalne dowodzenie armiami sojuszniczymi i popchnął go pod Austerlitz.

W wielkiej historycznej powieści Tołstoja ukazuje się sylwetka księcia Adama w kwaterze głównej cara: otoczony niechęcią ogólną, samotny, odpychający swą obocością, wydaje się być jednak główną sprężyną, poczyniń cesarskich. Otóż w tym właśnie czasie wszystko: traktat z Prusami, wyjazd cara do armii, objęcie faktycznego dowództwa, decyzja ofensywy i stoczenia bitwy, decyzja opuszczenia Austrii po klęsce, decyzja rozwiązania rąk Prusom, działo się właśnie wbrew Czartoryskiemu, na przekór jego zdaniu. Bez ogródek przypominał to w szeregu memoriałów i listów carowi, a list jego z 5 kwietnia był obrachunkiem generalnym za cały czas współpracy na polu polityki zagranicznej ministra z cesarzem. Niesłyszany ten dokument o wszystkim może świadczyć, tylko nie o rzekomy — jak widzi to Handelsman — zaślepieniu Czartoryskiego carską przyjaźnią, nie o jego uległości czy słabości, ani omotaniu przez Aleksandra. Twardo i zimno, jak nauczyciel krnąbrnemu żakowi, wyłuszczał Czartoryski istotę popełnionych błędów, wypominając zlekceważenie jego własnych rad i ostrzeżeń. Powuczał go, że nie umiał wyzyskać czasu, że wypuścił z rąk okazję narzucenia swej woli Prusom, co można było osiągnąć tylko działaniem „mocnym i bez wahania”; że ulegając „bezgranicznej predylekcji dla Prusaków” poświęcił im interes państwa i pokrzyżował politykę swego gabinetu działając na własną rękę, bez porozumienia się z odpowiedzialnym ministrem; że przez odjazd do armii i pozostanie w niej wypuścił z rąk ogólne prowadzenie wojny, a zniweczył odpowiedzialność generałów i zdeorganizował dowodzenie. „Obecność W.C.M. pod Austerlitz nie zdała się na nic; właśnie tam, gdzie się znajdował, rozsyпка była natychmiastowa i kompletna. Sam W.C.M. wziął w niej udział i musiał oddalić się śpiesznie, na co nigdy nie powinien był się narażać. W Holicz odjazd Twój, N. Panie, wzmógł ducha rozprzeżenia i przygnębienie ogólne...”

Następuje lekcja o tym, co czynić ma monarcha prowadząc wojnę, jak winien być centralną sprężyną w ruch wprowadzając każdą część mechanizmu, zajmować się wyłącznie wielkimi wytycznymi, ogólnym kierownictwem. „Zdolności i siły umysłowe człowieka są ograniczone; nie może ta sama osoba być naraz oficerem, pułkownikiem, generałem, sekretarzem, ministrem

\*) Książka Dołgorukije. Petersburg 1901, str. 12.



etc. — i monarchą”. Z zastanawiającym u nie wojskowego zrozumieniem wojny, wskazywał, co byłby zrobił Kutuzow, gdyby nie było przy nim cara. Byłby unikał bitwy pokąd Prusy nie zaczęły współdziałać. „W interesie Bonapartego było nie tracić czasu: w interesie naszym było wygrać na czasie. On miał wszelką rację, by ryzykować bitwę rozstrzygającą, my, by jej unikać...” Powoływał się na to, co sam wówczas doradzał: nękać przeciwnika lokalnymi walkami, gros armii uchylić od walki i przesunąć na Węgry celem połączenia się z arcyksięciem Karolem. Gdyby jednak miało już dojść do bitwy, ileż rozsądniej byłby działał sam Kutuzow pozostawiony sobie: a cesarz oddalony od pola bitwy decydowałby spokojnie i bez pośpiechu, nie — jak w Holicz — wśród paniki, pod naciskiem ludzi głośno oskarżających Austriaków o zdradę i utrzymujących, że wojsko rosyjskie jest już absolutnie niezdolne do walki.

Piętnował Czartoryski małoduszność tych, którzy wmawiali w cara, że trzeba myśleć o sobie — „jakby jego chwala i bezpieczeństwo nic nie miały wspólnego z upadkiem Austrii i innych sojuszników”. Winił cara, że cesarzowi Franciszkowi wypowiedział współdziałanie armii rosyjskiej, gdy Czartoryski myślał o porozumieniu się obu cesarzy co do dalszej wojny i ratowaniu aliansu. Winił go za oświadczenie Prusom, że mogą na swoją rękę układać się z Francją, przez co car nie tylko sankcjonował ich odstępstwo, ale pozbawił się możliwości wyzyskania następnie sytuacji, gdy Wielka Brytania znalazła się na stonie wojennej z Prusami a Polska znów oczekiwała, że ogłosi się jej królem.

Taki rachunek cudzych grzechów — i to grzechów cara samodzielnicy sporządzony przez jego ministra, mógł wystawić jedynie mąż stanu nie tylko mocno przekonany o słuszności własnej drogi, ale mający też czyste sumienie, że sam niczego nie zaniedbał, by w stosownym czasie nadać właściwy bieg sprawie. W tym tonie do Aleksandra przemawiać mógł tylko Czartoryski. „Uważałem za swój obowiązek — pisał przy końcu — dać mówić swej gorliwości, nawet z ryzykiem, że się to nie spodoba”. Spodobać się to nie mogło.

Parokrotnie stawiał Czartoryski Aleksandrowi jakby ultimatum, domagając się nawrotu do normalnego systemu prowadzenia polityki zagranicznej przez ministra spraw zagranicznych, domagając się kolejalnego, w ścisłym Komitecie, ustalenia planu działania, którego ściśle należałoby się trzymać. W przeciwnym razie prosił o zwolnienie z urzędu. Nie od razu przystał na to Aleksander. W związku z postępowaniem Prus nawet carowa-matka przestała się chwilowo za nimi ujmować i jakby pojednała się z Czartoryskim. Przyjście w Anglii do steru spraw zagranicznych Foxa, zwolennika pokoju z Francją, a przyjaciela Czartoryskiego, sprzyjało podjęciu wspólnej, rosyjsko-brytyjskiej ofensywy pokojowej. Tak pojmował misję Oubrila do Paryża Czartoryski. W czasie zawiązującej się negocjacji został zwolniony z urzędu.

Następcą był prusofilski Niemiec, generał Budberg, kandydat carowej-matki, jeden z dawnych nauczycieli cara, politycznie — nicieść.

Rosja wchodziła na drogę podporządkowania swych interesów pruskim, na drogę wiodącą do nowej klęski pod Friedlandem i nowego załamania się całej linii politycznej cara. Ale rola kierownicza Czartoryskiego już była skończona, a z nią epizod wyjątkowy w dziejach: Polak twórcą systemu polityki imperium rosyjskiego.

## V.

### Na rozdrożach

Pogrom Prus i powstanie polskie w pruskim zaborze w listopadzie 1806 roku postawiły na porządku dziennym sprawę Polski, która powracała teraz na widownię dziejową, nie przy Aleksandrze już, ale przy Napoleonie. Rozwiązaniu rosyjsko-polskiemu, rok przedtem przyjmowanemu przez Polaków jako jedyne, przeciwstawiało się teraz nowe, niepodległego państwa, oparte o potęgę francuską, która łamała kolejno wszystkich trzech zaborców.

Nie od razu poniechał Czartoryski swych wysiłków ku podźwignięciu sprawy polskiej przez Aleksandra. Były przez szereg lat jakby dwa tory polityki polskiej i parokrotnie znalazła się ona, wraz z samym księciem Adamem, na rozdrożach.

Wypadki późnej jesieni 1806 roku potwierdziły w sposób uderzający trafność jego przewidywań, także w ocenie wewnętrznej i wojskowej słabości Prus i słuszność jego ostrzeżeń przed uwikłaniem Rosji w wojnę Prus z Napoleonem. Dlatego, mimo wszystkiego co zaszło pomiędzy nim a Aleksandrem, choć odsunięty od kierownictwa sprawami zagranicznymi, nie poniechał prób oddziaływania na ich bieg.

Przyjaźń z cesarzem trwała jakby siłą nawyku. Ze strony Aleksandra było w stosunku do Czartoryskiego jakby zażenowane unikanie pełnej, otwartej wypowiedzi; na dnie musiały być ból upokorzenia. Ze strony Czartoryskiego była obolałość po doznanym zawodzie, gorycz poderwanego zaufania. Ani jeden, ani drugi, nie zdawali się myśleć o ostatecznym rozejściu się ich dróg. Gdy Czartoryski wykładał Aleksandrowi memoriałem „konieczność odbudowania Polski, by uprzędzić Bonapartego” spotykał się znowu z aprobatą i zachętą do podjęcia odpowiedniej akcji z polskiej strony na rzecz odbudowania Polski w unii z Rosją i proklamowania Aleksandra królem. Akcja ta, rozwinięta w ziemie na rok 1807, zesłała się z poważnym kryzysem politycznym i wojennym, w jakim znalazł się Napoleon po bitwie pod pruską Ilawą, w obliczu dowiedzionej wielkiej siły odpornej Rosjan, ogromnych trudności wprowadzenia wojny na tym teatrze, ciężkich strat, niebezpieczeństwa nowej ofensywy rosyjskiej i zagrożenia z tyłu możliwym wystąpieniem Austrii. Przyzywani byli do kwatery głównej w Taurogach Wawrzec-

ki i Kniaziewicz, których nazwiska miano przeciwstawić nazwiskom Dąbrowskiego, Wybickiego, Poniatowskiego, Małachowskiego, Stanisława Potockiego, już stojących wtedy u steru Polski napoleońskiej. Obaj wymówili się; ale ruch wywołany na rzecz koncepcji rosyjsko-polskiej przyczynił się poważnie do zahamowania akcji spiskowo-powstańczej w ziemiach przez Rosję zabranych.

Rzecz jasna, że rozwiązanie rosyjsko-polskie musiało oznaczać odebranie Prusom Polski środkowej i zachodniej z Warszawą, Łomżą, Płockiem, Kaliszem, Poznaniem, należącymi wtedy do nich jako Prusy Południowe i Nowo-Wschodnie, może również Pomorza gdańskiego o którym pamiętał Czartoryski i Prus Wschodnich o których myślał, słowem, pozbawienie sojusznika połowy jego państwowego obszaru, narosłego przez grabież ziem polskich.

Wojska rosyjskie wkroczyły na te ziemie pruskiego zaboru jako sprzymierzeńcy Prusaków w działaniu przeciw Napoleonowi, o władnię nimi mogli przez walne nad nim zwycięstwo. Czartoryski widział i doradzał jednak inną drogę: przedkierowanie w porozumieniu z Anglią ogólnego pokoju, którego koszta poniosłyby Prusy.

W kierunku wręcz przeciwnym poszła polityka Aleksandra, zwłaszcza po nowym spotkaniu z parą królewską pruską. Uгода w Bartoszycach (Bartenstein) zobowiązywała Rosję do odbudowania Prus silniejszych nawet niż przed wojną i obrony ich interesów pod każdym względem. Konsekwencją była kampania frydlandzka, a po przegranej gorączkowe szukanie wyjścia, skwapliwie przyjęcie ofiarowanego rozejmu, spotkania osobistego dwóch cesarzy, pokoju i sojuszu z Francją.

Ale pokój zawarty w tych warunkach — po klęsce — był czymś z gruntu odmiennym od tego pokoju, do jakiego zmierzał Czartoryski, gdy armie rosyjskie stały jeszcze w groźnej postawie w Prusach Wschodnich i w Polsce; zamiast przywrócenia w Europie jakiegoś systemu równowagi, na porządku dziennym stanął podział Europy na sfery interesów dwóch cesarzy. Rzecz szczególna, o czym nie rychło dowiedział się Czartoryski, Napoleon wysunął w Tyłży jego własne koncepcje rozwiązania sprawy polskiej przez unię personalną z Rosją, pod berłem Aleksandra. Miało się to stać kosztem Prus, nie tylko przez odebranie im zabranych ziem Rzeczypospolitej, ale i Śląska dla brata cesarza, Hieronima.

Aleksander odmówił; „ostatek względów dla nieszczęśliwych Prus go zatrzymał”. Zamiast Polski zjednoczonej pod jego berłem, powstało za jego przyzwoleniem, a pod protektoratem Napoleona z okrojonego mocno zaboru pruskiego państwo bez imienia nawet Polski — Księstwo Warszawskie, w unii personalnej z Saksonią, przez to samo związane ze Związkiem Nadreńskim i stanowiące wysunięty bastion Cesarstwa Francuskiego nad Wisłą. Aleksander upominał się pono o jakieś czołowe stanowisko w tym państwie dla Czartoryskiego. Napo-

leon propozycję tę miał uchylić i trudno by się dziwić, gdyby w niej podejrzewał próbę Aleksandra rozciągnięcia politycznego wpływu na życie Księstwa.

Cała polityka rosyjska gwałtownie skręcała teraz na nienawistne Czartoryskiemu tory polityki Katarzyny. Nowy minister spraw zagranicznych, później kanclerz, Rumiancew, zacięty przeciwnik polityki Czartoryskiego i odrabiania dzieła rozbiórów Polski, zwolennik zaś rozbioru Turcji i zaboru spuścizny cesarstwa bizantyńskiego, spodziewał się realizować dawne zamierzenia Katarzyny w sojuszu z Francją, przeciwko Anglii. Przyjaciele młodych lat Aleksandra, zdecydowani anglofile, odsunięci teraz zupełnie od udziału w polityce rosyjskiej, niebawem popadli w niełaszkę podejrzani o frondę przeciwko polityce traktatu tylżyckiego i obwiniani o szerzenie godzących w nią londyńskich pamfletów.

Odbiło się to silnie na stosunkach wzajemnych Czartoryskiego z cesarzem. W roku następnym w Erfurcie, Aleksander chcąc dogodzić Talleyrandowi, z którym właśnie wchodził w tajemną zmwę, zgodził się narzucić jego bratanka, Maurycego de Périgord, na męża posażnej księżniczce Dorocie Kurlandzkiej, choć wiedział dobrze, że o jej rękę stara się książę Adam. Sam to załatwił z jej matką; wyperswadował jej tego konkurenta: „Co do Adama Czartoryskiego, zapewniam, że wcale nie ma ochoty się żenić, zawsze da sobą rządzić swej matce, starej Polce, intrygantce i niebezpiecznej. Widzę w tej całej sprawie, że zawrócono w młodej, egzaltowanej główce (księżniczki), bo Adam jest oczywiście doskonałym człowiekiem, ale zrobił się tak dziwny i smutny, że nic w nim nie widzę pociągającego dla osoby piętnastoletniej...”

W istocie, dla Czartoryskiego miał to być mariaż z rozsądku; księżniczka — późniejsza księżna Dino — kochała się w nim na zabój, ale prawie na niewidziane; lecz usługa Aleksandra wyświadczona przyjacielowi dość była niezwykłą.

Książę Adam nie był już rosyjskim mężem stanu, choć nadal pełnił obowiązki wynikające z udziału w Senacie i Radzie Państwa. Z Petersburgiem wiązało go głównie stanowisko kuratora wileńskiego, przez które nie tylko dokonywał ogromnego dzieła odrodzenia kultury polskiej na ziemiach zabranych, ale był rzecznikiem społeczności polskiej tych ziem, nieoficjalnym ministrem dla ośmiu gubernii zachodnich.

Zadania i możliwości stąd wynikające były duże i trudno traktować konsekwentne trwanie Czartoryskiego na tym stanowisku jako objaw szkodliwej ugodowości czy słabości. Nie miało mu tego wtedy za złe ani w Wilnie czy Krzemieńcu, ani w Warszawie.

Tymczasem nie ku Petersburgowi, ale ku tej napoleońskiej Warszawie zwracały się oczy Polaków i ku wskrzeszonemu wojsku narodowemu, a gdy w roku 1809 książę Józef powiodł jego orły oswoobodzicielskie do Galicji nowej i starej, pułki całej z Wołynia i Podola zasiliły wojsko polskie, rosła w nim liczba

przybyszów z Litwy. Stary „książe feldmarszałek” dał się przeznornie wziąć do niewoli przez wysłanego w tym celu adiutanta Poniatowskiego, Szumlańskiego, któremu żartobliwie wypominał, że kiedyś on go wykupił z tureckiego jassyr, a teraz nie wdzięcznik jego w jassyr bierze.

Księżna Izabella także była sercem wzięta w niewolę przez wojsko zmartwychwstałe. Brat księcia Adama, Konstanty, stał na czele wystawionego przez rodzinę pułku, szwagier, Stanisław Zamoyski, był na czele galicyjskiego Rządu Tymczasowego i sam również pułk wystawiał. Księstwo Warszawskie w tym roku dokonało podboju ogółu Polaków. Sercem przy walczących był już sam książę Adam.

Nie wiedział wtedy — i nigdy zapewne się nie dowiedział — o zawartej w kwietniu tego roku, w przeddzień kampanii, tajnej umowie Aleksandra z Szwarzenbergiem, poręczającej Austrii swobodę działania przeciw Księstwu, redukującej udział wojsk rosyjskich w wojnie do pozorów i zapewniającej — zgodnie z aktem trzeciego rozbioru — współdziałanie w zapobieżeniu powstaniu polskiemu. Nie wiedział może wszystkiego o kryzysie przymierza dwóch cesarzy, wywołanym zwycięstwami Polski i powstaniem w Galicji, o słowach Napoleona do Czernyszewa, że przewiduje trudności co do Polski, ale można będzie się ułożyć, „Świat jest dość wielki” — i o odpowiedzi Aleksandra: „Gdy idzie o Polskę świat nie jest dość wielki dla mnie, bo ja niczego nie chcę” (tj. nie widzę rekompensaty za jej odbudowanie poza wpływem Rosji). Nie słyszał może o innym powiedzeniu Aleksandra, że nie ścierpi, by widmo Polski przechadzało się u jego granic. Ale jasno przenikał właściwy sens gry Napoleona, gdy ten oświadczyć kazał ministrowi Montalivetowi w Ciele Prawodawczym, że cesarz nigdy nie chciał odbudować Polski, a sam oświadczał carowi, że zgadza się na zniknięcie jej imienia nie tylko z wszelkich układów politycznych, ale i z historii. To była cena, którą zapłacić gotów był Aleksandrowi za jego pogodzenie się z przyłączeniem połowy Galicji do Księstwa i tę ofertę pochwylił Aleksander, egzekwując potworny moralnie okup.

A schodziło się to z ukazami carskimi, groźącymi sądem i konfiskatą dóbr tym poddanym, którzy poszli do powstania polskiego, z śledztwami i sekwestrami, z ostrym kursem policyjnym w guberniach południowo-zachodnich.

O układach dwóch cesarzy przeciw imieniu Polski i oświadczeniach Napoleona opowiedział Czartoryskiemu Nowosilcow z urągliwą uciechą, a musiał wyrazić się o kontrahentach bez winnego respektu, skoro donos o podsłuchanej rozmowie poszedł do cesarza. W rozmowie z Aleksandrem 12 listopada 1809 roku Czartoryski tłumaczył Nowosilcowowi, że właśnie on cieszył się jako Rosjanin, gdy Czartoryski był jako Polak zgryziony, — po czym, gdy Aleksander przeczytał mu zwrot z depechy Champagny'ego, książę Adam wystąpił z oskarżeniem: wyrzucał mu że postawił się w sytuacji wroga Polski, że posunął wrogłość aż

do wymazania jej imienia z historii. Na sceptyczne uwagi Aleksandra co do możliwości zwrotu w stanowisku Polaków, odpowiadał książę: „Czyż jest coś bardziej oburzającego, jak postępowanie trzech mocarstw w stosunku do Polski? I czyż można się zdziwić, że myśl o odbudowaniu ich ojczyzny zapala wszystkich Polaków i jednoczy?” Zapytywał, czy była próba porozumienia się z Napoleonem co do odbudowania Polski? Odpowiedź wymijająca potwierdziła domysł księcia, że w rozmowach z Napoleonem stosunek Aleksandra do sprawy polskiej był negatywny. I gdy Aleksander zaczął sondować przyjaciela co do ewentualnego wyodrębnienia ziem zabranych jako zaczątku państwa polskiego — w przeciwstawieniu Księstwu — spotkał się ze sceptycznym wymijającym przyjęciem.

Druga rozmowa, 26 grudnia, zaczęła się od sprawy przesładowań za udział w wydarzeniach tego roku; cesarz obiecał je powstrzymać. Czartoryski mocno usprawiedliwia swych rodaków, tłumaczył rozbudzenie polskich nadziei: „Księstwo to widmo dawnej Polski, wywierające nieuniknione wrażenie na wszystkich, którzy to unicestwione państwo mają za swą prawdziwą ojczyznę. To jakby po stracie drogiej osoby cień jej nas odwiedził, upewniając że niedługo ona sama do nas powróci”. Nikt głębiej nie pojął i mocniej nie wyraził moralno-politycznego znaczenia Księstwa, jak Czartoryski w tych słowach do cara.

Tu Aleksander jakby nawrócił raptownie do koncepcji z 1805 roku. Jakby stając do licytacji z Napoleonem, zaczął mówić o odbudowaniu Polski, poczynając od Litwy, jako odrębnego Królestwa Polskiego z własną konstytucją w duchu narodowym. Znow Czartoryski skierował rozmowę na porozumienie się z Napoleonem w sprawie polskiej. Tym razem odpowiedział Aleksander, że Napoleon lekko, zbywająco traktował tę sprawę w Tylży, a w Erfurcie „nie było czasu”.

W trzeciej rozmowie, 5 kwietnia 1810, Aleksander wrócił do projektu wyodrębnienia ośmiu gubernii pod osobnym zarządem; znow Czartoryski odwrócił rozmowę na niedoszłą konwencję z Napoleonem z gwarancjami przeciw Polsce; wiedział już, że car ją forsował, że Napoleon odmówił ratyfikacji. Z kolei Aleksander zmieniał temat rozmowy. Przyznawał się do błędu w r. 1805 przez poniechanie planu odbudowania Polski, a zarazem nie chciał uznać, by sprawa była przegrana: „Polacy za diabłem nawet pójdą, jeśli ten diabeł ich prowadzi do odbudowania ich ojczyzny”. I ze spojrzeniem surowym i twardym mówił o groźącym za 9 miesięcy kryzysie.

Czartoryski nie oddał się do dyspozycji Aleksandra. Wiedział teraz już jasno. Szło o wzniesienie „autel contre autel”, przeciw czemu we wręczonym właśnie memoriale się zastrzegł. O rozdzielenie narodu polskiego. Na taką politykę iść nie chciał.

Wtedy powstała jego zapiska dla przyjaciół Rosjan, przesłana najbliższemu z nich, Strogonowowi, z datą 20 czerwca 1810 roku. Czartoryski mówił w niej za naród polski. Bez ogródek

tłumaczył, dlaczego Polacy idą za Napoleonem, dlaczego on nie może prowadzić akcji przeciw-napoleońskiej w Polsce. „Niechże nie mówią Polakom o niesprawiedliwościach Bonapartego... ani o tym, że nie powinni ich znosić... Wszystkie te przyczyny, które słuszną ścigały na Bonapartego nienawiść w reszcie Europy, tłumaczą chętny posłuch, który znajduje on wśród Polaków: oto nigdy nie wyrządził zła ich ojczyźnie; okazał zainteresowanie się ich losem, przy każdej okazji zrobił dla nich wszystko, co było dlań możliwym. Uznał on, że Polacy mogą mu się przydać, że to są narzędzia warte tego, by użyć i że w jego interesie leży schlebianie ich miłości ojczyzny. Otóż tego żaden inny rząd uczynić nie raczył”.

Nie przekreślał możliwości zjednania Polaków dla unii z Rosją, ale jako warunek nieodzowny stawiał przywrócenie Polski wolnej i zjednoczonej, wielki akt restytucji\*). Uzyskawszy po długich staraniach urlop do domu, opuścił Petersburg, dokąd nie przyszło mu już wrócić.

Pisząc o tym, wypowiada Handelman następujący zadziwiający pogląd: „Już wchodził (Czartoryski) — dla siebie samego nieświadomie — w rolę narzędzia wielkiej rosyjskiej ofensywy, od początku roku 1810 przygotowywanej przez cara przeciw Napoleonowi”. Żaden z przytoczonych przezeń faktów i tekstów (choć nie wszystkie, znane mu zresztą dobrze, uwzględnił w wykładzie) nie usprawiedliwia podobnej konkluzji. Nie usprawiedliwia jej również rola księcia Adama w zimie na rok 1811, gdy Aleksander zażądał od niego podjęcia się misji do Warszawy i wybadania możliwości przeciągnięcia Księstwa na jego stronę.

O co szło? Aleksander zapowiadał nagle wystąpienie przeciw Napoleonowi, zaskoczenie go wobec słabości sił francuskich w Niemczech, ogarnięcie Księstwa z jednoczesnym ogłoszeniem odbudowania Polski. Warunkiem było zapewnienie, że Polacy jednomyślnie się przyłączą i wojsko polskie przejdzie na jego stronę.

List ten z 6 stycznia wywołał sceptyczną, najeżoną zastrzeżeniami odpowiedź Czartoryskiego. Mocno postawił książe warunki, od których spełnienia zależało — jego zdaniem — czy oczywisty interes Polski przeważy ich przywiązanie do Napoleona i wierność przyjętym zobowiązaniom: przywrócenie konstytucji 3-go Maja, zjednoczenie wszystkich ziem polskich pod jednym berłem, otwarcie dróg wywozowi polskiemu na morze. Odpowiedź Aleksandra z 12 lutego dawała rękojmię najdalej idące: restytucji wszystkiego, co było polskie, z wyjątkiem Białej Rusi, z granicami Dźwiny, Berezyny i Dniepru; polskości władz, urzędów, wojska i konstytucji liberalnej (ustawy majowej nie miał pod ręką); niezwłocznego proklamowania odbudowania Polski. Jako warunki stawiał wieczystą unię personalną i pozytywne formalne zapewnienie o jednomyślnej woli mieszkań-

\*) Porównać moją **Wojnę 1812 roku** (1937), I, 19-20.

ców, podpisane przez najwybitniejszych. „Pokąd nie będę pewny współdziałania Polaków, nie mogę zaczynać wojny z Francją”.

Rzecz nie była do załatwienia prostym uchynieniem się Czartoryskiego. Uważał za swój obowiązek — nie względem Aleksandra, ale względem Polski, podać sprawę do wiadomości czołowym ludziom w Warszawie, zwłaszcza Poniatowskiemu, od którego stanowiska wszystko zdało mu się zależeć i naradzić się z nimi co do drogi, jaką wybrać ma Polska na tym zakręcie dziejowym wobec nadchodzącej wojny. Już przed otrzymaniem drugiego listu Aleksandra donosił mu o wyniku negatywnym rozmów warszawskich. Urok Napoleona trwał. Nie decydowano się na odstępstwo. Później, 12 marca, w obszernym sprawozdaniu uzasadniał stanowisko Polaków. Na przeszkodzie stoją „lojalność, wdzięczność, ufność, obawa” i nie podważony niczym urok Napoleona. Rozwijał plan polityki rosyjskiej na długą metę pomyślanej, mającej utworzyć drogę do unii rosyjsko-polskiej i nawracał, już po raz trzeci, do pytania, dlaczego nie próbować porozumienia co do Polski z Napoleonem. „Czy dobroczynne zamiary W.C.M. względem Polski nie mogłyby stać się przedmiotem rokowań i posłużyć do pogodzenia interesów obu cesarstw i zapobiec krwawej wojnie europejskiej?” Wysuwał koncepcję, podjęcia przez Aleksandra układów z Napoleonem, przy czym zachowanie przymierza i utrzymanie systemu kontynentalnego tworzyłyby juncim z odbudowaniem Polski w unii z Rosją.

Coś z tej koncepcji doszło Napoleona przez Poniatowskiego, a może przez Matuszewicza, bo 24 lipca Czartoryski pisze z Puław do Aleksandra: „Wiem z bardzo dobrego źródła, że Napoleon powiedział świeżo co następuje: „jeśli choć jeden kozak wtargnie w granice Księstwa Warszawskiego, ogłoszę odbudowanie Polski. Mówią, że cesarz Aleksander chce tego samego, że pragnąłby zostać królem polskim. Jeśli ma to być po dobru, nie sprzeciwiam się temu; przeciwnie, chętnie się przyłączę. Ja sam mu to już kiedyś proponowałem (sc. w Tyłży), ale wtedy nie chciał przyjąć. Zgodziłbym się nawet, by jego brat został królem polskim — oto jego własne słowa”. I przypomniał książe Adam swą inspirację z 12 marca, nalegał na jej podjęcie.\*)

Nie „awangarda ofensywy przeciwnapoleońskiej” był zatem Czartoryski. Jego koncepcja zmierzała ku rozbrojeniu konfliktu przez rozwiązanie sprawy polskiej. Jego próba polskiej mediacji (przez Handelmana przeoczona) mogła być od wielu nieść szczęście uchronić Polskę, Rosję i samego Napoleona. Rozbiła się o narastającą wrogość i nieufność wzajemną obu cesarzy; zresztą Aleksandrowi na inną politykę, jak walki z Napoleonem, nie pozwoliłaby już wtedy Rosja, a Napoleon w trzy tygodnie zaledwie po liście Czartoryskiego do Aleksandra swą publiczną

\*) List nie ogłoszony w **Mémoires et Correspondances** wydał W. Ks. Miłkołaj Michajłowicz, **L'Empereur Alexandre I**, t. I., str. 361-2.

gwałtowną tyradą do ambasadora Kurakina na przyjęciu 15 sierpnia zamykał drogę do przyjaznych porozumień „de souverain au souverain”.

Jak w sprawach wewnętrznych rosyjskich znalazł Aleksander po zerwaniu ze swym „tajnym komitetem” surogat tego grona liberalnych reformatorów w osobie Michała Sperańskiego, którego z kolei miał niebawem poświęcić dla przejednania reakcyjnej opozycji, tak w dziedzinie polityki polskiej stworzył sobie już w 1811 roku surogat za Czartoryskiego, przyciągając do współpracy Michała Ogińskiego, Ksawerego Lubeckiego i innych, bardziej niż Czartoryski skłonnych wznosić „autel contre autel” i zawierać unię litewsko-rosyjską bez oglądania się na Warszawę.

Polityki ich apologetą był Smolka w dziele o Lubeckim; tezę jego publicystycznie rozwinął nie dawno p. Bocheński potępiając Czartoryskiego, że na to nie szedł. Koncepcje wskrzeszenia Wielkiego Księstwa Litewskiego spotkały się z opozycją samych czołowych obywateli na Litwie; nawrócono do projektu ogłoszenia się Aleksandra królem polskim.

Dnia 1 kwietnia 1812 roku po dłuższym milczeniu Aleksander pisał do Czartoryskiego. Plany swe musiał odłożyć, jakoby wskutek ich ujawnienia: mówiono o nich w Paryżu i Dreźnie. Wzmianka ta była jakby aluzją do nieostrożności czy dyskrecji Czartoryskiego, była wymówką. Uprzedzał o nieuniknionym zerwaniu. Ostrzegał przed Napoleonem. Polacy są dlań tylko narzędziem jego nienawiści do Rosji. Ideę ugodzenia się z nim co do odbudowania Polski pod berłem rosyjskim odrzucał jako chimeryczną. Centrum akcji wojennej może być w prowincjach polskich; w związku z tym cesarz zapytywał o radę: czy ogłosić Królestwo Polskie w samej chwili zerwania, czy po kilku sukcesach wojennych, czy ogłoszenie Wielkiego Księstwa Litewskiego uważać za krok wstępny. „Jakiż efekt w tych okolicznościach wywarłoby przyłączenie się Polaków”. Groził z lekka zemstą Rosji: „Nie wolno wam być ślepymi na wszystkie nie-szczęścia, na które narazi się wasza ojczyzna, jeśli pod sztandarami francuskimi da Rosji tytuł do zemsty za zło wyrządzone”. Domagał się listy ludzi, na których mógłby liczyć, szczególnie wojskowych Księstwa.\*)

Długo zwlekał książę z odpowiedzią, czekając na okazję przez Nowosilcowa, mającego wstąpić do Sieniawy w przejeździe z Wiednia. W liście z 4 czerwca odpowiadał ogólnie: Polacy pójdą z tym, z obu monarchów, który obietnicę dotrzyma; pomysł Wielkiego Księstwa Litewskiego spóźniony; wymawiał się co do udzielenia wskazówek i podawania nazwisk; przypominał, że siedem lat temu wystąpił był z planem zjednania Polaków. Wskazywał na swe położenie okrutne i apelował do cara by sam w odpowiednim momencie zwolnił go ze służby. W postscriptum z 13 czerwca szedł dalej: donosił, że Napoleon w Poz-

\*) Mikołaj Michajłowicz, o. c. I 362-5.

naniu zapowiedział zwołanie Sejmu polskiego, że ojciec jego wezwany do Warszawy już wyjechał; on sam prosił o „częściowe ulżenie jego męce przez udzielenie mu zupełnej dymisji.”)

Dokonał się akces Czartoryskich do polityki polskiej Napoleona. Jak do tego doszło, przedstawiłem w swej „Wojnie 1812 roku”, wyzyskując całą korespondencję rodziny książęcej i inne papiery jej archiwum. Nie zdaje się, by wszystkie fakty, które ustaliłem, były uwzględnione przez Handelsmana. Czytamy ze zdziwieniem jego słowa: „Na wiosnę roku 1812 horyzont europejski zaczyna się zachmurzać (chyba o rok wcześniej?). Wojna jest prawie nieunikniona, a jej terenem musi się stać Księstwo Warszawskie (jest wtedy już zalane wojskami Wielkiej Armii). Czartoryscy zaczynają znowu myśleć o zastusowaniu swej roli, jeżeli nie o zastąpieniu swych osób, to przynajmniej o zabezpieczeniu swych majątków, o przeniesieniu się w miejsce bezpieczniejsze” (str. 68).

Otóż cały ten wywód, to historia pisana naprzekór źródłom i faktom, pod wpływem jakiegoś, od młodych lat zadawnionego, utożsamiania polityki Czartoryskiego z nienawistną „ugodą z caratem”. Lepiej rozumiał sprawę rezydent cesarski Bignon, gdy 8 kwietnia 1811 donosił z Warszawy: Czartoryscy chcą każdej Polski, byle niepodległej. Akces Czartoryskich, to jest księcia generała i księżnej Izabelli, przygotowywany od roku przez księcia Konstantego i przez przyjaciela Puław, ministra skarbu Matuszewica w Paryżu i Dreźnie, uzależniony był od przywrócenia imienia Polski przez Napoleona. Pokąd nic stanowczego nie było w tym względzie, usunęli się do galicyjskiej Sieniawy, mając zresztą przez księżną Marię Wirtemberską i Zofię Zamoyską stały kontakt z Warszawą, a przez księcia Konstantego rycerską reprezentację w wojsku. Nie odstręczały ich wiadomości o Hieronimie Westfalskim, jako przyszłym królu polskim; knuli „spisek” (z udziałem syna Adama) jakby Hieronima ubrać w kontusz, nawrócić na konstytucję 3 Maja i w ogóle spoliczyć. Na pierwszą wiadomość od Matuszewica, że ma być zwołany Sejm nadzwyczajny pod wężem Konfederacji, a książę generał jej marszałkiem, nie było ani chwili wahania. Księżna zapisywała w dzienniku: „Mon mari konwokowany do Związku i żeby on ogłosił Polskę... Od Raclawic nie zaznałam podobnej chwili... Mój mąż nagrodzony za tyle cnót, za tyle usług Ojczyźnie”.

To było uniesienie radości, egzaltacja patriotyczna. Nie było oglądania się za bezpieczeństwem własnych osób czy dóbr. Tylko syn ich, książę Adam, znalazł się na rozdrożu, gdy serce kazało mu iść za ojcem i z całym narodem, a honor i przywiązanie nie pozwalały łamać zobowiązań względem Aleksandra przyjętych. Z Warszawy dochodził głos matki: „O Boże, wróciłeś nam ojczyznę i moje uszy zasłyszały słowa w moim sercu wyryte: Polska żyje, Polska jest!” W najcięższej rozterce du-

\*) Mikołaj Michajłowicz, o. c. I 365-70.

chowej, przedstawiając swe położenie Aleksandrowi, ze zdumiewającą otwartością błagał go o absolicję przez zupełne zwolnienie ze służby. „Polska — pisał w liście z 5 lipca — została uroczystie ogłoszona przez konfederację generalną, na czele której stanął mój ojciec. Imię Polski wymówione tymi ustami, raz wymówione, jest dla mnie nakazem”. Zarazem w obszernym pięknym liście do Matuszewica, tłumaczył swe postępowanie przed narodem — i Napoleonem.

Ten niemałą przywiązywał wagę do akcesu księcia Adama, skrupułów jego pojąć nie był w stanie. Do niego, ponad głową deputacji polskiej, zwracał w Wilnie 11 lipca admonicję, że wszelkie inne związki, obowiązki, uczucia wdzięczności, muszą ustąpić pierwszeństwa miłości ojczyzny. Na prośbę Polaków zastąpił je w tekście drukowanym cudownymi słowy: Miłość Ojczyzny jest najpierwszą cnotą cywilizowanego człowieka.

Istotnie miał rację książę Adam, gdy w liście do Aleksandra 16 sierpnia podnosił, że dla narodu w takiej niepewności jutra jak polski, jedność jest jedyną jego nadzieją. A cytując w sposób dość przejrzyście zdanie Napoleona, że najszanowniejsze uczucia osobiste powinny ustąpić pierwszeństwa tym, których żąda ojczyzna, dodawał od siebie: „To pewne, że pierwszy obowiązek jest względem własnego kraju”.

Nieobecność księcia Adama w Wilnie przy Napoleonie odbiła się też niewątpliwie ujemnie na postępowaniu samego Napoleona, na zasięgu i nasileniu ruchu narodowego na ziemiach zabranych, a to i dla przebiegu walki nie było obojętne; podobnie zaważyła nieobecność innego wielkiego „Litwina”, Tadeusza Kościuszki, choć z innych przyczyn wynikała. W rozmowach wysłańców warszawskich w Wilnie z ministrem napoleońskim Maretem księciem Bassano, była mowa, że sam Napoleon weźmie może koronę polską, że książę Adam byłby wtedy kancleżem wielkim. On tymczasem wyjechał do Karlsbadu, później do Wiednia; ponawiał dwa razy jeszcze apele do Aleksandra, coraz natarczywsze i bardziej ultymatywne; przy ostatnim, październikowym, wobec pogłosek o układach pokojowych dodawał sugestię: pogodzić się na zasadzie odbudowania Polski zupełnie niepodległej, ale pod berłem wielkiego księcia Michała, jako sekundogenitury Rosji. Na wszystkie te apele nie było reakcji Aleksandra, który mądrze milczał.

Termin postawiony przez Czartoryskiego carowi, upływał w listopadzie. Napisał już wreszcie akces do konfederacji. Wysłańcie wstrzymał na wieść o klęskach Wielkiej Armii i grożącej jej zupełnej katastrofie.

Nie spodziewał się tej sytuacji. Jak Metternich i wielu innych europejskich mężów stanu, wcale nie żywiących kultu dla Napoleona, nie wątpił o jego zwycięstwie; bolał nad losem Aleksandra, co było dlań dodatkowym źródłem skrupułów. Nie dlatego też nie połączył się z narodem, że Aleksander może wygrać. Ale teraz, gdy zgoła nieoczekiwanie wygrał (a zwycięstwo było w ogromnym stopniu własną jego zasługą, jego zwycięstwem),

okoliczność, że mosty między nim a księciem Adamem jeszcze nie były spalone, zdała się zbawczą. A jednak po kilku miesiącach z melancholią zapisywał książę w dzienniku: „Mnie trzeba było (w 1812) w swoim kraju i za nim walczyć i czynić prosto. Związek moskiewski kępuje”.

Jednakże nakazem moralnym było dlań w chwili katastrofy próbować ocalić, co było jeszcze do ocalenia. W końcu listopada członkowie rządu warszawskiego, Matuszewic, Mostowski i inni, wraz z jego szwagrem Zamoyskim, zastępczo stojącym u steru konfederacji, zaapelowali doń o pośrednictwo u Aleksandra. Po świeżym, terminowym ultimatum, przesłanym przemożnemu teraz przyjacielowi, miał się doń zwracać jako petent o łaskę dla Polski. Nie dość zwróciła uwagę historiografia nasza na to, jakiego tu trzeba było przezwyciężenia się i jaką to było ofiarą. W liście z 18 grudnia książę Adam do poprzednich swych apelów oczywiście nie powracał. Pytał się, czy wkraczając do Polski jako zwycięzca, cesarz wznowi swe dawne zamiary co do tego kraju? Czy ujarzmiając go, będzie chciał i serca ujarzmić? Czy zechce uczynić węzły między obu narodami nierozwalnymi przez to, że będą dobrowolne? I jakby zaznaczając, że pisze contra spem, ostrzegał: oby Prusy i Austria nie odwróciły go od tych zamiarów. Sugerował układy z Konfederacją Generalną.

Po kilku dniach, 27 grudnia, pisał obszerniej, z wielką godnością i odwagą stawiając całość sprawy. Pisał o magicznym efekcie „jaki mogło teraz wyrzucić podanie ręki narodowi polskiemu, gdy oczekuje on zemsty zwycięzcy. Wysuwał koncepcję, zupełnej odrębności Królestwa Polskiego, nawracając do kandydatury w. księcia Michała Pawłowicza, młodziutkiego brata carskiego. Tłumaczył, że Polacy obawiają się gwałtownego charakteru w. księcia Konstantego, domnianego następcy na tronie carskim, że woleliby własną linię na tronie. Jakby z wizją proroczą przyszłości pisał: „Istotnie, król polski, który będzie mieć na rozkaz 300.000 Rosjan, gdy zechce obalić to, co ustanowił jego poprzednik, zrobić to może każdej chwili”. Przypomniał oczywiście konieczność rękojmi konstytucyjnych. Zapewniał o powodzeniu układu z rządem warszawskim i konfederacją. Zarazem, by podkreślić, że jest w tej sprawie nie dygnitarzem rosyjskim, ale pełnomocnikiem narodu polskiego, ponawiał prośbę o „congé absolu”.

Długo nie dostał na ten list odpowiedzi. Zresztą i w Warszawie zmieniło się położenie. Nagłe ukazanie się Napoleona, następnie przybycie księcia Józefa, zapobiegły decyzjom kapitulacyjnym, oddziaływały w kierunku dalszego wytrwania w wojnie. Aleksander odpowiedział Czartoryskiemu z Lejpu 25 stycznia 1813. Donosił mu, że miał już z Warszawy propozycje, przesłane mu inną drogą (przez dowódców rosyjskich) i załączał odpis memoriału Mostowskiego, w którym była mowa nie o pełnej niepodległości, ale o unii personalnej i realnej z Rosją. Myśl sekundogenitury car stanowczo odrzucał: niech Czartoryski nie

zapomina, że Litwa, Wołyń, Podole — to prowincje rosyjskie; że naród rosyjski nie zniósłby oddania ich innemu monarsze; muszą zostać pod panowaniem cesarza Rosji, choć pod innym tytułem.

Odrzucał tym samym ofertę Czartoryskiego, już przelicytowaną zresztą in minus przez propozycję z Warszawy. Dawał przy tym przyjacielowi dotkliwie odczuć zmianę w ich sytuacji, Cierpko przypominał mu rolę Polaków w minionej kampanii, przypisując im nawet — zgoła bezpodstawnie — zniszczenie Smoleńska i Moskwy, oraz spustoszenie kraju, co rozbudziło dawne nienawiści u Rosjan. Zaznaczał jednak, że „mściwość jest nieznanym mu uczuciem, a najłodszą jest dla niego radością, gdy może płacić dobrem za złe”. Istotnie — nawiasem tu trzeba wtrącić — mógł się poszczycić szlachetnym gestem pojednawczym za grudniowego pobytu w Wilnie. Uspokajał też, że kazał już swym dowódcom, aby traktowali Polaków jak przyjaciół i braci. Okazał chęć porozumienia się z Warszawą z zastrzeżeniem największej tajności: rozgłoszenie jego zamiarów co do Polski popchnęłoby Austrię i Prusy w objęcia Francji. Proponował zawarcie z nim przez rząd Księstwa formalnego przymierza, w którym zobowiązałyby się, że broni nie złoży „pokąd nadzieje Polaków nie będą spełnione” i oświadczał ze zbytnią pewnością siebie, że „nikt nigdy nie poległ na próżno na jego lojalności”.

List jego długo wędrował, przejęty wraz z wysłannikiem Czartoryskiego, Kluczewskim, przez Austriaków i — zanim doszedł księcia — znany był wraz z załącznikami w Wiedniu, skąd zakomunikowano go Napoleonowi. Sprawa rokowań z Polską utknęła; zresztą rząd i wojsko polskie opuściły Warszawę, wydaną przez umówione z góry manewry Schwarzenberga Rosjanom i wycofały się do Krakowa. Aleksander odnowił tymczasem przyjaźń pruską, a 26 lutego podpisał w Kaliszu traktat, poręczający przywrócenie Prus do dawnej potęgi pod względem statystyczno-geograficznym i finansowym, a zwrócenie im z ziem polskich obszaru, który by pod względem politycznym i wojskowym łączył stare Prusy (Wschodnie) ze Śląskiem, co oznaczało wyraźne odanie im Chełma, Bydgoszczy, Poznania (ich własna interpretacja szła dalej jeszcze, po tzw. granicę Knesebecka, po Narew, Bzurę i Pilicę).

W kilka tygodni potem zjawił się w Kaliszu książę Adam, przyjęty z wyraźną niechęcią jako gość niepożądany. „Widziałeś to widmo? — mówił o nim Aleksander do agenta austriackiego, Lebzelterna i zapewniał, że sposób, w jaki go traktuje, powinien uspokoić Wiedeń co do Polski.

Nie należałoby brać tych jego wynurzeń zbyt dosłownie; zależało carowi na tym, by widmem Polski nie płoszyć powracającej austriackiej przyjaźni i możliwości sojuszu. Ostrzegał przecież o tym Czartoryskiego i teraz zabronił mu dalszych odwiedzin w swej kwaterze głównej. Ale dwa razy długo omawiał z nim sprawy polskie, zachęcał go do dalszych kroków, by skoń-

czyć z przelewem krwi i skłonić rząd polski w Krakowie i Poniatowskiego do zawieszenia broni, robiąc wzamian nadzieję, że „jak się wszystko skończy szczęśliwie, Rosja przy traktacie powinna Księstwo dostać, a że potem cesarz sam zresztą, jak u siebie mocen, uczyni bez hałasu, jak dla Finnów uczynił”.

Dobrze odczuł Czartoryski w Kaliszu atmosferę wrogą Polsce i Prusaków i wielu Rosjan, odsuwanie się dawnych przyjaciół. Od Aleksandra nie otrzymał tymczasem żadnej sprecyzowanej rękojmi. Już wiedział zapewne o nieuchronnym oderwaniu na rzecz Prus zachodniej połaci Księstwa, pocieszany niechybnie kompensatą na Wschodzie przez przyłączenie ziem zabranych. Poniatowskiemu doradzał rozejm z Rosją, by ocalić zawizek wojska, jako rękojmię jakiegoś samodzielnego bytu. Niewątpliwie tak zdawał się radzić rozsądek. Z przejściem rządu i wojska na stronę Aleksandra kwestia polska w jego polityce stałaby niewątpliwie mocniej. Nie byłoby w tym zdrady, skoro książę warszawski, król Fryderyk August, sam wycofał się właśnie z sojuszu z Francją a wszystko przemawiało za tym, że w razie układów między Napoleonem a rozbiornymi Polami, cesarz będzie zmuszony ją poświęcić. Przeciwstawiały się w sumieniu Poniatowskiego względy emocjonalne: nie tyle przywiązanie do Napoleona — bo miał wiele powodów do goryczy i żalu — ile rycerskie braterstwo broni, pamięć krwi wspólnie przelewanej, wstręt do odstępstwa i intuicyjne wyczuwanie, że droga honoru jest jedyną, jaką iść może Polska.

Tak po ciężkiej walce wewnętrznej zapadła jego decyzja wyprowadzenia wojska przez neutralną jeszcze Austrię do Saksonii, do Napoleona. Niepodobna dojsć, czy przez tę decyzję straciła coś Polska poza dodatkową ofiarą tysięcy ludzi. Natomiast w walce tej o przywrócenie imienia polskiego, przez decyzję księcia Józefa dźwięk tego imienia nabrał uwielokrotnionej mocy, a „widmo Polski” dawało nadal znać o sobie na polach bitew.

Książę Adam wyjechał do Warszawy, skąd pisał niebawem do cara. Uspokajał go co do stosunku Prus do przywrócenia Polski pod jego berłem. Przez Antoniego Radziwiłła przychodziły od króla pruskiego życzliwe zapewnienia, zachęta do publicznego przeniesienia sprawy, sugestie co do wspólnej deklaracji. Zdaje się, że król Fryderyk Wilhelm III mając pewność odebrania poważnej części Księstwa i sownitej kompensaty za resztę pod postacią całej Saksonii, skłonny był związać Aleksandra jeszcze bardziej i faktem dokonany uprzedzić naciski nań austriackie; widział, że wysiłek Wiednia pójdzie przeciw rozszerzeniu się Prus w Niemczech w ogólności, a w szczególności nad czeską granicą.

Odtąd Czartoryski, choć bez złudzeń co do tego partnera, zmuszony jest i liczyć się z nim i próbować go wygrywać.

Przed Aleksandrem bronił swych rodaków, że ociągają się z układami. „Mocny nie unia się gdy ofiaruje, słaby upadła się kiedy prosi i dlatego zwłóczy, bo czuje wstręt i odrazę”. Mocno

ujmował się za Poniatowskim: „Gdy się chce pozyskać jakiś ludek kaukaski lub jakiegoś chana perskiego, więcej w to wkłada się starań jak (sc. dowódcy rosyjscy) w pozyskanie Poniatowskiego i jego wojska”.

Ale już się dokonało: drogi księcia Józefa i księcia Adama rozeszły się po raz ostatni.

W Warszawie książę Adam, obserwator rządów okupacyjnych i ustanowionej do nich „Rady Najwyższej Tymczasowej” czujny a niewygodny, zaczął skupiać przy sobie opinię kraju. Zetknął się na poufnych posiedzeniach u prezesa Tomasza Ostrowskiego z senatem Księstwa, „do rzymskiego podobnym”. Zetknął się z wolnomularstwem i zapisywał, że „gotowe wywyższyć”. To przesunięcie się wolnomularstwa polskiego od Napoleona do Aleksandra nie było, zdaje się, bez związku z przeciwnapoleońskimi prądami w wolnomularstwie francuskim; są ślady powiązań. Żałować należy, że książka Handelsmana nie rzuciła światła na te sekrety, tyle ważniejsze od sekretów ars amandi pani Wąsowiczowej i jej romansu ówczesnego z księciem Adamem, z którego z pewnym niesmakiem w swym „Dzienniku” się spowiadał, nie dla informacji potomnych.

Był przecież w walce o Polskę, świadomy dobrowolnie przyjętej odpowiedzialności za jej sprawę. Zwierzał się matce w cytowanym u Handelsmana liście: „Bronzowa figura jest jakoby głosem na puszczy, którego nikt nie słucha ni z tej ni z tamtej strony, a wtedy trudno, żeby rzeczy szły... Robię co mogę żeby służyć jednostkom i krajowi, ale to nie zawsze się udaje...” Pieńił się z władzami okupacyjnymi o ulżenie cłażarów okupacji w Księstwie. Prawował się z Aleksandrem o rodaków na Litwie, gdzie wbrew ogłoszonej amnestii, oświadczeniu cara, że gąbką wymazuje przeszłość i jego zaleceniu co do traktowania Polaków „en freres et amis”, zwykłym trybem mnożyły się donosy, sekwestry, konfiskaty, areszty, śledztwa i w robocie były pobratymcze pałki i nahaje.

Na wewnątrz starał się konsolidować opinię kraju celem solidarnego poparcia koncepcji konstytucyjnego królestwa pod Aleksandrem. Utworzył tajny „związek opinii sprostowania”. Był natchnieniem wyłonionego przez Rady Departamentowe Komitetu Centralnego, który pod pozorem współdziałania z okupacyjnym rządem tymczasowym był de facto przedstawicielstwem narodu. Z jego mandatu, bez upoważnienia od Aleksandra wyjechał ponownie do niego do Reichenbach (czerwiec 1813). Zjawił się u cara jak wyrzut sumienia w chwili, gdy sprawa polska w układach o interwencję Austrii przechodziła za bójczy kryzys. W układzie trzech mocarstw rozbiorowych Metternich przeprowadził zasadę zniesienia Księstwa Warszawskiego; dopiero ex post wysunął Aleksander zastrzeżenie, że to nie ma być rozumiane jako nawrót do postanowień trzeciego rozbioru. W późniejszych praskich rozmowach z Napoleonem, naczelnym postulatem sprzymierzonych będzie wyrzeczenie się Księstwa i warunek ten z żalem będzie przyjęty:

są słowa Napoleona do Caulaincourt'a, jego pełnomocnika: „Opuszczam naród, który wiele zrobił dla mnie...”

Tymczasem Czartoryski w Reichenbach i Peterswalde na próżno szukał drogi do przekonania i sumienia przyjaciela, trzymany w nieświadomości co do jego zamierzeń i działań. Jest w jego dzienniku (25 lipca) zapiska odbijająca od wielkiej, niewyczerpanej wyrozumiałości, z jaką zawsze do Aleksandra się odnosił: „Rozmyślanie nad fałszywością cesarza, którego Księstwo Prusakom obiecał i na nowy podział wydał”. „Nie można wiedzieć — pisze na wyjazdym — czy szczerzy, czy oszukiwa, wszystkie przyczyny są, by to ostatnie rozumieć. Nieuczulość i zła wola bezwzględnie”. A jako usprawiedliwienie dodaje: „Ale kto z bliska i z najgorszej strony zna cesarza, ten go jednak nie poniża, że nawet w nim nie ma systematu i charakteru”.

Historyk nasz widzi w tym słabość Czartoryskiego i wolę łudzenia się co do przyjaciela; my doczytujemy się ostrego, przenikliwego sądu o przyjacielu, wolnego od złudzeń. Żaden „kompleks przyjaźni” nie mącił Czartoryskiemu sądu w sprawie publicznej ani nie krępował już działania. Tam, w Reichenbach, książę decyduje się „puścić na awantury”, podjąć po cichu własną akcję dyplomatyczną w Anglii, by wbrew wrogiej Austrii i wbrew zachłanności pruskiej ratować od rozbioru Księstwo i pogodzić opinię polityczną Zachodu z rozwiązaniem jedynie wtedy możliwym: rosyjsko-polskim. Czartoryski szuka już oparcia na Zachodzie nie tylko przeciw tamtym dwóm zaborcom; chciałby związać tajnie Anglię z Polską, zainteresować w jej losach, mieć w niej oparcie gdy przyjdzie stawić czoło rosyjskiemu naporowi na samodzielność Polski.

Nie wiemy czy miał w pamięci doświadczenie jego dziadów, Augusta i Michała: że Polska, jeśli się opiera o Rosję, nie może ryzykować samodzielnych związków z Zachodem, nawet pozbawionych ostrza przeciwrosyjskiego, pod grozą zamiany przemocą w bezwonną prowincję Rosji.

Z początku 1814 roku następuje trzeci wyjazd Czartoryskiego do kwatery głównej cesarskiej we Francji. Z trudem uzyskuje książę 8 marca audiencję w Chaumont. Był lepiej tym razem przyjęty przez Aleksandra, który przejmuje się już rolą oswobodziciela Europy i arbitra jej spraw; w postawie zwycięzcy i faktycznego przywódcy skoalizowanej Europy nabiera powagi i odwagi wobec swoich i obcych; już jest gotów akcentować swą rolę dobroczyńcy Polski. „Oznajmuje, że większą część Wielkopolski odda królowi pruskiego, że Austria chce Kraków, ale że Wisła nadto piękną granicą. że trzeba, żebyśmy pamiętali, że jeśli coś oddaje, to natomiast 7 milionów (sc. Litwę bez Białej Rusi i częściowo ziemie południowe) oddaje nam”.

Ale teraz właśnie spotyka się Czartoryski po raz pierwszy z Castlereaghem, który wśród zapewnień życzliwości z naciskiem mu radzi zaniechać wszelkiej akcji w kierunku odbudowania Polski i usunąć się nawet z kwatery głównej cara. Przekonał się Czartoryski, że Castlereagh dobrze przygotowany



przez Steina, a zwłaszcza austriackiego pełnomocnika Stadion, zajął już zdecydowane stanowisko przeciwko Polsce i że ma w nim przekonanego, nieustępliwego przeciwnika.

Rozegrała się krótka, dramatyczna w przebiegu, kampania francuska 1814 roku. Nastąpiło triumfalne wejście Aleksandra do Paryża. Z porady samego Napoleona wojsko polskie oddawało się w opiekę cesarza Rosji. Traktat w Fontainebleau w sprawie abdykacji cesarza Napoleona stanowił zgodnie z jego postulatem, stawianym przed wszystkimi sprawami, dotyczącymi się interesów jego i rodziny, że wojsko polskie wróci do kraju z honorem, pod bronią, z zachowaniem stopni, tytułów, odznaczeń.

Tak na popielisku wielkich nadziei zeszyły się teraz drogi księcia Adama i żołnierza polskiego, a w Kościuszcze, śpieszącym na wezwanie, znalazł przyjaciela i sprzymierzeńca, rzucającego swe wielkie imię na szalę, by istnienie Polski ratować.

W liście datowanym 3 maja Aleksander przyrzekał Kościuszcze przywrócenie wolnej ojczyzny. Ustnie przyrzekał „zwrócenie kraju naszego do Dźwiny i Dniepru”. Wbrew słowom Ujejskiego, że „jasnowidza nie złudziły uwodzące wieści”, stary Naczelnik pograżał się w złudzeniach. Nie łudził się Czartoryski.

Za Aleksandrem wyjechał do Anglii ku dużemu niezadowoleniu Foreign Office. Car jechał oczarować dumny, chłodny Albion i podbić. Niezbyt się to powiodło. Zbyt wiele on i afiszująca się z nim ukochana siostra Katarzyna Oldenburska, próbująca być jego Egerią — narobili nietaktów i zgorzenia przez ciągłe naruszanie zwyczajów angielskich i protokołu dyplomatycznego. Próby zaś poruszenia opozycji przeciw rządowi Jego Królewskiej Mości i polityce Castlereagh'a były tylko kłopotliwe dla opozycji i umacniały stanowiska sekretarza spraw zagranicznych. Czartoryski starał się na własną rękę ugruntować w kołach politycznych zrozumienie i poparcie dla sprawy polskiej, poparcie rozwiązania rosyjsko-polskiego, a zarazem ewentualne poparcie praw polskich wobec Rosji. Wywołał pewne zainteresowanie się Polską i jej losem obecnym i przyszłym, co nie miało być bez wpływu na przebieg sprawy na nadchodzącym Kongresie Wiedeńskim.\*) Ale jasne już było, że przyjdzie na nim do ostrego konfliktu między zwyczajcami i to głównie o Polskę.

## VI.

### Kongres i utworzenie Królestwa

W drodze z Petersburga do Wiednia Aleksander wstąpił do Wilna, gdzie po raz drugi oznałmił odpuszczenie grzechów Litwinom, po czym promienny, serdeczny, tchnący szlachetnością serca i myśli, radością z dokonywanego dobrego uczynku i otuchą, że mu się powiedzie, zjawił się w Puławach. Nigdy może nie

\*) Akcję Czartoryskiego w r. 1814 przedstawił świetnie Wawrzukowicz Anglia a sprawa polska 1813-1815 (1919).

czuł się potem w tym stopniu królem polskim, jak w tej chwili, gdy dopiero stawiał Europie żądanie oddania mu korony polskiej. Witając uściskiem ks. Konstantego, ozdobionego krzyżem *Virtuti Militari* za Smoleńsk, powiedział mu: „Kochałem się zawsze, ale szanuję cię jeszcze więcej odkąd walczyłeś za ojczyznę”. Wszelkie lody stopniały w jego rozmowach o przyszłości Polski z księciem Adamem (z udziałem Nowosilcowa) i w długiej naradzie z nimi oraz Zamoyskim, Matuszewicem, Linowskim. Raz jeszcze dał formalne zapewnienie połączenia ziem zabranych z Księstwem; zapewniał, że przysłała Polska mieć będzie dziesięć czy jedenaście milionów mieszkańców. Pod jego przewodnictwem ustalono zasady konstytucji; istotną jego poprawką było wprowadzenie do nich ze względu „na uspokojenie Rosjan” postanowienia, że Polska związana jest z Rosją osobą obecnego monarchy i jego każdorazowego następcy, a gdy Zamoyski wyrwał się z niewczesnym pomysłem, by napisać, że jest inkorporowana do Cesarstwa, Aleksander żywo się sprzeciwił, poprawiając, że jest tylko przyłączona przez osobę tegoż samego monarchy na zawsze.”)

Ale sytuacja w Wiedniu nie uzasadniła optymizmu, jaki w te dwa dni września panował w Puławach. Aleksander ustalił swe postulaty: „Dla Rosji Księstwo Warszawskie. W ostateczności zgodzę się ustąpić co najwyżej Poznańskie... i okręg Chełmiński po Drwęcę, z wyłączeniem rejonu około Torunia... Prusy dostają Saksonię”.

Tymczasem ustalona była wspólna postawa Anglii i Austrii, przeciwna „dopuszczeniu do utworzenia oddzielnego królestwa czy księstwa polskiego ani faktycznie, ani nominalnie, ani w formie jawnej czy ukrytej.”\*\*) Ze względu na opinię brytyjską i dla uspokojenia opozycji, Castlereagh w zabójczym dla sprawy polskiej memorandum treść tę ozdabiał wysunięciem propozycji odbudowania Polski całej i niepodległej, o ile się na to zgodzą trzy mocarstwa rozbiorowe. W praktyce ułożył się z kanclerzem Hardenbergiem, że Prusy będą obstawać przy swych dawnych zaborach, za co ze swej strony obiecywał im Saksonię; na Metternichu za cenę sojuszu przeciw planom polskim Aleksandra uzyskał nawet bardzo niechętną zgodę co do Saksonii dla Prus. Polityka brytyjska chciała w ten sposób zapobiec usadowieniu się Rosji w Europie Środkowej, przez zasięg bezpośredniego jej władania w dorzeczu Odry. Ułożone było poruszenie Europy przeciw Aleksandrowi. Popsuł rzecz król pruski, który się nie zdecydował pójść przeciw carowi. Nado skomplikował grę wmieszczeniem się do niej Talleyrand i przez poparcie stanowiska Metternicha u Castlereagh'a w sprawie polskiej wprowadzał zwyciężoną Francję z izolacji; z namaszczeniem stawiając zasadę legitymizmu oświadczał, że odbudowanie Rze-

\*) O tym zjeździe puławskim Askenazy *Szkice i Portrety* (1937), 126-131; także protokół Matuszewica z narady z cesarzem, 369-373.

\*\*) Stadion do Metternicha 9 lutego 1814 (Webster, *The Foreign Policy of Castlereagh 1812-1818* (1931), 213.

czypospolitej Polskiej byłoby wielkim dobrodziejstwem dla Europy, po czym — stwierdzając skwapliwie, że to się nie da osiągnąć — uznawał za legalny stan wytworzony rozbiorem. Natomiast w imię „zasad” i prawa publicznego protestował przeciw wyłączeniu króla saskiego z jego dziedzictwa.

Ubocznie warto zaznaczyć, że Fryderyk August miał, według projektu Aleksandra, dostać wzamian za swe Królestwo Nadrenię, która pod jego rządem byłaby — jako państewko słabe, pokojowe, katolickie, z pewnymi sympatiami dla Francji — dobrym buforem dla Niemiec i Francji. Zamiast tego, Talleyrand i Castlereagh wprowadzili do Nadrenii Prusy, poniekąd wbrew ich własnej woli; według Foreign Office miały one tam być stróżem bezpieczeństwa połączonych Niderlandów przed zaborczością francuską (wiemy co z tego wynikało w latach 1870, 1914, 1940). Czym miały być tam w oczach Talleyranda trudno odgadnąć; straszliwa cena, trzykrotnie zapłacona przez Francję za jego politykę kongresową, nie przeszkadza jednak temu, że dotąd ją podziwia wielu historyków i dyplomatów.

W rezultacie od listopada wytworzyła się sytuacja prawie wojenna. Saksonię Rosjanie wydali w ręce pruskie, a w książę Konstanty dowodzący w Warszawie resztkami wojska polskiego wydał rozkaz dzienny, bojowy w tonie, do pokazania we Wiedniu. Doszło 3 stycznia do sojuszu obu mocarstw zachodnich i Austrii przeciw Rosji. Toczyły się jednak dalej zacięte targi o granice w Polsce i granice w Saksonii, o Kraków (w końcu wolny i „ściśle neutralny”) i Toruń (który przypadł w końcu Prusakom za zrzeczenie się Lipska).

W ciężkiej tej walce Czartoryski, będący znowu przy Aleksandrze jego natchnieniem i piórem, zmagać się musiał nie tylko z naciskiem i sztuką dyplomatyczną takich przeciwników, jak Talleyrand, Metternich, Castlereagh, Hardenberg, za którymi stały ich mocarstwa; w tymże duchu przeciw odbudowywaniu Polski wypowiadał się Stein, jedyny wtedy prawdziwie niemiecki mąż stanu; ale tajnymi lub jawnymi przeciwnikami byli wszyscy prawie doradcy cara, z oficjalnym jego pełnomocnikiem, hr. Nesselrode, na czele.

Zachwiana chwilowo solidarność rozbiorców dopominała się o swoje prawa. „W wodach nieprzyjacielskich, gdzie znikąd pomocy, nigdzie schronienia, a pełno jest skał, nieszczęsna łódź kierować musimy” — zapisywał Czartoryski, którego znów Metternich nazywa widmem sprawy polskiej. Nie zdołał ocalić ani Poznania, ani Torunia, ani nawet Krakowa dla powstającego Królestwa; ale zdołał wybronić wśród niesłychanych przeciwnostw samo istnienie Królestwa Polskiego, jako konstytucyjnego państwa. Zdołał wprowadzić do traktatu zdanie, że cesarz Aleksander zastrzega sobie nadanie temu państwu ciągłości (ze strony Rosji) jaką uzna za właściwą: zapowiedź to była wyraźna, przyłączenia części ziem zabranych.

Więcej jeszcze, wyzyskując platoniczne deklaracje na temat praw narodu polskiego, którym Castlereagh i Talleyrand dali

początek, a do których Metternich ostentacyjnie się przyłączył, zdołał książę do traktatu wprowadzić postanowienie, że „polscy poddani Rosji (poza Królestwem Polskim), Austrii i Prus mają otrzymać przedstawicielstwa i instytucje narodowe, dostosowane do rodzaju bytu politycznego, jaki każdy z rządów, do których przynależą, uzna za pożyteczne i właściwe im nadać”. Było to zobowiązanie mgliste i giętkie; mogło dawać wiele, albo nic, ale przez nie te same mocarstwa, które w latach 1795 i 1797 orzekły zagładę imienia polskiego, uznawały teraz fakt, że naród polski jest, żyje, że domaga się uznania swych praw. W perspektywie dziejowej był to zwrot doniosły i już nieodwracalny.\*)

Dnia 25 maja 1815 roku cesarz Aleksander, zatwierdzając zasady konstytucji Królestwa wypracowane w myśl wytycznych ustalonych we wrześniu w Puławach, delegował księcia Adama do Warszawy jako rzecznika swoich myśli i zamiarów, z pełnomocnictwem co do wprowadzenia nowych instytucji w życie. Wprowadzony oficjalnie do Rady Najwyższej jako zastępca jej prezesa, Łanskoja, książę Adam miał przez kilka miesięcy decydujący wpływ na Radę i wszystko co się działo w Warszawie i w kraju. Dokonał w tym czasie ogromnego twórczego wysiłku: zorganizował państwo, którego był twórcą i w przekonaniu wszystkich miał być rządcą z ramienia króla.\*\*)

Zastał przecież w Warszawie innego rządcę w osobie wodza naczelnego, wielkiego księcia. Niebezpieczeństwa wynikające z charakteru Konstantego przewidywał z dawna. Usiłował skłonić Aleksandra, by powierzył naczelne dowództwo Kościuszcze, co dla obu stron było zresztą nie do przyjęcia. Nie mógł stary republikanin dowodzić królewskim wojskiem, przyłączonym do cesarskiego rosyjskiego, a samo jego pojawienie się w Warszawie przed załatwieniem sprawy ziem zabranych było niepodobieństwem. Szeregiem listów ostrzegał Czartoryski monarchę ze zwykłą bezwzględnością i szczerością przed postępowaniem wielkiego księcia, stwarzającym stan samowoli i chaosu w administracji wojskowej, niepewność w funkcjonowaniu władz rządowych, zaniepokojenie w społeczeństwie i zachwianie zaufania. Przesyłał projekt dekretu odwołującego Konstantego na dowódcę gwardii.

Tej walki wygrać już nie zdołał. W listopadzie, z przybyciem cesarza do Warszawy, on sam przejął w ręce sprawę Królestwa, brata traktując jako swego rzeczywistego zastępcę, Nowosiłcowa (który już Czartoryskiego zdradzał i obmawiał) jako głównego doradcę; z Polaków miejsce księcia w zaufaniu monarchy zajmowali już układniejsi, jak Ignacy Sobolewski, mianowany

\*) Co do kongresu i roli Czartoryskiego, poza pracą Handelsmana, gdzie liczne cenne cytaty z dziennika i korespondencji księcia, trzeba sięgnąć do pracy Askenazego **Polska i Europa**, do monografii Wawrzkołowicza i dzieła Webstera o Castlereagh'u, oraz do monografii Lacour Gayet'a o Talleyrandzie.

\*\*) O księciu Adamie jako budowniczym Królestwa zobacz poza książką Handelsmana szkic Askenazego **Założenie Królestwa Polskiego** (Szkice i Portrety).

sekretarzem stanu, lub służbiści ślepo ulegli jak stary inwalida Zajączek.

Nie wiemy co zaszło między cesarzem a księciem w dramatycznej, nocnej rozmowie 2 grudnia, z której twardy zwykle książę Adam wyszedł jakby oszołomiony ciosem. Czy może monarcha przyjaciel dał mu poznać, że nie znieśie już przy sobie kogoś przemawiającego trochę tonem mentora, trochę jak głos sumienia, że dla współpracy z nim nie poświęci brata i nie narazi sobie Rosjan do reszty? Czy może Czartoryski upominał się o dekret o przyłączeniu ziem zabranych? Czy była mowa jeszcze o Elżbiecie, nalegania o zgodę na rozwód, ponowna ostra reakcja? Pozostajemy zdani na domysły. Jedno zdaje się pewne, że Aleksander miał przyjaciela polskiego dosyć; zbyt lubił się podobać, by nie było dlań nieznosne, że nigdy prawie nie podoba się księciu Adamowi.

Książę zapisywał w dzienniku: Zdaje się, że moja rzecz skończona. Postawienie na nogach jakośkolwiek biednej Polski było moją pensją... Więc ja zawód swój dobiegłem. Niech inni teraz pracują; znajduję się może później”.

Tak ułomny, okaleczony twór, który był przecież dziełem jego niezmiernych tyloletnich wysiłków, odebrano mu z rąk. Jego wielkie idee organizacji Europy w Ligę wolnych narodów już przed tym zrealizował Aleksander w mocno odmiennym sensie, jako Święte Przymierze monarchów przeciw narodom.

## VII.

### Zmierzech przyjaźni

Mianowany senatorem wojewodą Królestwa Polskiego, odtąd „książę wojewoda” na resztę tak jeszcze długiego życia, książę Adam miał zdaje się zamiar zachować pewną rezerwę w sprawach politycznych, poświęcając się głównie pracy społecznej, sprawom kultury narodowej, kuratorium wileńskiemu, a także stwarzając sobie nareszcie przez małżeństwo z księżniczką Anną Sapieżanką własny dom rodzinny. Ale sprawa polska w konsekwencji tego rozwiązania, do którego tak dzielnie przyłożył rękę, dobijała się do świadomości i sumienia Polaków, domagała się nowych wysiłków. Już w roku 1817 książę wypracowuje plan akcji na skalę europejską w obronie sprawy polskiej. Rządy w kraju, samowola wielkiego księcia, rozkładowa robota carskiego komisarza, Nowosilcowa, teraz już ze szczerem zgangrenowanego moralnie hulaki, grabieżcy, szpiega i sadysty, zmuszały go do dalszego odwoływania się do monarchy. Na Sejmie 1818 roku zaznaczyła się rola przewodnia Czartoryskiego w opinii i pracach sejmu; on nadawał im bieg umiarkowany ale krytyczny w stosunku do rządu i z godnością zwracający się do monarchy w sprawach potrzeb kraju. Uwagi komisji sejmowej król osobistą adnotacją uchylił. Książę w dalszych sejmach Królestwa za Aleksandra nie brał odtąd udziału.

Tragicznie wikłały się jego losy z losami uniwersytetu i kuratorium wileńskiego. W sprawy te wkładał wiele pracy i serca. Bliski się czuł młodzieży wileńskiej, niesłuchanie wtedy duchowo rozbudzonej, od samego początku doby kongresowej konspiracyjnej, kierowanej przez związek „Filomatów”, objętej liczną organizacją „Promienistych”, później ściślejszą a tajną „Filaretów”. Oczywiście nie miał racji informator „senatora” z „Dziadów”, że „te wszystkie spiski kieruje, jak wiem pewnie, książę Czartoryski”; na pewno jednak dużo on wiedział, powściągał jak mógł i póki mógł osłaniał. Tu przyszło uderzenie mające ugodzić w całe dzieło Czartoryskiego w Wilnie i ziemiach zabranych i w niego samego. Nastąpiły pierwsze aresztowania uczniów wileńskich, częścicowe wykrycie — przy pomocy prowokacji — ich organizacyj tajnych, Nowosilcowa jako delegat cesarski w Wilnie, masowe już prześladowanie uniwersytetu, szkół, młodzieży na Litwie, daremne wstawienictwo u cesarza, podanie się po raz ostatni do dymisji z urzędu kuratora, powierzonego wkrótce zwycięskiemu Nowosilcowowi, aby był uniwersytetu i polskiej autonomii kulturalnej na ziemiach tych grabarzem.

Z trudem dotarł Czartoryski do cesarza przejeżdżającego przez Królestwo na noclegu w Wołosowcach 31 października 1823 roku. Była tu długa rozmowa z Aleksandrem i osobno z Elżbietą. Grzebano się boleśnie w popielisku umarłych nadziei, wygasłych uczuć. Od cesarza książę niczego prócz dymisji nie uzyskał. Rozmowa z cesarzową rozszarpała zabliźnioną ranę, gorzka pamięć o jej nieszczęśliwym, złamanym życiu. Widział ją wtedy Czartoryski po raz ostatni.

W dwa lata później nastąpił nieoczekiwany zgon Aleksandra. Elżbieta wkrótce poszła w ślad za nim.

Ale zanim oni pomarli, umarł już wtedy, w Wołosowcach, ich związek duchowy z księciem Adamem i z Polską. Tam był koniec dramatu osobistego ich trojga. Tam również kończył się potężny dramat przyjaźni samowładnego cesarza Wszechrosji z mądrym, dumnym, śmiałym i upartym Polakiem. Tam kończył się dramat współpracy tych dwóch ludzi nad stworzeniem nowej epoki w stosunkach wzajemnych dwóch ich narodów, nad rozwiązaniem w duchu braterstwa sprawy dziejowej pomiędzy Rosją a Polską, wbrew przemożnym oporom bezdusznej politycznej rzeczywistości i nie mniej potężnie piętrzącym się oporom psychicznym ze stron obu.

Marian KUKIEL.

## Z dialektyki postępu

Obrzymie fabryki konserw w Stanach Zjednoczonych wyrabiają między innymi to co w Polsce nazywamy boczkami. Jednak boczki amerykański wychodzi z fabryki nie jak u nas w formie kawałka wędzonej słoniny, przerośniętej mięsem, ale w postaci wstęgi grubości kilku milimetrów, zwiniętej spiralnie i w ten sposób, że warstwy tłuszczu nie stykają się ze sobą, ale są przedzielone drugą równoległą spiralą cienkiego przezroczystego papieru. Jest to swego rodzaju arcydzieło. Pewien entuzjasta amerykańskiego boczku opowiadał mi z przejęciem o tym, do jakiego stopnia doskonałości doszła technika jego fabrykacji. Z tego opowiadania utwił mi w pamięci jeden szczegół. Oto rzeczą bardzo ważną jest, aby grubość spiralnie nawijanej słoniny była jednolita. Każda nierówność grozi zachwianiem wagi, która, jak głosi napis na puszcze, ma wynosić ileś tam uncji. Waga mniejsza godzi w klienta. Waga większa — w fabrykanta. Oba odstępstwa w sanctissimum kapitalistyczne, w kalkulację. Toteż osoba pilnująca jednolitości rytmu nawijanej słoniny jest bardzo dobrze płatna. Ta współczesna westalka stojąca nieprzerwanie na straży słoninowego marszu w nieskończoność jest osobistością uprzywilejowaną. Pracę ma, choć ważną i odpowiedzialną, ale „lekką”. Tak twierdzi entuzjasta amerykańskiego boczku. Ale tutaj chwytam go za rękaw i proszę o chwilę zastanowienia. Z pozoru sądząc praca jest rzeczywiście łatwa. Nawet upokarzająco łatwa. Słonina idzie „sama”. Pracownica nie potrzebuje jej dotykać. Może stanąć przy maszynie nie narażając na najmniejszy szwank swej „trwałej”, z paznokciami wylakierowanymi na kolor surowego mięsa. Praca jej polega na czymś tak prostym jak przekręcenie guzika przy odbiorniku radiowym. Zadaniem robotnicy jest okiełznanie złośliwego irracjonalizmu maszyny, która jak na potrzeby ludzkie, wciąż jeszcze jest za mało „mechaniczna” i robi kawały. Ta lekka praca trwa naturalnie osiem godzin dziennie, nie dopuszcza żadnych przerw, żadnego „myślenia o czymś innym”. Angażuje wszystkie siły duchowe człowieka. Osiem godzin dziennie niewolniczego posłuszeństwa maszynie. Niewolniczego — dosłownie. Bo nie chodzi tu o bierny posłuch, ale o „patrzenie w oczy panu”, zgadując wszystkie jego zachcianki. Ten „pan” wprawdzie nie bije i nie karze, ale robi coś

gorszego. Absorbując energię człowieka w sposób daleko bardziej bezwzględny od żywego despoty.

Ale rzeczywistość zdaje się przeczyć tym oskarżeniom. Bo jakże. Amerykańska słoniniarka jest wesoła, chodzi do kina, ładnie się ubiera, ma najczęściej narzeczonego lub męża i (w tym ostatnim wypadku) rodzi dzieci, które potem pięknie wyczesane prowadzi na spacer. To wszystko prawda. Jednak cena tego zadowolenia jest bardzo wysoka. Aby je sobie kupić, trzeba osiem godzin życia co dnia oddawać maszynie. To znaczy oddawać je na użytek urządzenia, którego się najczęściej nie rozumie, a któremu winno się absolutne posłuszeństwo. Bódkę sumują się tu jak przy działaniu narkotyków. Kilka zastrzyków nie pozostawia śladu. Trwałe zażywanie narkotyku — wtrąca człowieka na dno piekła. „Cóż wielkiego przez osiem godzin dziennie kręcić guzik raz w tę, to znowu w tamtą stronę”. Nic wielkiego. Ale systematyczne uprawianie tak bezmyślnego zajęcia zubaża człowieka tak bardzo, że to już graniczy z unicestwieniem. Piekło mechanizacji jest o wiele łagodniejsze od piekła narkomana. Pointą jego nie jest męka — lecz nicość. Człowiek zaczyna się powoli w nią zapadać. Ten proces nie przechodzi naturalnie bez oporu. Historia tego najtragiczniejszego „ruchu oporu”, tego metafizycznego „maquis” jest historią samej ludzkości pchniętej na drogę, którą eufemicznie nazywamy „postępem technicznym”.

Fenomenologię tego procesu zwykliśmy czerpać z życia U.S.A. Jest to ułatwienie niesprawiedliwe i niebezpieczne. Jeśli Ameryka istotnie dostarcza najjaskrawszych przykładów, to nie dlatego, że Amerykanin najłatwiej ulega wykołajeniu, ale dlatego że w Ameryce, a nie gdzie indziej mechanizacja osiągnęła punkt najwyższy.

Opór społeczeństw stechnizowanych przeciw grożącemu im wyniszczeniu idzie dwiema drogami. 1) Przez szukanie wyrównania w ramach pewnych systemów ratowniczych i 2) Przez wyryki ogłuszające, które swą gwałtownością mają zapewnić odczuwaną pustkę. Do pierwszego rodzaju zaliczam urządzenia mające na celu powrót człowieka do tego co traci w ciągu codziennego obsługiwania maszyn. A więc ogródek z grządką na której „własnoręcznie” sadi sałatkę i pietruszkę, bezpretensjonalne domki — antydrapacze chmur, wznoszone na peryferiach wielkich miast, naiwne staroświeckie oberże z wiejskim kościółkiem opodal, który ma budzić wspomnienie „prostej dziecięcej wiary” ojców i dziadów. Sentymentalny kult dawnych tradycji w godzinach pozabiurowych i pozafabrycznych. Do tej kategorii urządzeń zaradczych należy również sport. Daje on człowiekowi (pomijając sporty czysto techniczne, jak automobilizm i lotnictwo) wrażenie utraconego corps à corps z siłami przyrody, od których go oddala mechanizacja, wrażenie walki na własną odpowiedzialność.

To jest, aby tak rzec, legalny drenaż nagromadzonej ropy. Jest również drugi kanał burzliwy i mętny, sprowadzający groźne roz-

lewy. Kanał, który każdy wedle własnych środków i fantazji sam sobie kopie. Ciemny, przepastny kanał wybryku i dziwactwa. Czy to będzie obłąkane jakieś kolekcjonerstwo, czy urządzone nakładem olbrzymich środków zderzenia pustych rozpedzonych pociągów — mniejsza o to. Nie chodzi o wyczerpanie fenomenologii, wystarczy wskazać kierunek. Jaki jest motor tych wybryków? Czego człowiek w nich szuka? — Człowiek chce nareszcie zrobić coś **na własną rękę**. Ale nieszczęsny poszukiwacz indywidualnego gestu jest w położeniu bezrękiego rzuconego do wody. Bo utracił już miary, kryteria, nałogi, które są instrumentami działania w ramach bezpośredniej wymiany sił pomiędzy człowiekiem i światem zewnętrznym. Obsługując maszynę, wyostrzając swoje zmysły, uwagę, pamięć i obserwację w jednym narzuconym z zewnątrz kierunku — staje bezradny wobec świata zjawisk i przedmiotów, na które pragnie oddziaływać, bezpośrednio, indywidualnie. Bo na to trzeba by mieć dawne przez wieki zdobywane i kształcone, a w ciągu ostatniego stulecia utracone, bogactwo środków działania i ich precyzję. Starą wiedzę o rzeczach. Ale człowiek już przeciął — kazano mu przeciąć — tę biegnącą z oddali czasów wstęgę doświadczeń. Złożona w nich mądrość zamarała w nim, jak zamiera instrument muzyczny, trzymany w wilgoci. Ratunek ukazuje mu się tylko w jednej postaci: zapomnienia, zagłuszenia.

Dlaczego mechanizacja doprowadziła do tych wyników?

Pojęcie „mechanizacji życia” zawiera następujące momenty. 1) Szybkość produkcji. 2) Jej maksymalną wydajność. 3) Zminimalizowanie wysiłku. 4) Zminimalizowanie ryzyka.\*) Zależność wzajemna tych czterech momentów jest absolutna, tzn., że nie można osiągnąć dwóch pierwszych wyrażających punkty dojścia mechanizacji, bez dwóch następnych. Nie można osiągnąć szybkości i wydajności bez zminimalizowania wysiłku i ryzyka.

Co wyrażają dwa ostatnie punkty ze względu na stosunek człowieka do świata zewnętrznego? Wyrażają oddalenie człowieka od tego świata: oddalenie fizyczne i moralne. Bowiem maszyna jest to instrument, który pozwala wyprodukować pewne przedmioty z minimalnym wysiłkiem fizycznym i bez żadnego udziału duchowego człowieka w procesie produkcji. Maszyna różni się zasadniczo od narzędzia, które powtarza pracę rąk ludzkich, podnosząc jej sprawność, ale idąc po wytyczonych przez nią drogach. „Ambicją” maszyny jest tego uniknąć. Maszyna „idealna” będzie to taka maszyna, do której wrzUCA ale surowiec, by otrzymać wprost żądany produkt. Maszyny nie doszły jeszcze do tego punktu doskonałości, ale ludzkość popycha gwałtownie ich rozwój w tym kierunku. Wiele z nich zachowało częściowo charakter narzędzi. Wszakże maszyny „do-

\*) Przez ryzyko rozumiem tutaj ryzyko indywidualne, przede wszystkim fizyczne. Mechanizacja minimalizując je, otwiera drogę innej formie ryzyka: handlowego, którego napięcia i dramaty pogłębiają jeszcze otepienie, płynące z wymienionych przyczyn.

bre” odsłaniają już ten charakter oddalenia bardzo wyraźnie.

Nastawianie dźwigni, przekręcanie guzików, pociskanie pedałów, — wszystkie te czynności nic nie mają wspólnego z tymi czynnościami, które musiałby wykonać człowiek, chcący ręcznie wyprodukować przedmiot. Pomiedzy człowiekiem, a wytwarzanym przedmiotem stanęły siły anonimowe w postaci z jednej strony energii napędowej, z drugiej mechanizmów wprawiających tę energię w działanie. On, człowiek, nie jest już wytwórcą. Jest tylko **pośrednikiem** pomiędzy pierwszym i drugim ogniwem oraz kontrolerem uzgadniającym ich działanie. Przedmioty powstają, lecz nie są wytwarzane. Tym samym następuje zasadnicze przesunięcie granicy pomiędzy światem zewnętrznym i człowiekiem. Stół, lampa, krzesło nie są dziś bardziej „humanistyczne” niż kamień lub wodospad. Człowiek już nie odnajduje w nich wyrazu swych zamierzeń kształtujących, narzuconych materii. Użytkowość tych przedmiotów jest ostatnim odbiciem ograniczonej i onieśmiałej inicjatywy człowieka, poddanej nakazom mody, kalkulacji fabrycznej, nastawionej na olbrzymią ilość powtórzeń.

Rękompensatą tych wszystkich okaleczeń ma być jakiś domek à l'antique zamówiony przez znużonego burżuazję według katalogu architekta-fabrykanta, stawiającego takie „nastrojowe” domki en masse.

Jesteśmy na zakręcie. Zniszczenia, którymi grozi ludzkości wciąż postępująca mechanizacja, są tak oczywiste i tak wielkie, że nie mogły ująć uwagi nawet entuzjastów techniki, tych oczywiście, którzy nie wyobcowali się jeszcze z kręgu kultury i historii. Z tego też obozu dochodzą nas głosy pocieszenia. Zbliżają się one w jednym twierdzeniu postawowym. Oto wszystko zło ma wynikać nie stąd, że technizacja jest za duża, ale owszem, stąd właśnie, że wciąż jeszcze jest za **mała**. Proszę pomyśleć, powiadają, jak długi jest wciąż dzień pracy robotnika fabrycznego, technika, inżyniera. Dlaczego? Oczywiście dlatego, że maszyna nie jest dość sprawna. Niech będzie 10., 100, 1000 razy sprawniejsza w stosunku do obecnej, a człowiek przestanie być jej niewolnikiem. Będzie niemal dosłownie pracowała za niego. Może dwie, trzy godziny dziennego dozoru maszyny wystarczą, aby wydobyć z nich to, co z nawiązką zaspokoi potrzeby ludzkości. Wykrycie energii międzyatomowej otwiera zwoleńnikom tego poglądu perspektywy prawie nieograniczone. Praca górników stanie się niemal zbędna, poitanie energii napędowej będzie tak wielkie, iż mamy wszelkie dane spodziewać się przewrotu w ekonomice ludzkości. Przewrotu, który uczyni zbędną walkę klas, wojny, który upowszechni dobrobyt i obdarzy ludzkość taką ilością wolnego czasu, jaką dotąd nigdy jeszcze nie rozporządzała. A skoro człowiek będzie miał c z a s, to na cóż ma go obrócić, wolny nareszcie od trosk o swój byt, jeśli nie na rozwój wyższych dziedzin ducha: nauki, sztuki? Wszystko schodzi się ślicznie jak w sprawozdaniu buchalteryjnym. Krańcowa mechanizacja życia zamiast klęski, miałaby

przynieść ludzkości nieprzeczuwane triumfy jej geniuszu twórczego. Cokolwiek by się myślało o tych rojeniach technokratów, jedno trzeba przyznać, że nigdy jeszcze mit **szczęśliwości przez opanowanie materii** nie miał podstaw szerszych i mocniejszych. Nigdy nie narzucał się z siłą bardziej kuszącą, nigdy nie rozporządzał argumentacją bardziej efektowną. Żyjemy w wieku, kiedy bardziej niż kiedykolwiek „*dificile est utopiam non scribere*”. Czy jednak to utopia nie obróci się w (mimowolną) satyrę?

Krytyki poglądów technokratycznych mają jedną słabą stronę, która zresztą zapewnia im popularność w pewnych środowiskach. Oto za prędko chwytają się przesłanek mistycznych. Rozważając stan ludzkości, opływającej we wszelkie dostatki, które dają dobrobyt zupełny i pokój, zbyt łatwo mówi się, że to niemożliwe. A kiedy się tym krytykom wskazuje podstawy usprawiedliwiającej podobne oczekiwania, wołają, że taka szczęśliwość jest złudna, pozorna, że losem naszym na ziemi jest ból i walka, a nie spokój i szczęśliwość. Te pełne patetycznej swady twierdzenia sprawiają na mnie takie wrażenie, jakby wygłaszającym je ludziom zależało na umieszczeniu owych decydujących racji poza kręgiem ludzkiego doświadczenia, na nadaniu im postaci dekretów nieodwracalnych, niedostępnym analizie, odciętych od dróg, którymi doświadczenie ludzkie przebija się od wieków, tworząc cywilizację. Są imponderabilia, niewątpliwie. Niech będzie, że ostatecznie one o wszystkim decydują. Ale na pewno złe są rozumowania, w których imponderabilia spełniają czynności „dziewczyny do wszystkiego”. Im dalej odsuńmy ścianę wielkiej niewiadomej, tym mocniejszą wzniesiemy budowlę. Bądźmy spokojni, wszystkiego nie dowiemy się nigdy.

A teraz wyobraźmy sobie ludzkość uszczęśliwioną wszystkimi pokojowymi, zdobycami atomistyki i w chwilkach wolnych od pracy oddającą się zajęciom zmiecionym, lub prawie zmiecionym, z powierzchni życia przez współczesną technikę. Ludzkość powracającą dobrowolnie do rzemiosła, do architektury nie czysto użytkowej, lecz dawnej artystycznej, do wyszukanego meblarstwa, tkactwa itd. Dziś już można powiedzieć, że wartość tych wysiłków ze względu na cel, który sobie stawiają, a którym jest powrócenie godności i wagi wytworom ducha i rąk ludzkich nie będzie większa od wartości kampanii ogródkowej, której jesteśmy świadkami. Bo obie **nie są podyktowane koniecznością**. Są dyletancką wycieczką w dziedzinę, której nie można opanować tańszym kosztem niż za cenę walki o byt. Po prostu widzimy tu próbę zastąpienia pracy rozrywką, raz (w ogródkowej kampanii) pomyślaną bezpretensjonalnie, to znowu przybraną w wyzwolenczą frazeologię.

W okresie przedmechanistycznym praca zawodowa architekta, stolarza, płatnerza, cyzelatora i tylu innych rzemieślników zajmowała położenie centralne w ich życiu. Była równocześnie podstawą bytu materialnego tych ludzi i ich punktem honoru. Była drogą do zdobycia poczesnego miejsca w społeczeństwie.

Błąd stawał się źródłem nie tylko straty materialnej. Był porażką osobistą, z której człowiek musiał się podnieść. Praca ręczna zawieszając nad człowiekiem swoje niezmiernie twarde prawa, podyktowane strukturą przyrody oraz sił duchowych i fizycznych samego człowieka, utrzymywała go w stałym pogotowiu uczciwości i prawdy. Tej uczciwości i tej prawdzie mógł się sprzeniewierzyć, ale wiedział, że czyniąc to, podpisuje wyrok na siebie samego. Nawet ta najwstydlwsza dziedzina duszy ludzkiej, którą jest pragnienie zaszczytów i wyróżnień, doznawała oczyszczenia. Bo pozycja społeczna dobrego rzemieślnika, artysty, nie spadała na niziny synekury. Utrzymywana była w swym blasku niesłabnącym wysiłkiem człowieka, wciąż potwierdzającego postępek swych trudów prawdziwość zdobytej pozycji.

Cały ten system zależności pomiędzy człowiekiem i światem zewnętrznym rozwijał się tak długo, jak długo ich zetknięcie wyrażało się w walce. Ustaje z chwilą, kiedy człowiek poczyna czerpać wszystkie dobra potrzebne do życia z działania sił anonimowych, ujarzmionych przez mechanizmy, których on jest tylko dozorcą. Stykanie się z surową materią życia w znaczeniu przedmechanistycznym staje się zajęciem dorywczym, nieobowiązuującym. Magistralna rozmowa człowieka z naturą została przerwana. Człowiek już tylko **odwiedza przyrodę**. Jego stosunek do niej nabiera cech „towarzyskich”, rozrywkowych. Zamiast walki — turystyka i piknik.\* Człowiek ugina się pod ciężarem mechanizacji i pragnie nieraz z tragiczną namiętnością uprawiać te rodzaje pracy, które zachował we wspomnieniu, do których jest przywiązany, które zna z lektury. Ale nie jest tak dobrze, aby można sobie powiedzieć, niech sobie świat będzie zmechanizowany — nic mnie to nie obchodzi. Ja tu u siebie będę budował średniowieczne katedry. Już tak jest, że dopiero nacisk konieczności stwarza dzieła trwałe. A konieczność ma to do siebie, że jej nie można naśladować. Takie są „koszta” produkcji cywilizacji ludzkiej i nic tu się nie da się wytargować. Nie ma w tym co mówię żadnej mistyki. Po prostu opór stawiany przez materię zmusza do wysiłków prowadzących w głąb struktury rzeczy, odkrywa związki i dziedziny, do których inne, łatwiejsze drogi nie prowadzą. W wieku mechanizacji może powstać tylko styl odpowiadający tej formie konieczności, która się dziś przejawia: dyktaturze maszyny.

Zmechanizowanie dążące krokami olbrzymia do opanowania wszystkich dziedzin życia, wytworzyło nowy układ wartości, na którego pewne momenty pragnę zwrócić uwagę. Charakterys-

\*) Nieodzwonne czciciele współczesności wytkną mi heroiczne wysiłki Amundsenia i tylu innych, którzy jako uczeni, wynalazcy, technicy, cierpieli świadomie, «poświęcając się dla dobra ludzkości». Nie przeczę faktowi poświęcenia, który, biorąc sprawę intencjonalnie, ma cechy wielkości moralnej. Niemniej prawdą pozostaje, że wysiłki i ofiary tych ludzi prowadzą w konsekwencji do zniszczeń, które nieuchronnie pociąga za sobą mechanizacja. Jest to nałóg, od którego warto się odzwyczaić: mieszanie gestu, intencji, porwy, z łańcuchem obiektywnej przyczynowości, która poprzez gest działa.

tyczny dla epoki mechanizacji jest panujący antydemokratyzm duchowy, kontrastujący z powszechnym niemal kultem demokracji politycznej. Ma on swe źródła w centralizmie intelektualnym, który sprawia, że klucze do rozwiązania wszystkich (materialnych, a pośrednio duchowych) zagadnień życia spoczywają w ręku niewielkiej grupy specjalistów sprawujących dyktaturę. Są to technicy i kalkulatorzy. Obie sprzymierzone grupy narzucają swój system pozostałej ludzkości w sposób wykluczający wszelki sprzeciw. Żadna „opozycja”, żadne „maquis” nie są do pomyslenia. Przyjęte dogmaty minimalizacji wysiłku i ryzyka rozcinają wszystkie zawężania w sposób nie znoszący oporu. Mają fatalizm niehumaniczny, fatalizm inercyjny. Przez to nie dają okazji do buntu. Despota jest niezwalczony, bo nieuchwytny. Operuje bronią abstrakcyjną i tylko bardzo niewielka ilość ludzi zdaje sobie sprawę z jego założeń celów i metod. Co więcej, sam despota jest automatem ludzkim, wprawionym w ruch przez swych poprzedników. Tym ludziom nie przychodzi w ogóle na myśl, aby można było wyłamać się z systemu któremu służą, ba, że możliwa jest jakaś krytyka tego systemu.

Cóż dopiero mówić o człowieku „przeciętnym”, „szarym”, który stał się pseudo-beniaminkiem polityków i działaczy społecznych okadzanym komplementami. Jest to postać milcząca i w tym milczeniu zamurowana. Postać, która sprawuje na różnych szczebelach organizacji czynności dozorczy maszyn. Dozoruje procesy, które odróżnia czysto zewnątrznie, z których istoty najczęściej nie zdaje sobie sprawy. Tym samym zlikwidowana została cała rzeczywista hierarchia pracownicza, to znaczy świadoma swych celów, na korzyść mechanicznej organizacji dozorców. Demokrację ducha pochłonął totalizm maszynowy.

Spustoszeń drapieżnego dogmatyzmu odsłoniło nam wcale nie średniowiecze, ale odsłoniła je dopiero epoka dyktatury technicznej. Heretyk, który tyle sprawiał kłopotów dawnej ortodoksji, nie ma w dzisiejszym systemie żadnego wpływu i żadnego głosu. Jest dziwakiem, którego mamrotanie tak doskonale zagłusza stuk maszyn fabrycznych i arytmometrów, że nie ma nawet potrzeby stosować do niego ostracyzmów. Jeśli korzysta z wolności słowa, to tylko dlatego, że „ortodoksja” jest pewna, iż nikt go nie słucha. Siła z jaką dogmaty mechanizacji narzucają się ludzkości jest dlatego tak wielka, że do istoty systemu należy z a m a c h n a c z a s. Ludzkość została wciągnięta w tak oszałamiający ruch obrotowy, że każde „zagapienie się” grozi porażką. Chcąc utrzymać się na powierzchni życia, trzeba porzucić wszystkie refleksje krytyczne i czym prędzej wskoczyć do biegnącego pojazdu, który ludziom spodobało się nazwać postępem technicznym. Rzeczywiście, postąpiło tempo życia. W tym przynajmniej punkcie bilans postępu jest niewątpliwy.

Powstanie nowego wynalazku prowokuje natychmiastowe walki konkurencyjne, „Wariat” chyba próbowałby „traścić czas”

na zastanowienie się, czy kierunek nowej linii postępu jest zły czy dobry. Człowiek „zdolny”, „energiczny” chwytą okazję w lot, aby pójść dalej drogą, na którą jest pchnięty i którą nauczył się uważać za jedyną drogę, prosto dlatego, że ktoś nią już poszedł.

Wartościowanie charakteru człowieka przesunęło się pod wpływem mechanizacji ku wynoszeniu ruchliwości, sprytu, „rzutkości” w wynajdywaniu i stwarzaniu koniunktur — jako cnót szczytowych. Kto z wiewiórczą zwinnością nie obraca się w biegnącym kole businessu, ten jest „nieżyłowy” i „do niczego” (to znaczy do większych pieniędzy) nie dojdzie. Przeciwnie, la-da łobuz któremu „idą interesy” uchodzi w oczach swych współczesnych za osobę „serio”, staje się człowiekiem „wpływowym” (kategoria, która wyparła dawne określenia „szanowany”, „czcigodny” itp). Nie ma tu żadnego nieporozumienia. Każda epoka ma tendencje całkujące i tępi wyjątki, które przeszkadzają. Epoka mechanizacji odsuwa je na margines życia jako „nieprzystosowane do rzeczywistości”. Nie mogła wynieść na piedestał ani herosa, ani myśliciela, ani świętego, ani artysty. Otoczyła nimbem sławy ruchliwego durnia. Wszystko w porządku.

Ale w człowieku zmechanizowanym żyje — przyduszony wprawdzie, niemy i kaleki, ale żyje jednak — człowiek rzeczywisty. Ci dwaj ludzie ocierają się o siebie, klóćą i coraz mniej się wzajemnie rozumieją. A przecież świat starych wartości jest wciąż jedyną ostoją, na której człowiek się wspiera w momentach zachwiania. Taki stan rzeczy prowadzi do krańcowego konserwatyzmu i ekskluzywizmu. Jesteśmy skazani na świat starych świętości. Ssiemy wyschniętą pierś przeszłości. Wciąż operamy się o partenon, colosseum, o Pompeje, o pozostałe tu i owdzie resztki katedr gotyckich. Krąg ludzi mających dostęp do tej starej skarbnicy piękna jest niezwykle wąski. Są to archeolodzy, historycy sztuki, coraz rzadziej artyści i pisarze. Człowiek „zwykły” karmi się okruchami ich wiedzy wylapywanymi z obrazkowych magazynów, dobrze jeśli z encyklopedii. Nie trudno sobie wyobrazić, że dalsze trwanie tej posuchy oddali człowieka od świata starej kultury, niezasilanej świeżymi przyprawami, nie bogaczonej dziełami powstającymi w naszych oczach; oddali tak dalece, że oddziaływanie antyku stanie się samo legendą, której rapsodów ludzkość będzie słuchała z coraz większym roztargnieniem.\*)

Nie zdajemy sobie dość jasno sprawy z tej tragicznej okolicz-

\*) Nie jesteśmy już dziś dalecy tego stanu. Wells, zapytany w sprawie potwornych strat, które poniosły zabytki architektury wskutek działań wojennych, odpowiedział, że nie należy się tym przejmować, gdyż sztuka fotografii i rekonstrukcji jest tak rozwinięta, iż odbudowanie zburzonych zabytków nie przedstawia dla specjalistów szczególnych trudności. Czyli Wells, umysł bądź co bądź wybitny, nie rozumie już tego, że zbudowanie dziesiątą katedry gotyckiej jest kłamstwem, że byłaby to dyletancka reprodukcja dzieła, które w dzisiejszym życiu nie ma korzeni, że na tym polega logika zabytku, iż jest autentycznym świadectwem ubiegłych form życia, głosem minionych dziejów.

ności, że żyjemy w świecie, w którym nic z tego co powstało za naszej pamięci (i za pamięci naszych ojców, po części dziadów) nie stanie się nigdy z a b y t k i e m Gdyby los Pompei spotkał dzisiejsze miasto drapaczy chmur, zmiatając przy okazji „cudną” dzielnicę willową, tego miasta, byłoby to wydarzenie, ze stanowiska kultury, pozbawione wszelkiego znaczenia. Nikomu by na myśl nie przyszło — i słusznie — zachowywać ocalałe fragmenty. Nikt, prócz materialnie poszkodowanych właścicieli, nie pożałowałby tego co zginęło, nie wyłączając architektów, którzy kiedyś wzniesli zburzone budowle. Ci by się nawet ucieszyli, gdyż ewentualna odbudowa rokuje słone zarobki. Jedyłą konsekwencją katastrofy byłoby uprzątnięcie gruzów.

Tu jednak trzeba powiedzieć, że śmierć sztuki nie jest zupełna i — można zaryzykować prorocstwo — nigdy zupełna nie będzie. Przychodzi mi na myśl genialna uwaga Flauberta, że każdy przedmiot staje się piękny, jeśli mu się dość długo przypatrywać. Sprecyzujmy: każdy przedmiot staje się piękny, jeśli go dość dobrze poznamy. Flaubert pisał najczęściej o rzeczach „brzydkich”, które stawały się piękne wskutek przeniknięcia ich siłą artystycznego widzenia. Siłą, która odślania p o w a g ę bytu tkwiącą u spodu w s z y s t k i c h rzeczy. Tej sztuce rzeczywiście nie nie zagraża. Dopóki jest para oczu ludzkich o zdolności artystycznego widzenia, mózg operujący bogatym aparatem skojarzeń i wolą tworzenia sztuki — życie jej nie ustanie. Sztuka nie znająca rzeczy „brzydkich” i „pięknych”, „gorszych” i „lepszych” jest pamięcią ludzkości współrociągniętą z samym życiem człowieka na ziemi. Człowieka jako jedyne rozumne świadka dramatu dziejów. Zmianom ulega tylko pozycja samego artysty w świecie. Jest w każdej epoce odosobniona. Człowiek, który w y r a ż a to, czym inni ż y j ą — jest zawsze wyjątkiem. Jednak to odosobnienie w dzisiejszym świecie powszechnej mechanizacji ma w sobie coś z Golgoty. Oddalenie, na które skazany jest artysta, i tragizm świadczenia, który mu przypada, sięgają krańców wytrzymałości duchowej człowieka. Bo w artyście zbiega się najwyższy obiektywizm badacza z najgorętszym uczestnictwem w tym świecie, o którego wyraz walczy Entuzjazm na wyższych szczeblach bardzo jest podobny do obojętności. Na pierwszy rzut oka również sztuka jest wciągnięta w wir „postępu”, który stał się zawołaniem wieku. I rzeczywiście, w sztuce jest postęp. Nie pisze się, nie maluje, nie rzeźbi dziś tak, jak się pisało, rzeźbiło i malowało wczoraj. Bezpowrotność form jest mimo czasem odwrotnych pozorów, zasadą. Ale co przemija? Nie dzieło, które wiecznie żyje, ale **środki** i technika wyrazu artystycznego, związane z epoką i niepowtarzalne. Jeśli wrócimy do nich, będzie to fałszerstwo albo zabawka. (Taką nie pozbawioną wdzięku zabawką literacką był np. fikcyjny dalszy ciąg Pana Tadeusza pióra El...a). Przeciwnie, zdobycze techniki przemijają **całkowicie**. (Następny etap

rozwoju czyni z poprzednich wynalazków bezużyteczne graty.\*)

Ale poza sztuką czystą jest sztuka, która niejako wchodzi w samo życie ludzkości, wytwarzając przedmioty służące potrzebom człowieka, albo upamiętniając ważne wydarzenia z życia narodów. Sztuka będąca też, jak każda sztuka, obiektywizacją intuicji artystycznej, ale równocześnie z bogaczącą świat zewnętrzny nowymi przedmiotami, narzucając mu piętno swej osobowości. Ten właśnie rodzaj sztuki (architektura przede wszystkim) najgłębiej wkracza w życie zbiorowości. Artysta napienia świat swym skrytalizowanym marzeniem. Wciąga człowieka w samo życie sztuki.

O ile sztuka „czysta”, jak koza odżywiająca się byle czym, może się rozwijać w każdym świecie, o tyle sztuka monumentalna i tzw. użytkowa rozwijają się tylko tam, gdzie istnieje obiektywna konieczność ścierania się z materią jako z tworzywem artystycznym. W epoce mechanizacji możliwości jej są prawie żadne i ubożają w miarę „doskonalenia” się systemu. Artysta musi wybierać pomiędzy dyletancką reminiscencją form minionych, a wprawieniem w grę fizyko-geometrycznych właściwości materii, odślanianiem „patosu kolosalności”. Ten moment istniał też w dawnej architekturze. Dziś jest j e d y n ą ucieczką artysty. Człowiek zamknął się w gładkich pudłach współczesnych gmachów, dając świadectwo, że wiekowi zmechanizowania odpowiada tylko „patos geometrii”.

Sumując zebrane obserwacje, należałoby powiedzieć, że uzasadniona jest obawa o śmierć cywilizacji. Nie zamierzam wcale łagodzić ostrości tego wniosku. Pragnę tylko posunąć się jeszcze parę kroków dalej, na drodze dialektyki postępu, sprecyzować przyczyny i warunki katastrofy, okazać niektóre jej konsekwencje.

Każdy kto na tej czy innej drodze doszedł do tak niepokojących wniosków — a dochodzi do nich niejedyn — musi zadać sobie pytanie: czy istnieją obiektywne szanse odwrotu z drogi na którą ludzkość weszła, przyjmując dogmaty mechanizacji?

Radykalne zwroty w historii dzieją się za sprawą idei tak silnych, tak mocno związanych z bytem człowieka, że ta właśnie ich siła wprawia w ruch dźwignie, które wytwarzają nowy porządek zewnętrzny. U podstaw tych przewrotów znajdujemy dwa momenty **sine qua non**: **naiwność** i **gotowość ponoszenia ofiar**. Naiwność, czyli zdolność działania bez żadnych „o ile” i „w danym razie”, bez kalkulacji (nie znaczy to bezplanowo. Znaczy to „bezinteresownie”, choć słowo tak już jest starte i nadużywane, że odczuwa się niechęć przy jego wymawianiu). Idea centralna przerasta swą siłą wyrachowanie. Działanie jest dwuogonowe, od idei do człowieka. Gotowość ponoszenia ofiar („fana-

\*) W dyskusji na temat, tutaj poruszony, padła trafna uwaga, że wytwory techniki są bezwartościowe jako przedmioty dziedziczenia. Pomysł zapisania komuś w testamentie aparatu radiowego z roku 1920 jest śmieszny. Zydeł średniowieczny zachował po dziś dzień swoją pełną wartość.



tyzm" w języku niezaangażowanego widza) jest oczywistym wynikiem takiego stanu duchowego.

Otóż epoka mechanizacji zrujnowała te podstawy. Może nie było w dziejach systemu tak dobrze zabezpieczonego od przewrotu. Zwycięstwo chrześcijaństwa nad politeizmem pogańskim było ukazaniem się nowego ogniska, które zaciemniło dawne (mniejsza o przyczyny, które umożliwiły takie przesunięcie). Dziś sytuacja jest inna. Świat cierpi na bezogniskowość. Bo kalkulacja, ta „dusza” mechanizacji jest właśnie zepchnięciem naiwności na peryferie, rozbiciem poczuć całkujących, zawieszeniem pędu i temu co dotyka problemu „człowieka”, „istnienia”, wszelkiej „metafizyki”. Kalkuluje się zyski. Tym samym wynosi się na najwyższy szczybel zasadę bytu materialnego. Atrakcyjność kalkulacji jest tym większa, że nowoczesny dogmat odbywa się bez propagandy, że jest jasny jak elementarz i konsekwentny jak twierdzenie geometryczne, pod warunkiem nie zagładania na dno przepaści otwierającej się pod nogami rozpedzonej ludzkości. Człowiekowi odebrano czas na zastanawianie się, zbałamucono go „ułatwieniami” w których zbawienność uwierzył. Klęską naszej epoki nie jest „upadek ideałów”. Ideały wciąż się wznoszą i wciąż upadają. Ale w innych epokach podnosiły się potężne siły z łona samych narodów, powracając utraconą równowagę. Tragizm naszej sytuacji na tym polega, że ludzkość uznała swój stan obecny za normalny, a nawet za jedyny zgodny z „naturalnym biegiem rzeczy” (udało się to wskutek bezosobowości propagowanych dogmatów mechanizacji). Myśl o buncie wydaje się absurdalna. Osobliwością epoki jest to, że szaleństwo legitymuje się zdrowym rozsądkiem. Może żadna z epok minionych nie była tak pewna swoich założeń, jak obecna. Kto szuka zupełnej pewności, powinien osiąść na dnie. Znajdzie ją tam niewątpliwie. Co prawda razem z śmiercią.

Katastrofa mechanizacji poczęła toczyć się gwałtownie przyspieszonym tempem w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Ale „optymiści” zapewniają nas, że to tempo jeszcze się zwiększy. Przewidują m. inn. zastosowanie pocisków rakietowych do komunikacji, którą ten nowy wyzalezek znakomicie usprawni. Niewątpliwie. Tylko czy warto będzie tak bardzo się spieszyć po to, aby zobaczyć drugi punkt globu bliźniaczo podobny do tego, z któregośmy wyruszyli? Bo szarańcza mechanizacji dokonała już tej „urawniłowki” na olbrzymich obszarach globu. Upora się łatwo z resztą. — Grodno jest odległe od Królewca chyba nie więcej jak o pięćdziesiąt kilometrów. A proszę pomyśleć jakiego olśnienia musiał doznać podróżny, który tę przestrzeń przebywał koniami. Tradycje Kanta — i Sejmu grodzieńskiego. Krzyżactwo (pobliski Malborg) — i zapadłe siedziby szlacheckie. Smok technizacji pochłania wraz z przestrzenią — człowieka. Planuje zamach na to, co wyróżnia człowieka od pozostałej przyrody — na jego historię. Oddalenie się od przyrody przez mechaniczne opanowanie jej sił kluczowych — prowadzi

do przyrody z powrotem. Do przyrody pogrążonej w swej pierwotnej niemocie. U krańca tak zwanego „opanowania przyrody” czeka człowieka wtopienie się w jej byt anonimowy. To nie są perspektywy, które tylko rysują się fantazji. Droga jest dawno otwarta i ludzkość gna nią na oślep.

Słyszy się często skargi na „zmurzynienie” naszej cywilizacji, na perwersyjny pęd człowieka dzisiejszego do „prymitywu ludów dzikich”. — Widzę w tym raczej resztki zdrowia niż perwersję. Folklor ludów pierwotnych, sztuka dzieci — to ostatnie oazy samodzielności artystycznej człowieka, miotającego się w pętli mechanizacji. Sztuka monumentalna, stwarzająca przedmioty użytkowe wygnana z życia przez mechanizację, da się jeszcze wyśledzić w kopcowanych lepiankach murzyńskich nad Zambezi. Zeszyt z gryzmołami dziecka staje się świętością w świecie, gdzie maszyna z lunatyczną swiata swych posługaczy zajęła miejsce człowieka. Po Berninich i Cellinich dzieci i dzyicy stali się naszymi mistrzami.

Ludzkość pod narkozą mechanizacji traci siły odporu. Czy nastąpi zwrot? — Odpowiedź może być tylko warunkowa. O ile nie wystąpią siły, które sprzeciwiają się obecnemu porządkowi poczną budować nowy — rysować się zdają tylko dwie możliwości otrzeźwienia. 1) Przez doprowadzenie obecnego stanu do absurdu. Krańcowe zasycenie potrzeb ukaże się ludzkości jako cięższe od zniesienia niż niedostatki, którym mechanizacja miała zaradzić. Będzie to otrzeźwienie przez rozpacz. Któż zdoła przewidzieć co pocznie ta zrozpaczona ludzkość? 2) Przez wojnę. Możliwości zniszczenia są dziś prawie nieograniczone. Rozpętanie się nowej wojny światowej\*) nie tylko obróci w niewec resztki ocalałych zabytków kultury, ale doprowadzi do skruszenia materialnych podstaw bytu ludzkości. Mechanizacja pożre swe własne dzieło. Krąg się zamknie.

#### POST SCRIPTUM

Dla uniknięcia dygresji i nawiasów wikłających materię rozważań, którą starałem się skondensować, przenoszę niektóre uwagi, jak sądzę istotne, (częściowo polemiczne) do „post scriptum”.

1) Pragnę rozprawić się z zarzutem, który „naprasza się” przeciwnikom wyrażonych tu poglądów oraz osobom, które nie lubią słuchać nieprzyjemnych rzeczy. Zarzut ten, aż nazbyt popularny, da się streścić w zdaniu: Nie sztuka krytykować. Trzeba w zamian tego co się burzy dać coś pozytywnego. Zarzut jest lichy, adwokacki. Nie mniej doświadczenie poucza, że imają go się ludzie, poza tym zdobywający się na uczciwość

\*) Dziś każda wojna przeobraża się w światową, co też jest wynikiem mechanizacji. Umędzynarodowienie konfliktów politycznych jest rezultatem gęsterania się wielkich potencji technicznych, które opanowały mniejsze narody.

myślową. „Epoka mechanizacji” jest pojęciem równie szerokim jak „cesarstwo rzymskie”, „Chrześcijaństwo”, „Feudalizm”, „Renesans” itd. To „coś pozytywnego”, co miałoby zastąpić panujący dziś dogmat mechanizacji wywiąże się z żywej dialektyki dziejów — albo się nie wywiąże. Ale nie może to być recepta, którą się nosi w kieszonce od kamizelki. Oświetlając w miarę sił i rozumienia „Cywilizację mechanistyczną” przyczyniam się do jej obalenia. Dając recepty, szedłbym śladem technokratów, którzy „raz na zawsze” chcą uszczęśliwić ludzkość wprowadzeniem nowego zbawiennego ustroju. Zasadą moją jest: „być powściągliwym w prorocत्वach i bezwzględny w diagnozach”.

Pod inną postacią powraca ten sam zarzut w podstępny choć naiwnym dylemacie: jeśli mechanizacja jest zła — w takim razie zczyńmy ludzkości powrotu do okresu przedmechanistycznego.\* I tu już czekają na nas różne z góry zamówione zmyry i straszdyła: piramidy budowane ceną tysięcy żyć ludzkich, trąd, morowe powietrze, niewolnictwo, (wszystko co zniósł postęp techniczny na rozmaitych polach) i adwokacka retoryka, która z wyuczonym patosem zapytuje: Więc tego wszystkiego mamy życzyć ludzkości? Uważam ten dylemat za naciągany, „tertium non datur” jest tylko aforyzmem, który oddaje usługi ludziom pragnącym przyprzeć do muru przeciwnika, w odnoszeniu nad nim łatwych zwycięstw słownych. Doświadczenie rzadko przyznaje mu rację. Owszem, najczęściej jest tak, że pomiędzy jakieś dwie możliwości rzekomo ostateczne, wskutek nieustannego narastania treści, można wprowadzić nie jedno, ale kilka rozwiązań. Jeden przesłonięty odcień może być początkiem nowych linii rozwojowych. Ale pozostawmy na chwilę przy dylemacie: mechanizacja albo powrót do epoki przedmechanistycznej. Dla mnie ten dylemat jest równoznaczny z innym: ludzkość nieszczęśliwa — albo skretyniała. To drugie uważam za większe nieszczęście dla ludzkości, niż nieszczęśliwość tout court. No i trzeba by jeszcze zbadać „szczęśliwość” tej skretyniałej ludzkości. Nie wierzę w nią, bo nie mogę połączyć pojęcia szczęścia z pojęciem upadku. Wygnano ze świata mądrość i piękno. Ale nie wprowadzono szczęścia. Prawdopodobnie dlatego, że nie może istnieć bez tamtych.

2) Pragnę podkreślić różnicę pomiędzy naszym kryzysem cywilizacyjnym, a innymi, które notuje historia. Jest istotna. Cywilizacja technokratyczna rozkłada ośrodki kulturotwórcze. Dążeniem jej jest „rozsmarować” kulturę mechanicznie na całą ludzkość. Ta tendencja wyraża się w podawaniu wytworów kultury jako czegoś gotowego do pospiesznej bezpośrednio konsumpcji. Kino i radio spełniają to zdanie. Pół biedy, póki są rozpylaczami humoru, choćby głupiego. Ale oba żerują (zwłaszcza kino) na starej prawdziwej kulturze. Spodlenie wyobraźni przez

\* Chwyt jest na swój sposób efektowny. Perspektywa wyrzeczenia się technicznych ułatwień (począwszy od kuchenki elektrycznej na której grzejemy ranną kawę) napawa przerażeniem. Technizacja wychowała nas na przerażonych niedolęgów.

kino zaszło już bardzo daleko. To urządzenie wyłapujące najtłustsze kawałki z przyrody, z historii, ze sztuki, żeby podlać sosem „sentymetu” i „patosu” markierów bilardowych z podrzędnych lokali podawać je tłumom na spożycie jest wstydem epoki. Człowiek „zwykły” (zresztą „niezwykły” nie wiele co od niego się różni) zna już tylko cesarów, herosów i świętych filmowych. Miłość stała się motywem wybitnie „kinowym”. Piękno zastąpiła „fotogeniczność”. Kiedy człowiek chce wyrazić swój zachwyt, mówi, że było „pięknie jak w kinie”. Ale kultura jest właśnie tym, co każdy własnymi siłami dla siebie zdobywa. Historia daje nam tylko skąpe „a conto” w postaci nałogów, zdolności widzenia, odczuwania przejętych od środowiska, odziedziczonych po przodkach. Gros roboty musimy wykonać sami. Nie ma gotowego chrześcijaństwa, ani gotowego średniowiecza, ani gotowego renesansu. Źródła książkowe dają tylko wskazówki, surowiec. My sami dopracowujemy się (albo nie) do mniej lub więcej bogatego chrześcijaństwa, średniowiecza, renesansu. Ten proces zdobywania kultury usiłuje się zastąpić przez spożycie jej „udostępnionych” dóbr w godzinach pomiędzy dozorowanymi maszyną a snem (dla ubogich) — nocnym lokalem (dla bogatych).

Mechanizacja położyła swe piętno również na nauce. Rozpoznajemy je we współczesnej kongresomanii. Wiedzę usiłuje się budować „wspólnym wysiłkiem”. „Trust mózgow” jest pojęciem obiegowym, które nikogo nie razi. Nauka ma powstawać mechanicznie jak średnia arytmetyczna sił współpracujących. Ze zbierają się przedstawiciele zawodów praktycznych (inżynierowie, rolnicy itp.) to można wytłumaczyć. Szybka wymiana informacji tyżająca osiągniętych wyników w warzywnictwie czy weterynarii może być pożyteczna. Bo tu istnieje (choć nie zawsze) proste sumowanie wyników. Ale kongresy filozofów, historyków, literatów, artystów — to zupełnie co innego. Wynikiem tych uroczystych obrad — poza bankietami, powitalnymi i pożegnalnymi przemówieniami — jest zbiór druków nudnych jak mecz piłki nożnej i stanowiących balast bibliotek. Bo wysiłki ducha nie sumują się mechanicznie, od głowy do głowy. Podlegają prawom bardziej złożonym. Z całego kongresowego referowania, „żywej wymiany zdań” kłaniania i okadzania nie powstał żaden system, żadne dzieło. Jeśli chodzi o wartość informacyjną tych zebrań i zjazdów, to spełniają ją daleko lepiej książki.

Kryzysy cywilizacji były kryzysami elit. Przeżywanie się starych elit i występowanie nowych jest stare jak ludzkość. Ciekawe jest, jak będzie wyglądał kryzys cywilizacyjny bez elity. Do takiego kryzysu bez precedensu zdajemy się zbliżać. Bo świat dzisiejszy ma dużo elit „fachowych”, ale brak mu prawdziwej elity historycznej, to znaczy zbiorowiska ludzi realizujących żywy, właściwy epoce ideał. Odpowiedzą nam, że ideałem epoki jest właśnie mechanizacja. Zgoda. Z tym zastrzeżeniem, że jest to ideał, który roztopia historyczność w anonimie przyrody. Realizuje się ideał niwelacyjny, antyideał.

Degeneracja elit historycznych jest niezaprzeczalna, a towarzysząca jej przewroty — nieuniknione. Ale w ciągu ubiegłych dziejów każda schodząca elita pozostawiła po sobie jakiś spadek. Nieraz wspaniała. Ancien régime, rewolucja francuska, Cesarstwo — aby przypomnieć przykłady najbliższe — tego już starczy Francji i ludzkości na wieki. Starczyłoby raczej. Bo mechanizacja podkopuje ten ciąg dziedziczenia. Stara elita zamierając, jeśli stawiała ludzkość przed „puszką”, to tylko pozornie. Stał za nią zawsze tłum. Groźny, dziki, zagadkowy, ale pełen sił nieprzebranych w swej różnorodności. Był ten tłum postrachem pokolenia schodzącego — ale nadzieją narodu. Otóż tego rezerwatu, z którego drogą doboru, wyłaniała się nowa elita, zaczyna w społeczeństwach „zmechanizowanych” braknąć. Postęp mechanizacji, dając swe słynne zdobycze, jest na drodze do wytworzenia typu zdegenerowanego prostaka, połączenia dotąd nieznanego. Człowieka dość zasyconego i wydelikaczonego, aby mieć wstręt do walki, ryzyka, aby odrzucać myśl o przebijaniu nowych dróg w puszczy dziejów. Człowieka o zmniejszonej witalności — poza tym stanowiącego doskonały okaz prymitywu o życiu duchowym mięczaka. Brak zaczyna być tego zagadkowego tłumu statystów, który dziś ciemny i głuchy — jutro rodzi filozofów, władców, mężów stanu. Nie wypełnią tego braku elity specjalistów, bo elitarność nie jest zawodem, ale czymś daleko głębiej sięgającym podstaw osobowości.

3) Mechanizacja życia wkracza jako czynnik pierwszorzędny w dzieje polityczne narodów. W najbliższą nam rzeczywistość polityczną. Mówmy wyraźnie: w konflikt świata anglosaskiego i rosyjsko-sowieckiego. W konflikt, który jak wiemy, może się przerodzić w nową wojnę światową.

„Nie można dziś robić wojny bez techniki” — powiadają. Nie zamierzam przeczyć temu truizmowi. Dodam tylko truizm dopełniający: nie można jej również robić bez człowieka. — Wiedziałem film amerykański, przedstawiający lotników USA zegnających się skwapliwie w krytycznych momentach bitwy powietrznej. Obojętne jest, czy zdjęcie było „z natury” czy reżyserowane. Zajmujący jest dla mnie fakt, że Amerykanie decydują się na demonstrowanie tej pośpiesznej pobożności swych wojaków. Czy mamy tu dopatrywać się jakiejś szczególnej religijności?

Sądzę, że nie bardziej budujący byłby obraz nabożeństwa przed bitwą, niż ta gorączkowa pobożność w chwilach zagrożenia. Uważa się ją widać za normalną, rozumiejącą się samo przez się, skoro stała się elementem propagandowego filmu. Każdy człowiek orientujący się jako tako w stosunkach sowieckich zrozumie, że podobny epizod filmowy byłby w państwie Stalina nie do pomyślenia. Nie tylko dlatego, że Sowiety są ateistyczne, (ateizm nie przeszkadzał im odgrywać komedii religijności, kiedy to było potrzebne), ale dlatego, że żyje tam ideał waleczności, męstwa, pogardy śmierci. Barbarzyński, bo całe Sowiety są barbarzyńskie, ale prawdziwy.

Związek Sowiecki przedstawia bardzo niejednolity typ cywilizacji. Mechanizacja ma w Rosji dzisiejszej wyznającej (pod groźbą obozu koncentracyjnego) najgrubszy (wcale nie „naukowy”) materializm maksymalne, zdawałoby się, warunki rozwoju. Jednak nie doprowadziła w tym państwie do tego ujednolicenia, które obserwuje się w USA. Mechanizacja wciska się z kosami w życie sowieckie („tam gdzie trzeba”), pozostawiając całe obszary w „dziewiczym” barbarzyństwie. Nie mamy (przynajmniej ja nie mam) danych, które pozwoliłyby określić, czy ta kontrastowość jest wynikiem złej organizacji i nieporadności rosyjskiej, czy też planowo wykonanym programem. Myślę, że władcy dzisiejszej Rosji świadomie hodują w niej owo „minimum” (jakże okazałe!) barbarzyństwa, które tak doskonale może się przydać w walce ze „zgniłym” Zachodem. Wygląda na to, że Rosja chce sobie zarezerwować możliwość operowania równocześnie techniką, — i dynamizmem zdobywczego barbarzyństwa. Anglosasi bronią swego „stanu posiadania”. Wiedzą naturalnie, że kto się nie posuwa, ten się cofa. Nie brak im też apetytu, który tej rasie zawsze dopisywał. Ale od potencjalnego apetytu do zdobywczosci — kawał drogi. Biedna ludzkość, której ostatnie rezerwy energii cywilizacyjnej schroniły się w dzikiej głuszy sowieckiej!

Podkreślając szansę rosyjską w oczekiwanym starciu dwóch światów, szansę, wynikającą z tak płytko wyśmiewanego prymitywizmu sowieckiego, nie chcę wysunąć zbyt daleko idących wniosków. Istotne są — jak w każdej sprawie ludzkiej i historycznej — proporcje. Należałoby wiedzieć (czego chyba nikt nie wie), czy technika angloamerykańska jest tak wielka, że przeważa inercję człowieka wychowanego przez technokrację, czy, przeciwnie, tak wielki jest dynamizm sowieckiego „surowca ludzkiego”, że (opierając się naturalnie o poważne rezerwy techniczne) obróci w niwecz przeciwnika „uzbrojonego po zęby”. Wchodzi tu w rachubę i czas, i moment starcia, i moc nieprzewidzianych okoliczności, które zwykliśmy określać ryczałtem jako „przypadek”, a które mogą zaważyć na wyniku walki.

Co natomiast łatwiej da się przewidzieć, to wyższość systemu, który zachował żywe siły ludzkie w ich nietkniętej surowości tam, gdzie trzeba urządzić, budować i prowadzić. Kierunek tego prowadzenia może nam się bardzo nie podobać. Ale to rzeczy nie zmienia. Prowadzi ten, kto chce i kto wierzy. Kalkulator — oblicza. Zachowując do końca powściągliwość w prorocत्वach, pragnę wysunąć zaniedbany punkt widzenia w rozważaniach tak blisko nas obchodzących.

Karol ROGALIŃSKI.

## Niemcy zimą 1948-1949

### 3

Monachium. Ruiny dworca kolejowego nie zmieniły się od trzech lat wcale. Przed dworcem uprzątnięto gruzu, lecz latarnie oświetlają dokoła te same kulisy ruin. Na roku Dachauerstrasse stoi — jak niegdyś — grupa mężczyzn ofiarowujących papierosy. Po akcencie poznają w nich D.P.

Dokoła stacji kolejowych widać wszędzie w Niemczech mężczyzn ubranych w granatowe stroje narciarskie lub krótkie kurtki i sukienne kaszkiety. Jest to uniform ludzi nocujących na ławkach poczekalni, w wagonach i „bunkrach”, dawnych schronach przeciwlotniczych, służących za domy noclegowe.

Są to uchodźcy z zony sowieckiej nie objęci jeszcze przez opiekę społeczną niemiecką lub uchylający się od tej opieki, bezrobotni i różny lud wędrowny nie znający przystani lub odwykły od życia osiadłego. Niemiecka opieka społeczna osadza swych uchodźców przeważnie na wsi, z dala od przeludnionych miast, w barakach z czasów wojennych. Wyjść z nich jest sprawą często skomplikowaną; aby w nich żyć, trzeba cierpliwości i rezygnacji. Widziałem listy pisane w nich przez uchodźców niemieckich, pełnych smutnych refleksji. Tysiące ludzi czekają w nich odmiany losu, uważając obecny porządek świata za tymczasowy.

Przyglądam się uważnie twarzom pod granatowymi czapkami. Trudno nieraz określić ich wiek. Jak u chorych w ostatniej fazie tyfusu lub późnych stadiach raka, można omylić się o 20 lub nawet 30 lat. Widać na nich lata poniewierki fizycznej i moralnej, której koniec wydaje się jeszcze daleki.

Takie twarze widywałem dawniej tylko w szpitalach. Przypominam sobie cały repertuar zastrzyków, diet i zabiegów fizykalnych, przy pomocy których usiłowano zmyc z nich piętna cierpienia i nędzy cielesnej. Wychodzący ze szpitala byli już wolni od tych znaków zewnętrznych niedoli, i o minionym cierpieniu mówiła przez pewien czas tylko ich małomówność i odległość. Później twarze takie widziałem u osób wychodzących z niemieckich obozów koncentracyjnych. Potem można je było widzieć wszędzie potrosze, w zasięgu władzy Hitlera i jego spadkobierców. Dziś są ich już zapewne miliony, zbyt wiele, aby wystarczyło dla nich szpitale i lekarstw. Więcej jeszcze niż środ-

ków materialnych, pokoleniom obecnym brak woli leczenia, niesienia pomocy i podnoszenia upadłych w otchłań niedoli.

W świetle ciepłego jesiennego dnia widzę zmiany zaszłe w wyglądzie miasta od 1945. Część gruzów została uprzątnięta. Przed trzema laty koło dworca, między Bayerstrasse i Schwanthalerstrasse, znajdował się szeroki pas, pokryty pagórkami gruzu i najeżony zardzewiałym żelastwem. Wiodła przezeń ukosem ścieżka, idąca to grzbietem pagórków, to schodząca na brzegi kraterów po bombach lotniczych. Dziś cały ten pas jest oczyszczony do poziomu ulic. Idąc przezeń, widać pod stopami zarzysy dawnych fundamentów. Na całej przestrzeni stoi zaledwie kilka domów, całkowicie odrestaurowanych w ciągu ostatnich miesięcy. Przy handlowej Schwanthalerstrasse murarze wznoszą dwa jednopiętrowe budynki przeznaczone na sklepy. Dowiaduję się, że od czasu reformy pieniężnej i wzrostu wolnych obrotów towarowych, zapotrzebowanie na lokale handlowe jest większe niż na domy mieszkalne.

W dawnej dzielnicy muzeów uprzątanie gruzów jest w pełnym biegu. Przyglądam się tej pracy koło Nowej Pinakoteki, z której zostały tylko mury zewnętrzne z wielką wyrwą w środkowej części budynku. Wzdłuż ruin ułożono szyny, na których stoi pociąg z dymiącą lokomotywą. Potężne dźwigi chwytają naraz po dwie tony gruzu i wysypują go do wagonów. W ciągu kilkunastu minut około 500 ton jest załadowanych i odjeżdża, aby zrobić miejsce nowemu pociągowi, czekającemu już na szynach.

Przychodzi mi na myśl, że ta sama praca wykonywana jest w tej chwili w Warszawie. Przypominam sobie fotografie widziane w „Stolicy”. Widać na nich mało dźwigów i wagonów, więcej zbiedzonych koni, zaprzężonych do wozów i młodych ludzi obnażonych do pasa, z kilofami i łopatami w rękę.

Mimo narzędzi mechanicznych uprzątanie gruzów z miast niemieckich wymagać będzie długich lat. Dokoła ruin sławnej niegdyś Akademii Sztuk Pięknych leży w gruzach cała dzielnica dotąd nie tknięta łopata. Jest to miejsce działania wielkich bomb zdmuchujących z powierzchni ziemi po kilkadziesiąt domów naraz. Poprzez rumowiska z niegłębokim kraterem w środku idą ścieżki. Trawa i chwasty zaczęły je pokrywać kępami zieleni.

Dalej na północ, wzdłuż Parku Angielskiego, biegną lepiej zachowane ulice przedmieścia. Na Königinstrasse, koło Universitäts-Reitschule, widzę stojące na chodniku popiersie pokryte brązową patyną, z białą plamą po utraconym nosie. Schylam się, aby odczytać napis: C. G. Jung, szwajcarski rywal Sigmunda Freuda. W 1910-1914 Monachium było jednym z głównych ośrodków nowych wówczas prądów w dziedzinie psychiatrii i psychologii stosowanej. W domu tym mieszkał zapewne jakiś protagonista psychoanalizy szwajcarskiej. Dziś mieszczą się w nim biura bawarskiej administracji. Nowi lokatorzy byli zapewne zakłopotani obecnością popiersia wzorowanego na portretach rzym-

szych cesarzy i noszącego nieznanego im lub w katolickiej Bawarii podejrzanego nazwisko. *In dubio* wyniesiono je z domu i postawiono na chodniku.

Naprawa uszkodzonych domów posunęła się najdalej w starym centrum miasta. W domach, z których pozostały jedynie mury zewnętrzne, wznoszone są żelazo-betonowe konstrukcje, wypełniające pozostawioną przez pożar pustkę. Domy nieuleczalnie uszkodzone są rozbierane. Na oczyszczonych terenach widać wiele jednopiętrowych budynków tymczasowych, mieszczących sklepy i biura. Dowiaduję się, że ruch budowlany zmniejszył się w ciągu ostatnich miesięcy z powodu rzadkości pieniądza i braku kredytu.

Szczególony widok przedstawiają parki i plantacje, którymi nikt nie zajmował się od czasu zburzenia miasta. Stare drzewa stają częściowo kalekie, poszarpane przez wybuchy bomb. Na placu Maksymiliana plantacje są zdziczałe, porośnięte swobodnie rozwijającymi się krzewami i wysoką trawą, wśród której leżą puszki od konserw i papierki pozostawione przez biwakujących bezdomnych. Hofgarten zachował swe drzewa, ale nie ma w nim ani źdźbła trawy. Dawne gazony zostały doszczętnie wydeptane. Na miejscu ich rozpościera się pochyła powierzchnia jałowej, śliskiej po deszczu ziemi. Tylko Englischer Garten nie stracił nic ze swej romantycznej urody. Spotykam w nim grupę jeźdźców i amazoнок w klasycznych, nieco wytartych strojach, na pięknych, rasowych koniach.

Na skraju parku jeźdźcy i amazonki znikają wśród opuszczonych ruin. Spotkanie to nasuwa mi różne refleksje. Być może myślę się przypuszczając, że powrót do życia i wartości pokojowych wymaga uprzedniej likwidacji spadku po wojnie, uprzątnięcia gruzów, odbudowy miast i osiedlenia na nowo milionów uchodźców. Ruiny porastają zielenią i staną się zapewne jedną z części składowych krajobrazu europejskiego. Do budowania domów innych jak tymczasowe brak dziś poczucia bezpieczeństwa i chęci do długoterminowych inwestycji. Kontrasty między warstwą władców jeżdżących w srebrzystych samolotach i milionami upiórów stojących przed barakami za drutem należą zapewne też do stałych zjawisk obecnej fazy naszej cywilizacji. Poza zainteresowanymi kontrasty te na pozór nikogo nie boją, i opinia publiczna przyjmuje je obojętnie do wiadomości, nawet w krajach, z których niegdyś wyszły w świat idee humanitarne XVIII i XIX wieku. Jeźdźcy i amazonki w wyjętych po latach z naftaliny strojach starają się na swój sposób stworzyć sobie złudzenie czasów pokojowych i oderwać się na chwilę od współczesności, której naprawić nie potrafią.

O 11-tej przyjeżdża dr B. i zabiera mnie na cały dzień do siebie nad jezioro Starnberskie. Towarzyszy nam znany pisarz niemiecki, z wykształcenia lekarz, który spędził czasy hitlerowskie w Niemczech, uchylając się przezornie od zaszczytów i kompromitacji.

Gładka szosa prowadzi przez lasy. Po godzinie widzimy jezioro i miasteczko Starnberg otoczone parkami i willami mocarzy Trzeciej Rzeszy. Tu rozpoczęła się 30 czerwca 1934 niemiecka „noc św. Bartłomieja”, w której zginęła z rąk oprawców część dawnych towarzyszy Hitlera.

Dom dra B. leży o kilkanaście kilometrów dalej, w lesie nad samym brzegiem jeziora, oddzielony odeń tylko wąską drogą. Dom jest dawny, obszerny, pełen starych mebli i dywanów. Jego urządzenie wewnętrzne świadczy o niezawodnym smaku pani domu, znającej doskonale Europę od Petersburga do Rzymu. W sąsiednim domku pani B. ma nadto inne małe mieszkanie, gdzie mieści się jej gabinet lekarski. Urządzenie wewnętrzne tego mieszkania jest też uderzające: wszystko w nim jest stare, spokojne, pogodne, marzycielskie, zachęcające do zwierzeń. Każdy przedmiot zdaje się być niezastąpionym dziełem sztuki. Po latach pożarów i ucieczek zbieranie rzeczy starych i urządzenie wnętrza a nawet samo ich oglądanie zdaje się być zajęciem kojącym, balsamicznym, leczącym zaognione rany moralne. Kto posiada do tego dane, powinien mu się poświęcić, nawet gdyby świat miał trwać tylko trzy tygodnie. Powracające zamiłowanie do wnętrza i pięknych mebli notuje też w swych nowelach Hans Jürgen Soehring.

Przy śniadaniu powieściopisarz mówi o Bliskim Wschodzie, gdzie był jako lekarz podczas pierwszej wojny światowej. Potem rozmowa przechodzi do tematów aktualnych. Dr B. opowiada o swej niedawnej rozmowie z pewnym profesorem fizyki. Na jego uwagę o bombie atomowej fizyk rozgniewał się: „Robienie bomb atomowych jest moim świętym prawem uczonego. Odpowiedzialność niesie tylko ten, kto je używa. Wnoszenie tej odpowiedzialności do laboratorium jest dowodem barbarzyństwa i prostactwa.”

Powieściopisarzowi stanowisko fizyka nie wydaje się pozbawione wszelkiej słuszności. Jego zdaniem, używanie bomb atomowych stało się nieuniknione wskutek nadmiernego przyrostu ludności — po 20 milionów rocznie — której ziemia niedługo nie będzie mogła wyżywić. „Jeśli w najbliższym czasie nie zatamują ze stu milionów ludzi, ziemia stanie się dla wszystkich za ciasna.”

Słyszając te słowa, dr B. zwraca się do mnie:

— Dlaczego ludzie szkoleni w laboratoriach wnoszą stamtąd wszyscy jałowy pesymizm i pojęcia nieludzkie, nieprzydatne do życia?

Cytuję na to słowa Wolfganga Köhlera: „Obcy nie zdają sobie sprawy, jakim nietaktem jest wypowiedzenie w murach laboratorium sądu wartościującego”. Powieściopisarz jest zachwycony tym sformułowaniem. Wysuwamy różne argumenty przeciw temu manieryzmowi myśli.

Po śniadaniu idziemy z drem B. na brzeg jeziora. Dzień jest tak ciepły, że kładziemy się na deskach przystani i grzejemy się w perłowym oparze słońca i wody. Dr B. mówi o kryzysie

cywilizacji miejskiej, w której żyło kilka ostatnich pokoleń Niemców, i o przeczuwanej przez wielu możliwości odkrycia na nowo natury. Chętnie wydrukowałby coś na ten temat.

Odkrycie natury musi być dla dzisiejszych Niemiec czymś podobnym do odkrycia starych mebli i wnętrz. Wnoszę o tym także z nowej książki F. G. Jüngera, którego *essaye* świadczą o niezmiernie wyostrzonym poczuciu krajobrazu sformowanego ręką człowieka.

Po tej rozmowie wracamy do reszty towarzystwa. Idziemy wąską dróżką leśną, brzegiem jeziora. Drzewa zwieszają się nad wodą. Brak jakichkolwiek śladów osad rybackich. Las i drzewa są tu wyłącznym dziełem fachowych leśników, interesujących się tylko przyrostem drewna. Nie widać nigdzie śladu ręki człowieka nadającej ziemi i roślinom formę służącą jego przyjemności lub będącą ewokacją utraconego Edenu. Lasy otaczające jezioro musiały być od niepamiętnych czasów w posiadaniu myśliwych, zajętych tropieniem zwierzyny i wyprawą skór. Jedynym śladem innych zainteresowań jest barokowy kościółek stojący na szczycie wzgórza. Opoдал na łące widzę jedyne w tej okolicy drzewo pasterskie. Wydaje mi się, że Bawaria nie jest krajem nadającym się do ponownego odkrycia natury. Związek człowieka z ziemią i drzewem był tu zapewne zawsze nikły, znacznie luźniejszy niż w Württembergii, Nadrenii lub Palatynacie opiewanym łacińskim wierszem przez Ausoniusa. Być może twórczy związek człowieka z ziemią istnieje w Europie tylko tam, gdzie sięgały wpływy cywilizacji grecko-rzymskiej.

W odległej o kilka kilometrów osadzie odwiedzamy dzieci, dotknięte różnymi formami niedowładu mięśni po epidemii poliomyelitis.

Wieczorem wracam do Monachium. Na jeziorze leży gęsta mgła. Z mostu przystani nie widzę nawet nadbrzeżnych drzew. Mgła guszy syrenę nadchodzącego statku. W ciemności zapala się reflektor obszukujący przystań. W pół godziny potem siedzę w nieoświetlonym pociągu zdążającym do Monachium.

W ciemności słyszę rozmowę dwóch młodych ludzi. Jeden opowiada treść pisanej przez siebie powieści. Głównym problemem jej zdaje się być odkrycie kobiety i miłości po długim czasie zabaw „męskich” okresu hitlerowskiego. Następnie rozmowa schodzi na dziennik André Gide'a, który obaj zdają się znać niemal na pamięć.

Bazylea. Miasto na wielkim skrzyżowaniu dróg na granicy francusko-niemiecko-szwajcarskiej. Każdy dom śródmieścia jest w innym stylu. Budowlaną *foire d'échantillons*. Mimo tyłu wpływów, życie miasta posiada uderzającą ciągłość w porównaniu z krajami ościennymi. Stroje są wprawdzie nieco inne, ale w przechodzących kobietach można poznać modele Holbeina. Nie osłabił tu też od czasów Erazma z Rotterdamu głód nowinek. Każdy nowy prąd umysłowy, każda nowa wrażliwość artystyczna jest tu natychmiast znana i dyskutowana. Bazylea

jest jedynym bodaj z miast średniej wielkości posiadającym publiczność znającą się na muzyce współczesnej. W ciągu ostatnich wieków widziano stąd tyle wypadków, omawiano tyle nowinek, że miasto nadaje się jak żadne inne do rozważania wypadków gorących na chłodno, z pewnego oddalenia.

W hallu hotelu Trzech Króli zebrało się dziś paru przyjaciół interesujących się sprawami niemieckimi, przybywających z Niemiec lub tam jadących. W ciągu ostatnich tygodni zaszły wypadki, których sens nie da się zamknąć w żadnej jednoznacznej formule. Zakończenie blokady Berlina, odprężenie stosunków sowiecko-amerykańskich na terenie Niemiec, opracowanie w Bonn projektu konstytucji dla Niemiec Zachodnich, konferencja Czterech w Paryżu: oto bilans miesiący wiosennych. Próbuje się ocenić wagę i możliwe skutki każdego z tych zjawisk. Już z początku rozmowy wynika, że jedna połowa naszego kwartetu uważa ostatnie wypadki za pomysłne dla Ameryki, gdy druga widzi w nich zwycięstwo polityki Kremla. Stosunki między Wschodem i Zachodem obejmują kilka kontynentów, i interpretacja wypadków rozgrywających się jednocześnie na tak wielkich przestrzeniach przedstawia pewne trudności. Po pierwszej wymianie zdań skupiamy się więc na „froncie” niemieckim.

Przede wszystkim usiłujemy wyobrazić sobie sytuację przyszłego rządu Niemiec Zachodnich. Być może w warunkach okupacyjnych będzie to tylko jeszcze jeden *puppet government*. W tym wypadku wszystko pozostanie po dawnemu. Jaka jednak będzie jego sytuacja, jeżeli otrzyma pewną swobodę działania?

Dopóki wschodnia część kraju pozostaje pod okupacją sowiecką, pierwszym i głównym zadaniem rządu Niemiec Zachodnich będzie poszukiwanie dróg do złagodzenia losu ludności w zonie sowieckiej. Z zony tej przybywają wciąż nowi uchodźcy, stanowiący już dziś w zonach zachodnich niemal trzecią część mieszkańców. Utrzymanie i zatrudnienie tak wielkiej ilości uchodźców jest w kraju zrujnowanym przez wojnę ciężarem nie do zniesienia i już dziś nastręcza administracji niemieckiej największe trudności. W razie dalszej sowletyzacji Niemiec Wschodnich liczba uchodźców będzie wzrastała nadal. Część ich posiada rodziny w zonie sowieckiej. Pomoc dla ludności Niemiec Wschodnich i złagodzenie istniejącego tam régime'u będzie pierwszym zadaniem, którego spełnienia wymagać będzie od rządu niemieckiego opinia publiczna.

Rozwój stosunków amerykańsko-sowieckich w ostatnich latach wykazał, że Stany Zjednoczone nie potrafią złagodzić ucisku ludności niemieckiej w zonie sowieckiej ani zatamować dopływu uchodźców. Kto miał w tej mierze złudzenia, musiał je utracić w wyniku ostatniej konferencji Czterech, która raz jeszcze potwierdziła istniejący stan podziału Niemiec i Europy.

Dopóki władcy Kremla posiadają w swym ręku 25 milionów zakładników niemieckich, ich możliwość wywierania nacisku na

Niemcy Zachodnie pozostaje niezmienną. Ta okoliczność daje im ogromną swobodę działania. Stosownie do swych potrzeb i gustów mogą zamykać i otwierać żelazną kurtynę.

Im większa będzie samodzielność rządu Niemiec Zachodnich, tym większa będzie jego samotność i bezsilność wobec nacisku sowieckiego. Ulżyć losowi ludności we wschodniej części kraju będzie mógł tylko w drodze ustępstw i kompromisów, które w tej sytuacji będą musiały z natury rzeczy być bardzo kosztowne.

Jaki jest prawdopodobny repertuar tych ustępstw? W miarę swej samodzielności rząd Niemiec Zachodnich będzie zmuszony zbliżyć się politycznie do bloku wschodniego. W zakresie handlu zewnętrznego będzie musiał dostarczać po niskich cenach potrzebnych Sowietom towarów. Istnieje wreszcie obszerne dziedzina usług nieoficjalnych. Do Niemiec uciekają opozycjoniści sowieccy i uchodźcy z krajów Moskwy podporządkowanych. Jak ustosunkuje się do nich policja graniczna rządu stojącego pod stałym i bezwzględny naciskiem sowieckim? Łatwo to sobie wyobrazić. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że — jako pierwsza stacja uchodźców ze wschodu — Niemcy są obecnie najważniejszym źródłem wiadomości o Związku sowieckim, jego stanie gospodarczym i przygotowaniach wojennych. Zbieranie i porządkowanie przywożonych ze wschodu wiadomości zostało w znacznej mierze zmonopolizowane przez specjalistów niemieckich, posiadających w tej mierze od czasów von Seeckta niemalą rutynę. Wtajemniczeni szeptem, że dział informacyjny dawnego sztabu niemieckiego został w ostatnich miesiącach odtworzony i pracuje jak za najlepszych czasów Canarisa. Kiedy cały ten aparat znajdzie się w rękach rządu niemieckiego, nie trudno jest domyślić się, że będzie musiał służyć stronie wywierającej w danej chwili na Niemcy silniejszy nacisk. Jakie skrupuły będą mogły powstrzymać rząd niemiecki od usług w tej dziedzinie, jeżeli będzie mógł za nie kupić poprawę losu swej ludności pod okupacją sowiecką? Wzrost penetracji i wpływów sowieckich wydaje się najprawdopodobniejszym skutkiem dalszego usamodzielnienia Niemiec Zachodnich i — co za tym idzie — pozostawienia ich własnemu losowi. Można więc wątpić, aby obecni okupanci zachodniej części Niemiec spieszyli się z tworzeniem tam rządu i oddawaniem władzy w tak słabe ręce.

Nie wszyscy moi rozmówcy z hotelu Trzech Króli są w tych przewidywaniach równie kategoryczni. Wszyscy jednak muszą wyciągnąć wnioski z biegu wypadków w Europie Wschodniej. W żadnym z krajów podporządkowanych dziś Moskwy nie było partii komunistycznych równie potężnych jak w Niemczech, Francji i Włoszech. Brak tego instrumentu politycznego nie przeszkodził całkowitej niemal sowietyzacji Europy Wschodniej. Los tej ostatniej jest więc nieustanną przestrożą dla zachodniej części naszego kontynentu.

Paweł HOSTOWIEC.

## Polacy w literaturze francuskiej

Wyjątkowe prawie w dziejach kataklizmy polityczne spadające na Polskę od połowy XVIII. wieku, odbiły się, rzecz prosta również na jej literaturze. Nie chodzi tutaj jednak jedynie o kierunek myśli tej literatury: chodzi również o technikę powstania dzieł, o możliwości drukowania, w końcu o wybór języka. Bo zachodziły przecież chwile w naszych dziejach — możemy dziś to aż nadto dobrze zrozumieć mając podobne sytuacje przed oczami — kiedy trzeba było pisać już nie dla swoich po polsku, dla takiej czy innej sprawy, ideologii, lecz dla obcych, dla świata. Trzeba było temu światu przedstawiać nasze bolączki, poinformować go o stanie naszych spraw, zyskać go, przekonać. Stąd wobec małego rozprzestrzenienia języka polskiego, trzeba było pisać w języku ogólnie znanym, języku dyplomacji i salonów, uczonych i inteligencji, tj. po francusku.

Ta więc konieczność propagandy „avant la lettre” jest niejako pierwszym aspektem literatury tworzonej przez Polaków po francusku.

Drugim czynnikiem, który powodował Polaków do pisania po francusku jest po prostu ogólnoświatowe znaczenie tego języka, kultura francuska tak obficie importowana do Polski przez cały XVII. i XVIII. wiek, zjawiska zresztą znane choćby z Rosji i Niemiec, gdzie również językiem tym posługiwano się w sferach wyższych jako językiem „dobrego tonu”. Wiemy, choćby z dzieł Tołstoja, że na dworze carskim wielu było Rosjan mówiących lepiej po francusku jak po rosyjsku, podobnie wiemy, że Fryderyk Wielki pisywał swe dzieła po francusku, korespondował po francusku, myślał słowami francuskimi ... po niemiecku. Moda ta — dziś wydająca się absurdem — nie była jednak taka głupia, jeśli się zważy, że język francuski lepiej urobiony i wyrobiony niż inne był zapewne łatwiejszym narzędziem do wyrażania swych myśli, a poza tym, że znajomość jego dawała możność poznania dzieł o fundamentalnej wartości.

Trzecim czynnikiem w tej sprawie jest atmosfera i środowisko francuskie wśród których żyło wielu Polaków, ulegając z jednej strony ich urokowi, z drugiej zaś koniecznościom praktycznym życia. W ten sposób niejedyn Polak, żyjący w Francji i znający dobrze język francuski stawał się — o ile można to pojąć prawnicze przeniesienie w dziedzinie kultury — „sujet mixte”,

„podwójnym obywatelem” Polski i Francji. Było to o tyle możliwe, że wydarzenia polityczne nie tylko nas zbliżyły do Francji, ale uczyniły z tego narodu niejako nasze „alter ego”, że nasze i ich aspiracje wolnościowe miały ludzko podobny charakter (jakkolwiek zachodziły między nimi wielkie i zasadnicze różnice nie zauważalne dla przeciętnego człowieka), i że należenie do narodu lub kultury francuskiej nie absorbowało — o ile się tak można wyrazić, bez reszty danej jednostki tak politycznie jak kulturalnie. Przynależność do tej kultury była niejako uzupełnieniem innej, np. polskiej, była jakby wyższym stopniem „wtajemniczenia” w gronie ludzi światłych. Takie podwójne obywatelstwo w dziedzinie duchowej było nie do pomyslenia w innym kraju. Gdy Korzeniowski-Conrad wydał swoje pierwsze dzieło po angielsku, został po prostu autorem angielskim pochodzenia polskiego. Świat anglosaski zbyt był oddalony od naszego, zbyt specjalny i za mało nam znany, aby Conrad mógł zachować podwójny charakter anglo-polski. Tutaj trzeba było już „optować”, we Francji można być właśnie owym „sujet mixte”. Na marginesie warto tu wspomnieć, skoro mówimy o Polakach piszących w językach obcych, o Stanisławie Przybyszewskim, piszącym swe utwory po niemiecku, a pozostającym, duchowo, Polakiem. Jest to wypadek wyjątkowy, i, trzeba by jeszcze przekonać się (może zresztą uczyniono to w uczonej rozprawie) czy jego wewnętrzna atmosfera duchowa była istotnie tak polska i czy jego przynależność do polskiej literatury nie jest nieco formalna.

Tak więc reasumując, Polacy pisali po francusku albo (biorąc tę sprawę chronologicznie) z przyczyn wewnętrznej kultury lub mody (jak w wieku XVIII), albo dla celów propagandowych posługując się językiem ogólnie znanym i uważając Francję za forum świata i za jego sumienie (np. w czasie reform stanisławowskich, po powstaniu 1831, 1863, 1914—18 r., lub po wskrzeszeniu państwa polskiego), wreszcie wróśli w kulturę francuską z którą — w zgodnej harmonii — łączyli też kulturę polską. Oczywiście, że na dłuższą metę jedna z kultur musiała wziąć górę.

Pierwsze, o ile mogłem stwierdzić, ślady tej literatury francuskiej, tworzonej przez Polaków, sięgają początku osiemnastego wieku, a ściśle roku 1710. Tytuł książki: *Mémoires sur les dernières révolutions de la Pologne où on justifie le retour du Roy Auguste, par un Gentilhomme Polonois*. Książka wyszła w Rotterdamie u Fritscha i Böhma. Autorem książki jest Piotr Henryk hr. **Przebendowski**, starosta mirachowski, mianowany w roku wydania książki krajczym koronnym, natomiast materiałów do niej i wskazówek dostarczył na pewno ojciec jego, Jan Jerzy Przebendowski, wielki partyzant Sasów, któremu August II. w dużej mierze zawdzięczał tron i którego hojnie za usługi nagrodił: województwem malborskim, podskarbiostwem w r. 1703, w końcu jako „Reichsvicar” tytułem hrabiowskim Sancti Romani Imperii. Walka Sasów z Leszczyńskim i za nim

stojącym Karolem XII., udział Francji w tej walce — choć pośrednio — uczyniło z niej jeden z głównych tematów polityki ówczesnej, stąd skierowano do całego cywilizowanego świata tę propagandową książkę po francusku. Wnet — bo zaledwie po 24-ch latach z drugiej strony barykady, z obozu Stanisława króla odezwie się jego głos w książce opisującej ucieczkę z Gdańska w r. 1733, oraz w tłumaczeniu francuskim „Głos wolny wolność ubezpieczający” — „Voix libre du citoyen ou observations sur le gouvernement de Pologne” w tłumaczeniu Salignaca, 1749. Król Stanisław nie był na pewno wielkim politykiem ani też wielkim patriotą w dzisiejszym tego słowa znaczeniu: znalazł się niespodziewanie prawie na wielkiej widowni politycznej, mając w sercu dużą odwagę, szlachetność umysłu, inteligencję nieprzeciętną, sporą ambicję, przywiązanie do kraju. Zmuszony do działania poszedł drogą zapewnie nie gorszą choć może i nie lepszą, niż by to uczynił niejeden ówczesny Polak jego środowiska. Zaletą jego niezaprzeczną jest propagowanie myśli szlacheckich i reformatorskich przez lat trzydzieści na całą Europę, propagowanie ich swymi dziełami pisanymi częścią po francusku i czytany na pewno w całym cywilizowanym świecie. Nie są one arcydziełami, ale zaletą ich jest, że wyszły spod pióra jednego z głównych aktorów tej wielkiej „rewolucji”, jak ją nazywa Przebendowski, dokonywującej się w Polsce przez ustalenie dynastii saskiej na niekorzyść efemerycznego Stanisława. Trzeba wspomnieć, że król miał bezwątpienia dużą kulturę, pochodził przeciw z rodziny, która od szeregu generacji pisała dobre lub średnie książki. Ojciec króla, Rafał z Leszna, wojewoda poznański, był autorem „Zwycięstwa niezwyciężonego Narodu Polskiego nad hardym Turczyńcem na polach Chocimskich 1673” i kilku innych poematów, dziad zaś tego, również Rafał Leszczyński, wojewoda bełski tłumaczył z francuskiego poemat du Bartasa „Judith”, w końcu tegoż ostatniego dziad Rafał — imię to stale się powtarzało w rodzinie — był dobrym i mądrym mówcą sejmowym, co na ówczes wysoce było cenioną zaletą. — Nie ulega wątpliwości, że ów „Głos wolny” był razem z „Skrupulem bez skrupułu” Jabłonowskiego krewnego króla, oraz dziełami ks. Stanisława Konarskiego pierwszym przeblyskiem w mrokach bezmyślności owej epoki, i że z tej iskierki poczęło powoli rozchodzić się światło, które zajaśniało w Komisji Edukacyjnej, w konstytucji 3 Maja i wielu innych objawach narodowych. Król Stanisław korespondował z wieloma ówczesnymi filozofami i autorami i brał żywy udział w życiu intelektualnym Europy: znajdujemy jego przyczynki w „Mercure de France” w postaci „Réponse au discours qui a remporté le prix de l'Académie de Dijon” skierowanej w stronę J. J. Rousseau'a. Działo się to w r. 1751. Gdy córka jego Maria wstępowała na tron francuski, zwrócił się do niej z szeregiem rad jakie może dać ojciec i król doświadczony tylokrotnie przez życie w dziełku pt. „Avis du roi à la Reine sa fille”, w którym właśnie opisał swoje perypetie gdańskie. Dzieła króla-



filozofa wyjdą jako zbiorowe wydanie w Paryżu, w 4 tomach w r. 1764.

Krewny Stanisława Leszczyńskiego i bywalec na salonach lunéwskich, Józef Aleksander ks. **Jablonowski** (1711-1777), wojewoda nowogrodzki, uczony dziwak, który jeszcze będąc w szkołach we Lwowie, począł swą działalność literacko-naukową, dostarczając księdzu Kacprowi Niesieckiemu materiałów o swej rodzinie do jego „Korony Polskiej”, a który później zadziwił Polskę swymi dziełami historyczno-genealogicznymi i założeniem „Societas Jabloviana”, również w języku francuskim opublikował w Norymberdze dzieło pt. „L'Empire des Sarmates” (1748). Praca bez większej wartości, ale dostępna-przynajmniej dla obcokrajowców, którzy do ostatnich prawie czasów pisząc o Polsce, posługiwali się albo dziełami łacińskimi autorów polskich albo encyklopediami! Inny gość dworu Leszczyńskiego, Stanisław **Poniatowski**, kasztelan krakowski, ojciec przyszłego króla, w tymże czasie (1734) pisze swój pamiętnik, oczywiście, po francusku, a syn jego uczyni to samo. Znajdzie się w tekach króla nawet tłumaczenie Szekspira na... francuski, podczas gdy biskup kijowski Józef Andrzej **Zaluski** (1702-1784) napisze w tymże języku pracę „La Pologne paradis des Juifs”, parafrazując dawne powiedzenie, sięgające, zdaje się, XVI wieku „Polonia Paradisus Judaeorum”.

Dla tych wszystkich autorów piszących po francusku, obcy język był równie bliski jak polski.

Ze śmiercią Augusta III schodzi do grobu Polska „złotej wolności”, a rozpoczyna się, zrazu nieśmiało, potem coraz wyraźniej, okres nowy, którego „spiritus movens” jest dążenie do naprawienia zaniedbań przeszłości. Nastaje też ostatnia chwila Rzeczypospolitej: wekslowe pożyczki, zaciągnięte lekkomyślnie przez poprzednie pokolenia, oddane zostają do protestu i trzech komorników czeka przed drzwiami walącego się domostwa, jakim jest, w owej chwili, Polska, na wyegzekwowanie zaległości.

Pierwszą reakcją, znamionującą wolę narodu utrzymania swej niezawisłości, jest konfederacja Barska. Nie wchodząc w zakulisowe jej sprawy, w pozostałości starszszlacheckich, występująca w niej jaskrawo, jest to bezwątpienia odruch zdrowia i siły. Ale od początku bodaj zdaje sobie konfederacja sprawę ze swej słabości i konieczności szukania pomocy zagranicą. Między ewentualnymi protektorami ruchu znajduje się Francja, dokąd śpieszą wysłannicy konfederacji. Należy też poruszyć ospałą opinię Europy, tak nieskorej do decyzji wówczas jak i za naszych czasów. We Francji zresztą, pod wpływem encyklopedystów i licznych reformatorów ustroju społecznego, zainteresowanie sprawą Polski rośnie z dnia na dzień, zainteresowanie należące się „ciekawemu wypadkowi” społecznej i politycznej choroby. W związku z tym pojawiają się liczne dzieła na temat Polski, przeważnie mało pochlebne ale życzliwe. Zabiera głos wielki Jan Jakób i ksiądz de Mably, namówieni ku temu — podobno — przez wysłannika konfederacji, kasztelanica wołyńskiego, kuch-

mistrza w. lit. Michała Wielhorskiego († 1790). Wychowany w duchu francuskim Wielhorski umie zainteresować sprawą Polski Paryż: sam wydaje w r. 1775 pracę po polsku i po francusku pt. „Essai sur le rétablissement de l'ancienne forme de gouvernement et des lois en Pologne”, która się ukazuje w Londynie. Inne dzieła polskie na temat konstytucji narodowej, ustroju itd. ukazują się zagranicą w tłumaczeniu francuskim, np. Hugona **Kollataja** „Etude sur la constitution du 3 mai 1791”, która wyjdzie w Lipsku 1793 r., lub Józefa Andrzeja Załuskiego „Manuel du droit polonais pendant l'interrègne”, przetłumaczone przez Duclos'a i wydane w Warszawie w r. 1764. Tłumaczem był może późniejszy major Duclos, który przybył wraz z Dumouriezem do Polski w r. 1770, a który niewątpliwie był obeznany z językiem polskim i krajem.

Nie wszyscy — oczywiście — pochłonięci są polityką: niektórzy poświęcają swą uwagę zagadnieniom naukowym, literaturze pięknej, teatrowi. Świetny i bodaj nasz pierwszy archeolog i badacz starożytności słowiańskich Jan **Potocki** (1761-1815) napisał około 30 dzieł w języku francuskim! Pierwsze z nich „Voyage en Turquie et Egypte” wyszło w Warszawie w r. 1783, następne „Essai sur l'histoire universelle et recherches sur celle de la Sarmatie” również w Warszawie w 4 tomach (1789-1792). Wśród dzieł literatury pięknej znajdziemy nazwiska poety Tomasa **Węgierskiego** (1755-1787), który ogłasza „Lettre écrite en forme d'un journal à un ami à Paris pendant le voyage à la Martinique en 1783” oraz „Voyage dans l'Amérique Septentrionale” i inne mniej ważne. Pułkownik **Oraczewski** (chodzi tu zapewne o Feliksa, dobrego patriotę, posła ziemi krakowskiej na sejm, w końcu posła polskiego we Francji, choć w tymże czasie żył i inny pułkownik tegoż nazwiska, Jan oraz Ignacy, również poseł na sejm 1764) pisze kilka komedii po francusku „Le chicaneur”, „Le Polonais étranger à Varsovie”, „La victoire sur Orcha”. Wspominam go nie tyle jako autora francuskiego, gdyż zapewne sztuki jego nie wywarły głębszego wrażenia na ówczesnej publiczności paryskiej, ale jako Polaka piszącego po francusku. Warto wspomnieć na marginesie, że w lat kilkadziesiąt później „Zofjówka” Stanisława **Trembeckiego** ukaże się w tłumaczeniu francuskim, którego się podejmie hr. de Lagarde, członek Król. Tow. Przyjaciół Nauk w Warszawie w r. 1815.

Tymczasem wypadki w kraju dochodzą do punktu wrzenia: po Konstytucji 3 Maja dochodzi do ostatnich walk o byt albo niebyt. Literatura francuska coraz obficie zajmując się sprawą polską, tym bardziej, że i w tym kraju rewolucja 1789 r. narzuca sprawę łączenia się z tymi wszystkimi narodami, które znajdują się w podobnym położeniu walki z „ancien régime”.

Paryż staje się zresztą coraz bardziej główną kwatery sił młodych i wywrotowych. Jeszcze przed ostatecznym upadkiem Polski na polach Maciejowic, gdzie miało paść złowrogie „Finis Poloniae”, coraz więcej Polaków zbiera się nad Sekwaną, by stąd rozpocząć jakąś akcję dla Ojczyzny. Tymczasem Francja sama

pogrążona jest w zamęciu i zajęta jedynie dniem jutrzejszym. Działa na bruku paryskim Barss, zjawia się Józef Wybicki, późniejszy minister ks. Warszawskiego, Franciszek Dmochowski, tłumacz „Art poétique” Boileau, Ignacy Zajączek, brat generała Józefa, Szaniawski, generał Józef Wielhorski, Jan Mejer, Karol Prozor, oboźny wielki litewski, Mniewski, kasztelan mazowiecki, i w styczniu 1793 r. przybywa też Józef Sułkowski, z gorącymi listami polecającymi francuskiego ambasadora w Warszawie ci-devant markiza Des Corches. Posiedzenia patriotów odbywają się bądź to u Barssa, bądź też w jednym z hoteli na rue St-Honoré. Piotr Maleszewski (1767-1828), od dawna osiadły w Paryżu i mający duże stosunki, zwłaszcza, że przyjaźni się z ministrem wojny gen. Janem Bernadottem, późniejszym marszałkiem i królem szwedzkim, bierze żywy udział w tych emigranckich staraniach i zabiegach celem zdobycia poparcia rządu dla spraw polskich. Postać ta łączy się z naszym tematem o tyle, że spod pióra jego wyjdzie dzieło dużej wartości na temat naszych dziejów pt. „Essai historique et politique sur la Pologne depuis son origine jusqu'en 1788”, wydane dopiero po jego śmierci w r. 1832 w Paryżu. Udało się jednak Maleszewskiemu natchnąć swego (późniejszego) teścia Jana Filipa Garran de Coulon, zdolnego adwokata i polityka opinii radykalnych, a późniejszego senatora i hrabiego napoleońskiego, do napisania poważnej i, ogółem, obiektywnej pracy o Polsce pt. „Recherches politiques sur l'état ancien et moderne de la Pologne appliquées à sa dernière révolution” wydanej w Paryżu w r. 1793. Praca ta, omawiająca Konstytucję 3 Maja i polemizująca z nią jak również ze zdaniem J.-J. Rousseau'a i księdza de Mably, opiera się w dużej mierze na inspiracji emigracji polskiej, z którą Garran de Coulon miał kontakty przez Maleszewskiego. Warto dodać, że dzieło Garran de Coulona na tyle zaciekało króla i jego otoczenie, że zlecił Stanisławowi Trembeckiemu napisać odpowiedź na nie. Czy rozkaz królewski został spełniony, nie wiadomo, gdyż w papierach po poecie nie znaleziono żadnych śladów po tej sprawie.

W tymże czasie i w tymże kółku (Garran de Coulon, Maleszewski, de St-Albin, ojciec) powstają prace Józefa Sułkowskiego (1770-1798), tego zdumiewającego polskiego jakobina z krzyżem maltańskim, który doczekał się poetyckiej monografii w sztuce Zeromskiego oraz jedynie ciekawych przyczynków naukowych Askenazego, Skalkowskiego i kilku innych. Część jego piśmienniczej spuścizny została opublikowana przez syna jego przyjaciela Hilaire de St-Albin (Paryż, 1830). Była ona duża (część jej znajduje się w franc. Min. Spraw Zagr.) ale dopiero trzy lata temu uczony francuski, Marcel Reinhard, wydał niezwykle wartościowe jego przyczynki do historii kampanii włoskiej, którą odbył jako „aide-de-camp” Bonapartego. Listy te, a właściwie referaty na różne tematy, wyszły pod tytułem „Avec Bonaparte en Italie, d'après les lettres inédites de son aide-de-camp Joseph Sułkowski” (Hachette, 1946). Listy te zwrócone

były zapewne, do jego przyjaciela i szwagra Piotra Maleszewskiego. Ten tych epistoł, entuzjazm dla Republiki Francuskiej, nienawiść do „starego ładu”, dobrze charakteryzują nastroje, panujące w — części oczywiście — polskiej emigracji, upatrującej zbawienia w rewolucji francuskiej. W tymże czasie (1797) powstają pamiętniki gen. Józefa Zajączka.

Okres od 1796-1813 roku zbyt jest burzliwy i zanadto absorbuje siły narodu na polach bitew, od San Domingo poprzez Hiszpanię aż po Moskwę, aby ówczesni Polacy oddawali się politycznej czy pięknej literaturze w języku francuskim. Nie było ani czasu ani potrzeby pisać: los pozostawił nam możliwość czynu, w którym wyżywały się siły i energie narodu, zresztą, na darmo. Oczywiście, że powstają tu i ówdzie dzieła francuskie pisane przez Polaków, małe przyczynki historyczne czy literackie, ale bez większego znaczenia. Jedną z głównych postaci tej epoki, Wincenty Krasieński (1789-1858), generał napoleoński, mianowany przez cesarza hrabią państwa francuskiego, ogłasza w r. 1811 małą pracę pt. „Essai sur le manieiment de la lance par le Cte. Corvin Krasieński”, a w r. 1818 drugą pt. „Aperçu sur les Juifs en Pologne”. Będzie to zresztą pierwszy z piszących po francusku Krasieńskich, których spotkamy aż trzech. Do epoki rewolucyjnej zaliczyć jeszcze trzeba pracę Krosnowskiego (z nazwiskiem tym spotkamy się po r. 1831) pt. „Epître du vieux cosmopolite Syrach à la Convention Nationale de France, contenant un examen du discours prononcé à la séance du 2 pluviôse an III par le citoyen Boissy d'Anglas sur les véritables intérêts de quelques-unes des puissances coalisées et sur les bases d'une paix durable”. Miejsce druku: „En Sarmatie”, rok: 1795. Książeczka obejmuje 126 stron druku i jest ciekawym przyczynkiem do ówczesnych poglądów, choć nie jest źródłem historycznym.

Nowy rozdział francuskiego piśmiennictwa, tworzonego przez Polaków otwiera powstanie 1831 roku, gdyż jest to okres walki nie tylko z bronią ale też z piórem w rękę. Oczywiście, że upadek powstania powoduje nie tylko chęć poinformowania Europy o walkach, celach i historycznym podłożu ich, ale też poruszenie opinii europejskiej na przyszłość. Jest to więc drugi — niezwykle ciekawy — etap organizowania się propagandy narodowej, niestety zresztą skłóconej i grzeszącej rozbieżnością zdań i kierunków, ale w każdym razie dającej Europie mało albo nic o nas nie wiedzącej, pewne konkretne dane. Nie są to już oderwane prace mniej lub więcej powołanych do tego dyplomatów, pisarzy czy mężów stanu jak było i przed i podczas Konstytucji 3 Maja lub w czasie rewolucji, ale do warsztatu publicystycznego stają pierwszorzędni ludzie, mężowie stanu, uczeni, historycy, wojskowi.

Zresztą istniały po temu korzystne warunki, gdyż emigracja ówczesna płynęła obfitą falą na ziemię francuską: Michał Sokolnicki oblicza w swej ciekawej pracy na temat emigracji, że wiosną 1833 r. znajdowało się we Francji już ponad 10.000 emi-

grantów. Większość posłów i senatorów, sporo członków rządu z Bonawenturą Niemojewskim i ks. Adamem Czartoryskim na czele, wojsko z generałami Małachowskim, Bemem, Umińskim itd. osiedla się na stałe w Paryżu. Stwierdziwszy wkrótce, że nie można myśleć o prędkim powrocie do domu, emigranci rozpoczynają pracę propagandową na długą metę: powstaje kilka dzienników polskich, i jeden francuski „Le Polonais” (wychodził od 1833-36 r.), redagowany przez Władysława Platera. Stworzenie w dniu 29 kwietnia 1832 r. Towarzystwa Literackiego, jak również Biblioteki Polskiej (1838) przyczynia się oczywiście do ożywienia polskiego piśmiennictwa emigracyjnego.

Jeśli z jednej strony ukazują się w języku francuskim dzieła o charakterze oficjalnym, jak np. „Portofoglio” wydane dzięki staraniom ks. Adama Czartoryskiego, a obejmujące zbiór dokumentów historycznych i dyplomatycznych (1836-1837 w 5 tomach), to z drugiej strony lwia część zadania spoczywa na barkach kilkunastu ludzi o wielkich zdolnościach i benedyktyńskiej pracowitości.

Na czele tej grupy uczonych i historyków polskich, piszących po francusku, należy postawić, mimo nierówności polotu i znaczenia naukowego, dwóch: Joachima Lelewela i Leonarda Chodźkę, gdyż zakres ich pracy i wpływ ogłoszonych przez nich dzieł był, bodaj, największy i najsilniejszy w owym czasie. **Lewel** (1786-1861), stale mieszkający w Brukseli, ogłosił swoje epokowe dzieła: „Numismatique du moyen âge” (3 tomy, 1835), „Géographie du moyen âge” (1850-58, 5 tomów), „Considérations sur l'état politique de l'ancienne Pologne et sur l'histoire de ce peuple” (Paryż, 1844) i in.

**Leonard Chodźko** (1800-1871) jest pierwszym z czterech członków tej rodziny, którzy odegrają rolę na emigracji. Bawiąc od 1826 r. w Paryżu, związany jest osobistymi stosunkami z dziejami Legionów Polskich we Włoszech, których dzieje opisuje w „Histoire des Légions Polonaises” (1829) oraz w „Les Polonais en Italie” (1829). Celuje on również w popularyzowaniu spraw polskich wśród nie-Polaków w dziełach posiadających urok świeżości, oryginalności i często ilustrowanych. Do takich prac należą: „Histoire populaire de la Pologne” (1863), która doczekała się 14 wydań i nakładu 112.000 egz.; „Pologne historique, littéraire, monumentale et pittoresque”; „Tableau de la Pologne ancienne et moderne sous le rapport géographique, statistique et géologique” (1830). W końcu zebrał on najważniejsze przyczynki dyplomatyczne i polityczne do dziejów Polski w dziele „Recueil des traités, conventions, actes diplomatiques etc., relatifs à la Pologne de 1762-1862”. Biorący żywy udział również w pracach towarzystw francuskich, zasila on 300 życiorysami „La nouvelle biographie générale”. W końcu spod jego pióra wychodzi życiorys Kościuszki, „Biographie du gén. Kosciuszko” (1837). W „Pologne historique” współpracuje jego żona, **Olimpia** z Maleziewskich (1797-1889), córka Piotra, rodzaj „bas bleu” owych czasów, pisząca też w licznych ówczesnych dziennikach: „Le

Constitutionnel”, „La Tribune”, „Le National” itd., a której salon gromadzi licznych literatów i artystów francuskich i polskich. Bywa tam m. inn. Stanisław Worcell, znany socjalista i autor franc. artykułów, Teofil Gautier i Murger.

Nie brak dzieł specjalnych, omawiających ostatnie powstanie: w pierwszym rzędzie należy tu wymienić 2-tomowe dzieło generała Romana Sołtyka „Histoire de la révolution polonaise 1831” (1833), następnie zaś pracę Ludwika **Mierosławskiego** (1814-1878) pt. „Histoire de la révolution de Pologne” (Paryż 1836-37). Mierosławski, którego matka Kamilla Notté de Vaupleux była Francuzką, wydał poza tym kilka innych prac w języku francuskim: „Aperçu rapide sur l'histoire universelle” (1836), „Tableau de la première époque de la Révolution de Pologne” (Besançon, 1833). Do dziejów powstania odnosi się też piękne dzieło ilustrowane licznymi rycinami **Józefa Straszewicza** (1801-1838): „Les Polonais et les Polonaises de la révolution du 29 novembre 1830, biographie de personnes qui ont figuré dans la dernière guerre de l'indépendance polonaise” (Paryż, 1839).

Z naszych trzech wieszczów jedynie **Adam Mickiewicz** odegrał w literaturze francuskiej większą rolę dzięki swym wykładom o literaturze słowiańskiej, wydanym pt. „Les Slaves, histoire et littérature des nations polonaise, bohème, serbe et russe” (Paryż, 1840-44 oraz 1849). Poza tym ogłosił on za życia oraz ukazały się po jego śmierci: „L'Eglise officielle et le messianisme” (1845, 2 tomy), dramaty: „Drames polonais par Adam Mickiewicz, Les confédérés de Bar et Jacques Jasiński” (ogłoszone przez Władysława Mickiewicza w r. 1867), „Des origines slaves” (1882), „La Politique du dix-neuvième siècle” (1870), również przez Władysława Mickiewicza). Wspomnijmy z kolei syna wieszca Władysława jako autora: „Adam Mickiewicz, sa vie, son oeuvre” (Paryż, 1888), „Etudes biographiques: Czartoryski, Wielopolski, Mierosławski” (1863), „La Nation polonaise” (1863) oraz jako tłumacza niektórych dzieł ojca, Henryka Rzewuskiego („Pamiętniki Soplicy”), Orzeszkowej, Kraszewskiego, Czajkowskiego itd. Nie można też pominąć jako tłumacza dzieł Mickiewicza\*) **Krystyna Ostrowskiego** (1811-1882), przybyłego wraz z ojcem i stryjem do Paryża po powstaniu 1831 r. Poza tym wydał on szereg sztuk scenicznych, wydanych jako „Théâtre complet” (1862) oraz innych dzieł literackich, wydanych jako „Œuvres choisies” (1875). W końcu łączy się z nazwiskiem Mickiewicza pamięć **Jana Czyńskiego** (1801-1867), który nieraz występował przeciw niemu i doczekał się (wraz z Adamem Gurowskim) znanego wiersza. Sztuki jego wystawione były w teatrze paryskim „Porte St-Martin”. — **Zygmunt Krasiński**, w którego duszę powstanie wdarło się nie tylko jako klęska narodowa

\*) Mówiąc o tłumaczach Mickiewicza niech nam będzie wolno wspomnieć również p. Pawła **Cazin**, szczerego przyjaciela Polski i doskonałego fej, a na pewno na terenie Francji najlepszego znawcę, tłumacza znakomitego „Pana Tadeusza” (Paryż 1934).

ale też jako dramat osobisty, opublikował w latach 1830-32 około 50 utworów francuskich w genewskiej „Bibliothèque Universelle”. Poza tym jest on autorem popularnych wtedy listów otwartych w sprawach politycznych: „Lettre à M. le comte de Montalembert et à M. de Lamartine par un gentilhomme polonais”, „Mémoire au pape Pie IX”, „Lettre à M. le comte Mastai” (1849), „Lettres à la grande duchesse de Bade Sophie” (1854). Co do Słowackiego to jedyne—zdaje się—jego dzieło napisane po francusku „Le roi de Ladawa” ukazało się w r. 1924 w Warszawie z autografu Biblioteki Krasieńskich. W okresie tym wychodzą też wspomnienia i pamiętniki odnoszące się już nie tylko do powstania samego, ale również do dawniejszych dziejów Rzeczypospolitej: Michała Kleofasa Ogińskiego (1765-1833) „Mémoires de Michel Ogiński sur la Pologne et les Polonais depuis 1788 jusqu'à la fin de 1815” (Paryż, 1826-27), ogłoszone w czterech tomach przez Leonarda Chodźkę. Tegoż zapewne Ogińskiego wyjdzie w r. 1864 powieść — jakbyśmy dziś powiedzieli — „sensacyjna” pt. „Les Crimes en Pologne ou les Mystères de Varsovie, roman historique par le Comte polonais Ogiński”. Tragedię narodu i jego polityczne dzieje stają się po raz pierwszy tematem powieściowej fikcji. Wypadek to nie jedyne: już w r. 1836 Henryk Krasieński ogłasza powieść historyczną pt. „Bataille de Kirchholm ou l'Amour d'une Anglaise, roman historique”. Tenże sam pisze: „Le célèbre Vitold Grand duc de Lithuanie, précédé d'une notice sur la Sarmatie” (Paryż, 1834), inne zaś swoje prace o kozakach, anegdoty historyczne „Private anecdotes” ogłasza po angielsku. W wiele lat później, bo już w r. 1904 Stanisław Rzewuski, o którym będziemy jeszcze mówić, wystawia w Brukseli, w „Alhambra”, sztukę sceniczną w 5 aktach, napisaną wraz z Piotrem Decourcelle pt. „Les Mystères de St-Petersbourg”, jeden z licznych utworów sensacyjnych, osnutych na tle historii Rosji, które począwszy od r. 1830 aż po dziś dzień wzbudzają zainteresowanie Europy. Nasuwa się porównanie z „Tamten” Gabrieli Zapolskiej.

Agent polityczny Hotelu Lambert, Michał Czajkowski (1804-1886), późniejszy Sadyk-Pasza, publikuje w r. 1835 „Quelle a été l'influence des Kosacs sur la littérature, les sciences, les arts et la civilisation générale dans le Nord et dans l'Orient”. Zainteresowanie tą kwestią poprzedza jego późniejszą rolę jako atamana kozaków otomańskich.

Na zamknięcie tego okresu powstaniowego, który, siłą rzeczy coraz bardziej blednie i przeistacza się w okres normalny, należy wspomnieć Adolfa Tabasz-Krosnowskiego (1704-18..), majora W. P., później pułkownika wojsk francuskich, który oddał nie tylko emigracji, ale też potomności dużą usługę ujęcia w konkretny ramy cyfr i nazwisk emigracji, o której niewtajemniczonymu trudno sobie wyrobić zdanie. Jego „Almanach de l'Emigration Polonaise”, mający trzy wydania w latach 1837, 1846 i 1847, to na pewno najsmutniejszy almanach, jaki wyszedł spod prasy, almanach nieszczęśliwych. Krosnowski

zresztą, powiedzmy to nawiasem, przez matkę, Izabellę z Jakubowskich, żonę Juliusza, miecznika pilzneńskiego, związany był z dworem lunévillskim i Francją. Rodzony jego dziad Wojciech Jakubowski, był jako francuski dyplomata wtajemniczony w „Secret du Roi”, był posłem francuskim w Warszawie i należał bezwątpienia do ciekawszych postaci ówczesnego „Quai d'Orsay”.

Pułkownik Krosnowski wydał poza tym „Les familles illustres et titrées de la Pologne” z tablicami herbów, pracę małej wartości, bo kompilacyjną i powtarzającą różne niesprawdzone legendy i przypuszczenia. Dzieło to, zresztą rzadkie w handlu, nie wiadomo dlaczego przypisywane jest przez antykwarzy polskich i francuskich jakiemuś Brezie.

W miarę też oddalania się chwili powstania listopadowego i zżywania się z „status praesens”, polemiki i polityczne rewindykacje stają się coraz słabsze i giną w wirze bieżącego dnia. Los Polski jest przypieczętowany, a powstanie 1863 r. jest ostatnim — zdawałoby się — echem drzemających w duszach polskich aspiracji, skazanych przez twardy los — na zgubę. Europe trudno przekonać; nie dokonał tego dzieła ani Hôtel Lambert, ani Mierosławski, ani wielu innych „białych” czy „czerwonych”. Jeszcze około r. 1863 ukaże się jedna, druga książka Polaka po francusku mówiąca o naszych prawach i o sprawiedliwości, ale już coraz słabiej. Większość społeczeństwa poczyna szukać w „czytnie realnym” zbawienia i — jak to się zwykło w takich razach dzieje — nie chcąc zginąć, kontynuuje swój żywot na innej płaszczyźnie. Poczynając też od lat 1850 aż po ostatnie czasy, do literatury francuskiej wejdzie sporo Polaków, ale już nie jako heroldowie sprawy narodowej, jako mściciele mający szczytne słowa na ustach, lecz jako literaci czy historycy, którzy potracając o sprawy polskie, czynią to z perspektywy historycznej, bez gorczy, rzeczowo i raczej z chłodem ludzi nauki.

„Czysta” nauka lub „czysta” poezja i literatura piękna łatwiej pozwalają autorom wejść na Olimp francuski już nie w charakterze tolerowanych gości, ale w roli stałych lokatorów. Udaje się to zwłaszcza tym, którzy posiadają w społeczeństwie francuskim wybitne miejsce, którzy się zrośli z nim dzięki swej roli społecznej.

Aleksander Borejko-Chodźko (1804-1891), krewny Leonarda, świetny orientalista, profesor Sorbony, poświęca swe studia specjalnej i oderwanej od bieżącego życia dziedzinie i zyskuje w niej znaczne nazwisko naukowe. Jego dzieła: „Les chants historiques de l'Ukraine et les chants des Latyches des bords de la Dvina occidentale” (1879), „Contes des paysans et pâtres slaves traduits en français et rapprochés de leur source indienne” (1864), „Etudes bulgares” (1875), „De la littérature sacrée chez les Slaves” (1865) oraz kilka prac o gramatyce perskiej, o języku tureckim, zyskują mu specjalne stanowisko w naukowej literaturze. Wśród orientalistów należy wymienić jeszcze Michała Kleczkowskiego, ciotecznego brata Cypriana Norwida (przez matki Sobieskie z domu), świetnego znaw-

cę języka chińskiego, później wybitnego dyplomaty francuskiego i posła na Dalekim Wschodzie, autora „Cours libre de chinois vulgaire et poétique. Discours d'ouverture du 7. XII. 1869 (1870), „Graduel de chinois parlé et écrit” (1876).

Julian Klaczko (1827-1906), przebywający od 1849 r. w Paryżu, jest (poza Waliszewskim) najbardziej znanym zagranicą polskim historykiem, piszącym po francusku, a to tym więcej, że poruszał sprawy tające w sobie zagadkę przyszłości. Współpracuje w „Revue des Deux Mondes”, ogłasza w r. 1866, w chwili tak ważnej dla dyplomacji europejskiej (wzrastanie potęgi Prus, usuwanie się Austrii i Francji z widowni) „Etude sur la diplomatie contemporaine”, a w 10 lat później „Les deux chancelliers: le pce Gortchakoff et le pce de Bismarck” i wiele innych wartościowych dzieł, w końcu zaś, w r. 1880 „Causeries Florentines”, które w tłumaczeniu Stanisława Tarnowskiego staną się „Wieczorami Florenckimi”, zajmującymi poważne miejsce w literaturze polskiej. Warto dodać, że dzieło to nagrodzone zostało przez Akademię Francuską, wyróżnienie, które niewielu polskim dziełom przypadnie w udziale.

Zanim przejdziemy do dalszych autorów, poświęcimy kilka słów kobietom, które w literaturze polskiej posiadają niezłą „lokate” i tutaj, w obcej literaturze, występują raz po raz. Poznaliśmy już Olimpię Chodźkową, współpracowniczkę męża: w tymże czasie inne dwie Polki — pani Grabowska i hr. z Tyzenhauzów Choiseul-Gouffier piszą po francusku. Pierwsza wydała w r. 1831 „Esquisses Polonaises”, druga kilka powieści „Les Polonais à St-Domingue” (1818), „Barbe Radziwill” (1820). W kilkadziesiąt lat później dwie panie z rodziny Iwanowskich, osiedlonej na Ukrainie i Podolu — Dionizja Poniatowska, żona zamożnego ziemianina oraz księżna Karolina Sayn-Wittgenstein (1818-1887), przyjaciółka Liszta, zasila tę literaturę swymi utworami. Pani Poniatowska opublikuje „Pologne et Ruthénie. Origines Slaves” (1861), oraz „Luttes des peuples Lechites contre les Ouraliens” (1874) nie pozbawione posmaku wiecznej aktualności. Księżna Sayn-Wittgenstein celuje w pracach moralno-religijnych: „Entretiens pratique à l'usage des femmes du monde” (1875), „Nos égaux et nos inférieurs ou la vie chrétienne au milieu du monde” (1904) informujące nas w sposób niezwykle plastyczny o... różnicy, jaka zachodzi między „dzis” a „wczoraj” i o naiwnej sielskości poglądów niektórych chrześcijan. Jej praca „La Chapelle Sixtine” (1867) zyskała sobie bardzo pochlebny krytykę.

Do świata abstrakcji, w którym język nie posiada zabarwienia narodowego a jest jedynie narzędziem do wyrażania ogólnoludzkiej myśli, należą dwaj filozofowie — August Cieszkowski (1814-1894) i Józef Hoene-Wroński (1778-1853), jeden matematyk Józef Przerwa-Tetmajer (1804-1880), krewny Kazimierza i Włodzimierza, oficer z r. 1831 i emigrant, oraz ekonomista Ludwik Wołowski (1810-1876). Hoene-Wroński przybył do Paryża w r. 1800, chcąc się zaciągnąć do Legionów, przedstawia się

Dąbrowskiemu i Kościuszce, ale po drodze „utyka” w Marsylii, porzuca swe projekty wojskowe i osiada na lat-10 w tym mieście. Od 1810 mieszka w Paryżu. Cały prawie dorobek naukowy Wrońskiego ukazał się w języku francuskim. W tym języku wychodzą jego fundamentalne dzieła: „Introduction à la philosophie des mathématiques” (1811), „Prospectus de la philosophie absolue” (1878), „Les téléologiques du hasard” (1828), „Problème fondamental de la politique moderne” (1829), „Messianisme — Union finale de la philosophie et de la religion constituant la philosophie absolue” (1831-34), „Propedeutique messianique. Elements de la philosophie absolue” (1855 i 1875). Autor „Ojcie Nasz”, spędzający rok rocznie pewien czas w swej francuskiej posiadłości Champtercier, ogłasza trzy prace po francusku: „Du crédit mobilier et immobilier” (1847) i „Du crédit et de la circulation” (Paryż, 1838), oraz „De la patrie et de l'aristocratie” (1844). W zakresie nauk ekonomicznych wzbogaca literaturę francuską Ludwik Wołowski, który wrasta na dobre w ziemię francuską, staje się profesorem prawodawstwa przemysłowego i ekonomii politycznej w „Conservatoire des Arts et Métiers” i zachowuje tę katedrę przez lat 32. Mianowany w r. 1855 członkiem, a w r. 1865 prezesem Akademii Nauk Moralnych i politycznych, jest on kilkakrotnie deputowanym do Parlamentu, 1876 senatorem, założycielem „Crédit Foncier de France” itd. Józef Tetmajer pisze „Formules pour le développement des fonctions implicites” (1853) oraz „Intégration des fonctions géométriques”.

Edmund Chojecki (1822-1899), urodzony na Podlasiu, autor studium — bodaj pierwszego na ten temat — „Czechia i Czechowie” (Berlin, 1847) zamieszkuje w Warszawie od 1841, następnie przenosi się na stałe do Paryża od r. 1844. Wrodzona giętkość umysłu, zdolności językowe, okoliczności złożyły się na to, że Chojecki stanie się pierwszym autorem francuskim „par excellence” i odniesie na terenie paryskim spore sukcesy moralne i materialne. Chociaż będzie pisywał też po polsku, Edmund Chojecki pogrzebie wnet swoje nazwisko i przedzierzgnie się w Charles Edmond, pisującego zrazu w „Révue Indépendante” (1846-47), „Le Peuple”, „La Tribune des Peuples”. W czasie wojny krymskiej służy w wojsku francuskim. Zostawszy w r. 1856 sekretarzem księcia Napoleona Bonaparte, zwanego popularnie „Plon-Plon”, odbywa z nim podróż po Islandii, której owocem jest praca „Voyage dans les mers du Nord à bord de la corvette La Reine Hortense” (1857). Odbywa szereg podróży po Włoszech, Szwajcarii i Egipcie, gdzie poznawszy kedywa, staje się komisarzem działu egipskiego na wystawie światowej w Paryżu w r. 1867. Wystawia szereg sztuk scenicznych: „La Florentine” (1855), „L'Africain” (1860, grana w Komedii Francuskiej), „L'Aieule” (1864), „La Baronne” (1871), „Le Fantôme Rose” (1873) oraz liczne dzieła beletrystyczne: „Zéphyrin Cazavan eu Egypte” (1880, uwieńczone przez Akademię Francuską), „Harald” (1884), „La Bucheronne” (1883), „Le Patrio-

tisme" (1870) itd. Jego podwójne duchowe obywatelstwo naręcza mu temat do pracy „La Pologne captive et ses trois poètes" (1864), będącej echem świeżej kłeski Ojczyzny. Niezwykle ruchliwy i posiadający przysłowiowy „jut szczęścia", Charles Edmond-Chojecki zostaje bibliotekarzem Senatu w r. 1869, jest współzałożycielem dziennika „Le Temps" w r. 1860 i prezesem jego rady nadzorczej.

Antoni **Wodziński** (ur. 1852), syn Feliksa z Śmiłowic i Łucji z Wolickich, bratanicy arcybiskupa, pochodzi z rodziny o wysokiej kulturze i kulcie książki. Brat jego dziada, kasztelan Maciej Wodziński, zrazu mieszkający w Dreźnie po r. 1831, leży piękny księgozbiór (przeszło 10.000 tomów) Bibliotece Polskiej w Paryżu, kuzyn jego Kazimierz ogłosił pod pseudonimem „comte de l'Epervier" (wziętym od herbu Jastrzębiec) kilka broszur po francusku. Przez Marię Wodzińską, rodzoną ciotkę Antoniego, nazwisko Wodzińskich stanie się dzięki Szopenowi znane całemu światu. Spokrewniony przez Wolickich z rodzinami francuskimi, m. inn. de Kermançon i margr. de Lavoëstytne-Valabrègue, Wodziński otrzymał wychowanie w zakładzie OO. Dominikanów w Avreuil pod Paryżem, który opuszcza w r. 1871 po maturze, czuje się w tym kraju jak w drugiej ojczyźnie. Uczęszcza na wykłady działu filozoficznego w Sorbonie i w Collège de France, i poczyną bywać w salonach artystycznych. Z tych czasów opisuje spotkanie z podstarzałą już panią George Sand, którą spotyka u pewnej znanej śpiewaczki. Pierwszą jego pracą literacką jest (zdaje się) „Aniela" (1876) oraz „La Fiancée de Gora" (1877), w których dźwięczą wyraźnie echa polskie. W r. 1887 ogłasza ciekawy przyczynek do życia Szopena, związany z dziejami jego własnej rodziny pt. „Les trois amours de Frédéric Chopin". Z jego licznych powieści: „Srebro père et fils" (1896), „Séphora" (1892), „La princesse Lamanzoff" (1884), „Le journal de Liliane" (1897) — największy oddźwięk wywołuje jednak „Contre le sort" (1882), po którego ukazaniu się J.I. Kraszewski wyraził się, że „wprowadzenie żywiołu polskiego do powieści francuskiej było szczęśliwym pomysłem. Współcześni pisarze francuscy — ciągnie dalej Kraszewski — jeśli kiedy pomyśleli o nas, to tylko, aby zrobić konwencjonalne karykatury na sposób Heinego. Byłoby pożądanym, aby pisarze, jak Wodziński, wzięli na siebie obeznanie lepsze Francuzów z tym społeczeństwem, które oni znają tylko z portarzy i komunałów". Wodziński istotnie poszedł w tym kierunku jeszcze dalej, dając tłumaczenie dzieł Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem" oraz „Krzyżaków", pracując na spółkę z B. Kozakiewiczem (1901).

O ile Chojecki pochodził z Polesia, Wodziński z bogatej ziemi kujawskiej, o tyle Teodor Wyzewski (1863-1914) jest dzieckiem Wołynia. Ojciec Wyzewskiego, przybierającego, jako autor francuski, nazwisko Théodore de Wyzewa, — jest lekarzem, oficerem wojsk polskich w r. 1831, który osiedlił się po powstaniu we Francji, ale wrócił do kraju około roku 1860. Rodzina Wy-

zewy zamieszkuje w Horyńcu, później w Zwańcu. Koło r. 1868 ojciec przyszłego autora francuskiego wyjeżdża jednak do Francji z myślą sprowadzenia tam rodziny. Istotnie Teodor Wyzewski opuści wkrótce kraj jako dziecko (urodził się w r. 1862), rodzina zamieszka w Labosse (dep. de l'Oise), później zaś w Milly-sur-Thérain. W autobiograficznej książce Wyzewy pt. „Ma tante Vincentine" (Paryż 1913) — chodzi tutaj o Wincentynę, córkę jego babki z domu Kurdwanowskiej, 1-o voto Wyzewskiej, 2-o voto Bobrowiczowej, trudno nieraz dociec szczegółów biograficznych, gdyż autor kładzie główny nacisk na momenty uczuciowe i cała fabuła — będąca rodzajem biografii — gubi się w licznych reminiscencjach obyczajowych i sentymentalnych. Wyzewa ogłasza od r. 1886 swe artykuły w „Révue Indépendante", następnie liczne prace na temat sztuki i literatury, jak „Contes chrétiens" (1892), „Nos maitres: série d'études sur la littérature française", „Peintres de jadis et d'aujourd'hui" (1907), „Excentriques et aventuriers, essais biographiques" (1910) i sporo innych. Był on dosyć czytany w Polsce przed pierwszą wojną światową.

Kazimierz **Waliszewski** (ur. 1849) zyskał sobie zarówno we Francji jak w Polsce zasłużoną sławę dobrego historyka: po studiach uniwersyteckich, odbytych częściowo we Francji, rozpoczyna się jego rzetelna i długa praca historyka. Pierwszą jej owoc po polsku — ukazuje się w r. 1889 w Krakowie „Polsko-francuskie stosunki w XVII wieku". Główne zainteresowanie poświęca jednak Waliszewski Rosji oraz dziejom Polski w związku z Rosją. Daje świetną monografię królowej Marysienki „Marysienka" (Paryż, 1898). Zajmuje go początek europejskiej polityki Rosji „Les origines de la Russie moderne" (1904 i 1909), „Pierre le Grand" (1897), „L'héritage de Pierre le Grand" (1900), „La dernière des Romanow" (1902), w końcu spod pióra jego wychodzą studia o literaturze rosyjskiej: „Histoire de la littérature russe" (1900) lub studia obyczajowe: „La femme russe" (1926). Stosunek Polaków do Rosjan omawia autor w pracy „Polonais et Russes, visions du passé" (1919). Wojna światowa i zmartwychwstanie Polski natchnęły go do napisania „La Pologne inconnue — pages d'histoire et d'actualités" (1919). Arcydziełami Waliszewskiego, obok „Marysienki", jest „Le Roman d'une Impératrice, Catherine II" (1895). Świetny znawca stosunków politycznych i obyczajowych XVIII wieku, wydaje on (oczywiście po polsku) listy kasztelanowej z Potockich Kossakowskiej (1883), pisze przedmowy do pamiętników z tegoż wieku, np. do pamiętników hr. Gołowin.

Stanisław **Rzewuski**, syn generała ros. Adama (ur. 1864), pochodzi również z rodziny, mającej „dziedziczne" talenty pisarskie. Zarówno słynny „Emir Rzewuski" — Wacław, dziwak i hodowca koni, autor prac francuskich („Lettres à MM. les Collaborateurs des Mines d'Orient" (Warszawa, 1817), jak jego syn Leon („Etude sur l'organisation de la société politique" (1849 i inne), i Stanisław, kształcący się

we Francji („De la poésie lirique et en particulier de Jean Kochanowski”), będąca pracą doktorską, 1824, nie mówiąc oczywiście o Henryku, wykazują zdolności literackie. Stanisław Rzewuski rozpoczyna swą karierę ogłaszając zrazu kilka powieści polskich, następnie rozpoczyna szereg publikacji francuskich: „Etudes Littéraires” (1888), sztuki sceniczne „Le comte Vitold” (1889, grana w „Théâtre Libre” w Paryżu), „Le Justicier” (dramat w 6 aktach, grany w Paryżu w „Ambigu” (1892), „Les Roses de Bellaggio” (grana w teatrze „Gymnase”) oraz powieści „Les Filles du Rhin” (1896), „Le Doute” (1891) itd. Nie są to arcydzieła w typie „Pamiętników Soplicy” Henryka Rzewuskiego, ale cieszyły się w swoim czasie powodzeniem.

Dosyć specjalne miejsce, jako autor przyczynków do dziejów miast francuskich, zajmuje Włodzimierz Jaxa-Konarski (1852-1906), urodzony jako syn emigranta, generała Tomasza z r. 1831, osiadłego w Bar-le-Duc i żonatego z p. Villetard de la Guérie. Poświęca się on, po studiach w Paryżu, karierze urzędniczej i zostaje w końcu wiceprezesem rady prefekturalnej dep. Meuse. Niezwykle uzdolniony jako historyk i artysta, oddaje on swój wolny czas na pracę nad swym „rodzinnym” miastem, które ukochał. Poza szeregiem prac historycznych nad Bar-le-Duc, wychodzi — po jego śmierci — nakładem miasta, które chciało uczcić jego pamięć, obszerne dzieło pt. „Bar-le-Duc et le Barrois, texte, dessins à la plume et eaux-fortes de Włodimir Konarski” (1909). Ciekawym jest, że wśród rysunków Konarskiego nie brak tematów polskich: „Cavalier de la suite de Jean Sobieski”, „cavalier polonais au combat” itd. Wychowany po francusku nie przestał jednak czuć po polsku i zachował „obywatelstwo duchowe” polskie.

Wywołując w pamięci te liczne dzieła pisane przez Polaków po francusku, widać, jak — powoli — zmienia się ich ton. Istotnie przebrzmiały wloty połączone z Napoleonem I, rachuby Rzeckiego na szybką interwencję Napoleona III podczas wojny krymskiej okazały się fałszywą „podwójną buchalterią”, której wytrawny kupiec powinien się być powstydić; klęska 1871 r. wykazał słabość Francji, a młoda republika — rzecz prosta — podobnie jak młody rewolucyjny rząd Ludwika Filipa nie mógł zaczynać swej kariery od walki z Rosją czy z którymkolwiek z państw zaborczych, lecz przeciwnie, począł się zbliżać do tej pierwszej. Polacy poczuli liczyć na własne siły. Francja jednak pozostała dla nas krajem wolności, krajem, którego powietrzem dobrze się oddycha. Sympatie te z politycznych przedzierzgnęły się w kulturalne: literatura, teatr, sztuka robiły swoje. I rzecz dziwna, przetrwały one alians francusko-rosyjski, przetrwały dziwną symbiozę potomków Robespierre’a z potomkami Iwana Groźnego. Oczywiście, że politycznie Francja oddalała się coraz bardziej od nas, ale równocześnie pozostały dla nas sympatie, nieco dalekie, mgliste, nieobowiązujące, w postaci powiedzenia „brave Polonais”, ale bądź co bądź sympatie. Jeśli tkwiły w narodzie, to jedynie drogą przyzwyczajenia, tradycji,

gdyż literatura francuska mało mówiła o nas w tej epoce od 1870-1914 roku. Ukazała się dobra i życzliwa książka „La Pologne Vivante”, ale ogółem coraz silniej mieszano nas z „Słowianami”. Byłby to ciekawy temat do studium nad psychologią narodów.

Z drugiej jednak strony — polskiej — znów, zwłaszcza w czasie wojny światowej 1914-1918 i bezpośrednio po niej, kilku autorów przystąpiło, z polskim optymizmem i zadzierzystością, do zdobycia serc i mózgów francuskich. Jednym z pierwszych był Kazimierz Smogorzewski i Z. L. Zaleski, którzy oddali nam bezwątpienia spore usługi kulturalne i propagandowe.

Zanim jednak przejdziemy do ich twórczości, warto poświęcić kilka słów tej potędze współczesnej, którą by można nazwać dziesiątą czy raczej jedenastą muzą (skoro istnieje ponoć już muza lekkiego teatru) — propagandzie. Warto to uczynić tym bardziej, że — niestety — okazaliśmy się w dwudziestoleciu naszym niepodległości najmniej w tym kierunku uzdolnionym narodem.

Sprawa jest tym ciekawsza, że propaganda nasza — oczywiście indywidualna, nie ex officio, która naówczas nie istniała w tej formie, działała w XVIII wieku więcej niż w owym okresie 20-letnim!\*)

Wszystkie prace Kazimierza Smogorzewskiego, który przez wiele lat był korespondentem paryskim pism polskich, obracają się dokoła polityki polskiej, oraz stosunku Francji do Polski. Temu tematowi poświęcona jest jego ankietna „La politique polonaise de la France” (z przedmową Z. L. Zaleskiego). W „La Pologne restaurée” (1927) zaznajamia on Francuzów z rozwojem wypadków, które doprowadziły do zmartwychwstania Polski, inne prace jak np. „La guerre polono-soviétique d'après les livres des chefs polonais” (1928), „La Pologne, l'Allemagne et le corridor” (1929), „La Pomeranie polonaise” (1932), „L'union sacrée polonaise. Le gouvernement de Varsovie et le „gouvernement” polonais de Paris. 1918 — 1919” (1929) zajmują się pewnym odcinkiem najnowszych naszych dziejów. Poza tym niektóre wydawnictwa ukazały się podczas pierwszej wojny

\*) Dziełem jej było natchnięcie czterech wybitnych, a nawet słynnych autorów do napisania dobrych książek o Polsce. O trzech z nich mówiliśmy już. Ale są też inne: „L'histoire des révolutions en Pologne”, Claude-Carlmana de Ruhlère'a (ukazało się w roku 1807 w kilkanaście lat po śmierci autora) dzieło obiektywne, jeśli chodzi o ustrój Rzeczypospolitej choć nieraz przykre, zawdzięczało swe powstanie (w części zapewne) informacjom Andrzeja Mokronoskiego, późniejszego kasztelana mazowieckiego, a służącego przez lat osiem w wojsku francuskim. Informacje czy inspiracje Mokronoskiego o tyle były ważne, że p. de Ruhlère pisał dzieło „ad usum Delphini” w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż na użytek następcy tronu późniejszego Ludwika XVI. Dzieło nie tylko nie doszło do rąk dostojnego ucznia, ale w ogóle nie ujrzało światła dziennego za życia p. de Ruhlère, który umarł w r. 1791. Drugie dzieło (w 3 tomach) p. de Salvandy „Histoire de Jean Sobieski” zawdzięcza, jak przyznaje w przedmowie autor, swe powstanie Stanisławowi Platerowi (1784 — 1851) wydawcy „Atlas historique de la Pologne”

światowej w Szwajcarii po francusku, oraz po wojnie i wyrażają opinie załączka polskiego rządu zagranicą.

Z. Lubicz Zaleski (ur. 1882), jest jednym z tych Polaków, którzy jakkolwiek zdobyli w społeczeństwie francuskim poważne stanowisko naukowe i społeczne, i siłą rzeczy pracę swoje, w dużej części ogłaszają w języku francuskim, pozostali w ścisłym kontrakcie z polską myślą i narodem. Od 1914 wykładowca języka polskiego i literatury w Ecole des Hautes Etudes Sociales, od r. 1916 w Szkole języków Wschodnich, a od r. 1922 w Instytucie Studiów Słowiańskich i w Sorbonie zabiera Zaleski głos w sprawach bieżących i ważnych dla Polski. W r. 1920 poświęca studium sprawie Rosji „Le dilemme russo-polonais”, „Michelet, Mickiewicz et la Pologne” (1928), nakreśla też sylwetki Wacława Sieroszewskiego (1930), Kasprowicza (1928) i Słowackiego — „Słowacki, l'homme de Dieu”.

Z propagandą zasadniczych prawd o Polsce w świecie łączy się też nazwisko Edwarda Maliszewskiego (1875-1928), który w zakresie historii stał się jednym z stosunkowo nielicznych historyków powstania 1863 r. Jako geograf bierze udział w charakterze eksperta w pracach poprzedzających traktat ryski. Po francusku ogłosił dwie prace „Les relations ethniques des terres nord-est de l'ancienne République Polonaise” (1921), „La Pologne d'aujourd'hui” (Paryż, 1926).

W okresie od 1918 do 1935 kilkunastu autorów polskich, o wyrobionym już nazwisku a nawet o sławie, ogłaszało swe dzieła po francusku czy też w tłumaczeniu francuskim. Wymienić tu należy w pierwszym rzędzie wybitnych historyków prof. Wacława Sobieskiego i prof. Oskara Haleckiego, autorów historii polskiej, studium prof. Marcellego Handelsmanna „Histoire de la Pologne depuis 1772 jusqu'à 1914” (Paryż, 1918), oraz tegoż „Napoléon et la Pologne, 1806-1807” (1934), prace prof. Tytusa Komarnickiego, Karola Lutostańskiego „Recueil des actes diplomatiques et documents concernant la Pologne” (1918), niejako kontynuację pracy L. Chodźki, pionierskie dzieło Rajnolda Przędzieckiego „Diplomatie et protocole à la cour de Pologne” (Paryż, 1934) oraz tegoż książkę o Warszawie w pięknym wydaniu, pierwszą monografię po francusku o stolicy, Edmunda Krakowskiego „Histoire de la Pologne” (1934), tłumaczenia niektórych prac Szymona Askenazego. Nie możemy, rzecz prosta, wspomnieć dzieł Polaków w innych dziedzinach: medycynie, (dosyć licznych) geologii, geografii, genealogii, (Polaczkówna), inżynierii itd., ograniczając się do najbardziej popularnych, tj. literatury pięknej, historii, filozofii, socjologii. Pełną bibliografię tych prac Polaków w języku francuskim czytelnik znajdzie w „La Pologne en France”, wyd. przez Jana Lorentowicza 1935-1941 (3 tomy).

Na tym kończę litanię Polaków piszących po francusku od r. 1710 do czasów przedwojennych.

Wszyscy ci autorzy, w mniejszej lub większej mierze, zabierali głos by być usłyszonymi przez jak najliczniejszych czytelników,

byli autorami poważnymi, tj. traktującymi tematy poważne, do jakiegokolwiek by należały dziedziny. Echo jakie wywoływały ich prace odpowiadały mniej lub więcej tym ambicjom. Oczywiście, że nie wyczerpałem wszystkich pozycji, oczywiście, że zostały liczne poza nawiasem. Należą do nich zwłaszcza druki pisane po francusku przez amatorów, dyletantów, snobów, lub grafomanów. O jednym z nich ks. Lubomirskim, mieszkającym w Paryżu w poł. XIX wieku i nie obdarzonym urzędem, wyraził się Dumas, że „Quel drôle d'homme ce Lubomirski! Il n'est pas lu, il n'est pas beau, je doute fort qu'il soit mirski!”

W dziale lekkiej literatury, którą trudno sklasyfikować, ale która nieraz ma pewne znaczenie kulturalne, wspomnijmy Michała Tyszkiewicza (1828-1897), znanego kolekcjonera starożytności, właściciela pięknych zbiorów, II ordynata birżańskiego, który wydał w r. 1895 „Notes et souvenirs d'un vieux collectionneur”, oraz dzieło bardzo specjalne, ale cieszące się powodzeniem dr Pożerskiego, piszącego pod nazwiskiem Pomian „La cuisine en 10 minutes. Conférences faites à l'Institut d'Hygiène Alimentaire à Paris” (1934).

Należy nam obecnie wspomnieć z tytułu „inventaryzacji” Polaków i ex-Polaków zagranicą, którzy, jakkolwiek już sfracuzieli, grawitowali jednak w polu spraw polskich, lub też stali się znani dzięki działom oderwanym od tych spraw. Dotarcie do źródła tych rodzin jakkolwiek zazwyczaj mało oddalonych czasowo od Polski, ale kryjących się pod nawałem francuszczyzny, nie jest łatwe: przewodnikiem w niektórych wypadkach jest „Almanach de l'Emigration Polonaise” Krosnowskiego, jak wspomniałem, cenna praca informacyjna.

Zygmunt Krzyżanowski znany pod pseudonimem Sigismund Lacroix (ur. 1845 w Warszawie, ale naturalizowany w r. 1868, zrazu urzędnik magistratu XI arr. w Paryżu, później „conseiller municipal” zwrócił na siebie uwagę referatem nad organizacją zarządu miejskiego m. Paryża i zostaje w r. 1883 deputowanym. Lacroix jest współzałożycielem pisma „Le Radical” i autorem „Memento de droit civil” (1873-1874) w 3 tomach, oraz „Histoire des Proletaires” (1873).

Kazimierz Stryjeński (ur. 1853 w Szwajcarii, zm. 1912) pochodzenia polskiego poświęcił swe pióro zagadnieniom historycznym, nieraz związanym z Polską oraz studiom nad Stendhałem. Jego główne dzieła to: „L'enfance de Henri Beyle” (1889) i inne studia o Stendhalu, poza tym na tematy polskie napisał „Deux victimes de la terreur: princesse Rosalie Lubomirska et M<sup>me</sup> Chalgrin” (1899), „Mesdames de France, filles de Louis XV” (1902), wydał też pamiętnik hr. Potockiej (1897). Stryjeński cieszył się w Polsce pewną sławą dzięki życzliwemu stanowisku wobec Polaków, do których przynależności poniekąd się poczuwał. Dla literatury francuskiej znaczenie jego polega przede wszystkim na tym, że odnalazł, wydał i zaopatrzył w objaśnienia cztery dzieła Stendhala. Był on prof. liceum oraz fakultetu literackiego w Grenoble.



Fortunat-Józef **Strowski** (18.-18..) jest zapewne potomkiem N. Strowskiego, którego spotykamy jako kapitana w 3. p. Legionu Nadwiślańskiego w armii napoleońskiej, a który w r. 1812 otrzymał tytuł kawalera oraz donację w Nadrenii (dekret 31 marca), Fortunat Strowski był profesorem Sorbony na wydziale filozoficznym, oraz członkiem Institut de France. Zainteresowania jego szły w kierunku studiów nad Montaigne'em, Pascal'em i inn. filozofami. Jego główne dzieła: „Histoire des lettres” (1923), „Nationalisme et patriotisme” (1931), „La Reconstitution de la Pologne” (1915), „La sagesse française: Montaigne, St. François de Sales, Descartes, La Rochefoucauld, Pascal” (1925), „St. François de Sales, introduction à l'usage du sentiment religieux en France au XVII. siècle” (1926). Dzieło to zostało nagrodzone przez Akademię Francuską. Z tej rodziny pochodzi też p. Suzanna **Strowska**, pisząc głównie na tematy polskie: „Légendes Polonaises” (1927), „La merveilleuse histoire de Pan Twardowski” (1933) z przedmową znanej autorki hr. de Noailles. Jeszcze inny członek tej rodziny, Stefan Strowski, pisze na tematy historyczne: „Les Assemblées du clergé de France avant 1789” (1927) oraz prace prawnicze „Le droit usuel” et pratique” (1932), „Précis du droit usuel” (1905). Istnieje w końcu autor Jan-Fortunat-Alfred-Stefan **Strowski de Lenka**, należący do tej rodziny, piszący w latach 1926 — 1933 na tematy medyczne.

Wspomnijmy jeszcze Ernesta **Zyromskiego**, profesora uniwersytetu w Aix-Marsylia, zapewne potomka Michała Zyromskiego, oficera W. P. w r. 1831, emigranta, później studiującego — jak wielu zresztą Polaków owych czasów — medycynę na uniwersytecie w Montpellier.

F. **Trawiński** pisywał około 1880-1890 liczne artykuły do „La Grande Encyclopédie, inventaire raisonné des sciences, des lettres et des arts”, oraz pełnił funkcję szefa sekretariatu muzeów państwowych. Przetłumaczył z niemieckiego dzieło archeologiczne „La vie antique, manuel d'archéologie grecque et romaine” pióra Guhla i Konera (1902).

Na Olimpie francuskim zasiadł — już za życia — Guillaume Apollinaire, pochodzenia polskiego (przynajmniej po matce), poczuwający się jednak jedynie do obywatelstwa w ojczyźnie poezji, mającej dla niego swę ciaśniejsze i bardziej radykalne granice w Paryżu, na Montmartrze i Montparnassie. Poeta budził u nas przez szereg lat zainteresowanie i sympatię z tytułu jego pochodzenia. Niestety, „dział do obrazu, a obraz do dziada ani razu...”. Guillaume Apollinaire jest stuprocentowo autorem francuskim: nawet jego krótkie felietony ogłaszane podczas wojny (1914 — 18) w pismach francuskich, w których zastanawia się nad drobnymi i dalekimi sprawami, nie wspominają ani słowem o Polsce. Kawiarnia „de la Coupole” była mu bliższa od Wawelu.

Z pochodzeniem Apollinaire'a zachodzi podobna sprawa jak z pochodzeniem Chopina, które zdołano ustalić dopiero lat

temu dokładnie 22. Nieślubne i — jakoby romantyczne — pochodzenie poety dodawało mu waloru w oczach publiczności: dopiero niedawno temu zdołano wyświecić tę sprawę. Rodzina Kostrowickich, herbu Bajbuza, znana była na kresach wschodnio-północnych, w Wileńszczyźnie (pow. słonimski i lidzki) jak również na Mińszczyźnie. Wspomina ją Ignacy Baliński w swych „Wspomnieniach o Warszawie” jako krewnych. Jeden z nich Michał emigrował w 1863 zagranicą po powstaniu, Józef i Adam zesłani na Sybir. Z tej rodziny pochodziła p. Aniela Kostrowicka, córka Apolliniego, urodzona w Sweaborg (Finlandia), zamieszkała w Rzymie 19, via Nazionale, która dn. 27 sierpnia 1880 urodziła dziecko, znane zrazu pod imionami Wilhelma-Alberta i pod nazwiskiem Dulcigni, następnie zaś, po uznaniu go przez matkę, noszące imiona Wilhelm-Albert-Włodzimierz-Aleksander-Apollinariusz oraz nazwisko matki.

Sprawę wyjaśniły dopiero ostatnio poszukiwania włoskiego literata Vittorio Orazi, które opublikował w „Figaro Littéraire” Marcel Adéma. (1949). Pochodzące z tego samego źródła — jak zapowiada autor — informacje mają wkrótce wyjaśnić „apollinariystom” kim był jego ojciec, a wtedy będziemy wiedzieli w ilu procentach Guillaume Apollinaire, jeśli chodzi o krew, — był Polakiem... Panna Kostrowicka doczekała się jednak jeszcze jednego dziecka, które pozostało w ukryciu przeciętności.

Summary ten przegląd naszej działalności literackiej w języku francuskim, (w którym — oczywiście — brak wielu pozycji, zwłaszcza licznych publikacji związanych z daną chwilą i polityką bieżącą modne naówczas „listy otwarte” itd.) przyczyni się może do lepszego zrozumienia tej działalności poza granicami państwa polskiego, jej charakteru, kierunku, nastroju i wykaże, że, bez przesady, posiadamy w obcym języku dorobek dość znaczny jakim żaden naród obcy nie może się pochwalić.

Jan ZADEYKAŃSKI.

## Czym może być dziś dla nas Dante

Tacy «dogmatycy» jak Plato i Dante są dla mnie najbardziej dalecy, a przez to najbardziej pociągający.

FR. NIETZSCHE (Pisma pośmiertne).

### 1. O LEKTURZE DANTEGO

„Dante będzie żyć wiecznie, gdyż widoczne to, że nikt go nie czyta” — powiedział Voltaire. Możliwe, że przyszlibyśmy sami do podobnego wniosku, gdybyśmy uwzględnili „tylko” szerokie koła czytającej publiczności. Nie wiadomo mi wprawdzie czy przeprowadzono kiedyś tego rodzaju ankietę, w rodzaju Gallup’a, jednak wrażenie, że nie ma może wielkiego poety, który by był tak nieznanymi większości czytelników jak Dante, jest nieodparte.

Frywolny czar uwagi Voltaire’a można by zresztą dość łatwo odczarować na przykładzie samego Voltaire’a. Wystarczy wskazać, że niejedno z licznych dzieł tego świetnego pisarza nie znajduje już czytelników. A przecież żadnemu z nas, wielbicieli Voltaire’a nie przyjdzie na myśl, aby np. „Henriade” Voltaire’a — miała „żyć wiecznie”. Można by zresztą wytłumaczyć i tak, że uwaga Voltaire’a była do pewnego stopnia słuszna i zrozumiała dla jego epoki. Bo przecież właśnie w ostatnich dwu stuleciach mnożą się w nieskończoność wydania Dantego, niezliczone wstępy i komentarze, encyklopedie i bibliografie dantejskie, a prócz tego przekłady na języki europejskie i poza europejskie.

Nie może być moim zadaniem ani zamiarem zarysować tutaj chociażby tylko dorywczy obraz badań nad Dantem, ani ogromnej literatury o Dantem, którą w dodatku znam bardzo nie-dokładnie. Współczesny tłumacz francuski i komentator Dantego, Masseron, tak scharakteryzował jeden z odciałów dantologii. „Z tamtej strony Alp istnieje liczna i czcigodna armia, armia bardzo wielkich i bardzo uczonych arcykapłanów egzegezy dantejskiej.” Ich osiągnięcia są zadziwiające, ich kłótnie i nieubłagane walki nie mają końca. Będą trwać tak długo, jak kultura włoska. „Kora Dantego podwaja się u nich i pokrywa się jeszcze jedną korą komentarzy, które są jeszcze bardziej jeżowate i kłujące, — powiada dalej Masseron. — Im więcej podziwu dla niej żywimy, tym bardziej wzrasta nasz sceptycyzm i ryzyko poklucia sobie palców”.

Lecz Dante jest nie tylko wielkim poetą narodowym, nie tylko poetą katolickim, jest on najbardziej uniwersalnym poetą Europy. O rozpowszechnieniu Dantego informuje nas znany komentator Scartazzini w swej książce z roku 1892: Już przed

wynalezieniem druku był Dante bardzo rozpowszechniony. Posiadamy 500 rękopisów, a kto wie ile zginęło. Do roku 1892 był Dante drukowany trzysta razy w tekście włoskim, a około tysiąc razy w różnych przekładach. Naprzód tłumaczono go wielokrotnie na łacinę, nie tylko z przesądu i uprzedzenia wobec języka ludowego, lecz także dla upowszechnienia wśród obcych. Do pierwszych przekładów ludowych należały prowansalskie i z tych niektóre jeszcze dotąd pozostały w rękopisach. Istnieją przekłady na narzecza włoskie, a także z drugiej strony przekład hebrejski (całkowity), a także sanskrycki (częściowy). — Tyle Scartazzini.

W XIX wieku prawie w każdym języku europejskim ukazywały się dobre przekłady Dantego i niemniej zasłużone, ba, świetne studia o Dantem. W XX wieku niemniej, wystarczy tylko wskazać, że w ostatnich czterdziestu latach aż do chwili dzisiejszej języki angielski, francuski, niemiecki, polski i rosyjski mogą wykazać co najmniej po dwa albo trzy nowe za- zasłużone przekłady. Niektóre, dawniejsze, jak Longfellow’a, jak przekład Vrhlicky’ego na czeski, inne nowsze jak Kazantsaki’ego na nowogrecki i Babits’a na węgierski, były dziełami wybitnych poetów. Ten ostatni przekład uchodzi za wielkie dzieło nowego języka i poezji. Poza Włochami ukazywały się pomnikowe studia jak Butler’a w Anglii, Ozanam’a we Francji, króla saskiego Johanna i wreszcie ostatnio K. Vosslera w Niemczech (aby tylko wspomnieć najważniejsze), które są przedmiotem uznania a nawet łatwo zrozumiałej zazdrości uczonych włoskich. Badania nad Dantem nie ustają, niedawno ukazały się zasłużone nowe prace włoskie. W szczególności godne są uwagi i zastanawiające dwa dzieła hiszpańskie Asin Palacios’a o stosunku Dantego do eschatologii Islamu, w Szwajcarii wyszły po niemiecku dwa dzieła profesora Spörra. Z Polski sygnalizują nam dotąd nie wydaną lecz przedstawioną Akademii Umiejętności pracę prof. Michalskiego „Gnozjologia Dantego”.

Blisko sześćdziesiąt lat po Scartazzinim moglibyśmy zdaje się powtórzyć jego słowa: „sam Dante, który tak pragnął sławy, w najsmielszych marzeniach nie mógł się spodziewać takiej sławy jaka mu przypada w udziale”.

A przecie to wszystko nie rozstrzyga jeszcze, nie mówi nam, że Dantego więcej się czyta niż sławi i komentuje, nie mówi nam przede wszystkim jak go się czyta. Zapewne te wszystkie prace ułatwiają, co najmniej dają sposobność rozumienia Dantego, ale czy pomagają czytelnikowi odnaleźć Dantego we własnej duszy, a nie służą tylko dla projekcji historycznej w epokę minioną. Wydaje się, że wewnętrzne klawisze dla palców Dantego leżą ukryte głęboko, nieraz nakryte grubymi i twardymi warstwami. Lektura Dantego odbywa się krok za krokiem jak wędrówka po turniach Inferna i po ścieżynach Czyśćca. Czasem lektura ta, przynajmniej czasowo, jest ciężką walką, której podejmują się ci tylko, którzy przeczuwają, że się im opłaci. I dlatego to zdarza się, że do najlepszych czytelników należą ci, którzy zaprzyjaźnili się tylko z niewieloma pieśniami albo urywkami z Dantego. Zdarza się, że tacy bywają lepszymi czytelnikami niż ci, którzy przestudiowali jedną pieśń po drugiej, wprawdzie z komentarzem, ale więcej oczyma niż duszą, albo tacy, którzy przebiegli przez tekst jak przez muzeum

osobliwości. Ostatecznie i Voltaire należał właściwie jak na jego epokę do dobrych czytelników. Tylko nieliczne ustępy podobają mu się i przyznał to uczciwie mimo swe „wydziwiania” w stosunku do Dantego. Interesowały go przede wszystkim antyklerykalne *curiosa* jak np. papieża umieszczeni przez katolickiego poetę w Piekle, ten rozdział nawet Voltaire przetłumaczył. A przecie, co prawda nie bez gestu wyższości i bardzo niekompletnie, wyszukuje i wskazuje miejsca istotnie piękne i to trwale piękne w Boskiej Komedii. — Ostatecznie wiemy i widzimy, że wcale nie potrzeba namawiać do czytania Dantego, czytelnicy Dantego znajdują się zawsze i w każdej epoce.

Powróćmy jeszcze do opinii Scartazziniego, że sam Dante w najśmielszych marzeniach nie spodziewał się takiej sławy jaka mu przypadła w udziale. Czy to słuszne?

Zapewne Dante nie wyobrażał sobie takiej ilości wydań, nie znał przecie wynalazku druku, tym bardziej nie mógł sobie wyobrazić wydań jeszcze bardziej nowoczesnych np. fotograficznych, albo takiej możliwości jaką jest rozpowszechnianie przez radio. A przecie to pewne i widoczne ze strofy o przyszłości poezji: „po małej iskrze przyjdzie płomień wielki”, — wyobrażał sobie, że wrażenie jego poezji będzie jakościowo głębsze, przetrwające, może codzienne, może kierownicze dla życia codziennego. Czyż będzie to zbyt śmiało twierdzić, że wola działania Dantego jeszcze nie nadeszła? Że chociażby wezwanie do codziennego poetyckiego obcowania z gwiazdami i związanej z tym religijnej medytacji (tak jak to zalecał także wychowawca Rabelais) jeszcze nie doczekało się spełnienia.

W pokrewnym sensie Christian Sénéchal (w odczytach wygłoszonych w Szwajcarii) zastanawiał się nad możliwością wychowawczego i religijnego wpływu kontemplacji nieba gwiazdzistego: *demandez un télescope pour chacune des étoiles de village*. Czyż chciał tym dać wyraz naiwnej technicznej wiary, że wprowadzone aparaty niejako same przez się zmieniają wychowanie? Odwrotnie. Żądając, aby wzmocnione na wszechświat oko było dostępne dla każdego, domaga się przede wszystkim rewolucyjnego, dantejskiego zwrotu u samych wychowawców, nie tylko po to, aby wskrzesić co najmniej taką żywą obrazowość kontemplacji gwiazd, jaką sugerowały mityczne obrazy gwiazd w starożytności i średniowieczne atlasy lecz, aby budząc dreszcz podziwu i poryw w obliczu tego niewyczerpanego przejawu dostępnej nam przyrody, oczy i dusze wychowanków, poprzez „psychologię kosmiczną”, niemal dotykały gwiazd w innej dymensji. Astronom Lalande oświadczył: „tam wysoko wśród gwiazd mój wzrok nie znalazł palca bożego”. — Lecz gdy do wzroku dołączy się zdziwienie i podziw, szukająca tęsknota i poryw, zrozumiemy wskazówkę Platona, że nawet ci, którzy uważali gwiazdy za pozbawione duszy, nie mogli pozbyć się podziwu dla tych prawdziwych cudów, które napełniały ich przecuciem. „Nie wysuszajmy naszych wychowanków, nie odzierajmy dzieci z wszechświata, którego są częścią, jeśli chcemy aby coś wielkiego z nich wykwitło” kończy Sénéchal.

Wydaje się, że czytelnicy Dantego oddani a ostatecznie pokorni mogą w każdej chwili zgłosić się, by czerpać zeń takie

pobudki. Dzisiejszy zarys nie ma innej ambicji jak ta, by być głosem czytelnika do czytelników.

## 2. MIKROSKOPIZM

Istnieje specyficzna właściwość poezji Dantego, która dla czytelnika, zrazu przynajmniej, stanowi ułatwienie. Nazwijmy ją mikroskopizmem poetyckim. Podobnie jak w żyjącym organizmie zarówno typ jak i odrębność indywidualna przejawia się w najmniejszych organach, a nawet w komórkach i we włóknach, tak też i w tym organizmie poetyckim dzieła Dantego wszechobecność poezji w swej całej odrębności przenika do każdej strofy. Z tego wynika, że prawie każdy obraz, ale także dźwięk i rytmika poszczególnych strofy są odrębne, jedyne i w pewnym stopniu samowystarczalne. Czytając przelatujemy przez setki krajobrazów duszy, przez sceny, obrazy, sytuacje, opowiadania, dramaty, tragedie, które wypełniają duszę w okamgnieniu, przez symbole, alegorie i aluzje poetyckie, wszystkie typowo Dantejskie, a przecie każda z nich odrębna.

Maurice Barrés powiedział w swym odczycie o Dantem, wygłoszonym w Sorbonie: „Ten człowiek był cały imaginacją, a równocześnie cały rzeczywistością”.

Wszystkie epizody u Dantego są złożone mozaikowo, jak gdyby z małych kamyczków i listków, jeszcze z mniejszych obrazów. Jeśli nawet jakiś poszczególny epizod albo pieśń jest całkiem niezwykła, ba, wprost nadnaturalna, przecie składają się one ze zmysłowych, realnych, przenikających obrazów, porywających tym, że nie tylko są przeżyte i przedstawione zwięźle, lecz że działają wprost cieleśnie, jak gdyby były wyrwane z naszych wnętrzości. A przecie nie pozostają one poetycznymi odłamami ani lirycznymi okruciami. Otwierają świat niedostępny, są wizją. W nich wszystkich pulsuje ten sam dantejski rytm. Jak we włóknach i prążkach poszczególnego liścia bukowego odnajdujemy zawsze cechy całego rodu bukowego w indywidualnej odmianie, albo jak w każdej kropli rosy na trawie to samo słońce się odbija, a przecie inaczej barwi każdą kroplę, tak też odnajdujemy we wszystkich strofach, z których zbudowane jest dzieło Dantego, jeden smak.

Przypomina nam to nauki Gautamy Buddy: „Jakiż smak ma wielki ocean, jeśli go pokosztujemy z góry i z dołu, z brzegu i z głębi? Smak soli. A szlachetna ścieżka? (tj. nauka Buddy). Z której strony jej pokosztujemy, ma tylko jeden smak, — smak wyzwolenia”. — A u Dantego? Jakiż smak ma wędrowka Dantego? Smak pochodu ku wiekiej spólnocie. Wędrowką jego kieruje niebo, co więcej niebo podciąga go ku sobie, chce być zdobyte. Łaska chce być zwyciężona.

*Non a guisa, che l'uomo all'uom' sopranza;  
Ma vince lei, perché vuole esser vinta,  
e, vinta, vince con sua beninanza.*

*(Nie w tej postaci jaką człek człkówi  
narzuca, zwycięża, lecz chce być zdobyta,  
więc zwyciężona zwycięża.)*

Poetyckiej zawartości odpowiada u Dantego zawartość myślowa i religijna: tylko wysiłek indywidualny, tylko indywidualna wędrówka a nie porzucenie odrębności prowadzi do odkrycia coraz bogatszej wspólnoty. Indywidualna wędrówka, ta zawsze indywidualna ścieżka prowadzi do najwyższego dobra poezji i do najwyższego dobra świata. Jest jego zamiarem.

Poemat Dantego jest organizmem zamkniętym w sobie i wzniesionym ponad świat codzienny. Wszystko w nim jest skoordynowane podług jego własnych praw, tak jak w tworach organicznej przyrody całość ukazuje się także w mikroskopijnym wymiarze, niejako pod różnymi punktami widzenia, a przecież wszystkie części służą sobie wzajemnie i całości, tak samo jest w poemacie Dantego.

Właściwość mikroskopijna może być dla czytelnika ułatwieniem, lecz powiedzmy to od razu, bywa ona największym utrudnieniem dla tłumacza, który przecież zgłasza pretensje do współpracy z poetą. I gdy tylko jeden obraz zamaże się w przekładzie, gdy tylko jeden szereg myśli nie jest dokładnie wyrzeźbiony, ba nawet jeśli jeden rytm tylko wypadnie blade lub monotonnie, otrzymujemy wrażenie zwapnienia, wrażenie martwego miejsca. Nie na darmo poeta niemiecki Stefan George, tak odpowiedzialny i troskliwy o walor każdego słowa, pokusił się tylko o wybór z Dantego.

Przez to widzimy jak trudna jest lektura, jak jest nawet bezowocna jeśli nie staje się szeregiem odkryć, jeśli przeoczy mikroskopizm Dantego. Nie łatwo to znaleźć żywy związek z tyłoma odbiciami słońca, znaleźć dostęp do tyłu obrazów i symboli. Każda epoka musi szukać sama swej drogi do tego. Bo pamiętajmy z drugiej strony, że droga mikroskopijna może także uwieść i zawieść, zwłaszcza jeśli tylko tego szukamy co nam dzisiaj wydaje się poezją. Więc można ulec pokusie, by zrobić tylko wybór szczególnie ulubionych strof, albo chcieć szukać u Dantego tylko kilku specjałów dla naszego własnego podniebienia. I w takim razie resztę, to znaczy jak mniemamy konstrukcję, koncepcje i allegorie Dantego składamy do aktów, do epoki „dawno przebrzmiałej”, do średniowiecza, do XIV wieku itp.

Miejmy wszakże na uwadze, że jeśli tylko wyrwyamy z całości jedną strofę, jeden wycinek, czynimy coś podobnego jak ci, którzy wstawiają poszczególne rzeźby, witraże, figury albo ornamenty z gotyckiego tumu, zdobyte czy to za pomocą rabunku, czy z okazji zniszczenia wojennego, do swej sypialni. A nie są już one tym czym były, gdyż tum nie pomniejszał ich (jakbyśmy to powiedzieli dla naszego usprawiedliwienia) lecz ogarniał je, chroniąc i wyznaczając im miejsce hierarchicznie jak organom w ciele. Spróbujmy wychodząc od obrazów Dantego ogarnąć jego tum.

Nie zapominajmy przecież nigdy, że dzieło Dantego jest poematem. Jeśli zatem można mi uogólnić indywidualne doświadczenie, wydaje mi się, że „najmniej niebezpiecznie” będzie czytać Dantego jako czystą poezję, a nie obciążać się od razu komentarzami i interpretacjami, teologią i filozofią. Zasużona autorka szwajcarska Marta Amrein-Widmer w swej pracy o rytmie Dantego słusznie powiada: „Gdybyśmy tego nawet z zawartości myślowej nie wiedzieli o dziele Dantego, już sam rytm pouczyłby nas od razu, że mamy do czynienia z duchem o nadzwyczajnej

rozpiętości”. Poza tym Dante jest poetą alegorii, symboli, obrazów a nie metafor. Słusznie zwrócił na to uwagę angielski poeta Elliot: „Mowa zmienia się, oczy pozostają te same”.

I przecież najbardziej obfitym w skutki krokiem każdego poety i jego najtrudniejszym zadaniem, w porównaniu z innymi sztukami (jakże uprzywilejowaną od razu wydaje się muzyka), iż musi przemienić mowę, ten codzienny środek porozumienia się, to nieforemne ciasto, a nawet kurz i błoto. Musi ją wydrzeć z codzienności, aby ją ugnieść i nastroić dla innego rodzaju wspólnoty. Poeta zwraca mowę jej najgłębszemu zadaniu, od krzyku życia aż do wołania duszy. Musi się wtedy liczyć z tendencją mowy do hierarchii, z tym dążeniem, które zwraca się do platońskiego: „proton onoma”, do prasłowa. Dante chwycił nas poprzez zmysły za pomocą oka i ucha, z pomocą obrazów i dźwięków i tak porwanych wlecze nas i unosi w sen, w zmierzch tajemnych spraw (*segrete cose*). Poemat otwiera się jak gdyby organem, burzą bólu piekielnego. I dzieje się z nami coś, co Dante przedstawia nieco dalej przy wejściu w bramę „Góry oczyszczenia”:

*qual prender si sole  
quanda cantar con organi si stea  
che or si or no s intendon le parole.*

Wrażenie kiedy zaczyna się śpiew z organami, iż słowa to słyszy się, to nie. — Porywa nas to, rozumiemy zaledwie tu i tam jakieś słowo. Kiedy już tak rozpalila się w nas iskra poetyckiej wspólnoty, winniśmy iść za poetą spokojnie, w zaufaniu także jeśli go jeszcze niezupełnie rozumiemy. Bo gdzieś indziej jeśli nie w poezji, w tej wspólnotcie dusz, możemy od razu posłuchać rady ewangelicznej: „Jeśli ktoś was ciągnie na tysiąc kroków, podążcie z nim także na drugie dwa tysiące”.

Lecz nie zapominajmy, że Dante w czymś różni się od wszystkich innych poetów. „Nie na miarę krawca, lecz Fidiusza” powiedział Słowacki. To znaczy: nie według kroju i miary naszego ciała, lecz podług miary twórcy, który pokusił się wyrzeźbić bóstwo. Czytelnik, który oczekuje od lektury, by książka go bawiła, aby mu schlebiała, albo by drażniła jego ciekawość, rozhuśtała jego nerwy, który żąda, by liryka go „wzięła” jak gdyby odruchem stosu pacierzowego, — nie wymagając odeń z kolei ani natężenia, ani zmuszając go do powrotu, — powinien od razu wiedzieć, gdzie się znajduje. Dante mógłby mu szepnąć słowa Baudelaire’a z jeszcze większym prawem niż Baudelaire: czyż nie lepiej byś księgę odłożył —

Nie wiadomo nam, czy kiedykolwiek czytano dzieło Dantego, tak jak czytają wierni Biblię lub inne księgi święte. I nie jest to potrzebne. Wystarczy wiedzieć, że sztuka w katolickim tumie jest czymś innym niż okolicznościową delektacją. Jest udziałem we wspólnotcie duchowej.

Gdy już obrazy mikroskopijne rozsypały i rozświetliły w nas iskry tej wspólnoty z wewnętrzną sferą Dantego, któż może nam zabronić pójść za ich cichym blaskiem tymi wewnętrznymi krążkami, które nam dostępne, stąpać po omacku i sięgnąć dalej. Z liści ku gałęziom, z gałęzi ku pniowi, z pnia to ku ko-

rzeniom, to w górę ku koronie drzewa, słowem ku ukrytej pa-mięci, ku starej Mneme w platońskim sensie.

Sam Dante zdaje sobie sprawę nie tylko z trudności, lecz tak-że z takiej czy innej „niestrawności” jego słów. Powiada przez usta swego przodka Cacciaguیدا:

*Chociażby głos twój był wcale przykry  
przy pierwszym smaku, życiowy pokarm  
zeń pozostanie, gdy będzie strawiony.*

### 3. CAŁOŚĆ POEMATU

Dzieło Dantego, zarówno pod względem poetyckim jako też światopoglądowo cechują dwie właściwości: uniwersalny stosunek do świata, charakter kosmiczny, a równocześnie największe podkreślenie tego co indywidualne. Z jakiegoś poczucia powstało? Dante powiada: *Il poema sacro a quale à posto mano e ciel e terra.* (Święty poemat do którego rękę przyłożyły i niebo i ziemia).

Przywykliśmy, że nowocześni poeci i artyści w stosunku do „obiektywnego” świata, o ile chcieliby się nim zająć, dostrzegają jako swoją możliwość, jedynie kopię, której chcieliby uniknąć. Wydaje się jak gdyby stracili przyrodzoną pepowinę, łącząca człowieka z wnętrzem świata, a przez to szukając spraw duchowych, muszą chronić się do najodleglejszych zakątków duszy, coraz bardziej osamotnionej. Toteż w dalszym ciągu, oddalając się od mowy codziennej i tradycyjnej, od słowa wyświechtanego, sprofanowanego i konwencjonalnego, — a taki musi być pierwszy ruch poety — czynią to radykalnie, co więcej, negatywnie. Popadają przez to w jakanie, w bełkot, tym bardziej niezrozumiały im szerszy poeta. Nie mają wspólnego kierunku ze słuchaczem i z czytelnikiem, nie mają też wspólnego obrazu i rzadko uda im się znaleźć taki obraz. Co więcej, nieraz poszczególne obrazy ich poematu nie kulminują w obrazie wspólnym. Są zdruzgotane „broken images” powiada poeta Day Lewis, jak gdyby spowiadając się z trudności i ze zmaganą nowszej poezji. Przypominają czasem Nimrodz z Inferna Dantego: jego mowa niezrozumiała dla innych, a mowa innych jest dlań niezrozumiała. Jak gdyby fatalne następstwa wieży Babel, to jest dążenia, aby wszystko ogarnąć z góry, zewnętrznie gładko i łatwo, a przez to opanować świat. Stąd nieraz-ko się słyszy skargi, że poezja i sztuka oddaliła się od człowieka. Można by równie słusznie powiedzieć, że ludzie oddalili się od poezji. Wielkie „odczarowanie świata”, czy przypisujemy je tzw. racjonalizmowi czy też utracie wiary, czy też jeszcze więcej postawie, że „wiedza to potęga” i że przyroda winna być opanowana przez człowieka i służyć mu (a służyć ma tylko jednemu małemu wycinkowi z tego co ludzkie) to wszystko odjęło poezję światu, wyгнаło ją.

Poeci XIX wieku zdają sobie z tego sprawę zwłaszcza wówczas, kiedy oglądają niebo gwiazdziste. Poeta-filozof Guyau mówi o gwiazdach: „Te wielkie, nieme bryły nie wiedzą co czynią”. A Tennyson: „Gwiazdy, szepnęła, lecą na oślep”. Nasz poeta przedstawia w „Królu Duchu” mityczną postać, która przynajmniej przez zbrodnię chce zbudzić niemotę gwiazd: „Gwiazda

zajeczy jakaś, lub zaszczeka, wszystko pokaże, że dba o człowieka”. Inny znów usiłuje nieśmiało znaleźć wyjście w podziwie: „Brzemię żywota i wielu żywotów raz jeszcze dźwigać i nieraz jam gotów — by was podziwiać Plejady, Oriony”. — Z tym wszystkim nowa poezja, której odczarowano świat, przypomina obraz świata jak go przeżywali żydowski mistycy w Polsce, tzw. chasydzy: deszcz spadających, gasnących isker, czekających w zdruzgotaniu, osamotnieniu, w osieroceniu na zbudzenie.

Czyż można by sobie dzisiaj wyobrazić poetę, do którego twórczości niebo i ziemia przykładają rękę? Bo przecież sama poezja stała się koniec końców funkcją jedynej jeszcze niewymiernej resztki, cypla duszy i wyspy osamotnionej, tak odległej, że mowa jej nie da się zakomunikować. Nietzsche marzył o społeczności samotnych, o duchowej Wenecji przyszłości, w której „sto głębokich samotności” wspierałoby się wzajemnie światłem. Zbiorowy obraz dzisiejszej poezji to raczej obraz black-outu. Obraz zagrożonego atakiem powietrzynym miasta, które musi ukrywać światła. Te światła pochowane po bunkrach, zakopane w piwnicach wystrzegają się chociażby odsłonięcia jednego promienia, ukrywają się także przed sobą wzajemnie. Na zewnątrz ani promyka, wszystko czarne.

A jakżeż jest w wewnętrznym zamku Dantego? W jego wewnętrznym miescie? I tam każda indywidualność jest światłem dla siebie. Ale poeta, i ci którzy idą za nim, mają dostęp do każdej indywidualności poprzez ukryte krużganki i bramy wewnętrznej sfery. Przy tym żadna z indywidualności nie jest wyłącznie stacją przejściową dla duchowych albo kosmicznych fal. Nie jest więc tym, co opisał nam Walt Whitman w swym poemacie *Out of the Ocean folling crowd, you came gentle drop to me.* Nie jest kroplą, wynurzającą się z wielkiego oceanu na chwilę jedynie, aby potem w nim na zawsze zatonać.

Indywidualność, (której w duchu Dantego nie należałoby indentyfikować ze świadomym ja), jest dlań największą tajemnicą. Nie pochłania jej największa ofiara, nie niweluje jej piekło nawet. Pogardę dla piekła okazuje nie tylko dumny patriota Farinata, nie tylko Capaneus zamurowany w swych bluźnierstwach, nie tylko pionier odkryć i poznania Odysseus, zamknięty w płomiennej kuli swego porywu i opętania. Nie, nawet jakiś nieznaczny złodziej Vannucci, który okradł kościoły, w przerwie między jedną a drugą męką piekielną, pokazuje Bogu figę. Tylko te nędzne dusze, które „nigdy nie były żywe”, nie mają indywidualności. Cechą indywidualności jest przekraczać granice. Steżące granice stają się klatką, więzieniem, piekłem. Dopiero na Górze Oczyszczenia szukają dusze, wyzwolenia ze swej celi więziennej. Na szczycie ścieżki oczyszczenia człowiek staje się wolny. Może się już kierować swoimi upodobaniami *Lo tuo piacere omai prende per duce.* (Upodobanie swe weź odtąd za wodza). Tam człowiek jest równocześnie papieżem i cesarzem. Jest tym, czym myślał, że jest tak zwany „nadczłowiek” w sferze granic, w sferze nie-wolnej. Przypomina to myśl Konfucjusza, który miał powiedzieć, że w siedemdziesiątym roku życia człowiek może iść swobodnie za pragnieniami serca, nie popełniając żadnych przekroczeń. — W „Raju” nie

ma granic dla indywidualności. Wszystkie wzmacniają się wzajemnie poprzez miłość dla odrębności każdej.

Indywidualność jest niezniszczalna, jest zakotwiczona w górę i w dół, we wszystkich kierunkach. Od niej prowadzą kruzganki i ulice, które są nerwami kosmosu. Płato powiada w „Prawach”: „Każdy człowiek widzi ciało słońca, lecz duszy słońca nikt nie widzi. Nikt zresztą nie widzi duszy jakiegось ciała ani żyjącego, ani umarłego. Można się jednak spodziewać, że ten dla nas niewidzialny rodzaj jest zrośnięty ze wszystkim co jest widzialne w ciele i należy do sfery noetycznej.

Dante wychodzi z odrębności jednostki, zanurza się w sferę psychiczną, a ta rozszerza mu się w kosmos duchowy. Jego wędrówka kończy się wizją świata jako jedności, jako księgi, związanej miłością w jeden tom.

Dzieło Dantego zgłasza pretensje, aby być poezją totalną. Ufność do świata, którą mu dało w dzieciństwie „objawienie” Beatryce, otworzyła mu ten świat. Po wielu zmaganiach zwyciężyła ufność. Stał się poetą sfery duchowej, przez to kosmicznym poetą, a przez oddziaływanie na przyszłość pokoleń ludzkich stał się poetą politycznym.

#### 4. NOE POEZJI

W przeciwieństwie do Homera, piewcy ludzkości w dzieciństwie jej i wieku młodzieńczym, nazwano Dantego Noem poezji, ojcem drugiego poetyckiego świata. Jeśli zważymy jak wielkiej integracji dokonał, ile mitów i form religijnych z przeszłości zgarnął, zechcemy może zobaczyć w tym coś jak gdyby inwentaryzację i ocalenie przeszłości kulturalnej i jej tworów. Istotnie, Dante posługiwał się różnymi postaciami dostępnej mu historii ducha i oczywiście studiował i wyszukiwał wszystko co mu było dostępne i pożyteczne dla jego celu. Ale czy czynił to tak jak nowocześni ludzie z całym ich historyzmem patrzą ku przeszłości, słuchając jej półprzebrzmiałych głosów, odgadując je, szukając w niej jedności człowieka? Raczej wybrał drogę odwrotną. Bo, jak powiedzieliśmy, Dante **posługuje** się imionami, osobami i mitami ze starych tzw. pogańskich i chrześcijańskich dziejów i to, gdyby sądzić z pierwszego wrażenia, dość dowolnie, a jeśli chodzi o punkt widzenia katolicki, niezupełnie ortodoksyjnie. Przypomnijmy sobie tylko jego interpretację Kassjusza i Brutusa i rolę jaką przeznacza centaurom w Piekło, albo gigantom — w rzeźbach umieszczonych w Czyścću. Jak samobójcę Katona mianuje stróżem Czyścća, jak to poganie Trajan i Rifeus błyszczą w głowie orła niebiańskiego, to jest w społeczeństwie wybranych kierowników państw i organizatorów społeczeństw. Jak w końcu Sigera z Brabantu, ucznia Averroesa (a zatem uważanego za kacerza) umieszcza w gronie największych teologów obok Tomasza z Akwinu. Przypomnijmy sobie jego pelagiański, nie ortodoksyjny zwrot w „Convivio”: *La nostra buona natura*. Podobne zdanie zadziwia nas w Raju: „Dobrze kwitnie wola w człowieku, lecz ciągną deszcz przemienia dobre śliwy w zgniłe”. A uprzytomnijmy sobie, że Dante nie rzuca słów na wiatr, że nie ma w nim miejsca na potknięcie lapsus linguae na romantyczne improwizacje albo dowolne licencje poetyckie. Wszak autor dzieła „O porządku w Ra-

ju Dantego” teolog i jezuita Giovanni Busnelli powiada, że „wiedza teologiczna Dantego przekracza wiedzę wszystkich poetów jego czasu, a także poetów wieków późniejszych i zadziwia każdego, który chce wnikać weń, niezawodną intuicją, głębią dociekań a także prostotą i jasnością iście tomistyczną”. Przytoczmy wszakże jeszcze zdanie nowszego autora Bruno Nardi (Dante e la cultura medievale), że sporo ustępów Boskiej Komedii raczej są odbiciem teorii platońskich i augustyńskich niż Arystotelesa. Wszystko to dowód, że Dante wybiera co mu potrzebne, co mieści się w jego wizji.

Widoczne przeto, że Dante nie dlatego był „Noem poezji”, iż zbierał historycznie i podług systemu inwentarz wartości na to, aby je ocalić, zrozumieć i ocenić, lecz raczej dlatego, że pewne drżące a trwałe formy zbudziły się w nim i rozwinęły. Poznał je naprzód jak gdyby za pomocą mniejszych wierceń doświadczalnych, a potem dźwignął jak kontynent z głębi. Imiona i historyczne podzwijki osób i mitów wskazują nam i odkrywają jego siły wewnętrzne.

Dzieje ludzkości są dłań dziejami współczesnymi, dziejami trwałego wciąż obecnego kierunku, są wieczną obecnością. Jeszcze dokładniej mówiąc: nie wykorzystał on postaci i wskazówek przeszłości psychologicznie jak Szekspir, lecz zawsze zgodnie ze swym własnym wewnętrznym systemem. Możemy dodać, że system ten kształtowała na podobieństwo magnetycznego prądu co najmniej, tysiącletnia chrześcijańska tęsknota, jednak wcale nie tradycyjalnie tylko, lecz ze współdzwięku z innymi bliskimi mu duchami. Nie była to zatem działalność w sensie zalecenia Goethego: „Co odziedziczyłeś od ojców twych, zyskaj to na nowo, aby posiadać”. Nie była też to owa miła arka Noego, o której mówi Gotfrid Keller: „Malutka arka Noego napełniona różnokolorowymi zwierzątkami, z naszą miłą małą Ojczyzną z wszelakim szlachetnym zieleń i z chwastem”. Lecz było to obudzenie się form i można by powiedzieć, że imiona i osoby są często tylko poetycznymi pretekstami. Ale jest to także jego Ojczyzna, bo świat jest Ojczyzną Dantego.

Gdy się ma to na uwadze, sprawa tzw. wpływów nabiera szczególnego znaczenia. A któż był bardziej niż Dante przedmiotem rozległych i zaciekle dociekań z zakresu wpływów, ba, pastwą „wpływologii”. Najjaskrawiej narzuca się to zagadnienie w wyżej wspomnianym cennym dziele hiszpańskiego arabisty, Asin Palacios'a (*La Escatologia Musulmana en la Divina Comedia*), które zresztą odsłania zupełnie niespodziane związki i nieznane dotąd analogie. Lecz im bardziej pracowicie i przez szczegółowe zestawienia tekstów autor wykazuje podobieństwa tekstów arabskich mistyków z Dantem, im bardziej mozolnie i drobiazgowo wyszukuje identyczne niemal obrazy, tym mniej nas przekonywa o ile chodzi o wpływy. Wcale nie dlatego, aby tak wielki poeta nie mógł ulegać wpływom — musiał ich przecie wchłonać jak najwięcej, — lecz choćby dlatego, że tak wysoki poziom studiów arabistycznych osiągnął w Europie dopiero sam Palacios i jemu podobni badacze, a nie epoka Dantego, a także po prostu dlatego, że wrażliwość i wyobraźnia Dantego nie należą do kopiujących. Widzimy przecie jak uformował i interpretował w Czyścću nawet Modlitwę Pańską. Ważnym co prawda motywem pracy Palacios'a jest, że dla

oświecenia genezy eschatologii Dantego studia islamistyczne dają obfitszy wynik niż wszystkie inne religijne wpływy razem wzięwszy, gdyż w żadnej grupie religijnej wyobrażenia eschatologiczne a nawet praktyki i świętowania z nimi związane nie były rozwinięte tak dokładnie i szczegółowo jak u Muzułmanów. Rozwinięcie legendy o wędrówce Mahometa do nieba, wzięte z krótkiej wzmianki w Koranie, przejawilo się w najrozmaitszych wariantach od Persji aż po Hiszpanię i szerzyło się zarówno wśród uczonych jak i wśród prostaczków. Ma się czasem wrażenie, że autor hiszpański rozrywa się między podziwem dla tekstów arabskich a przywiązaniem dla Dantego. Jako tradycjonalista katolicki przychodzi w końcu do wniosku, że Islam jest bądź to herezją bądź bastarden chrześcijaństwa i stąd większość założeń jest wspólna. Wskazuje też ostatecznie na teksty buddyjskie jako źródła pierwotne. Nazywa je „pierwszym archetypem”, lecz nie używa oczywiście tego słowa w rozpowszechnionym dzisiaj znaczeniu wprowadzonym przez nowoczesną psychologię podświadomości, lecz w sensie ściśle historycznym. Szuka też mozolnie dróg, którymi te „wpływy” mogły dotrzeć do Dantego. Lecz czy historia może coś więcej uchwycić niż stację? Rozparywanie czysto historyczne nie może wyjść poza dokumentację tych stacji, nie ma prawa zanurzyć się w sam prąd i sięgnąć ku „podziemnej” ponadwiekowej wspólnotcie, ku właściwemu źródłu.

Dlaczego zatrzymaliśmy się przy tym? Przyjmując nawet, że wpływy zgarnięte przez tak chłonną organizację jaką był Dante, były one w najlepszym razie tylko tym, co nazywamy przyczynami wyzwalającymi. A jeśli uwzględnimy naturę mistyki, trwałość jej form, tak pokrewnych, mimo różnice kulturalne, że prawie indentycznych, to czemuż by Dante zatopiony w podobnej postawie nie mógł dojść do tych samych wyników poetyckich (w sensie obrazowej reprezentacji stanów psychicznych) jak Abugezid el Bistami lub Mohidin Abenarabi. W swoim czasie zasłużony komentator francuski Ozanam, badając wpływy chrześcijańskie na Dantego podniósł, że cechą geniusza wcale nie jest absolutna nowość i tworzenie z niczego. Można by dodać, że cechą geniusza może być także (jak to się dzieje zresztą w naukach ścisłych) odkrywanie ponowne i niezależne nazwanie tego co już było odkryte, tego co zawsze było i jest.

Przedstawienie tej epifanii niektórych form jako też ich rozwoju i udoskonalenia należy już do innego rozdziału naszych studiów. Tam też należy w szczególności mistyka liczb. Uważano to nieraz za dziecinną zabawę zajmować się znaczeniem liczb jako to dwójki, trójki, czwórki, siódemki i dziewiątki. W najlepszym razie wruszano ramionami: cóż mają te fantasmagorie liczbowe do czynienia z poezją? Ale któż inny jak nie wielki poeta jest powołany do tego, aby pytać i szukać czym jest w historii ducha liczba.

Otwiera ona w każdym razie dostęp do niewidzialnych związków. Nie jest też jakimś dowolnym wymysłem człowieka, lecz odkryciem: odkryciem współdzwięku świata, współdzwięku ze światem. Zapytajmy tylko pobieżnie co oznacza np. dla Dantego triada. W niej przedstawia stopnie świadomości: podświadomość, świadomość i nadświadomość. W niej także obrazuje

rozwój sztuki, logikę form sztuki w ich rozwoju: od plastyki Inferna, „plastyki” w najogólniejszym sensie, aż do efektów świetlnych w Raju, tak jakby roztaczał obraz rozwoju nowoczesnego malarstwa zaczawszy od florentyńskiej „plastyki” poprzez wenecką grę barw aż do nowoczesnej francuskiej. W triadzie zawarty jest także skrócony obraz kosmosu: przeżycia w podziemiach, w głębi ziemi, to co należy do Inferna, wspinanie się po szczytach i ruch wraz ze światłem w nieskończonej przestrzeni.

W ten sposób poemat Dantego jest przypomnieniem i organizacją mitycznych, teologicznych i gnozyjnych form fantazji, wszystkich macek duchowych, które na obszarze całej ludzkości usiłowały uchwycić wielkie wspólnoty i nieoczekiwane związki. Wspólnotę pulsu który drga w śnie, z pulsem skały, wspólnotę porywu i tęsknoty z ruchem gwiazd, wspólnotę krwi ze słońcem, dobra ze złem, świętości ze zbrodnią. I dlatego jego poemat jest nie tylko wewnętrzną spowiedzią, lecz wewnętrznym lotem, jest jak to nazwał Holzapfel „najdalej sięgająca komplementacja”, wyprzedzeniem rozwoju. Dante bowiem prorokuje: *poca favilla gran fiamma seconda* (po małej iskrze przyjdzie płomień wielki). I nie jest to jakaś małego pokroju wiara „w postępek sztuk i poezji”, lecz przypomina to raczej odkryty przez Leumann'a buddyjski rękopis, obraz epoki przyszłego Buddy-Maitreya, bliższej powszechnemu (nie tylko poszczególne) rozwojowi i wyzwoleniu.

Odlużmy to wszystko do innego rozdziału i przypomnijmy sobie przez pytanie, czym jest Dante dla nas, naprzód dynamikę naszego życia. Czy to co nam dziś szczególnie ciąży, co nas boli, co nam bliskie, do czego tęsknimy nie jest gdzieś w pobliżu cierpień i poszukiwań Dantego?

## 5. ZBŁĄKANIE

Poeta zablądził w lesie. Tak rozpoczyna się poemat. Kto rzeczywiście kiedyś podobnie zablądził, zna rozpacz i bezradność takiej sytuacji, bezużyteczność i szkodliwość wszelkiego pośpiechu i szarpania się, zwłaszcza gdy wyobrazimy sobie zagrożenie ze strony dzikich bestyj lub podobnych im ludzi. Lepszego początku dla tego poematu nie można sobie wyobrazić. Las był prawie tak gorzki jak powolne umieranie. Cóż pomogło Dantemu? Nie tradycjonalna modlitwa, nie wiara i nie świadoma filozofia. Zablądził rzeczywiście jak każdy inny człowiek cóż mu pozostaje: trwoga, męka i śmierć. Ratuje go postać Wirgilego. Patronem jego jest poezja, jego własna czynność. Nie może wyskoczyć sponad siebie jak baron Münchhausen. Poezja pozwala mu zatopić się w sobie, niebezpieczeństwa znikają.

Każdy symbol ma zresztą więcej uroku jeśli go się nie objaśnia. Może Wirgiliusz to głos rozumu, który pośród bestyj nie mógł przyjść do słowa. Ten głos posłany mu z góry przez Beatrice pochodzi z „objawienia”, którego doznał w dzieciństwie, on to podciągnie go ku górze. Wirgiliusz, czytamy, to „cień”, który przez długie milczenie zdał się osłabiony”. Osłabiony przez milczenie? Przez brak wspólnoty, brak mowy, gdyż dawniejsza mowa zawiodła. Poeta musi jej szukać, musi narodzić ją na nowo.

Dotychczasowe niebezpieczeństwa znikają, nie możemy nawet powiedzieć czy znikły, przestają być groźne, gdyż ten świat więcej dlań nie istnieje. Pierwsze słowa Wirgiliusza obwieszcza- ją mu, że musi być przygotowany na inną podróż i to jest jedyną dlań dostępną drogą. Wyboru nie ma. I wówczas jak do umierającego przychodzi na pomoc jego jedyne przeżycie prawdy: miłość z dzieciństwa, zbudzenie się świata w nim. Jako że nie była odeń zależna, mogliśmy ją nazwać objawieniem. Jak gdyby za uderzeniem piorunu nerw świata odkrył mu się wówczas, płomiennie wnętrzości pod nim i lot ku światłu nad nim. Później, w okresie młodości świat się zamknął przed nim, stał się nieprzejrzysty. Teraz znów przychodzi Beatrice na pomoc w chwili, gdy Dante walczy ze śmiercią. I tu zaczyna się zstąpienie w dziedzinę umarłych. Lecz Dante jest świadom ryzyka i znaczenia tego, co mu przypada w udziale. Gryzie go wątpliwość: nie jestem przecież ani Eneaszem ani Pawłem aposto- lem. Po cóż mam zstępować za życia?

Znany napis nad bramą piekielną można by właściwie umie- ścić przy narodzinach każdego człowieka, jeśli nie nabędzie ni- czego więcej jak to co zazwyczaj z sobą przynosi tj. pragnienie by żyć bez końca. I tylko śmierć jest dlań wybawcą. A wła- śnie pierwszym wrażeniem piekła u Dantego jest: „ci oto nie mają nadziei na śmierć”. Jak wiadomo Indowie znali obawę przed ciągłym i ponownym umieraniem, obawę, że nie ma osta- tecznej śmierci. Lecz piekło ma jeszcze jedną cechę: „oni stra- cili dobro rozumu” (Il ben del intelletto).

Rzesze zmiętoszonych skazańców bez charakteru, których sztandarem jest chorągiewka to tu to tam ciskana wiatrem, których zastajemy w Przedpieklu, tak bardzo przypomina nam świat w którym dziś żyjemy, przypomina nam także niestety, że niejednego zaniechaliśmy, że daliśmy się prowadzić za kie- runkiem chorągiewki szarpanej wiatrem. Możemy jednak po- wiedzieć, że im bardziej zstępujemy w głębie Piekła, tym więcej znajdujemy „charakterów”. I to w dalszym znaczeniu tzn. tym więcej klatek dla duszy. Im więcej zwięża się ku dołowi Piekło, tym więcej boleści, która wydusza krzyki istot spętanych klątkami swego charakteru. A jakże blisko tego obrazu są zdaje się maksymi naszych dni. Im brutalniejszy, im niższy charakter, tym głębszy, tym więcej „charakteru”, im mniej rozumu, tym bliżej prawdy.

Dziwnie przypomina to nam współczesną mentalność, która wykradła prometejską pochodnię „irracjonalizmu”, — triumf trzeźwości i rozumu, — jako broń przeciw rozumowi.

## 6. UMARLI

Niejednokrotnie wskazywano na związek wędrowki Dantego z Odyseją. Jak wiadomo, u Homera są dwa obrazy Hadesu, w XI księdze tzw. Nekyia i wstępna scena w ostatniej pieśni. Pierwszy obraz ma cechy wstrząsającego świadectwa Odyssa, który go przeżywa. Drugi obraz nie ma żywych świadków, lecz w swej przejrzyściej, prześwietlonej łagodności służy pogodze- niu się umarłych z losem, a także daje współdzwięk żywych z umarłymi. Chce dać wyraz harmonii pomiędzy niebem, ziemią i podziemiem, po tej scenie bóstwo ustanawia pokój na ziemi.

W przeciwieństwie do tego XI pieśń „Nekyia”, jest próbą dla wędrowca Odyssa. Jest też warunkiem jego powrotu do Oj- czyny, gdyż jest oczyszczeniem. Podług orfickiej lub pitago- rejskiej interpretacji Odysei, cała wędrowka do Hadesu mia- łaby być oczyszczeniem przed tym powrotem tj. przed ponow- nym narodzeniem się na ziemi ojczyznej. Na wędrowkę tę wyru- sza Odyss od bogini Kirke, tej która przemienia ludzi w zwie- rzęta. Jest to według Orfików jak gdyby symbol dystrybucji istot po śmierci, stosownie do ich win i zasług. Towarzysze Odyseu- sa zwolnili się z tej przemiany, wstali z niej w ludzkich posta- ciach piękniejsi i więksi i odmłodzeni, ale tylko dlatego, że Odyss, zbrojny w ziele Hermesa, zachował swe człowieczeństwo.

I tam w Nekyi słyszemy dziwne powitanie, które daje jak gdy- by argument dla orfickiej interpretacji. Achilles pyta Odyssa: „Nieszczęsny, na jakież jeszcze większe dzieło wążysz się? Jak- żeż odważyłeś się wtargnąć do Hadesu, gdzie pozbawieni zmy- słów umarli przebywają jako mdłe cienie?”

I tu byłoby może pytanie dla wędrowca Dantego i dla tych, którzy idą za nim. Cóż jest to „jeszcze większe dzieło?”

Dlaczegoż miałyby człowiek zanurzyć się za życia w dziedzinę umarłych, dlaczego miałyby obcować z umarłymi? Czego tam szu- ka i co znajduje dla siebie i dla innych.

Żyjemy w epoce, która ze wszystkich stron jest otoczona śmiercią, przetkana śmiercią. W naszych rozmowach, w naszych myślach, w naszych mimowolnych skojarzeniach zajmują umar- li, jeśli nie więcej miejsca niż żywi, to często miejsca ważniej- sze. Budzimy się ze snów, mozolnie dźwigamy głowy snem odu- rzone z łona snu. I nadal ociekają one wodą śmierci. Jasny, trzeźwy dzień rozprasza to wprowadzie. Nie chcielibyśmy patrzeć w tamtą stronę, wydaje się nam, że się uwalniamy. A przecie wiemy to jedno: jesteśmy jedynie przez tę wspólnotę z umar- łymi. Wokół nas niedawno toczyło się widowisko, które nas na- pełniło niesamowitym żdziwieniem i dreszczem. Dante tak to wyraził: „jakiż długi ciąg ludzi! nigdy bym nie był uwierzył na słowo, że tyle ludu śmierć wytraciła”.

A jakżeż było jeszcze do niedawna w kręgu naszej cywiliza- cji? Francuski poeta Marcel Proust, który zdażył jeszcze obraz swój wcisnąć w ramy epoki bezpieczeństwa (sécurité) i to w ostatnie podrygi tej epoki, przedstawia śmierć babki swego bohatera przejmująco lecz raczej dyskretnie. Porządek dnia pozostaje przy tym ten sam, niemal nienaruszony: podwieczerek, kolacja, goście, konwersacja, koncerty, wszystko odbywa się dalej jak dotąd. Śmierć wślizguje się jak zwiewny cień, jest nie- prawdopodobna, przesłaniają ją obrazy codzienne.

W nasze czasy nierzadko wydaje się, że obraz dnia został przedziurawiony licznymi pasami nocy, niemal tak jak gdyby czarne głębie stratosfery wtargnęły w nasz błękitny horyzont. Idziemy za umarłymi. Przebywamy często z nimi. Dowiaduje- my się na razie, że życie (jak się wyraził raz Schopenhauer) jest jeszcze więcej „morturą” niż naturą. Uprzytamniamy sobie potem, że cała przeszłość, wszystko na czym się opieramy, za- równo wielkie duchy ludzkości jak i nieskończone rzesze ludów, tak samo umarli jak nasi najbliżsi, nasi sąsiedzi, nasi rodacy. Do tego przyłącza się coś jeszcze. Nowszy poeta angielski Cecil Day Lewis powiada w swym zarysie nowej poetyki (The



Poetic Image): „Jesteśmy opętani śmiercią, lecz poeci nasi nie widzą śmierci tylko w jej osobistej i religijnej formie, lecz raczej w formie i w wyrazie uogólniającym jako wołę śmierci, jako robaka w róży nowoczesnej cywilizacji. To opętanie wytwarza obrazy tak podobne obrazom opętania wojennego. Posiadamy smak rozpaczy”.

W tym wszystkim słyszymy szept Dantego: „Nigdy bym nie był uwierzył, że tyle ludu śmierć wytraciła”.

Rozumiemy, tak zdaje się nam, relację Bocaccia dlaczego Dante swym spopielalym obliczem przerażał kobiety na ulicach Verony. Może dalej jeszcze prześladowały go widzenia i może wciąż jeszcze wstrząsał nim ów dreszcz, który podczas wędrówki przez Inferno doprowadzał go nieraz do omdlenia. *E caddi come corpo morte cade*. Lecz jeśli kto przezwyciężył przerażenie, to na pewno Dante. Poznał, że ludzkość jest wspólnotą umarłych, żyjących i przyszłych ludzi. Nie tylko ludzie żyjący w czasie są ludzkością. Istnieje jeszcze inna obecność.

Dlatego dla Dantego śmierć nie jest zalewem ani potopem, jest wyrównaniem. Dla duszy trwającej w rzetelnym wysiłku jest ona „słodkim bólem, który na nowo nas poślubia z Bogiem”. Toteż nasza obawa przed śmiercią, wartości, śmiercią cywilizacji, jest dlań obca. Wie przecież jak powiada, że ten kwiat tylko krótko zielenieje na twardej gałęzi, jeśli w ogóle go nie zadempcą epoki barbarzyńskie (*Etatti grosse*). Rozczarowanie optymisty, który był upojony bezpieczeństwem, jest dla Dantego zupełnie obce.

Umysłowość indyjska przyjmuje doktrynę tzw. karman tj., że zasada formująca duszę wychodzi poza granice jednostki. (Tę doktrynę nazwano popularnie wędrówką dusz). Przyczyniała się ona do wyobrażania wspólnoty z umarłymi i z wszystkimi żyjącymi istotami, między innymi w medytacjach religijnych buddystów, jako wspomnienie dawniejszych „wcielen”. U buddystów przyjmuje ona wezwanie do wspólnoty w formie bolesnego nacisku, który ma budzić i wyzwalać z zaplątania w doświadczenia indywidualność. Jeden z tekstów stawia pytanie: „Ileż razy umieraliśmy już?” Tekst opowiada w dalszym ciągu o matce, która utraciła córkę imieniem Jiva (Żywa). Zrozpaczona matka przebiega wsie i miasta wołając: „Gdzie jest moja Żywa?!” Nauczyciel Gautama objaśnia: „Od tysiącleci wołają tak matki, wołamy wszyscy: „Gdzie jest moja Żywa?! Czegoż jest więcej. Wody w czterech oceanach, czy też tak przelanych?” Takie rozszerzenie pomagało medytującym w religijnych ćwiczeniach wnikać w przeróżne stadia ludzkie, przeżywać je albo co najmniej wyobrażać sobie jako własne przez umieszczenie w przeszłym czy też możliwym „wcieleniu”. Jednak buddysta nie zatrzymuje się zbyt długo przy takiej „stacji” wędrówki duszy. Doktryna Karman pozwala mu opuścić ją szybko. Wysilek i powagę dążenia skierowuje tylko ku dążeniu, a nie ku poszczególnym ludzkiej jednostce, która jest raczej stacją jedynie.

Dążenie Dantego natrafia na większe trudności i jest ono wystawione na nacisk większy. Dla niego bowiem indywidualność, dobra czy zła, jest niezniszczalna. Rozmaitość ludzi, różność ich skłonności, zdolności i zawodów jest dlań warunkiem wspólnoty, także wspólnoty niebiańskiej.

Tym bardziej wydaje się, że mało kto z tych wszystkich, któ-

rzy starali się spojrzeć śmierci twarzą w twarz (jak gdyby na modłę owych pokutników, którzy zatrzymują oddech, albo dają się zakopać żywymi) doznał w tym stopniu naporu śmierci jak Dante. Toteż nikt chyba nie w tym stopniu „manometrem śmierci” jak on. W jakim celu?

Świat ludzki bez spojrzenia ku umarłym jest jak gdyby płaskim obrazem, bez głębi, bez trzeciej dymensji. Jak gdybyśmy byli otoczeni wyłącznie płaskimi obrazami, bez przeszłości, bez przyszłości i żyli tak wciśnięci w ścianę, nie mogąc zrobić kroku w przestrzeń.

Zwierciadło śmierci u Dantego to czarnym blaskiem błyszczą jak w Inferno, pokazuje nam naszą czarność wysysającą stopniowo nasz blask, to znów przeświała zielono i pozwala na obliczach dusz oczyszczonych w Czyśćcu dostrzec wewnętrzną walkę i zwycięstwo. To znów jak w Raju jest przejrzyste, utkane z promieni, uśmiechających się odbić i przeciwświateł, rzucanych z jednego zwierciadła na drugie.

Lecz do tego zwierciadła zaglądamy niechętnie. Cicho i w zakłopotaniu szepczemy do umarłych: „Spoczywajcie i zostawcie nam nasz spokój”. Co najwyżej godzimy się na to, że wezwą nas do zdawkowej ofiary, jak zwywa umarły Architas żeglarza (w odzie Horacjusza): „Rzuć mi trzykrotnie w ofierze pył i żegluj dalej”.

Lecz jest także możliwe, że stanowczo odwracamy się od tego zwierciadła lub negujemy je. Ze słabości jak nas poucza Aristoteles: „Im więcej dóbr, szczególnie dóbr duchowych zaskarbił człowiek, tym bardziej niepokieszalna jest dlań myśl o śmierci”. Albo może z nadmiaru siły, z poczucia spienionej siły życiowej (tak przynajmniej mogłoby się wydawać). I wówczas zjawia się zasada: tylko tyle wziąć od zmarłych, ile będzie z tego prawdziwej korzyści dla życia. I wówczas nawet nie grzebie się ani nie spala umarłych uroczyście, jak u Greków i Indów, grzebie się gdziebądź i jakbądź — jak widywaliśmy to u współczesnych Rosjan — byle tylko pozbyć się śmiertelnych resztek. Ta postawa potęguje się czasem aż do brutalnego świadomego egoizmu żyjących. Rewolucyjny poeta Camille Desmoulins wyraził to szczególnie jaskrawo, lecz i naiwnie w „*France Libre*”: *La mort éteint tout droit. C'est a nous qui existons, qui sommes m a i n t e n a n t en POSSESSION de cette terre à faire la loi à notre tour*”.

W takim widzeniu sprawy umarli a z nimi cała przeszłość, byłiby tylko co najwyżej nawozem dla postępu. A czyż jest możliwy humanizm bez wspólnoty z umarłymi i bez kosmicznego spojrzenia?

Ale gdzież są umarli według Dantego, dokąd żeglujemy my a za nami przyszłe pokolenia?

Lubimy czasem myśleć lub marzyć, że obrazy tego co dzieje się na ziemi wędrują dokądś w odległe przestrzenie i że gdzieś tam, w jakiejś kosmicznej mgławicy w Orionie, w Andromedzie, w Herkulesie, o tysiące lat światła od nas, moglibyśmy odnaleźć te obrazy nadludzkim lecz ludzko uformowanym okiem. Gdybyż tęsknota nasza mogła prześcignąć szybkość światła! Lecz dla nas świat gwiazd wyrażalny jest tylko ilościowo. W masach, w odległościach, w latach świetlnych. Propozycja Platona, by szukać duszy ciał niebieskich w sferze noetycznej jakoś nie

znajduje zwolenników. A dałoby się pomyśleć, że te „ciała”, może w jakiejś innej dymensji, są blisko tuż obok nas. Dante rzuca projekcję swego nadświata w przestrzeń, lecz objaśnia: Raj nie jest w jakimś *gdzie* (dove), nie w przestrzeni, tylko w *mente divina*. Epikowi duszy odświata się dusza świata.

Czyż to jest może owe „jeszcze większe dzieło”? Przeczucie a u Dantego pewność — że dusza nie jest epizodem we wszechświecie? Ze granice duszy nie są identyczne z granicami naszego świadomego ja? Ze poznanie jest wetkane w świat pajęczynami i pepowinami i dlatego posiada jeszcze inne organy prócz zmysłów i myśli? I że stąd poznanie nie jest tylko stosunkiem do przedmiotu lecz wzajemnym przenikaniem się, podmiotu i przedmiotu. W takim razie świat „zewnętrznym”, świat poza duszą, także kosmos gwiazdzisty, nie jest tylko przedmiotem zewnętrznym, nie jest też stanem świadomości, wyobrażeniem albo pojęciem tylko. I byłby dostępny przez korytarz sfery psychicznej. I w takim razie gwiazdy nad nami, o tysiące lat światła oddalone, byłyby w innej dymensji bliskie nam, może w naszym cielem, w naszej duszy jak to niegdyś marzyła astrologia.

Wskazówka Dantego zwrócona jest do tysiącleci. Porywa on tych, którzy go słuchają i zabiera ich w posiadanie. Toteż nie można się dziwić twierdzeniu wielkiego komentatora, że „Boska Komedia jest większym wydarzeniem niż rzymskie imperium”, ani też wypowiedzi jednego z nowszych poetów, że „odkrycie Dantego jest większe niż Kolumba”.

Wskazał on, wypowiedział, a zatem znalazł. *Tutta tua vision fa manifesta!* upomina go jego przodek Cacciaguida w Raju. Kto znalazł wodę życia nie ma prawa zachować jej dla siebie. Dante odbył swą spowiedź za wszystkich. Co odkrył jako człowiek, odkrył dla wszystkich.

### 8. STAĆ SIĘ DZIECKIEM

Jak często pośród ram jakie daje przyroda wędrowce Dantego kamieniami milowymi i drogowskazami są ciała niebieskie, słońce i gwiazdy, także takie gwiazdy jakich nigdy nie widział, które tylko wymarzył jak Krzyż Południa, a także myśli o gwiazdach, porównania z gwiazdami. Nieustannie uświadamia sobie astronomiczne ramy swjej wędrowki. Warto przypomnieć jak to śmiały poszukiwacz prawdy Rabelais każe swemu wychowanekowi natychmiast po obudzeniu się, równocześnie z lekturą Pisma świętego, zwrócić uwagę na gwiazdy, skłania go aby dzień w dzień stwierdzał i nazywał astronomiczną sytuację. Słusznie o tym mówi Sainte Beuve, że mimo wielki postęp astronomii od czasów Rabelais ten wdzięczny aspekt, mający na celu co najmniej orientację w jak wielkim świecie żyjemy, dany jest tylko nie wielu wybranym.

Dante nieustannie uświadamia sobie, że żyje w kosmosie. Ale chce nie tylko zrozumieć kosmos, jeszcze bardziej chce iść za nim. *Chiamavi il cielo, intorno vi si gira.* („Niebo was woła”). Wędrowiec Dante czuje się dzieckiem wielkiego świata. Już ewangelia daje nam radę, aby stać się dzieckiem (nie aby nim pozostać). A poeta angielski Wordsworth powiada: *The child is father to the man.* Jest to szczególnie iluzja naszych czasów sądzić, że kiedykolwiek przestaniemy być dziećmi. Na-

leży to między innymi do zasług psychoanalizy, że wskazała tzw. infantylne dziedziny ludzkiej duszy. Ich negatywna ocena przez Freuda da się tak chyba wytłumaczyć, że „dorosły”, dyscyplinowany i racjonalnie wychowany nie chciałby ich mieć, odczuwając je jako mniej wartościowe, że przeto wstydzi się ich i stara się je „wyprzeć” z kręgu świadomości. Któż zresztą nie pragnąłby tak żywo życzyć sobie czegoś, umieć tak dziwić się, stawać się wciąż tak nowym i tak twórczym jak dziecko. W swej ostatecznej wizji wszechświata Dante czuje się dzieckiem, *un fante che bagni ancor la lingua alla mammella* (niemowlęciem co zwilża jeszcze język przy piersi matczynej). Także Newton śledzący prawa grawitacji powiada o sobie: „Nie wiem czym mogę wydawać się światu, lecz mnie samemu wydaje się, że byłem jak chłopiec bawiący się na brzegu morza tym, że znajduje raz gładszy kamyczek, raz ładniejszą muszlę, podczas gdy wielki ocean prawdy rozpościera się przede mną zupełnie nieodkryty”. W obliczu świata, jeśli uzmysłowimy sobie choć trochę jego ogrom i jeśli nie sadzimy się zbyt nio i nie nadymamy, jesteśmy dziećmi, pozostaniemy dziećmi. Zacząć raz jeszcze! I niech horyzont znów otworzy się na wszystkie strony! Komuż to obce? Pragnienie odnowienia tak wszechwładne i wyrażne w starych kultach, dotychczas jeszcze żyjące w obrzędach ludowych, decydujące w życiu religijnym — nie wygasa chyba. Gdybyśmy byli całkiem szczerzy, przyznalibyśmy się do tego bardziej świadomie niż to czynimy, zgłosilibyśmy akces do wytycznej, którą zawiera tytuł książki Janusza Korczaka: „Kiedy znów będę mały”.

W dziedzinie narodzin duchowych i odrodzenia ponownego decydującym przeżyciem dla Dantego była Beatrice. Nazywa się to nieraz przedczesnym erotyzmem dziecięcym. Podobno lekarzom i rodzicom tego rodzaju doświadczenia nie są nieznanne. Nowoczesny poeta Walt Whitmann w swym poemacie „Out of the cradle endlessly rocking” („Z rozkołysanej bezkresnie kolebki”) daje nam podobne wyznanie. Wspomnienie z dzieciństwa, jak wysłuchiwanie miłośnie tęsknych wabiń osamotnionego drozda wzbudziło nagle śpiący erotyzm dziecka. U Dantego, tak jak to przedstawia w „Vita Nuova”, mamy do czynienia nie z infantylną regresją, ani nawet z konfesją lecz z przeżyciem, które wstrząsa i wywraca, z wizją niezależną od niego, którą można by nazwać osobistym objawieniem. Do niego przyznaje się Dante przez całe swe życie, chociaż często mu się sprzeniewierzał, i to jest jego wyznanie. Zdawał sobie sprawę z tego w wieku młodzieńczym, w którym zazwyczaj nie oglądamy się wstecz i chyba nie wiele mamy skłonności do regresji infantylnych. Młodzieńcze dzieło jego „Vita Nuova” tak się kończy: „Spodziewam się powiedzieć o niej to, czego jeszcze nie powiedziano o żadnej”. Gdy się wymienia reprezentatywne postacie par kochających zazwyczaj obok Nala i Damayanti, obok Tristana i Izoldy, Franceski i Paola, Romea i Julii, wymienia się także jednym tchem Dantego i Beatrice. Jest to zdaje się nieporozumienie. Dante czuje swe pokrewieństwo z duszami pędzonymi wirem namiętności miłosnej, ma dla nich wiele sympatii. Ma nawet pobażanie dla grzechów pochodzących z miłości, ale epizod Franceski w Inferno, jeśli chodzi o kierunek duszy, jest odwróceniem Beatrice. Epizod ten jest przejmujący, gdyż jest

koncentracją i jak gdyby głową całego piekielnego wichru namiętności miłosnej, a zarazem odcina się przez łagodność i intymność. Lecz przy tym wszystkim jest wskazówką, że chociaż ta sama moc, stosownie do kierunku, to podnosi, to niszczy, przecież decydujący jest kierunek. Według wyboru lub łaski. Przeżycie dziecięce naprzód obezwładniło Dantego a potem miłość oddalona przez śmierć podciągnęła go w górę i wyzwoliła. Nietzsche głosił, jak wiadomo, że miłość między mężczyzną a kobietą ma nie tylko służyć rozmazaniu, lecz także rozwojowi w górę. (Nicht nur fort, vor allem hinaufplanzen). Dante zobaczył że jest to na ziemi niemożliwe, gdyż miłość nie osiąga tego celu. Nie tylko dlatego, na co zwrócił uwagę inny poeta: „Jeśli przyciśniemy serce do serca, wciąż dalej ziele przepaść przez którą mostu nie ma”. Ale także dlatego, że nawet dzieci zrodzone z najgłębszej miłości rodziców, dalej niosą ze sobą wewnętrzny ludzki rozłam. Można by powiedzieć, że Beatrice jest tym co wyrażają Upaniszady: „Czego miłość nie zna, a co przecież miłością kieruje, co jest miłością miłości? To nieśmiertelność, to wieczność — to jesteś ty — ” Taki rozwój w górę, a nie inny. Ta wizja stała się udziałem genialnego dziecka w średniowieczu.

## 8. ŚMIECH I UŚMIECH

Jest jedna cecha charakterystyczna, tak bliska sferze dzieciństwa, którą promieniuje w Raju obecność Beatrice — to śmiech i uśmiech. Wśród zarzutów, których przedmiotem bywa Dante, słyszy się i takie, że nie zna śmiechu, a przecież śmiech odróżnia i wyróżnia człowieka. Dante — tak się uzasadnia — nie potrafi tego co się nazywa „amuser”, brak mu przeto ważnego elementu wychowawczego. Lecz niezapominajmy, że „amuser” jest degradacją słowa „admusare” co znaczy: podnosić i rozweselać za pomocą muz, wychowywać. Nie brak przecież zresztą Dantemu elementu satyrycznego. Masseron powiada nawet: „Dante jest satyrykiem i to jednym z najpotężniejszych satyryków jacy kiedykolwiek istnieli”. Lecz przede wszystkim to moralista, poważny, smętny, gorzki, nawet ponury, trudno dostępny dla śmiechu. Jeden z moich rozmówców uzasadnia mi to niejako: przegładnij choćby pieśń o hipokrytach, także ona jest głęboko smętna, zawarta w niej satyra jest ponura, wyznanie grzesznika iż „tak chronili pokój, że jeszcze o tym świadczą ruiny Gardingo”, każe nam zapomnieć o satyrze. I na to można by odpowiedzieć: z tego właśnie widać, że Dantę jest nie tylko surowym moralistą lecz przede wszystkim namiętnym uczestnikiem spraw ludzkich, pełnym współczucia, nieraz poczucia współwiny. Także do nakrytych ołowianym kapturem połączanym zzewnątrz hipokrytów „płaczących, o wyglądzie znużonym i pokonanym” przemawia: „Bracia, wasze męki — —” Dante w końcu nie należy do tych, którzy śmieją się, gdy im nic innego nie pozostanie i którzy wyśmiewają z rezygnacji.

„Człowiek od śmiechu się zaczyna”, to zdanie starego pastora z mych rodzinnych stron zapamiętałem sobie. Lecz śmiech zdolny jest do nieskończonych stopniowań i odcieni, nie zaczyna się od wyśmiewania i nie kończy się na nim. Zaczyna się od radości, przyjmuje znaczenie ważkie, należałoby prawie

rzec — więcej niż poważne. Kto miał sposobność brać udział w obrzędach tradycyjalnej ludowej kultury, tam gdzie się jeszcze zachowały, między innymi obrzędy i zabawy przy umarłych, kto zastanowił się nad całym ich kierunkiem, uderzyło go zapewne jak ważną rolę odgrywa w nich śmiech, nie jako weselenie się towarzyskie, lecz jako skrzepiający wspólnotę i dający się życiu magiczny postulat. Śmiech — tak się powiada — „ścina złe prądy”, czary nasłane przez złych czarowników, nawiedzenia złych duchów i odpiera naloty śmierci.

W samej rzeczy, śmiech rzadko zjawia się w Inferno Dantego: *Desiato riso* we wspomnieniach Franceski i jak promień słoneczny błyska na obliczu Virgila w Limbo. Poza tym wyśmiewanie przechodzi rychło w deformację, a także w pasję i w patos. Spotykamy groteskę oszukanych diabłów, co prawda też klerowi, złym chrześcijanom razem z heretykami Dante niczego nie daruje. Także w Raju wyszydza głupich chrześcijan, ich wiarę w odpusty, głupie kazania duchownych, którzy ukrywający Ewangelię w cieniu, krzewią taką głupotę, jak gdyby Jezus pouczył ich: idźcie tedy i głosście światu brednie. Im wtórują zakony, wzywające do takich ofiar, z których „świętemu Antoniemu tyje wieprz, i inne jeszcze gorsze wieprze”. W innym miejscu szydercza wskazówka, że chrześcijanie, chwilemi jak piórko na wietrze, a przy tym przeżarci przewrotną chciwością, chcieliby aby byle woda ich zmyła, tak iż żyjący pośród nich Żyd musi ich wyśmiać, kończy się surowym upomnieniem chrześcijan: „Bądźcie ludźmi, a nie durnym bydłem”. Wyśmiewanie kończy się przeważnie druzgocącym zapamiętaniem, co najmniej upomnieniem. Nie ma co mówić, Dante Alighieri nie jest *gemütlich*, zwłaszcza w tym co go boli.

Za to potrafi Dante dojrzeć w śmiechu wyraz ludzkiego szczęścia. O pierwszym człowieku powiada, że jego życie w ziemskim raju było „uczciwym śmiechem i słodkim żartem”. W Czyścicu napotykamy humor fatalistyczny w postaci pokutnika Bellaqua, sceptyka czy raczej miłego leniucha, który utknąwszy u stóp Góry Oczyszczenia nie ma ochoty dalej trudzić się i wspinać. „Wspinaj się sam, jeśliś taki dzielny — powiada do innych — a nie zapomnij za mnie się pomodlić, bo cóż może taka modlitwa jak moja”. To pobłażliwość Dantego dla nieszkodliwego, rodzimego „farniente”. Inny znów humor przejrzyisty i pogodny przejawia się podczas spotkania Statusa z oboma wędrownymi. Tak śmieją się duchy nieco znużone życiem, lecz wyzwolone, niepożądające już niczego z tego świata. Z góry, z Raju ogląda Dante nawet ziemię z uśmiechem współczucia i politowania nad jej małością i znikomością. Dzisiaj raczej gorzko uśmiechalibyśmy się nad osamotnieniem ziemi w wszechświecie, jako że skłonni jesteśmy uważać ją za jedyny przytułek ducha, nawet za centralę ducha w świecie.

W miarę wyzwalania się podczas wędrowki rozkwita i potęguje się uśmiech. Już na szczycie Góry Czyścicowej „święty śmiech” chwyta Dantego w swą sieć: w uśmiechu Beatrice, w jej oczach widzi raj. Bo celem wędrowki jest ten śmiech szczęścia. Jest to ten sam, bezpośrednio wykwitający z człowieka śmiech, który jest wyrazem szczęścia u dzieci. Bo człowiek na prawdę zaczyna swą ludzką egzystencję uśmiechem. Pierwszym wyrazem niemowlęcia, gdy zaczyna poznawać matkę — jest uśmiech. Tak-

że nieco większe dzieci nieraz śmieją się głośno z radości i ze szczęścia. Ten sam uśmiech dzieci wobec wielkiego matczynego świata odnajduje Dante w raju. Uśmiech jest tam identyczny z blaskiem i ze światłem. Uśmiecha się wschodnie niebo przed wschodem słońca, uśmiecha się księżyc, i „uśmiechnięte są święte słowa”. Przede wszystkim śmieją się oczy błogosławionych, a wobec ich śmiechu uśmiechy ziół i kwiatów są tylko nikłą zapowiedzią i cieniem. Śmiech potęguje się w radości i dochodzi do takiego natężenia, że Beatrice opanowuje śmiech, aby oszczędzić Dante: „Gdybym się śmiała, spaliłabym cię na popiół”. Niebiański śmiech błyszczy tak oślepiająco, że pamięć wszelka we wspomnieniach o nim zawodzi. Kiedy Dante w sferze niebiańskiej Saturna słabnie wstrząśnięty grzmiotem oburzenia błogosławionych, oburzenia z powodu niecznych praktyk i zła, które panuje w kościele na ziemi, dowiaduje się, że w porównaniu z potęgą śmiechu tej sfery jest to niewiele. Rozplomieniony śmiech gwiazd unosi wędrowca w jeszcze wyższą sferę. W ostatecznych akordach Raju świętują tysiące aniołów. „Widziałem tam jak w igrach ich i w ich śpiewach śmieje się piękno”. Ten śmiech uszczęśliwiłby człowieka nawet w ogniu. Skoro wędrowiec już wiele zobaczył i dowiedział się, powiada Beatrice: „Otwórz twe oczy, patrz jaką jestem; widziałeś sprawy, które ci pozwoliły wytrzymać mój śmiech”. A na samym końcu widział: „Śmiejące się uniwersum”, wszechświat, który w przestrzeni, jak wyraża się Dante, jest „rozszyczony” (si squadra) tj. rozsypany jak luźne kartki z zeszytu, a które spoił się mu w jedną księgę, w jeden tom.

Winniśmy wdzięczność angielskiemu poecie T. S. Eliotowi za uwagę, że tego rodzaju poezja, jaką rozwinął Dante w Raju jest najtrudniejsza jaką można sobie wyobrazić i najwyższa, i to wbrew przesądowi XIX wieku, jakoby poezję można odnaleźć jedynie w cierpieniu i przez przetworzenie „materiału”, zaczerpniętego z cierpienia, a że wszystko inne należy odrzucić jako tani optymizm i jako obrzydliwą przymilność (cheerfulness). Także niemiecki komentator Karl Vossler potrzebował wielu lat, aby przezwyciężyć uprzedzenia XIX wieku i w nowym wydaniu swej tysiącstronicowej monografii o Dantem, zupełnie zmienił ocenę Raju. Vossler sądzi, że w Raju u Dante nastąpiło zwycięstwo i restytucja fundamentalnego przeżycia z dzieciństwa.

Czyż mamy z lekkim sercem pozbyć się tego zagadnienia i nazwać uśmiech sfer niebiańskich „projekcją”, czy też mamy wierzyć, że Dante, czujący się dzieckiem wszechświata, odgadł ten uśmiech z wdzięcznością jako kwiat świata? Sam Dante jest z pewnością tego drugiego mniemania. Odnalazł wizję miłości z dzieciństwa i ujrzał we wszechświecie jej potwierdzenie. Bo przecież później mistrz Leonardo tak objaśnia uśmiechy swych postaci: *Dell infinito feci i miei sorrisi*. Tęsknota Dante'go przełamana nawet sztywną budowlę ptolomejskiej koncepcji gwiazd, sięgnęła w nieskończoność ku wspólnocie uśmiechu.

## 9. POETA POLITYCZNY

Jak znamienne to, że człowiek, który swemu dzieciństwu na łonie swej ojczystej ziemi tak wiele zawdzięczał, na zawsze ją

utracił. Jako banita, jako wygnaniec, jako taki, który przez odległość jeszcze bardziej napinał tęsknotę do ziemi ojczystej, stał się Dante obywatelem świata i to pierwszym.

Ileż tysięcy dzisiejszych wygnańców, wszyscy ci *dannés de la terre* przeczytałyby z przejęciem sprawozdanie Dante'go (*Confidio*). „Dokąd sięga nasza mowa, przeszedłem jako wędrowiec, i tak jak gdybym zebrał, pokazując wbrew woli, doli mej ranę, z czego mnie rannemu nieraz niesprawiedliwie czyniono wyrzuty. I zaprawdę, stałem się jak okręt bez żagli i bez steru, pędzony ku licznym portom i wybrzeżom przez ten wiatr nieprzyjazny, który wznosi się z mego bolesnego ubóstwa”.

Wszystkim dzisiejszym wygnańcom nie pozostaje chyba nic innego jako ich bilans życiowy jak to, co bogini Kirke powiedziała od Odysa i jego towarzyszy po powrocie z Hadesu: „Wyście dwa razy umarli, gdy inni ludzie rasz tylko”. Lecz Dante znalazł swą ojczyznę w świecie. Dla niego *mundus* stał się *patria*. I to wszystko nacechowało jego polityczną postawę. Może to dziwić zrazu, że człowiek o tak bogatym życiu wewnętrznym, że obywatel tak wielu głębokich samotności a przez to ukrytych związków, uważał politykę za coś tak niezmiernie i życiowo ważnego. Wydaje nam się przecież dzisiaj, że polityka jest czymś co przychodzi z zewnątrz, bez naszego udziału. Ale jeśli która epoka, to nasza mogłaby odnaleźć dostęp do postawy Dante'go. Bo ostatecznie także polityka zależy od wyboru, niekoniecznie od wyboru partii, raczej od wyboru moralnego. I tak Dante, który w końcu zwrócił się przeciw wszystkim partiom, znalazł przystań w swej własnej bardzo potężnej partii, partii dantejskiej (*parti di se stesso*).

W ostatnim czasie krytyka literacka zajmuje się często pytaniem, jak dalece różni wybitni poeci byli politycznie „wolni” bądź też związani. Ukazało się nawet niedawno w języku francuskim uczone dzieło o Homerze, w którym autor stara się wykazać, że dzieła Homera służyły do tego, aby umocnić w koloniach ateńską rację stanu i aby zabezpieczyć drogi morskie, nieodzowne dla sprowadzania metali potrzebnych dla zbrojeń. Mimo fantastykę, uczone dzieło napełnia nas wielką radością i nadzieją, że w niezbyt długi czasie walka o surowiec naftowy na Bliskim Wschodzie obdarzy ludzkość tak wielkimi poematami, jak *Iliada* i *Odyssea*. Ale nie o to chodzi. Zagadnienie, czy poeta był polityczny, stawia się zazwyczaj w tej formie: czy poeta jest „engagé” politycznie czy też wszystkie te „machinacje”, jako pęta jego jedynej osobistości nic go nie obchodzą. Daje się wybór między konformizmem a obojętnym lub wygodnym subiektywizmem. Z tym wszystkim Dante nie ma nic wspólnego. Za jego życia, jak obecnie, to co publiczne stawało się kamieniem probierczym osobistości. Zagrożone u korzenia sumienie musiało wielkim głosem odezwać się w życiu publicznym, albo przyznać się do bankructwa. Nieco podobnie racjonalista i chrześcijanin Lew Tołstoj powiedział: „Nie mogę milczeć”.

Byłoby grubym błędem sprowadzać polityczną stronę Dante'go do małomiejskich klótni ówczesnej Italii, albo tłumaczyć ją uporem Dante'go i jego skłonnością by zawsze mieć rację. Z czasem przecież uwolnił się Dante od mentalności panującej w małych republikach włoskich, a sokratesowa postawa aby siebie

samego naprzód wychowywać zanim sięgniemy do polityki nie była mu przecież obca. Ale i Sokrates, według sprawozdania Platona w Fajdrosie, miał pytać sam siebie: pytam czy i ja sam nie jestem tyfonem, rzygającym ogniem czy jakimś innym potworem. — I jako ostrzeżenie dla wszystkich wysłał niedawno w Szwajcarii książka pod symbolicznym tytułem „Hitler w nas samych”.

Jeśli polityczne wycieczki Dantego, którymi nie tylko piekło rozbrzmiewa, ale od których także raj drży wstrząsany grzmotem, a jego świetliste sfery zaciemniają się na chwilę, jeśli to wszystko nuży nas albo wprowadza w zakłopotanie, to winniśmy zawsze przypomnieć sobie nasze własne przeżycia, a może jeszcze więcej nasze zaniedbania. Winniśmy uprzytomnić sobie, jak słusznie zauważył Konrad Falke, że mało który albo żaden wielki poeta nie stanął oko w oko przed taką alternatywą, jak Dante: czy kolektywne życie ludzi ma się rozwijać pod znakiem przemocy masy lub bezwładnego ciężaru, czy pod znakiem ducha, prawa i dobrowolnego udziału. W Raju słyszymy ważkie pytanie: *Or di', sarebbe il peggio per l'uomo in terra se non fosse cive?* (Powiedz więc co by było gorsze dla człowieka na ziemi niż jeśli nie byłby obywatelem). Z tego wynika niewątpliwie, że człowiek o ile jest obywatelem, nie może być ani niewolny ani też obojętny, neutralny. Dante z pogardą napiętnowałby nie tylko wszelki konformizm, lecz także postawę tych, którzy przykucnąwszy za parawanem neutralności, jak twierdzą, jakoś tam „pracują dla kultury”. Jak niegdyś Plato, także Dante szukał praw, znajdował je, lub raczej odnajdywał na nowo, był prawodawcą. Nie tylko napiętnował pretensje papieży do nadrzędnej władzy na ziemi jako przeciw chrześcijańskie, lecz także jeden z pierwszych zwalczał nacjonalizm.

W zastanawiającej, po łacinie pisanej, rozprawie „De Monarchia Universalis” wywodzi Dante, że dla rozwinięcia tego, co nazywa *propria virtus* a także *proprium opus* i *propria operatio*, które znajduje w „*Virtus intellectiva*”, będącej właściwym celem człowieka na ziemi, niezbędna jest wolność, prawo i powszechny pokój. Jego naczelnym hasłem jest *libere cum pace*. Dla Platona państwo ma istnieć po to, aby służyć enocie, dla Dantego aby rozwinąć na ziemi wolną wspólnotę, społeczność, która dąży do duchowego celu, a której zasada zresztą władza we wszystkich sferach Dantego. Także pod tym względem jego poezja jest totalna.

Skoro mówimy o uniwersalności Dantego, należy jeszcze przypomnieć, że dzięki niej miał szczególne zrozumienie dla regionalizmu i na tym polu także jego działalność jest twórcza, nieporównana. Bo czymże innym jest stworzenie przezeń języka włoskiego, jeśli nie potężnym, uniwersalnym czynem na podstawie regionalnej. Traktat łaciński „De Vulgari Eloquentia” jest dowodem, że dokonał tego ze świadomością zamiaru i celu. Jeden ze współczesnych Dantemu wyraził życzenie, aby Dante napisał swój poemat nie w mowie „wulgarniej”, ludowej, lecz po łacinie na to, aby mu zapewnić wieczne trwanie. Cóż byłoby się wówczas stało z Boskiej Komedii, jak wyglądałaby cała twórczość narodów europejskich. Język Dantego to wielka tajemnica tego co jedyne, co niepowtarzalne, jak mowa dzieciństwa, jak mowa kochanków. Możliwe to wtedy tylko, gdy mowę

ludową uformuje taki mistrz, który potrafi jej nadać uniwersalność. Tak można mówić tylko raz, tylko po raz pierwszy i to jest tajemnicą języka Dantego.

## 10. PRZYSZŁOŚĆ

Chrześcijaństwo, jak widać już z postaci plastyki i malarstwa, przyniosło ów szczególnie religijny gest porywu w górę, patrzenia w górę, tak różny np. od wyrazu postaci buddyjskich, o oczach spuszczonech, postaci zatopionych w sobie. A obok tego gestu, jeśli chodzi o stosunek do świata ludzkiego, nie tylko spojrzenie miłosiernych świętych lub gromiących proroków, lecz także odziedziczony z postawy Apollina gest patrzenia przed siebie z wyzwaniem, dziwnie spojony ze spojrzeniem w przyszłość, odziedziczony z mesjanizmu żydowskich proroków. Ten gest i ta postawa, jeśli chodzi o ziszczenie w życiu, bywają zbyt ufne i niecierpliwe, w rezultacie utopijne, a dla wielu innych religii niezrozumiałe.

Jakby w dziedzictwie tego, od półtora wieku przynajmniej słyszymy nie tylko prococtwa, i to udokumentowane nie bylejak, słyszymy przekonywujące obietnice rychłej przemiany takiej czy innej i w końcu przeżywamy narzucające się z kredytem tak radykalne próby przemiany, która ma się ziszczyć w najbliższej przyszłości, iż mówienie o przyszłości napędza nas lekkiem, jaki znały chyba epoki oczekujące z dnia na dzień Sądu ostatecznego.

Jak wiadomo, Dante nie ograniczał się do zarysu monarchii uniwersalnej i pokoju powszechnego, lecz także spodziewał się rychłego urzeczywistnienia ich, brał czynny udział w poczynaniach, w które wierzył, jak świadczy list do cesarza Henryka przed wkroczeniem tegoż do Włoch.

A czyz w chwili obecnej daje nam jakieś wskazówki na przyszłość? Za co go mamy uważać, czy jest prawdziwym czy fałszywym prorokiem, czy namiętnym marzycielem i fanatykiem czy zawsze „tylko poetą”. Bo Dante był świadom łaski swego posłania, w szczególności, że po to wstąpił w dziedzinę umarłych, jak Eneasz i jak Paweł Apostoł, aby sądzić i podnieść upadły świat. Niebios a i święci wszyscy upominali go, aby podniósł swój głos. On sam zaś lękał się tylko, by nie pozostać „zbyt trwożliwym przyjaciелеm prawdy”.

Byłoby to zbyt łatwe wykazywać, że prococtwa Dantego nie spełniły się, że jego plany i reformy zawiodły, że koniec końców jego dzieło ma tę słabość, że nie wie się, czy ma się je uważać za fikcję czy prococtwo, za poetyckie przeżycie czy pismo święte.

Ale cóż innego robili wszyscy prorocy i poeci jak to, że dawali kierunki, wskazówki, ideały.

Więc zdaje się przecie, że te wskazówki, które nam pozostawił Dante, szczególnie te, w których zwraca się do przyszłości, do „*future gente*”, są ważne. Są to cztery nadzieje.

1) Wątpienie leży u stóp prawdy i od niego zaczynając, każdy z nas może się trudzić rzetelnie. Od wątpienia w górę, to pierwsza nadzieja.

Par. 4/130

*Nasce per quello a guisa di rampollo*

*Appie del vero il dubbio ed'è natura,  
ch'al sommo pinge noi, di collo in collo.*

2) Nadzieją Dantego było, by móc ze swej wizji, jak gdyby ze snu, udzielić, wysaczyć przynajmniej tyle, aby choć iskra chwały najwyższego światła i najwyższej Dobroci, przynajmniej słabym poblaskiem, dotarła do ludzi, przynosząc przyszłym pokoleniom wieść o zwycięstwie światła. Każda fikcja (jako że jest tylko fikcją a nie obrazem duszy), może być zbliżeniem się do takiego zadania. Mistrz zazwyczaj nie mówi i nie opowiada. Wydawałoby się, że w tym wypadku mistrz otrzymał znak aby przemówić. W jednym ze swych listów Dante nie waha się wypowiedzieć, że przyjaźń między człowiekiem a Bogiem jest możliwa, przynajmniej nadzieja takiej przyjaźni. Także tę nadzieję pozostawił nam Dante. Nikt nam nie może jej wyrwać, mamy jego książkę, możemy codziennie do niej wrócić.

3) W modlitwie św. Bernarda do Bogarodzicy wypowiedziana jest nadzieja nobilitacji rodzaju ludzkiego. „W niej bowiem łączy się wszystko co jest z dobroci w kreaturze”, mówi Dante. Ten ideał jest o tyle rzeczywistością, o ile działa. Jest, jak mówi Plato, „dynamis”. To dobro, które sięga ponad byt. To trzecia nadzieja.

4) I wreszcie jeszcze jedna nadzieję dla słowa czyli dla poezji, która spaja ludzi wokół tego, co najwyższe. „Po małej iskrze przyjdzie płomień wielki”. Lepsze głosy zjawia się jeszcze niż jego własny, tak prorokuje czy tak żąda Dante. Wzmocnieni tym, nie uważajmy poezji za coś przebrzmiałego i nie sądźmy, że na zawsze skazana na jąkanie się i bełkot. Miejmy nadzieję, że wyzwoli się z więzów „black-out'u”.

Nasz świat daleki jest od „pax universalis” i od „libere in pace”. Tak samo daleki jak od rozwinięcia „propria virtus” człowieka”. Jest też zupełnie daleki od Boga, przynajmniej w wymiarach, które mu są świadome, w tym czego chce i o czym myśli. Szczególnie nasz kontynent.

Cóż mu pozostało? Renan powiada w swych „Souvenir d'enfance”, że piekło jest nie do pomyślenia, a w szczególności że jest „hipotezą mało zgodną z tym co wiemy zresztą o dobroci Boga”. Nie troszcząc się o Boga możemy przecież gładko powiedzieć, po tym co wiemy o naturze ludzkiej, że piekło jest wcale zgodne z naturą człowieka. Było przecież tutaj, może za tym węglem, a jak długo mogliśmy, nie dawaliśmy temu wiary. Czy rzeczywiście z wiary w człowieka ta hipoteza była nie do pomyślenia? W rozpaczliwym wołaniu Dantego można by zmienić tylko jedno słowo, napisać zamiast Italia — Europa. I już mielibyśmy diagnozę:

*Ahi, Italia serva, di dolore ostello  
Nave senza nocchiero in gran tempesta  
Non donna di provincie, ma bordello.* (Purg. 6/76).

*(Italia! niewolna! gospodo bólu!  
Statku bez steru pośród wielkiej burzy  
tyś nie w swych krajach pania, lecz burdelem.)*

Z koncentracyjnych obozów wczorajszych i jutrzejszych

wznoszą się wciąż jeszcze, przez kraty i druty, oczy do gwiazd. Tam wysoko wystrzela Orion jak wytrysk płomienny, tam toczy się Jupiter, tam ciągną w przepastnej ciszy święte Plejady siedmiu archaniołów. Ciągną nas ku sobie, „woła was niebo”, wzywają nas by podziwiać, by iść za nimi. Co raz wypowiedziano i nazwano, co raz znalazło swój wyraz słowny, to pozostaje jako potencja człowieka. Może tylko trzy albo cztery słowa, trzy albo cztery węzły, podobne centrom nerwowym, jak słowa umarłych przyjaciół i starych modlitw. Budzą się nagle w celi więziennej, w schronie roztrzaskanym bombami, w chorobie, nad przepaścią. Wstają jak zatopiony kontynent. Dante podaje nam rękę. Nie tylko ten sławiony, studiowany, nie, szczególnie ten umęczony a zwycięski, w którym odnajdujemy gwiazdy jakby w zwierciadle górskiego jeziora.

Dowcip oVtaire'a zawiera może coś głębszego niż zamierzył: nieczytany, albo lepiej mówiąc, nie tak czytany a zawsze otwarty, zawsze gotów. Gdzie jest Dante? Skąd wraca ku nam? Ze sfery, która w nas zakorzeniona i nas ogarnia. Tam czeka.

Stanisław VINCENZ.

Powyższy artykuł jest wstępem do książki autora o Dancem. B.1 wygłoszony przez autora ubiegłej jesieni, po niemiecku, publicznie w Zurychu, a także w mniejszym gronie w Bernie szwajcarskim. Dokładniejsze odsyłaczki i wskazówki co do cytatów z tekstów, opuszczone w niniejszym artykule, znajdują miejsce w książce.

## Wspomnienie o Leśmianie

### 1

Moja znajomość z Leśmianem — sięga bardzo starej daty. Po prostu muszę wrócić w „kraj lat dziecińczych” aby tę datę odszukać. Muszę wskrzesić w pamięci słynne „wtorki” w domu moich rodziców w Kijowie, które na początku bieżącego stulecia gromadziły polską elitę kulturalną, gdzie poza bufetem su- to zaopatrzonym serwowano i inne bardziej cenne rzeczy, mianowicie — polskie słowo, polską muzykę, polski śpiew, polską poezję... Przez „wtorki” te przewalili tłumy całe Polaków miejscowych, w dużej części młodzieży akademickiej, ze względu na to, że śp. ojciec mój był patronem kijowskiej Bratniej Pomocy Studentów Polaków. Niezależnie jednak od miejscowej polonii, każdy wybitniejszy Polak, który z tego czy innego powodu zawadzał o Kijów, przybywając tu z Warszawy, Krakowa, Lwowa czy Wilna — musiał być uczestnikiem wtorkowych wieczorów w charakterze raczej czynnym, zależnie od zawodu który reprezentował: grając, śpiewając, deklamując czy przemawiając...

Pamiętam, że to na jednym z takich „wtorków”, przybyły do Kijowa na premierę swojej sztuki „Śnieg” w rosyjskim teatrze „Sołowcowa” Stanisław Przybyszewski, czytał w przepelnionym po brzegi salonie moich rodziców, jeden z najpiękniejszych swych poematów prozą „Nad morzem”, a na innym znowu „wtorku” wygłaszał odczyt o Kasprowiczu... Innym razem pamiętam — trochę jak przez mgłę — Marię Konopnicką recytującą swoje wiersze, Aleksandra Jabłonowskiego, znanego historyka, mówiącego na temat „Słowian południowych”, Karola Szymanowskiego bardzo stremowanego, grającego jakieś pierwsze swoje kompozycje... Były i miejscowe sławy, które popisywały się podczas wtorkowych przyjęć. Była taka np. poetka Maria Grossek, przyjaciółka - i entuzjastka Aleksandra Świętochowskiego, był Edward Ligocki, początkujący powieściopisarz, był też i... Bolesław Leśmian.

Chociaż miałem wówczas lat może trzynaście, najwyżej czternaście pamiętam jak dziś wieczór, na którym młodziutki Leśmian recytował wiersz Lucjana Rydla o Kasieńce, co to „nie miała ojca ani matki, ino miała oczy jako dwa bławatki”. Był

w mundurku studenta uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie (studiował prawo), w dwurzędowym długim surducie z zapiętym pod szyją chabrowym kołnierzem. Jego mała, trochę śmieszna postać, z uduchowioną twarzą okoloną aureolą rozwianych jasnozłoty włosów, jego sposób wymawiania i akcentowania wyrazów, jego żar wewnętrzny udzielający się otoczeniu, które naraz milkło i oddawało się bez reszty artystycznemu wzruszeniu — wywarły — pamiętam — na mnie ogromne wrażenia. Byłem za młody, abym mógł zdać sobie sprawę z tajemnicy tego wzruszenia, którego doznawałem słuchając recytacji Leśmiana, który jeszcze nieraz podczas wtorkowych przyjęć recytował głównie swoje własne wiersze. Tym jego własnym wierszem, w oczach niebardzo orientującej się w sprawach poezji publiczności kresowej, nadawał waloru większego fakt, że były one właśnie drukowane w warszawskiej „Chimerze” Miriama. Dla mnie jednak, nie istniały wówczas żadne inne kryteria, poza wibracją własnego uczucia i odczucia a te wrażliwe membrany duchowe, reagowały na Leśmiana bez omyłki.

O jakimś bliższym stosunku pomiędzy Leśmianem a mną, nie mogło wówczas być mowy, po prostu choćby dlatego, że dzieliła nas przepaść wieku wynosząca lat 12-cie. We wczesnej młodości — jest to przepaść nie do przebycia. Wystarczy wspomnieć, że mój udział we wspomnianych przyjęciach „wtorkowych” był raczej nielegalny, gdyż miałem zakazany wstęp do części reprezentacyjnej mieszkania i musiałem z konieczności zadawałać się podglądaniem i podsłuchiowaniem tego, co się tam działo przez niedomknięte drzwi lub po prostu przez dziurkę od klucza. Spoza tych drzwi dziecińczych — bardzo mi się podobał Leśmian. Nieco później dowiedziałem się, że był on synem wysokiego urzędnika Zarządu Kolei Południowo-Zachodnich, że miał rodzzonego brata studiującego na politechnice kijowskiej, że był blisko spokrewniony z Frenklem i poetą Antonim Langem. Ale to już były inne i dalsze sprawy. Na razie, zdobyłem tekst rydlowskiego wiersza o Kasieńce i z przejęciem imitowałem Leśmiana: „I myślała Kasia, gdy naniósł wody, któż się w niej kąpać będzie — ten królewicz młody — oj Kasiu, Kasieńko!”. Albo: „Królewiczu nie żałuj ino całuj mnie, całuj, królewiczu sokole!” W tym wierszu — co za paradoks — streszczał się wówczas dla mnie cały Leśmian! Jego własna twórczość, jego wiersze ukazujące się wówczas w miriamowskiej „Chimerze” i wydane następnie w oddzielnym tomie pn. „Sad rozstajny” — były bardzo dalekie ode mnie w owej dobie.

W roku w którym skończyłem gimnazjum (1908), wyszedł z druku pierwszy skromny zbiorek moich prób poetyckich pt. „Tacity”. Były to bardzo słabe i bardzo młodzieńcze wloty, aczkolwiek zdobyły sobie one kilka przychylnych krytyk m. in. w krakowskiej „Krytyce” Felmana, gdzie wrócono autorowi świetną przyszłość poetycką. Posłałem książeczkę i Leśmianowi i po pewnym czasie ukazała się w warszawskiej, wydawanej przez Kempnera a redagowanej przez J. Lorentowicza „Nowej

Gazecie” recenzja Leśmiana o „Tacetach”. Powiedziałbym nawet zbyt łagodna, jak na sztabackie gryzmoły. Podziękowałem mu listownie za przyjazne potraktowanie mojej osoby — i na tym się na lat kilka zerwał nawet luźny kontakt z Leśmianem, który przeniósł się na stałe do Warszawy.

## 2

Był taki krótki okres w moim życiu, gdy po powrocie z Monachium, gdzie spędziłem pierwszą zimę studiów uniwersyteckich, a przed wyjazdem na dalsze studia do Paryża — spędziłem kilka miesięcy w Warszawie. W tym okresie warszawskim (kwiecień — czerwiec) opiekował się moją osobą i wprowadzał mnie w środowisko literacko-artystyczne stolicy właśnie Leśmian. On to wprowadził mnie i uczynił ze mnie stałego bywalca słynnej „Miki”, małej kawiarenki na roku Nowego Świata i placu Trzech Krzyży, gdzie w małym pokoiku na prawo od wejścia, codziennie między 4 a 8-mą, zbierała się elita literacka ówczesnej Warszawy. Do stałych bywalców „Miki” należeli m. in. Edward Słoiński, Wacław Grubiński, Antoni Lange, Jan Lorentowicz, malarz Zarzycki, Franciszek Siedlecki, Stanisław Wyrzykowski (tłumacz wychodzących wówczas pism Nietzschego), Artur Górski, nieporównany filozof Franc Fiszer. Nierzadko zaglądali tam i Żeromski i Reymont podczas swych krótkich pobytów w Warszawie a spotkać też można było w „Mice” tak dobrze Miriama-Przesmyckiego jak Wacława Berenta, chociaż zasadniczo ci dwaj byli wrogami kawiarnianego życia.

W pobliskiej kawiarni „Udziałowej” przy rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich gromadziło się znów inne towarzystwo, przeważnie młodzież artystyczna, głównie malarska. Bywaliśmy i tam z Leśmianem i z dwoma jeszcze innymi członkami naszej ówczesnej paczki, mianowicie z rzeźbiarzem Xawerym Dunikowskim i literatem, mesjanistą, autorem książki o Towiańskim, Andrzejem Baumfeldem, który później, już w niepodległej Polsce zmienił nazwisko na Boleski, co było zupełnie niepotrzebne, ponieważ wraz z nazwiskiem nie mógł on zmienić swego wybitnego semickiego wyglądu. Wszyscy trzej, Leśmian, Dunikowski i Baumfeld byli niemal jednakowego wzrostu, bardzo mali i tylko ja między nimi strzelałem jak szparag w górę. Stanowiliśmy zabawną grupę, z czego sami nieraz śmieliśmy się szczerze. Wtoczyliśmy się po Warszawie, dyskutowaliśmy o sztuce, kochaliśmy się pokryjomu w aktorach z „Teatru Małego”.

W tzw. „Dolinie Szwajcarskiej”, przy ul. Szopena, Tadeusz Ulanowski (w niepodległej Polsce dyrektor departamentu w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej) otworzył scenkę literacką, pragnąc kontynuować zamkniętą właśnie tego rodzaju scenkę pn. „Momus”. Dyrektorem i założycielem „Momusa” był Arnold Szyfman świeżo przybyły z Krakowa i usiłujący przeszcze-

nić na grunt warszawski tradycje i atmosferę słynnego „Zielonego Balonika” z „Jamy” michalikowej. „Momus” mieszczący się w lokalu przy ul. Wierzbowej, gdzie w późniejszych czasach była „Oaza” nie „chwycił” publiczności warszawskiej. Trzymał się on wyłącznie na występach Mary Mrozińskiej, uroczej diseuse’y i pieśniarki i gdy ta ostatnia odeszła „Momus” trzeba było zamknąć. Publiczność warszawska, wychowana na operetce, która w „Nowościach” jaśniała przez szereg lat gwiazdami lekkiej muzy pierwszej jakości, od starzejącej się już, nieporównanej Wiktorii Kaweckiej i Rufina Morozowicza czy Redo poczynając a na Niewiarowskiej i Lucynie Messal kończąc, — publiczność ta nie bardzo Ignęła do wyszukanego dowcipu literackiego, do intelektualnej rozkoszy płynącej z wysłuchania recytacji dobrego wiersza czy nawet sentymentalnej piosenki, nie popartej widokiem ładnego dekoltu czy obnażonej po kolano łydki. Szyfman zrezygnował więc z „Momusa” i zabrał się do montowania „Teatru Polskiego”, który przy poparciu finansowym Tomasza Potockiego wkrótce został zrealizowany. Ulanowski usiłował jednak kontynuować świeżą tradycję „Momusa” i grupował młodzież artystyczną i literacką dla swojej nowej scenki w „Dolinie Szwajcarskiej”. Pamiętam jak wmawiał w Leśmiana i we mnie, byśmy wystąpili u niego z własnymi produkcjami. Odbyła się nawet jedna próba, par force zorganizowaną przez Ulanowskiego — ale na szczęście udało się nam jakoś z tego wykręcić.

W naszych wólczech po Warszawie, zaglądaliśmy często z Leśmianem do redakcji „Nowej Gazety”, mieszczącej się przy ulicy Szpitalnej, na rogu Hortensji, na parterze. Wydawcą i redaktorem „Nowej Gazety” był stary Kempner a sekretarzem redakcji Jerzy Boczkowski, późniejszy założyciel i dyrektor słynnej scenki „Qui Pro Quo”. Był to człowiek niezwykle utalentowany i miły towarzysz. U niego to w pokoiku redakcyjnym, oddzielnym drewnianym przepierzeniem od kantoru administracji dziennika, odbywały się m. in. partie pokera. Grało się tanio, ale za to z namiętnością. Muszę tu podkreślić, że Leśmian czuł wielki pociąg do hazardu i gra nawet tak niewinna jaką były te groszowe partie pokera — sprawiała mu wielką uciechę.

Bardzo blisko od „Nowej Gazety” przy ul. Przeskok (łączącej Szpitalną i Jasną) wynajmował Dunikowski sklep na parterze od frontu, w którym urządził sobie pracownię rzeźbiarską. Pracownię tę wypełniały wówczas, ustawione pod ścianami postacie „kobiet brzmiennych” które wywołały w Warszawie nie mniejszą sensację niż sam ich twórca przez swą słynną aferę zastrzeżenia znanego malarza Pawliszaka. Po środku wznosiły się owinięte mokrymi szmatami gliniane, niekształtne bryły prac dopiero co rozpoczętych. Bardzo często z pokera u Boczkowskiego wpadaliśmy późnym wieczorem do pracowni Dunikowskiego, aby go wyciągnąć do „Udziałowej” na kotleta. Gdzieś wyrsał zawsze jak spod ziemi Baumfeld, i we czwórkę z Leśmia-



nem czasem w towarzystwie przygodnie spotkanych po przedstawieniu aktorek — gawędziliśmy do późna w noc o sztuce, o poezji, o teatrze, o miłości, czy po prostu o — życiu.

## 3

Tak się jakoś złożyło, że jednym z pierwszych kogo spotkałem w Paryżu, gdy się późną jesienią roku 1910 zjechałem nad Sekwanę na dłuższy pobyt — był Leśmian. Odnalazłem go od razu na terenie polskiej wówczas kawiarni „Montparnasse”. Powiadam polskiej kawiarni, ponieważ zbierali się tam niemal wyłącznie polscy malarze i literaci, zanim nie przenieśli się do tzw. małej „Rotondy” na rogu Montparnasse i Bd. Raspail, a przede wszystkim zanim w roku 1911-tym nie otwarliśmy lokalu Towarzystwa Artystów Polskich w Paryżu przy ul. Denfert-Rochereau 32.

Leśmian mieszkał z żoną i dwiema córkami, z których jedna mogła mieć lat dwa lub trzy, a druga dopiero co przyszła na świat, w małym pokoiku przy ul. Grande Chaumiere. Pokoik ten na pierwszym piętrze, był na prawdę bardzo mały i tylko dzięki zamilowaniu do porządku i talentom uroczej małżonki Leśmiana, mógł on odgrywać jednocześnie rolę i sypialni, i pokoju dziecinnego i pralni, i pracowni malarskiej (Leśmianowa była malarka) i wreszcie najgościnniejszego pod słońcem salonu literackiego. Bywałem w tym pokoiku codziennym gościem. Pomimo wyjątkowo zdaje się ciężkich w tym okresie warunków materialnych w jakich żyli Leśmianowie, nastrój jaki panował w pokoiku przy ul. Grande Chaumiere był wysoce pogodny, jakiś jak gdyby oderwany od spraw codziennej troski wchodzący w świat nieraźnych doznań, poetycznych oszołomień, rytmowanych podniet, rytmicznych zaskoczeń, wizyjnych zamyśleń... Psychiczna ł a k a leśmianowej poezji dojrzała do sianokosu...

Czasy o których mówię, są dość odległe, i wiele ciekawych szczegółów dotyczących Leśmiana z okresu jego pobytu w Paryżu, umknęło mi z pamięci. Ale pozostało wspomnienie kilka charakterystycznych momentów. Przypomnę więc, że gdy chodzi o stosunek Leśmiana do poetów francuskich, to lubował się on wtedy w symbolistach, w Villiers de l'Isle Adamie, Sully Prudhomme, ubóstwiał Verlaine'a i Alberta Samain. Recytował ich wiersze z pamięci, przy czym recytował czarująco, całymi godzinami nieraz, gdy znalazł odpowiedniego słuchacza. Miał świetny akcent francuski, bez sztucznego na sposób polski grasseyowania. Można było bez końca zasłuchać się w te jego poetyckie godzinki. Tak samo pięknie recytował wiersze rosyjskie, szczególnie swego umiłowanego Konstantego Balmonta, z którym się przyjaźnił osobiście. Pamiętam taki jakiś drobny wiersz Balmonta, którym się Leśmian specjalnie zachwycał, twierdząc że jest to ekstrakt czystej liryki. Brzmiało to zdaje się tak:

„*Katiloś koleczko po barchatu,*  
 „*Katiloś koleczko pokrasnomu,*  
 „*Kak miahko skolzit' po attasnomu,*  
 „*Kak miahko katitsia po atomu,*  
 „*Katiloś koleczko po krasnomu,*  
 „*Skolzit — naczinaja ot małowo,*  
 „*Dojdjot — bez oszbiki dokatitsia*  
 „*Do samowo — sanowo — atowo!*”

Cytuję ten wiersz z pamięci, tak jak go zapamiętałem z recytacji Leśmiana, który z jakąś pasją i namiętnością wyzywał się w powtarzaniu szczególnie ostatniej strofy „dojdjot, bez oszbiki dokatitsia, do samowo, samowo, atowo!”

Jeśli już mowa o Balmontcie, to przypominam sobie jakiś bankiet urządzony na jego cześć przez przyjaciół paryskich poety. Obecni byli przeważnie Rosjanie i Francuzi, a z Polaków był tylko Leśmian, Antoni Lange, niżej podpisany i pewna malarka, której nazwiska już dziś nie przypominę. Atmosfera była wyjątkowo serdeczna i przyjemna. W pewnej chwili Leśmian powstał z kieliszkiem wina i zaczął improwizować. Nie wiele pamiętam z tej improwizacji, wiem tylko, że był to wyraz hołdu dla Balmonta, naturalnie nie w banalnym znaczeniu tego słowa. Balmont odpowiedział po rosyjsku, przy czym kończąc zwrócił się do polskiej malarki czterowierszem, z którego tylko pamiętam zakończenie: „Nieźnieje cziem polskaja panna, to znaczit nieźnieje wsiewo!”

Na zakończenie tych wspomnień paryskich, wspomnieć muszę o wspólnym wieczorze autorskim, jaki miałem wspólnie z Leśmianem i muzykiem Stanisławem Kazurą, na terenie Tow. Artystów Polskich przy ul. Denfer Rochereau. Występ ten miał miejsce w ramach wieczorów tego rodzaju urządzanych raz na miesiąc przez wspomniane Towarzystwo. Na wieczorach tych kolejno występowali jak pamiętam m. in. poeci Wincenty Korab-Brzozowski, Bronisława Ostrowska, Józef Ruffer, Mieczysław Smolarski a z muzyków Wielhorski, Eugeniusz Morawski, L. W. Rogowski. Naturalnie, że ten mój wieczór autorski wspólnie z Leśmianem, stał się wielkim sukcesem Leśmiana, w cieniu którego brzdąkałem na mej skromnej lirance. Tylko bezkrytyczna młodość, uważająca że cały świat należy do niej, pozwoliła mi wówczas stanąć do dwugłosu z dojrzałym i symfonicznie pełnodźwięcznym Leśmianem. Że wyszedłem z tej próby obronną ręką — to też zawdzięczam chyba tej na nic nie baczonej młodości, która wrodzonym wdziękiem nadrabia niekiedy braki, płynące z nieopanowania instrumentu i formy.

## 4

Gdy w roku 1919 po zakończonej wojnie wylądowałem w Warszawie i w styczniu tego roku wszedłem do zespołu grupujących się w nowootwartą kawiarni literackiej „Pod Picado-

rem", gdzie razem z Lechoniem, Tuwimem, Iwaszkiewiczem, Wierzyńskim recytowałem co wieczór swoje wiersze — Leśmian był jednym z pierwszych, którego dostrzegłem przy stoliku na sali. Nie widzieliśmy się dobrych kilka lat i to lat wojennych, i na prawdę byłem szczerze rad ze spotkania a odniosłem wrażenie że i Leśmian bardzo się ucieszył. Odtąd widywaliśmy się dosyć często, lecz muszę przyznać, że stosunki nasze, na skutek zapewne innej atmosfery psychicznej w jakiej tkwiliśmy w okresie wojny, innego układu stosunków między innymi już ludźmi w powojennej Warszawie — nie były już takie jak za starych, dobrych czasów warszawskich czy paryskich. Słowem, między mną a Leśmianem wyrósł jakiś mur wewnętrzny, który nie pozwalał już nam obu powrócić do tego stanu uczuciowego stosunków, jakie nas łączyły przed wojną.

Myślę, że przyczyna tego stanu rzeczy tkwiła w drażliwości Leśmiana, drażliwości której nie dawał zresztą żadnego wyrazu zewnętrznego, na temat sprawy żydowskiej. Sprawa żydowska w powojennej Polsce od razu nabrała cech coraz bardziej zaognionego problemu o znaczeniu zasadniczym. Chcąc być jasny. Leśmian, aczkolwiek pochodził z Żydów był tak zasymilowany duchowo z polsnością, czuł się tak stuprocentowym Polakiem, że problem ten dla niego, tak samo zresztą jak dla całego środowiska artystów polskich do wybuchu wojny światowej po prostu nie istniał. Znałem to środowisko bardzo dobrze, żyłem w nim, miałem wielu najszczęśliwszych przyjaciół pochodzących z Żydów, którzy byli i czuli się Polakami i których my, Polacy, traktowaliśmy jako Polaków, a nie jako Żydów. Naturalnie mówię tu o środowisku kulturalnym — nie o dołach społecznych, gdzie problem żydowski niewątpliwie istniał. Ale wojna, a głównie rewolucja rosyjska, stosunek mas żydowskich do polskiego wysiłku niepodległościowego, budzący się nagle i gwałtownie nacjonalizm żydowski, nawet w jednostkach już pozornie zasymilowanych, to wszystko pogłębiało przepaść psychiczną między Polakami i Żydami. Artyści polscy najdłużej opierali się uświadomieniu sobie tego faktu, że duchowa linia podziału przeszła przez ich środowisko również, tworząc dwa nieujawnione jeszcze na zewnątrz ale istniejące już w ich podświadomości obozy: obóz polski i obóz żydowski.

Leśmian, jako natura b. wrażliwa i szlachetna, bolał nad tym, przymykał oczy na fakt tego pogłębiającego się rozdzwienku polsko-żydowskiego, osobiście dla niego ten problem zdawał się nie istnieć, ponieważ i nadal czuł się Polakiem i zdawał sobie sprawę z tego, że reprezentuje on poważną pozycję w poezji polskiej — lecz byli niestety Polacy, którzy pod wpływem nie przebiegającej w środkach agitacji nacjonalistycznej, dawali odczuć Leśmianowi, że uważają go za Żyda, odmawiając mu prawa obywatelstwa na Parnasie polskim. Wytwarzało to nieznośną atmosferę w stosunkach nawet wśród najlepszych dotąd przyjaciół, wywołując wzajemną nieufność. Taki cień nieufności wzajemnej padł również na stosunki pomiędzy mną a Leśmia-

nem, pomimo że ani on ani ja nie ulegaliśmy wzbierającym prądom obydwu nacjonalizmów, chociaż naciski z obu środowisk były duże.

Jeszcze w roku 1920 stykałem się dość często z Leśmianem w Warszawie, czy to z okazji organizowanego przeze mnie pierwszego Zjazdu Literatów w odrodzonej ojczyźnie w maju tego roku, czy to w lipcu i sierpniu tegoż roku w gmachu Konserwatorium przy Ordynackiej, gdzie mieścił się sztab Centralnego Komitetu Propagandy Wojskowej, w którym pełniłem funkcję członka prezydium tego Komitetu. Po czym nastąpiła dłuższa przerwa w kontaktach moich z Leśmianem, który wyjechał na stałe do Zamościa, gdzie otrzymał stanowisko rejenta, dające mu nareszcie stały pokaźny dochód miesięczny, i uwalniające go od towarzyszącej mu latami troski materialnej.

## 5

W lecie 1925 roku wyjechałem z żoną na wywczasy letnie do Włoch. Ktoś mi poradził, abym zatrzymał się w Alassio, małej miejscinie na riwierze włoskiej pomiędzy Genuą a San-Remo, posiadającej piękną plażę. Jakież było moje miłe zdziwienie, gdy nazajutrz po przyjeździe spotkałem na plaży Leśmiana z młodszą córką Dunią, liczącą wówczas lat 14. Jak się okazało jego żona ze starszą córką wyjechały do Paryża, do jakiegoś specjalisty lekarza po poradę i miały tam spędzić czas nieokreślony. Ponieważ Leśmian nie licząc się z tym wyjazdem, wynajął całe czteropokojowe mieszkanie tuż nad morzem, zaproponował on nam zamieszkanie w wolnych pokojach razem z nim i Dunią, na co chętnie przystaliśmy. Prowadziliśmy więc przez cały miesiąc wspólne gospodarstwo, nie rozstając się niemal wcale. Był to bardzo miły okres, pełen uroczych wspólnych spacerów, kąpiei w morzu, a przede wszystkim niezapomnianych rozmów, dyskusji i przyjacielskich sporów na temat książek i ludzi.

Z tego czasu pamiętam specjalnie dobrze pewien charakterystyczny szczegół. O godzinę drogi koleją od Alassio było Monte Carlo. Leśmiana korciło po prostu, aby się tam wybrać i popробować szczęścia w rulecie. Już nadmieniałem poprzednio, że Leśmian miał we krwi żyłkę hazardu. Tutaj, w pobliżu tej światowej jaskini gry, żyłka ta nie dawała mu spokoju. Tu maczył mi, że posiada niezawodny system rozbicia banku, że czekają go tam miliony, że śmieszne jest iż opieram się pojechać z nim razem do Monte Carlo skorb już jesteśmy tak blisko. Niestety, ja po pewnym doświadczeniu wczesnej młodości, nie wierzyłem w żadne systemy ani w żadne miliony wygrane w hazard — no i ostatecznie do tej wyprawy nie doszło, ku wielkiemu żalowi Leśmiana.

Było to moje ostatnie dłuższe obcowanie z Leśmianem. Wkrótce bowiem wyjechałem z Polski na dłuższy szereg lat zagranicę, wpadając tylko od czasu do czasu do Warszawy na krótkie

chwile, Leśmian zaś mieszkał początkowo stale w Zamościu, gdzie jego kancelaria przynosiła znaczne dochody, a następnie na skutek wybrania go na członka Akademii Literatury, przeniósł się na stałe do stolicy. Spotkałem go tylko raz przypadkowo w kawiarni SIM na placu Marszałka Piłsudskiego. Gdyby polscy akademicy posiadali na wzór swoich kolegów francuskich liberię, Leśmian niewątpliwie nosiłby nawet na co dzień zielony frak. Tak bardzo cenił sobie godność akademicką — ten przybłęda z krainy bajki i ułud, ten „niebieski wycieruch”, „zboj obłoczny” będący ze światem „wspak i na noże”, będący zaprzeczeniem wszelkiej urzędowości i sztywności zewnętrznej. Do fotela akademickiego miał jednak słabość — choć ze względu na swój mały wzrost nie było mu w nim wygodnie siedzieć.

Gdy spotkałem go w SIM-ie mówiąc w przenośni — był we fraku akademika. Towarzyszyła mu córka Dunia, która wypiękniała, stała się podobna do Hiszpanki i przejęta była swoimi występami w podrzędnych rólkach w którymś z teatrów stołecznych. Nęciła ją kariera sceniczna, z której mówiąc nawiasem nic nie wyszło. Dunia natomiast wyszła wkrótce zamaż za Anglika, i podczas pobytu mego na uchodźstwie w 1942 r. spotkałem ją w Jeruzolimie, gdzie mąż jej major Hills pełnił funkcję oficera łącznikowego pomiędzy sztabem brytyjskim a dowództwem Wojska Polskiego na Wschodzie.

O śmierci Leśmiana dowiedziałem się z prasy, przebywając podówczas w Rydze. Był to rok 1937.

## 6

Nie piszę krytyki na temat poezji leśmianowskiej. Nie jest to również biografia Leśmiana, który niewątpliwie doczeka się wyczerpującego studium, zarówno na temat swojej poezji jak i swojego życia. Podałem tu zaledwie kilka przyczynków do takiego studium, kilka może nieważnych i drobnych szczegółów. Uważam jednak, że wszystko co dotyczy autora „Sadu rozstajnego”, „Łąki” i „Napoju cienistego” zarówno jako poety jako też i człowieka — winno być skrzętnie przechowane w pamięci, dla użytku przyszłych jego biografów. Nie ulega bowiem wątpliwości że Leśmian jest wielką pozycją w naszej poezji.

Szukając osobiście najtrafniejszego określenia, które by wyrażało i obejmowało całokształt niecodziennego zjawiska nazywanego potocznie przez ludzi Bolesławem Leśmianem — zaryzykowałbym powiedzenie, że był to balonik wypełniony poezją. To, co stanowiło przebogate wnętrze duchowe i psychiczne Leśmiana, co było integralną poezją bez żadnej domieszki taniego frazesu, to coś tak lotnego i pięknego, tak skondensowanego w swym napięciu uczuciowym, tak niepoddającego się analizie tzw. rozsądku, to coś — było zamknięte w kručzej i drobnej powłoce, podobnej do balonika objającego się o twarde kandy otaczającej go rzeczywistości, niezdającego sobie zupełnie sprawy z nie-

bezpieczeństwa tych zetknięć, grożących każdej chwili katastrofą przeklucia czy zmiążdżenia.

Leśmian fruwał po prostu przez życie, urągając wszystkim prawom ciężenia, grawitacji, materii. Cały świat konkretny, w którym zamyka się życie przeciętnego człowieka — nie istniał dla Leśmiana, nie dostrzegł go on, nie liczył się z nim. Był on zjawiskiem zdematerializowanym — i dlatego wydawał się nieraz tak śmieszny ludziom, którzy przywykli do pewnych utartych schematów życiowych. Leśmian był zaprzeczeniem tych wszystkich schematów. Ludzie np. przywykli widzieć rejentów jako starszych panów, z brzuskami zaokrąglonymi, zażywnych, zrównoważonych, suchych, zatopionych w aktach i paragrafach — i dlatego Leśmian jako rejent musiał naprawdę wywolywać u ludzi co najmniej półśmiech, przez kontrast swej powierzchowności fizycznej. Nie mniej śmieszny był Leśmian, ten drobiutki, maleńki, o wydatnym cienkim nosie człowieczek, gdy zasiadł w głębokim fotelu Akademika Literatury w dostojnym gronie starszych, łysych, siwych i raczej otyłych kolegów.

W tym wszystkim, z całą tą śmieszną stroną jego fizycznej postaci, zablakanej zda się przez przypadek w świecie konkretnym, posiadał Leśmian swoisty wdzięk, jakiś czar niezwykły, który zjednywał mu ludzi, zdawałoby się najbardziej obojętnych na tego rodzaju walory. Jednych rozbrajała po prostu jego niespotykana u ludzi dorosłych naiwność w podejściu do zwykłych, codziennych zjawisk życia realnego. Innych znowu zjednywał uśmiechem, na dzień którego czaiła się jakaś dobrotliwa ironia. Ale moim zdaniem, tajemnica czaru, którym promieniował Leśmian, tkwiła w sposobie jego mówienia, w tej skandującej z lekka, rytmicznej wymowie, w tonacji jego głosu, w metaforach i plastyce jego określeń, trafiających zawsze w samo sedno sprawy.

Język Leśmiana, ten swoisty język, połyskujący rosą świeżych porównań, pachnący wiosenną łąką, wydzwaniający zaskakującymi rymami podzwonne chwilom padającym w wieczność wyczarowujący z nicości słowa nowe i nieznanne, smakowite jak jabłka Cézanne'a, język ten — był nieraz przedmiotem zaciekawionych ataków ze strony naszych purystów, zarzucających Leśmianowi tworzenie sztucznych form, nie płynących z ducha polszczyzny. Jest to zarzut całkowicie niesłuszny, gdyż język leśmianowski jest wzbogaceniem, rozszerzeniem, pomnożeniem stanu posiadania polszczyzny w najlepszym tego słowa znaczeniu. Twierdzenie, że był to język na obcych, przy czym mózgowych koncepcjach zbudowany — jest moim zdaniem wręcz fałszywe: był on bowiem emanacją najbardziej głębokich pokładów duszy ludzkiej, wyrosłej na glebie polskiej, z glebą tą i kulturą narodu polskiego mocnym uczuciem związany. Nie formalnie — ale wewnętrznie.

## Arkusze poetyckie

### Poemat nielogiczny

W poemat trochę nielogiczny  
staram się wtłoczyć kilka spraw;  
dość te tak powiem egotycznych;  
zastrzec się muszę, to nie traf,  
że mówię o tym lub o tamtym.  
Poemat ten to jakby pamflet  
na dosyć dziwny dziś stosunek  
ludzi do zjawisk prostych zgoła.  
Ale to tylko jest rachunek,  
nie jakieś ratunkowe koła,  
które ginącym chciałbym rzucić,  
nie myślę też nikogo cucić,  
ani nawracać, ani kazać.  
Chcę poematem tym wykazać,  
że każdy mógłby gdyby chciał  
rozważyć sobie wszystkie za  
i wszystkie przeciw mojej tezie.  
I mógłby myśleć, ile wlezie.

Myśląc — dochodzi się do wniosków;  
stosując wnioski — po mistrzowsku  
można korzystać z doczesności,  
oddając sztuce, jak miłości,  
wszystkie najintymniejsze chwile.  
Poić się można, sycić stylem  
Cimabuego i Picassa,  
czytać Rimbauda, Lorcę, Tassa,\*)

\*) I co już teraz bywa rzadsze —  
czasami warto być w teatrze  
na dobrej sztuce. Dobrych sztuk  
dzięki pisarzom mamy huk.  
Nie wszystkie teraz może gra się,  
lecz będą grane w swoim czasie.

poświęcić część wolnego czasu  
dla pana Jana z Czarnolasu,  
i z całkiem innych znowu racji  
dla wieszczów Wielkiej Emigracji.  
Dzisiejszych także trzeba czytać,  
bo jeśli ktoś się raptem spyta:  
„Znasz może tego lub tamtego,  
poetę zakwitającego?”—  
To nie wystarczy odpowiedzieć  
„Znam” bo z nim byłeś na obiedzie.

Chociaż to nawet i wypada  
dobre obiady czasem jadać  
w gronie uczonych i pisarzy.  
Zupełnie miło się pogwarzy  
o rzeczach niekoniecznie wiecznych.

Pisarz to człowiek niebezpieczny  
tylko dla najbliższego grona  
dopóki żyje, bo jak skona  
zastyga w białe bryty gipsów  
w holach muzeów, wystaw, I.P.sów,  
mimo pazurów i łwiej grzywy  
monumentalnie nieszkodliwy.

Na ogół o literaturze  
mało się wie — w dole czy w górze.  
A do poezji właśnie góra  
ma niewytłumaczony uraz.

Bo przecież gdyby właśnie nie to,  
nie jeden mógłby być poeta.

Nie wielu wszak poetów pisze.

Poeci co kochają ciszę  
i poetycki mają wgląd  
w rzeczywistości rdzeń i stąd  
nie muszą zaraz pisać wierszy.  
Horyzont niekoniecznie szerszy  
od pisujących mają oni.  
Za to czytają innych.

Bronić  
ich muszę przed uśmieszkiem  
lekceważenia.  
Dotknąłem sprawy ledwo brzeżkiem,  
a już wyłania się dylemat.

W poezji nie wystarczy schemat.  
Wolałbym jednak na przykładzie  
omówić kwestię tę.

W zasadzie

szuka to chyba sprawa jedna.  
 Dotknę jej zaraz jądra, sedna  
 jeżeli zacznę od muzyki.  
 (Nie chciałbym tutaj zadrzeć z nikim)  
 Muzyka, jest to sprawa znana  
 dyskutowana, omawiana,\*)  
 zwłaszcza wśród kół dla których piszę.  
 Ja osobiście, kiedy słyszę  
 fortepian sam, tak sam fortepian,  
 harmonizuję swoje wnętrza  
 i choć to dziwnie brzmi — ja dźwięczę.  
 A kiedy błąkam się po ciszy  
 myśl o muzyce snując cichszy  
 zdumiony pytam: „Tyś li? Tyś li?”  
 słysząc muzykę moich myśli.  
 Tak trudno mówić o czymś serio,  
 bo ludzie źli donkiszoterią  
 najrealniejsze nazwą sprawy.  
 Opuszczam więc, nie dla zabawy  
 wykład o muzyce współczesnej,  
 dla sprawy również niedoczesnej.

Więc każdy wie, że prawo święte  
 rządzi najprostszym instrumentem;  
 toteż kto posiadał sztukę grania  
 nie zacznie od komponowania,  
 lecz uczęszczając na koncerty  
 słucha smakuje i odbiera,  
 wstrząsa nim fraza, pierś mu wzbiera,  
 gani albo z zachwyty błędnie  
 wciągnięty w nurt, prawie bezwiednie.  
 Jest jakaś pasja, jakiś snobizm  
 co nawet z obojętnych robi  
 sympatyków, wtajemniczonych,  
 muzycznie jakoś nastrojonych;  
 prawie kolerie czy „salony”.  
 Urócze córki, siostry, żony,  
 mężowie i kuzyni dalsi,  
 robią się jacyś głębsi, stalsi,  
 w imię Ravela czy Britaina.  
 Lecz żeby tak w imię Verlaina  
 w imię trocheja, w imię jambów,  
 w imię sonetów, dytyrambów,

\*) Mała dygresja — Londyńczycy  
 najlepsi w świecie politycy,  
 wiemy to dobrze z doświadczenia,  
 więc Londyńczycy, a więc Londyn,  
 (znów się zasłaniam cudzym sądem)  
 są dziś bezsprzecznie, pod te lata,  
 na czele muzycznego świata.

czy w imię triumfalnej ody  
 dostać krośelkę czystej wody.

Nie tylko że się mało kto zna  
 na wierszach, ale jak się pozna,  
 odwróć się od niego bracia,  
 tak jakby nagle strędowniaci.

Toteż rodzice gdy rozważni,  
 poezją nie chcą dzieci drażnić,  
 a stąd znów płynie w konsekwencji  
 nie jeden brak w inteligencji.

Nikogo dziś nie kusi Dante  
 choć się potępia Ola Jantę,  
 lecz nie za „Śmierć Białego Słonia”  
 a za prywatne testimonia.

Wróćmy do dzieci. Jak wspomniałem  
 zwyczajne dziecko, duże, małe  
 dziecko po prostu, dziecko wspaniałe  
 ma w sobie to czego nam brak.

Ach dziecko, dziecko, co za świeżość  
 dzieci — co jeszcze w słowo wierzą,  
 jak się nim bawią, jak je pieszczą,  
 wieją nim, sieją i szeleszczą,  
 albo furkoczą z „r” na twardo  
 albo przewiążą je kokardą  
 słowo w bukietcie, słowo w kwiecie  
 niosą śpiewając z tąki do dom,  
 dźwięczące kolorową odą.  
 Bo dla nich dźwięk to jak zjawisko,  
 szeplane niewyraźnie, nisko,  
 by potem ostrym jakby świstem  
 w języki strzępić go ogniste.  
 Sto razy jedno i to samo.  
 Pamiętasz? Sam wotałeś „mamo”  
 mamo, mamo, mamo, mamo,  
 odkrywczo, lekko i niebiesko;  
 to zagmatwaną arabeską,  
 to znówu jakby górnym łukiem,  
 to znów z przydechem, to znów z hukiem,  
 to znów pieściwie i gotębio,  
 to znów oddechem grzejąc, ziębiąc  
 tak aż zmęczone wrzawą pustą,  
 nachyli się jak ptak ku ustom.  
 Kochane słowo, pierwsze słowo.  
 Sto razy sto i wciąż na nowo.

*I na cóż zdał się taki trud?*

*A przecież mowa — wiesz — to cud.  
Cud przekazania, cud ujęcia,  
gdzieś zrodzonego w snach pojęcia;  
i nie dość na tym — cud tworzenia  
z błysków odczucia, skojarzenia  
nowych i bardzo dawnych słów.  
Muza sfrunęła — Twórz że, mów.*

*Pamiętaj tylko,  
żeby się pozbyć rekwizytów  
i beznamiętnie pisać wiersz,  
no i nie ćwierkać tak jak świerszcz  
ani nie zerkać do zeszytów —  
Tylko oszczędnie, celnie, sprawnie,  
nie rozwekając tak jak dawniej,  
ani jak dzisiaj, w gęstym szyfrze;  
lecz oprzeć się na suchej cyfrze,  
na prostym słowie dookreślonym,  
dosadnym, prawie bezcielesnym  
i spleść go z drugim suchym słowem;  
niechże znaczenie całkiem nowe  
tęczą nad obydwoma bityśnie,  
mostem je zepnie i zaciśnie.  
Nowością niech się wiersz zachłyśnie.  
A ty spokojnie dalej prowadź,  
do słowa znowu szukaj słowa,  
spinaj znaczenia i spokrewniaj,  
łącz, utożsamiaj i uśpiewniaj  
celnością i niespodziewanym  
spotkaniem nieoczekiwanym  
dwojga najosobliwszych naczyń.  
Co jak powiedział gdzieś Witkacy,  
„metafizyczny budzi dreszcz”  
wśród czytających i słuchaczy.*

*Najlepiej w rytmie prostej pieśni.*

*Potem przeczytaj, znów zacieśnij.  
Grafiki wiersza jeszcze dopatrz,  
pomyśl o rymach, i czy stopa  
płynie.  
Czy w rytmie się nie gmatwa.  
Rytm, przezroczyście cienka dratwa  
zepnie ci słowa ze słowami,  
a pisz słowami, nie zdaniami.  
Bo mówiąc szczerze między nami,  
w lirycznym wierszu nie ma zdań  
ani tęsknotki, ani tkan,*

*ani ozdóbek uroczystych.  
Liryczny wiersz jak szkło jest czysty.  
I ma być wolny od gadulstwa  
i od mętnego paradulstwa.*

*Liryczny wiersz jest jak diament:  
Talent, pergamin i atrament.*

*Mała dygresja — jeszcze wrócę  
do jednej z tez.  
Najlepiej, żeby wiersz był bez —  
bez rekwizytów.*

*Srebrnych szkatulek, szklanych szczytów  
mgieł księżycowych, wichrów, zórz,  
zielonych śmiechów, białych róż  
i koni srebrnych, koni złudnych  
i jeszcze innych bardzo nudnych  
i oklepanie łatwych zwrotów.  
W lirycznym wierszu jeden motyw  
to miłość,*

*drugi motyw*

*śmierć.*

*W te dwa motywy tak się wwierć  
i tak przeniknij te dwie sprawy,  
żebyś czytając słowa własne,  
proste i tak jak gdyby zgaste,  
oniemiał na ich święty dźwięk.  
I jeszcze jedno —*

*żebyś pękt.\*)*

*I oto przykład jak nie trzeba  
pisać nie tylko czystych liryk.  
Te kilka stron to panegiryk  
na cześć poety, co dla chleba  
świadomie wypiął ponad stan się.*

*Poezje raczej piszą w transie  
poeci Bożym palcem tknięci,  
pół obłąkani, a pół święci.  
W sukniach pomiętych światło noszą  
i nie nie mówią — wszystko głoszą*

\*) Mógłby mi ktoś wytoczyć zarzut,  
że nie wspomniałem o przenośni,  
a ja powtarzam jak najgłośniej,  
że poetyczność się wyraża  
właśnie przenośnią. Metafora  
jest u początku praprasłowa.  
Przenośnia to jest ta osnowa,  
w którą musieli kiedyś wpleść  
bogowie — poetycką treść.

*i piszą tylko po północy,  
a każdy głos ich, to jak z procy  
Dawida, śmiercionośny kamień.  
Strofa, jak Dawidowe ramię,  
jeśli bym strofę ucieleśnił.  
Wiersze, jak Dawidowe pieśni.\*)*

*Jak ich przeczytasz, wiedz żeś wplecion  
z wtajemniczenia fazą trzecią,  
bo wtajemniczeń mamy wiele —  
i różne wtajemniczeń cele.*

*Ja, bo mam zamiar mniej jak pierwszy  
roztajemniczyć szereg wierszy  
i stworzyć taką atmosferę  
żeby to nie był nawet skweres,  
ani wysiłek zbyt ni, ani  
dla pana, czyli też dla pani,  
wziąć pierwszy lepszy tomik z półki,  
gestem motyla lub jaskółki  
sfrunąć na fotel czy na ławkę  
i rymowaną półknąć dawkę.  
I uczyć dreszcz metafizyczny,  
w rzeczywistości prozaicznej.  
I poczuć się przez chwilę bogiem  
i dalej, tym uczuciem błogim  
zarazić bliskich i dalekich.*

*Poezja czeka na to wieki.*

*Tak jak poprzednio już wspomniałem,  
że mowa to zjawisko — cud  
które hołubi tylko lud,  
to źródło mowy tak wspaniałe,  
że w śpiewce, albo w obyczaju,  
w każdym wioskowym baju-baju,  
tkwią najdawniejsze elementy  
mowy.  
I jak drogowskaz tkwi wytknięty  
ład dźwięków i proporcja zdania.  
Mowa ludowa się wydzwania  
metałem, w który biją serca.*

\*) Tacy poeci, nie bez racji  
nieliczni są na emigracji.

I muzy dla nich są łaskawsze.  
Na zawołanie tworzą zawsze,  
zwłaszcza gdy woła ktoś wpływowy.  
Laurem przystroiwszy głowy  
idą przez życie w smugach glorii  
wbrew doświadczeniom i teorii.

*Mowa ta rodzi i uśmierca,  
zabarwia, koloruje, nieci,  
rozpala, rozdmuchuje — świeci  
płomieniem parzy, dymem dławi,  
to znów jak złoty ogon pawi  
zza chmur promieniem nagle błyska.  
No, ale mowa towarzyska,  
czy urzędowa, czy handlowa,  
to bełkot, bełkot, a nie mowa.*

*Bo mowa także jest narzędziem  
myśli.  
To mówi w pierwszym rzędzie  
profesor Kotarbiński, logik.  
Chcę wziąć świadectwo, wielkie bogi,  
logika w nielogicznym śpiewie;  
lecz jednak nikt i nigdy nie wie,  
jakie mu drogi wytknie los,  
darujcie więc logiczny głos  
bo nawet Kreczmar choć romantyk  
z zawodu logik i semantyk,  
w oczach opinii nic nie stracił,  
kiedy wypocił poemacik.  
Więc Kotarbiński sam nie został  
tykając rzeczy gdzieś u podstaw.  
Logiczne jego dociekania  
dotyczą w pierwszym rzędzie zdania,  
mnie zaś obchodzi raczej słowo;  
zaczniemy więc od słów — na nowo.*

*Są słowa proste, słowa czyste,  
podługne, wiotkie i mięsiste,  
sprawne, wyniosłe i pokraczne,  
ledwo znaczące — wieloznaczne.*

*A jeśli słowo jest narzędziem  
i działa również wieloznacznie,  
cóż za narzędzie z niego będzie?  
gdy użyć można go opacznie.  
Albo gdy wskutek nowych drgań  
rzeczywistości, nowych zjawisk,  
błogostawiona jakaś krtać,  
nazwie i nazwy te objawi,  
pocichu, tak że prawie szeptem,  
tak jak odwieczne prawo każe,  
w rytmie guślanym w zakłęć gwarze  
rzeczy, nieznanie nigdy przedtem.  
Z nazwania przyjmą ład i cechy  
tak jak imiona ludzi. Lechy,  
Jany, Józefy czy Damiąny*

każdy w kołysce już nazwany,  
z patrona bierze jakieś coś.  
Lech będzie wierny. Jan nawskrós  
Bogiem przewiany.  
Józef stateczny, niezachwiany.  
A wreszcie Kosmy i Damiany  
po kimliczowsku będą czuć.  
Imię, człowieka może kuć.  
Imię zabije i uleczy  
nawet i imię dane rzeczy.

Jak więc poeta ma być czujny,  
by mógł właściwe imię dać  
i jak na wylot mowę znać,  
by mowie swej nie przynieść ujmy.

Przodkowie nasi w dawnych czasach,  
mieszkając na polanach w lasach,  
za więź, za łączność narodową,  
mieli jedynie, wspólne słowo.  
To, że rozumiał, że pojmował  
to go łączyło z drugim — słowo.  
Co go różniło z cudzoziemcem —  
niezrozumienie, więc go niemcem  
nazywał przodek nasz — to wiemy.  
Dlatego niemiec, że jak niemy  
betkołał tylko, dać znać nie mógł  
jak go pytali po swojemu.

Więc w mowie jeszcze jedno drzemie,  
wspólność, jednakość — Dawne plemię  
Jednego Boga miało w niebie;  
Jednego Ojca — Słowa święte.  
I jeszcze żyto, ledwo zięte  
a już uczczone. W żytnim chlebie  
świętość po dziś dzień zachowana;  
świętość do tego stopnia zbożna,  
że chleb zbierany na kolanach  
a chlebem rzucić, to rzecz zdrożna.

Dosyć to dziwne, sądzicie sami,  
że najświętszymi imionami  
Boga

a Ojca też i Chleba  
przodkowie spod naszego nieba,  
szyfrują tylko dźwięk właściwy,  
ukryty, wielki i prawdziwy.  
Tak jak Adonaj żydzi tworzą  
by nie wymawiać słowa Jahwe.

Bóg od — — bogaty, czy  
od zboża.  
Właściwie mówiąc, to nie łatwe  
do rozstrzygnięcia. Ale wiecie,  
że chyba Je niewinne dziecię  
ma prawo ojcę rzec — więc Tata  
T boskie od początku świata  
w sanskrycie, w grece czy w łacinie.

A Ojca imię, także ginie  
w epoce niby to pogańskiej.  
Ojciec nie nasz jest, a turański.

Chleb obcy, od gockiego chlajb,  
co się wyklada, chyba ciato.  
A z naszym chlebem co się stało?  
Może od sitos — chleb po grecku  
mięszony na lipowej niecce,  
albo pieczony na — sitowiu.  
Sitny — nie biały, nie razowy,  
i rozczyniony raz na nowiu,  
na kwasie ciemnym i niezdrowym.

Wywody, powie ktoś, że mętne.  
Dla mnie istotne i ponętne,  
zwłaszcza że są to strzępy wierzeń  
na tle zwyczajów czy też wierzeń,  
Jedno z nich  
oddam ku rozwadze,  
choć wspomnienie to i przykre  
i dość intymne, lecz je zdradzę  
nie szeptem, ale na głos; krzyknę.

Było to w wigilijny wieczór,  
kto z nas tej słodkiej ciszy nie czuł  
kiedy to z mamą albo z tatkiem,  
dzielił się chleba białym płatkami  
od księżycowych kregów bledszym  
takim, jak w czasie Mszy Najświętszej  
ksiądz w Ciato mocą słów przemienia,  
a więc opłatkiem od dzielenia  
wyciętym w regularne koło,  
na szczęście, zdrowie, na wesole  
z niezrozumiałą, tępą pasją,  
dzieląc się z panną Anastazją,  
nianią co mnie wykołysała,  
staruszką, zasuszoną, małą  
i ukochaną przez nas wszystkich  
za swą anielską przezroczystość  
wyrwawszy jej opłatek z ręki



zamiast przelamać listek cienki  
 pytam „Antosiu, co to jest?”  
 Rękami rozpaczliwy gest  
 i milczy słodka starowinka.  
 „Nie pytaj” szept „kochany synku”.  
 A ja, wcielenie ztego ducha  
 w zapamiętaniu nic nie słucham  
 i pytam coraz natarczywiej  
 „powiedz” powiadam, mocniej, chciwiej,  
 Nazwij ten platek tak jak trzeba,  
 „Nazwijże ten kawałek chleba,  
 kawałkiem słońca, albo nieba,  
 nazwijże — boisz się czy nie wiesz?  
 Jak nie wiesz, to się nie podzielę  
 z tobą”.

Ona, zamknięta w sobie, drżąca,  
 ze łzami w oczach, aż boleśnie  
 szepnęła — „Dziecko, przecież nie śmiem”.

Nie śmiała, tak jak i nie śmieli  
 tamci sprzed wieków, sprzed Popieli,  
 wymówić — Bóg — Ojciec i Chleb.  
 Aż im w pamięci zgasł i skrzepł  
 prawdziwych imion święty głos.

Ach, gdyby tak odwieczny kos,  
 ten płak co głosy ludzkie umie,  
 lecz sam tych głosów nie rozumie....

Ach, gdyby żył do naszych czasów!  
 Pewnieby w głębi starych lasów  
 ku wiosnie śpiewał ludzkim głosem  
 imiona święte, ceniom sosen.

A może też, któremu z nas,  
 który by zabrął aż w ten las,  
 nie za paproci dziwnym kwiatem,  
 lecz za ginącym goniąc światem....  
 Może by dźwięki zapomniane  
 przez kosa w lesie wyśpiewane  
 zapadły i zagrały echem.  
 I może wreszcie by pod strzechę  
 wrócily.

Gdyby je chwycił tak jak siecią  
 leśny, i rozdał smutnym dzieciom.  
 A może jakiś koralowy,  
 planetnik dziwny i niezdrowy  
 z drzew by je mocą swoją strząsał,  
 lecz nie ten, który w durnych płasach

sprzedaje talent co niedziela  
 i choć poezję wciąż wydziela  
 jak pająk nić, jak pszczoła wosk,  
 żeby opiewać muzę Moskwę  
 z gór Euterpe, z Wróblích gór  
 czy szereg innych mętnych bzdur  
 za . . . .\*)

Więc może Lechoń, może Lechoń,  
 jak przezroczyście trudne echo  
 srebrnych i czarnych swoich nut  
 podejmie ten najkrwawszy trud.

Albo jeszcze  
 Wierzyński dźwięczny i namiętny  
 tragiczny i z tych lat pamiętny,  
 gdy o Wysokiej śpiewał trumnie.  
 Śpiewnie, i rzewnie, szumnie, dumnie.

Może Baliński jak bard prawie  
 kiedy zaśpiewał o Warszawie.

Może Sułkowski abstrakcyjny,  
 ozdobny, lśniący, precyzyjny  
 w niespodziewanej metaforze.

A może ukraiński orzel  
 kłóź? — Łobodowski południowy,  
 liściasty, bujny, jaworowy,  
 z dum naddnieprzańskich melodyjną  
 frazą spokojną, czułą, zwinną,  
 która obiega zwarty wiersz,  
 jak błędny ognik wzdłuż i wszerz.  
 Jest w tej poezji jakaś rana  
 i nuta tęskna, zadumana  
 i szeleszcząca jak sitowie  
 z rytmem tanecznym w każdym słowie  
 i ciemnym gustem zamówiona.  
 Nuta jak lśniący wąż, uśpiona,  
 sącząca z siebie słodki jad,  
 wywar z obrzędów, siny czad,  
 tajemny i śpiewany nocą.  
 Kwiaty paproci w nim się złocą  
 przetkane liściem i jagodą,  
 ze źródtła co wytryska świeże.

\*) ...nie wiem za co.  
 Nie wiem czy ich w ogóle płaca.  
 Lecz żeby spodlec tak, skamienieć  
 i spleść się z wrogiem, związać, zbratać  
 żeby usłyszeć serce świata  
 bijące w Moskwie...

Może to on.

Ja go nie zmierzę.  
Albo nie nadszedł jeszcze czas.

Bo to jest święty czas nieskory,  
który doczeka takiej pory,  
aż zateśkniecie za zgubioną  
pieśnią, za ziemią powierzoną  
szumom sosnowym, mchom, żywicom,  
żytom, topianom i benicom,  
mleczom w potrawiach gestwiejącym,  
kostrzewom, trawom śpiewającym,  
górom, dolinom, glinie, piachom,  
sadam, konopiom, wróblim strachom,  
i dzieciom bosym, słowom prostym,  
nożom podłużnym i nieostryjm,  
i brusom w żarnach utajonym....

.....

Poniósł mnie — to nie są tony  
nielogicznego poematu.  
Wrócimy — zatem do — tematu.

Nie będzie jeszcze poniewczasie  
spróbować zająć się nieprostą  
chemią wierszową, powstawaniem  
wiersza. Nie upraszając  
zagadnienia i pamiętając,  
że to są tylko śmiałe próby,  
wychodzę bowiem z tych założeń,  
z których Troczyński wyszedł  
pisząc „Próby krytyki Pałuby”  
dosadną, śmiałą lecz w pokorze  
pisaną, między Paryżem a Poznaniem...  
Więc zanim wiersz się jeszcze stanie  
zbiera się, skupia w drobne ziarno,  
masą bezkształtną i niezdarną  
wzbudzoną prawie mimowoli,  
w łańcuchach gór czy w trawach dolin  
poetyckiego, rzekłbyś, wnętrza.  
I teraz jeśli jest gorętsza  
krew, to ziarno rośnie, pulchnie,  
i rzeczywistość jeśli chuchnie  
z bliska, jeśli go dotknie,  
to się odezwie wielokrotne  
i zagra twórczym skojarzeniem.  
To będzie pierwsze — tak —  
wciatłowstąpienie.  
A w skojarzeniu, błysk, olśnienie

i nowy, świeży jakiś znak  
niewymawialny ludzką mową,  
ten znak powierzyć trzeba słowom,  
i to jest właśnie drugie — tak —  
które poeta musi wiedzieć.  
I trzecie — musi je powiedzieć.  
Mechanizm dość skomplikowany  
jak widać, ale są odmiany,  
tak że dość trudno jest ustalać  
jak się wewnętrznie obraz scala,  
i jak wyptywa czy wybucha.  
Czasami rytm, za sprawą ducha  
dopowie, a czasem w rytmie  
próżno szukane, nagle spadnie.  
A czasem wierszem coś oładnie  
i samo go przez strofy niesie.  
Właściwie, to niewiele wie się  
o mechanizmie, mówmy twórczym.  
Jedno wydaje się być pewne  
że przestrzeń

(która rozszerza się lub kurczy  
tak niezależnie, tak swobodnie  
jak jednakowe w pąkach liście  
rozwiną się, raz w dłoń klonową,  
to znów w akacji listki drobne),  
tak własna jest jak osobowość.  
Przestrzenie, światy to osobne.  
Aureole ponad głową  
jednostki, indywidualnie  
żyjące.

Czasami się przecinające,  
czasami znowu integralnie  
mak innych kół w sobie topiące.  
Kóło, inaczej środowisko  
w którym poeta tkwi. To wszystko,  
czy jawnie będzie żył czy skrycie,  
o co potyka się swym życiem.

Zasięg przeróżny, wielki, mały,  
czasami krąg zupełny, cały,  
czasem wycinki tylko, wręby,  
albo ruchliwe żywe macki.  
Czasami jest to krąg prostacki  
powycinany w ostre zęby,  
czasem subtelny wyszukany,  
czuły na najdrobniejsze zmiany,  
tak jak takomy i ambitny  
kameleona język chwytny.

Z przestrzeni takiej świat się sący  
w organizm jak w dźwięczący kielich.

A potem raptem się wyłączy  
i wierszem jak rakieta strzeli.

Lecz kiedy już gotowe wiersze  
popłyną głośno między ludzi...  
Dlaczego — w jednym wiersz obudzi  
odzew

a czasem nawet szersze  
kręgi falować zaczął tonem  
przejętym, tak jak kamertonem,  
podczas gdy drugi drganie minie,  
trzeciego, muśnie tylko.

Winię  
tu tylko właśnie, mimo wszystko  
zakres przestrzeni doznawania.  
Pomijam częstotliwość drgania,  
kwestię aż nadto oczywistą.

Przestrzenie są jak kule szklane  
co się wzajemnie przenikają,  
są takie, które otaczają inne  
i są jak gdyby z sobą zlane  
częściami.

Są takie, co się w innych mieszczą,  
są takie co się spotykają,  
jak na bilardzie kule z kości,  
ledwo się dotkną, a już w złości  
znowu od siebie odbiegają.  
Nic więc dziwnego, że nie mogą  
pojąć tych innych  
bo ich istota, jak moszcz winny,  
nie wzruszy obcej im przestrzeni.  
Wtedy dopiero to się zmieni  
kiedy poeta przestrzeń swoją  
rozszerzy tak, że swym promieniem  
opisze koło wielkie.

Rojem  
przestrzenie innych ludzi  
lecąc — wciąż będą w jego kole.

Taki poeta, wszystkich zbudzi,  
a sam stać będzie na cokole  
i słowa jego każdy pojmie,  
bo będzie mówił tak, że dojmie  
jak wiatr, który jednako głaszcze  
stuletnie dęby i lwie paszcze,  
mimo odmiennych ciał i natur.  
Wrócimy jednak do tematu.  
Temat w poezji, jego zasięg

i kształt i odpowiednik w tonie,  
w obrazie, w barwie i w przenośni.

Temat co tli się sam bezgłośnie,  
podwaja słowo i rozluźnia.  
Przezroczyścieje temat-kuźnia  
iskrom, co znaczą same sobie.  
A kowal, młoty, żar — to próżnia  
to tylko nikły zwiewny motyw,  
wzniesiony by rozjarzyć loty  
iskrom, świecącym słowom.

Albo też temat, jak narkotyk  
oszatamiając elementy,  
okrywa sens słowami spiętą,  
które jak gwoździe w aksamicie  
włócone w sierść niematerialną,  
trzymają frazę arbitralną,  
same zatartszy się w niebycie.

Tak więc tematem można kryć  
i można temat ustać tłem  
i można nim jak nicią szyć  
i dudnić można nim jak dnem.  
Temat w obrazach może mieszkać  
i co przenośnia się objawiać,  
na krańcach strof, na samych brzeżkach,  
w światłach gasnących i w zórawiach.  
Temat — odbicie doświadczenia  
zapomnianego i w czekaniu  
cierpliwym, nagle w drzeniu  
objawionego twórczym zdaniem.  
To wielokrotne echo snów  
już przemienionych krwią w charyzmat  
poeta śący, strugą słów  
przez swoje ciało jak przez pryzmat.

Boże — cóż mówić jeszcze o tym?  
wszystko co powiem będzie błędne,  
tak jak bym chciał jaskółcze loty  
otówkiem zamknąć we współrzędne.

Nie starczy słów, nie starczy nut,  
nie starczy dźwięków ludzkiej mowy,  
żeby płasiego szczęścia tu  
spośród świergotu móc ułowić.

I tak tu teraz mówić wierszem  
jakże go czytać, jak powiedzieć?

*kiedy czytanie ma być szersze  
od wyznawania na spowiedzi,*

*George robił tak. — Umieszczał  
publiczność w jednej sali ciemnej,  
otwierał drzwi i w drzwiach na przestrzał  
otwartych, stał w pełnym świetle  
profilem,  
i wiersze mówił patrząc w noc.  
Wydaje mi się, że w tym tkwiła  
potężna doza egzaltacji,  
choć George nie bez racji  
wolał swe wiersze mówić w pustkę.  
Nastrój się tlił w koordynacji  
światła ze słowem i profilem  
poety. Leon Szyller  
nazwałby to albo teatrem  
albo dosadniej widowiskiem,  
z tym tylko jednym zastrzeżeniem,  
że sam George był aktorem  
i grał jakiegoś tam poetę  
czytającego własne wiersze.  
A więc George będąc sobą  
wcielał się w czasie deklamacji\*)  
w poetę jak gdyby innego,  
bez przerwy jednak sobą będąc.*

*Myślę, że to myliło trochę  
publiczność w odbieraniu słowa  
i nie dawało pełnej miary  
wartości lirycznego wiersza,  
który George zwielokrotnił,  
przed publicznością mówiąc w pustkę.  
Przez oddalenie, poprzez gest,  
poprzez czynniki widowiska  
wiersz przyjął dramatyczny chrzest;  
wiersz na tym może nawet zyskał.  
A stracił kto? Poeta aktor  
fatszywy uczynniając faktor,  
Bo to odwieczna jest i pierwsza  
reguła, że w teatrze nigdy  
siebie nie można przecież grać.  
Można być sobą grając innych  
wcielać ich w siebie, albo dać*

\*) Wiersz to konstrujeja jednolita  
jak kryształ. Trzeba go przeczytać,  
przekazać tylko, prosto podać,  
niech samo słowo, jak uroda,  
porywa, dziwi, cieszy, nęci.  
Najlepiej czytać wiersz z pamięci.

*siebie, postaci utworzonej  
przez siebie, na czas przedstawienia.  
W niej się zagubić, w nią przemieniać.*

*Aktor, z wyjątkiem filmowego,  
skazany jest na krótkotrwałość  
swojego dzieła.  
Bo tak już jest, że twórczość jego  
z gongiem się zawsze zaczynała  
trwając nie całe  
trzy godziny.  
Postać stworzona, lotnym cieniem  
Przemienie i chwilą się prześni.  
Aktor buduje, aktor rzeźbi  
za marmur mając własne ciało,  
a za narzędzie młot.*

*Aktor dochodzi do postaci  
różnymi drogi, są aktorzy  
jakby leniwi i nieskorzy,  
choć każdy cenę wielką płaci  
za tę przemianę.  
Niektóry postać swoją tworzy  
już przy czytaniu, krok za krokiem  
kropła po kropli, cal po calu  
wsączając w siebie bohatera.  
„Ja” w tym aktorze schnie, umiera,  
a postać rodzi się, koralu  
kwiatem powolnie skamieniałym.*

*Inny zaś, błyskawicą, strzałem  
nagle olśniony, przemieniony  
jak człowiek Bogiem nawiedzony  
dźwięcznym sformuje się kryształem,  
magią rozтворów przesyconych,  
za niewidocznym wstrząsem, tknięciem.  
Tak jak królewicz przez zaklęcie.*

*Magii aktorskich ciągłych przemian  
nie zniosłaby rodzinna ziemia  
więc znalazł dla niej grecki geniusz  
miejsce przychylnie przemienieniom.  
Na nim czy na niej, mniejsza o to  
w umownym czasie i obrocie  
ziemi czy nieba niepodległym,  
w odosobnieniu, w śnie odległym,  
nieziemskim jakimś dziwnym prawem  
dzieją się poetyckie sprawy.  
A sprawom tym jest za patrona  
widownia, jedna jakby strona*

i muzy, które w mijającym  
 dziele, przybiegły się potęczyć.  
 Barwa ze słowem, gest z melodią  
 na wywyższonym jasnym podium  
 przenikną się na oczach ludu  
 i dokonawszy tego cudu  
 odptyną w byty nieśmiertelne  
 zróżnicowane i oddzielne.  
 A lud żegnając je oklaskiem  
 i wrota zamykając z trzaskiem  
 nic nie wie i za czyją sprawą  
 nieśmiertelności mógł bić brawo.  
 Za sprawą samotnego ducha,  
 który kometą krąży w górze  
 zadudni jeszcze scena głucha,  
 rytmem zadźwięczą głosy w chórze,  
 Las się zaludni, a pod lasem  
 Spodek z dyszkantu spadłym basem  
 będzie napierał się grać lwa  
 i Shylok będzie brodę rwał  
 kiedy się dowie, że Jesyka  
 z Lorencem ciemną noc przenika;  
 królewicz Hamlet, nędznej sforze  
 aktorów, sztukę sam układa,  
 by pomścić ojca śmierć. Śmierć spada  
 jak zimna rosa na kaczeńce...  
 A my co tutaj? .. Nieśmy wieńce,  
 my, potomkowie dam i kupców.  
 Bo Shakespeare pisał też dla głupców,  
 tak jak Mickiewicz dla Polaków.  
 Wyspiański opiewając Kraków  
 i bronowickie sute kiecki  
 był misteryjny, chociaż świecki  
 i bardziej niż Krasiński grecki,  
 mówiąc językiem, który stworzył,  
 zinstrumentował i zestroił,  
 językiem, którym upokorzył  
 strofę, i strofie sens rozdziwił.

Jedno się grało — co się grało,  
 a drugie — w górze — pod powatą.  
 Z tekstem, co w dole dźwięczał tekstem,  
 w tym górnym graniu, był — pretekstem.  
 Gest się zagubił, aktor zatarł,

A biały gotąb górą latał.

A dół się dalej grał.

Dziś dramatyczną kategorią  
 myśleć potrafi ten i tamten.  
 Co drugi z nas to jakiś Hamlet,  
 a co dziesiąty, Kordian.  
 Wstrząsów nam nie brak, ni podnieceń  
 i wzorów prawie idealnych,  
 snów poetyckich, ciepłałnych  
 i alchemicznych recept —  
 ażeby wznieść Monumentalny  
 teatr, oparty na szesnastej  
 lekcji, z Wykładów Mickiewicza,  
 kondygnacyjny, z trzech uwarstwień

### T e a t r

dla mas, teatr ludu,  
 proporcjonalny ekstrakt dziejów —  
 — W amfiteatrze, scenę wbuduj,  
 dla Przemienionych Kołodziejów —  
 i chórem górne pieśni ukuj,  
 ze skandowanej mowy gburskiej;  
 Chórami zagraj, Późny Wnuku,  
 mit prasłowiański i mazurski.

Dosyć na dzisiaj szumnych marzeń,  
 bo pośród teatralnych zdarzeń,  
 które się dzieją dookoła,  
 na próżno będę, wzniósł, wołał.  
 Nigdybym tak i marzyć nie śmiał,  
 tylko że kiedyś, kiedy Leśmian  
 żył,  
 tośmy mówili i tak właśnie.

Leśmian miał pisać dramata. Jasnie —  
 słowiańskim przepojony mitem,  
 pszenicą złoty, srebrny żytem  
 i otoczony niby wstęgą  
 Zielenią.  
 Nieludzki bytem i mitręgą.  
 Miał pisać — nie napisał,  
 zwyczajnie — nie zdążył.  
 Jak pająk po swej sieci,  
 tak myślami krążył...  
 Śpięć szukał,  
 przewodniczek grozy.

.....  
 Sam się w niej pograżył.  
 W zatracie zmarłych cieni,  
 chybotliwie zwiewnej,  
 na tamtej drugiej ziemi,  
 płaskiej i bezdrzewnej.

Czy śpiewa tam, jak śpiewał?  
o dębie co z Bogiem  
jedną się uroczyście,  
w kościele ubogim,  
za którym w wysokości  
wzorzyście się wznioło  
drzewo łaski roślinnej...

.....  
Jak mu jest tam, czym innym,  
niż mu się tu było?

.....  
A było mu się tu niewdzięcznie,  
samotnie jakoś i pokutnie,  
choć się wywijał, jak mógł zęczenie,  
było mu coraz okrutniej.  
I szukał ciągle, ciągle szperał  
i jak czarodziej słowa łowił,  
słowami żył, w słowach umierał,  
tragiczny lepiarz słowi.  
I pisał wiersze też słowami,  
urodzonymi z jego łona.  
Módl się Leśmianie za słowami,  
jeżeli które w pieśni skona.  
Lecz póki żyją, niech się wdzięczą,  
jak w śmierci zakochane pawie.  
Albo niech lecą w świat, obręczą,  
między splotzone sny żórawie.  
Piersz lodowata w rosie, w szronie,  
wewnątrz radosnym krzykiem płonie —  
i skrzydła twarde i uparte,  
żagle rozprute chmurnym wiatrem —  
i język ciepły i wilgotny —  
pióro — dotknięcie czułe, lotne —  
i dziób jak żądło mądre, zimne —  
Klucz — wstępujący w niebo hymnem. —  
O ptaki święte, o żórawie,  
czy wam się serce też tak tłucze,  
jak mnie, gdym przeciął pierwsze morze  
piersią okrętu, tak jak nożem.  
Odlatujące w niebo wierszem,  
dla mnie znajome, dla mnie bliskie,  
czy wioślujące nad ścierniskiem,  
czy śpiewające, wołające,  
czy jak dziewczyna, kotyszące  
odwieczną prawdę w krwi zakłętą,  
czy też nowinę w niej poczętą.  
W burzy, w łopocie pilnych skrzydeł,  
niezrozumiały ostry przydech  
i lot szalony, nierozumny,  
zapamiętały, górny, tłumny,

jak tajemniczych zaklęć znaki,  
l i t e r y, napisane ptakiem,  
płynące po matowej płachcie  
odbite dreszczem żądź i zachceń  
rozbite kleksem po błękitach.  
Lećcie — poznałem klucz — odczytam.

Znów zaszumiałem, nostalgiczny,  
jedynak, śpiewak nielogiczny.  
Zamiast rzeczowo zimno, jasno  
prowadzić rzecz, ja swoją własną  
żatość przed wami trenem śpiewam.  
Lecz na wspomnienie ptaka, drzewa,  
które zostały tam nad Bugiem  
serce mi kraje tak jak pługiem  
tęsknota. Patrzcie — zateśknitem,  
za hrubieszowskim lepkiem ilet.

I teraz co? Teraz się zwierzę  
z grzechu, z sekretu o poincie.  
Pointa, to ostatnie pchnięcie  
co bezlitośnie w mózg uderza.  
To błysk, to trzask, to stal na krzemień.  
Wiersz szemrze, wiersz zwierzęciem drzemie  
mięsisty, senny, płowy, dziki  
i nagle, zrywa się okrzykiem.  
Zatriumfował, zakołował,  
uderzył, przebił, — poszybował.  
I nie ma nic, minęły słowa.  
Został się tylko dreszcz.

To jest pointa, ta klasyczna,  
ta skamandrycka, heroiczna.  
Gdzie prawie cały wiersz był po to,  
żeby pointą zatopotać.

Ale gdy temat wierszem chwijeje,  
strofa się stania, blednie, mdleje,  
poeta sztukmistrz, mag, powróslarz,  
konopiarz zabobonny, guślarz,  
wydrze ze swego uroczyśka,  
takie zielone, takie młode  
słowo, na zdrowie, na urodę  
i wiersz jak za magicznym ciągiem,  
pod prąd sprężonym poprze pstrągiem.  
Wiersz, szrapnel, ledwo z dźwięku uszedł,  
a już zakwilnie pióropuszem.  
Jak rzeki w zapóźnionym maju  
jęczącą śmierci pieśń śpiewają  
coraz wyraźniej, coraz bliżej

*i coraz chyżej, coraz wyżej,  
aż wreszcie — pęka jak po szynie  
tafla, —*

*i rzeka płynie.*

*Tak to bywało, nie tak dawno  
i jeszcze czasem gdzieś tak bywa,  
lecz dziś pointa się rozptywa  
na cały wiersz.*

*Dzisiaj pointa, rzeką spławną,  
toczą się strofy, płyną słowa,  
od źródeł, po zatoki owal,  
gdzie wiersz w goryczy, jakby w wątku  
tonie, szumiący od początku.*

*Dziś chwycić wiersz, wiersz nowoczesny,  
to akt już prawie niedoczesny.*

*O tym gdzie indziej i inaczej  
powiem. Zresztą zobaczę,  
czy wszystkich dotąd przekonałem,  
tracąc godziny na to całe  
kwiecicie tak argumentując.*

*Przenosią tylko operując  
nie do każdego można trafić.*

*Spróbuję, może to potrafię  
i to sposobem dość klasycznym.  
Ten sposób to matematyczny  
dowód. Euklidesa wynalazku,  
nie ten co wtedy był na piasku,  
kiedy do izby wtargnął żołdak.*

*Spółeczność dziś przesadza w hołdach  
dla wszystkich razem matematyk,  
więc przyjmie dowód, jak wiatyk.*

*Jeśli weźmiemy prostokątny  
układ rzeczowy i rozsądny,  
jak już wspomniatem, wzorem Greków,  
z osiami Xów i Ygreków,  
X to odcięte, Yek rzędne,  
związane razem we współrzędne.  
Jeśli w układzie tym, od nowa  
odetnę Xem wartość słowa,  
spięcie Ykiem, rzędną raczej,  
wtedy przecięcie, punkt wyznaczy.  
Bezmiarowe miejsce przecięć,  
choć abstrakcyjne, tkwi w konkrezie.*

*A teraz, jeśli punkty złączę,  
ołówkiem skorym, piórem rączym,  
otrzymam funkcję słów prawdziwą,  
graficznie wyrażoną krzywą.  
Jeszcze terminy krzywych dojdą.  
Krzywa być może, sinusoidą,  
gdy pointami jak falami  
wiersz w każdej strofie równo gra mi,  
lub trajektorią, najpierw wzniosłą,  
a potem kiedy pęd już ostabł  
spada i przetnie się u Styksu,  
z poziomą linią osi xów.  
\*) Lub hyperbolą — linią dumną,  
śmiałą, odważną i rozumną,  
rakiętą, dźwięczną, płomienistą,  
wysokopienną, uroczystą,  
gwiazdą gorącą, kulą grzmiącą  
w niebo jak w pierś uderzającą.*

#### KONIEC

*Kto nie zrozumiał, niechaj wstanie,  
za karę w kącie będzie stał.*

*A Panie?  
Rozumieć nic nie potrzebują,  
Panie odczują.*

Bronisław PRZYŁUSKI.

\*) Hyperbola, to dziwna krzywa,  
od swoich osi się odrywa,  
nie kluczy jednak i nie krąży,  
lecz do asymptot stale dąży.  
Ma dwie gałęzie. Jedną gałąź,  
w górę się pnie istotą całą,  
a druga rada czy nierada,  
z tą samą pasją na dół spada.  
Obydwie jednak są liniami,  
takimi, że z asymptotami,  
bez względu na okoliczności,  
przetną się aż w nieskończoności.

A dla fachowców mała wstawka,  
a szczerze mówiąc, to poprawka.  
Wszystko się zgodzi, tylko trzeba,  
obrócić xów oś do Nieba.

## «Trust»

1

W 1927 r. ujawniła się sprawa, która znana jest emigracji rosyjskiej i specjalistom od zagadnień sowieckich, jako „sprawa Trustu”. Osobiście nie brałem w niej poważniejszego udziału. Stykałem się tylko z niektórymi jej technicznymi elementami, znałem większość ludzi — aktorów tej przedziwnej historii. Lecz gdy objąłem już kierownicze stanowisko w naszym wywiadzie stwierdziłem, że sprawę tę muszę poznać jak najgruntowniej. Całymi nocami zagłębiałem się w aktach i archiwach, przeglądałem dawne roczniki pism i wycinki prasowe. Miałem nawet zamiar napisać o „Truście” książkę i zebrałem mnóstwo notatek i dokumentów. Wszystko to wraz z moją biblioteką szczęśliwie zginęło w zgłiszczach i gruzach Warszawy. „Szczęśliwie” — powiadam — bo nie sprawiłaby mi przyjemności świadomość, że w tych moich szpargałach grzebią się sowieccy, rosyjskiego czy polskiego wydania, oficerowie bezpieczeństwa.

Historię „Trustu” opowiem tak jak opowiadałem ją z roku na rok na wykładach o służbie wywiadowczej w naszej wyższej szkole wojennej, na kursach dla wyższych dowódców i na kursach specjalnych dla oficerów wywiadu. Uważałem i uważam ją za jedną z najbardziej klasycznych afer w historii szpiegostwa, za aferę w której niezmiernie plastycznie występują metody sowieckiej prowokacji, inspiracji, dezinformacji i kontrwywiadu zaczepnego. Dziś, mimo, że tymi sprawami nie zajmuję się więcej, uważam ją za bardziej aktualną i pouczającą niż kiedykolwiek.

2

Przenieśmy się pamięcią w pierwsze lata porewolucyjne. Bolszewicy ogromnym wysiłkiem umacniali swą władzę na terenie imperium rosyjskiego. Czteroletni cykl wojen domowych, interwencja obcych mocarstw, wojna z Polską — nie tylko wyniszczyły kraj i ludność, ale zmęczyły samą partię, wówczas je-

Trust jest tłumaczeniem z języka angielskiego jednego z rozdziałów książki Ryszarda Wrągi pt.: *All my life I spied Russia*, która w najbliższym czasie ukaże się w Stanach Zjednoczonych.

szcze niezupełnie pewną własnych sił, a coraz bardziej nienawidzoną przez własne społeczeństwo. Wojny domowe i zewnętrzne zostały zakończone. „Biali” i inni kontrrewolucjoniści zostali wytraceni w drodze masowego i indywidualnego terroru, lub wyrzuceni poza granice państwa. Lecz „hydra kontrrewolucji” mogła się odrodzić w każdej chwili. Niemniej groźne wydawały się bolszewikom namiętności narodów nierosyjskich: Ukraińców, Kaukazczyków, Tatarów czy Azjatów, którzy zaczęli rozumieć, że zostali haniebnie oszukani, że leninowskie prawo „samostanowienia narodów” jest zwyczajnym bluffem i że są oni z powrotem zamykani do odwiecznej klątki rosyjskiego „więzienia narodów”, tym razem pomalowanej na kolor czerwony.

Największe jednak niebezpieczeństwo widzieli bolszewicy w wydającym się im nieuniknionym powtórzeniu próby „interwencji kapitalistycznej”. Dyplomacja sowiecka zaniechawszy na czas jakiś wysyłania swych odezw rewolucyjnych do „pracujących i uciskanych narodów i proletariuszy całego świata”, które w pierwszych latach po rewolucji zastępowały Trockiemu czy Cziczerinowi noty dyplomatyczne — usiłowała osłabić czy nawet storpedować to niebezpieczeństwo przez rozbiście „otoczenia kapitalistycznego” na dwa obozy: zwycięzców i poszkodowanych przez Traktat Wersalski. Niemcy i ich interesy zaczęły być przez Moskwę faworyzowane, tak by nie tylko mogły się stać znów potęgą i by skupiły na sobie uwagę zwycięzców, lecz by mogły być dla Rosji wartościowym sojusznikiem.

Te usiłowania bolszewików odwrócenia uwagi od Rosji sowieckiej były jednakże sprawą dość trudną. Wiele rzeczy stało temu na przeszkodzie. Zagrożenie wielkiego kapitału przez zwycięskie na terenie Rosji hasła międzynarodowej rewolucji komunistycznej, utrata przez wielki kapitał tak korzystnego rynku zbytu i rynku surowców, jakim była Rosja — odgrywały rolę niepoślednią w tym skupianiu się uwagi polityki międzynarodowej na Rosji. Ale jeżeli chodzi o sam kapitalizm, to bolszewicy uważali, że dadzą sobie radę. Lenin i jego pomocnicy byli wielkimi cynikami. „Gdybyśmy ogłosili na Zachodzie przetarg na sznury, na których będziemy wieszać kapitalistów, jestem pewny, że zarzucono by nas ofertami” — powiedział kiedyś Lenin i — trzeba stwierdzić — nie było w tym powiedzeniu wielkiej przesady. Bo przecież powiedzenie, że „można handlować z ludożercami” nie padło z ust bolszewika.

Znacznie niebezpieczniejszym dla bolszewików były te kierunki ideowe, społeczne i postępowe, reprezentowane przez ludzi i organizacje, które dostrzegły w rosyjskim bolszewizmie zarodki totalizmu i biurokratyzmu państwowego, zaprzeczające wszelkim oficjalnie głoszonym zasadom, demokracji i socjalizmu. Niemniej niebezpieczne były dla bolszewików idee wyzwolenia narodów i wspólnoty ludów, hasła wolności człowieka i praw narodów, które wciąż jeszcze błąkały się po Europie, jak smutne echa dziewiętnastowiecznej wiosny ludów. Wreszcie istniała konkretna siła, która w pojęciu bolszewików nie tylko



mogła odegrać dużą rolę w podżeganiu obcych potęg do „interwencji”, ale w razie konfliktu mogła stać się groźnym narzędziem, zarówno politycznym jak i wojskowym. Była nią wielonarodowa emigracja z Rosji, w pierwszym zaś rzędzie przeszło 1.200.0000 ludzi licząca emigracja rosyjska. Główną jej masę stanowiła armia, wprawdzie w ciągu ostatnich dwóch lat wojny domowej i w czasie ewakuacji zdemoralizowana i zdeorganizowana, lecz tym niemniej posiadająca duże możliwości regeneracyjne, posiadająca wielu wartościowych dowódców i jeszcze wartościowszą młodzież.

Jeżeli chodzi o ogół emigracji rosyjskiej to był on pod względem politycznym i społecznym poważnie rozbity i rozczłonkowany. Wystarczy powiedzieć, że już w tych pierwszych latach emigracji samych organizacji monarchistycznych było ponad 120. Największą siłą organizacyjną i antybolszewicką przedstawiała w tym czasie właśnie prawica: monarchiści absolutni i konstytucyjni. Monarchistami zresztą była wówczas ogromna większość dowódców i oficerów. Lewica w tym czasie nie traciła jeszcze nadziei na kompromis z bolszewikami, albo na dojście do władzy w drodze zamachów od dołu względnie w drodze ewolucji bolszewizmu. Lewica niechętnie opuszczała kraj, na emigracji organizowała się powoli, nie mając skłonności do zblokowania się nawet ze sobą, a cóż dopiero z innymi pravicowymi stronnictwami.

Prawica miała w swych rękach armię, miała szerokie kontakty międzynarodowe, miała oparcie o wielki międzynarodowy kapitał, miała zresztą i swoje własne i to nie byle jakie możliwości finansowe. Ostatni naczelny wódz rosyjski, generał baron Wrangiel, posiadał wielki sztab wojskowy i polityczny w Sremskich Karłowicach w Jugosławii. We Francji znajdował się wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, stryj zamordowanego przez bolszewików cesarza, uważany przez większość monarchistów, a armię przede wszystkim, za rzecznika legalnej władzy monarchszej. W Wielkiej Brytanii, a później w Belgii przebywał poprzednik gen. Wrangla, nieprzeciętnie inteligentny gen. A. Denikin. W Paryżu i Londynie organizowały się komitety rosyjskich i związanych z nimi międzynarodowych kapitalistów. W Berlinie przebywało kilkunastu polityków i parlamentarzystów z osławionym Markowem II na czele. W Paryżu i w Londynie działała grupa Milukowa.

Większość armii z gen. Wranglem nastawiona była na rychłą wojnę i jeszcze szybsze załamanie się bolszewizmu. Przygotowano plany mobilizacyjne, studiowano elementy do planów wojny, prowadzono studium rzeczywistości sowieckiej. W Sremskich Karłowicach sztabowcy rosyjscy urzędowali w mundurach i przy orderach, a na terenie kilku państw europejskich gen. Wrangiel i jego zastępca gen. Kutiepow mogli nawet urządzić przeglądy wojskowe z orkiestrami i sztandarami. Niemal w każdym sztabie europejskim, w każdej stolicy, kręcili się przedstawiciele polityczni i wojskowi emigracji rosyjskiej, którzy usi-

łowali bądź zapewnić sobie życzliwość danego kraju, bądź dostarczać informacji o bolszewizmie i jego polityce, bądź też robili antysowiecką propagandę, przeważnie w duchu jak najbardziej interwencyjnym.

Emigracja rosyjska, a przez nią i Rosja, stały się w Europie, a potem i w całym świecie bardzo modne. W stolicach europejskich powstawały jak grzyby po deszczu rosyjskie restauracje. W Paryżu stały się wkrótce najmodniejsze lokale rosyjskiej: „Chez Korniloff”, „Cloches de Moscou” i „Poisson d'Or”, w Berlinie — „Miedwied”. Rosyjski balet Diagilewa, teatryki miniatur artystycznych „Letuczaja Mysz” i „Siniaja Ptica”, chóry kozackie, nie mówiąc już o występach Szaliapina czy Smirnowa „robiły kasę” w każdym mieście na obu półkulach. Grafomańska powieść ostatniego atamana wojska dońskiego, gen. P. Krasnowa, pt.: „Od dwugłowego orła do czerwonego sztandaru” gloryfikująca carską armię i biały ruch kontrrewolucyjny, w ciągu paru lat osiągnęła bodaj rekord, jeżeli idzie o ilość przekładów i wysokość nakładów.

W tym czasie większość państw europejskich, pomna sukcesów sowieckiej ofensywy w Polsce, nie miała zdecydowanego poglądu na dalszą politykę i zamiary bolszewickie i nie orientowała się w sowieckich możliwościach. Wywiady więc pracowały gorączkowo, lecz opinie ich były sprzeczne. Powszechnie jednak panowało przekonanie, że bolszewicy przegrupowują swoje siły i że mimo „NEP'u” nie zrezygnują ani z rewolucji światowej, ani z militaryzacji własnego państwa. Idee wojny prewencyjnej coraz to odżywały jak nie w jednym, to w drugim sztabie.

## 3

W drugiej połowie 1921 r. przyjechał do stolicy Estonii, Tallina, wówczas jeszcze zachowującego swoją rosyjską nazwę — Rewel, w przejeździe do Norwegii, współpracownik sowieckiego Komisariatu Handlu Zagranicznego, Aleksander Aleksandrowicz Jakuszew. Był to człowiek około pięćdziesiątki, doskonale wyrobiony towarzysko i wcale reprezentacyjny. Mała klinowa bródka nadawała mu ten wygląd przedrewolucyjnego dygnitarza carskiego, który tak mile jeszcze do dziś dnia łechce wspomnienia rosyjskich monarchistów. Jakuszew był dawnym wysokim urzędnikiem ministerstwa komunikacji. Znano go jako doskonałego i sprężystego organizatora. Gdy Lew Trocki do wszystkich piastowanych przez siebie urzędów wojskowych i cywilnych dobrał jeszcze tękę Ludowego Komisarza Komunikacji — polecił on odszukać Jakuszewa i zmusił go do objęcia departamentu Dróg Wodnych, mimo, że Jakuszew nie ukrywał swego negatywnego, a nawet wrogiego stosunku do rewolucji bolszewickiej. Na tym stanowisku Jakuszew oddał bolszewikom wielkie usługi. W jego przekonaniu służył on przecież nie komunizmowi lecz państwu rosyjskiemu. Był to okres wojny z Polską i do Trockiego, jako naczelnego wodza, zgłaszało się tysiące jaku-

szewych, zarówno cywilnych jak i wojskowych. Sam Brusilow, jedyny spośród carskich generałów, bohater pierwszej wojny światowej, wydawał odezwy do oficerów, nawołujące do stawania murem przy sztandarach Lenina, w obronie wiecznej Rosji. Po pewnym czasie Jakuszew przeszedł z resortu komunikacyjnego do handlu zagranicznego. Nowe stanowisko pozwalało mu na wyjazdy zagranicę. W Rewlu Jakuszew miał do załatwienia sprawę osobistą. Ścisłe osobistą i typowo emigracyjną. Znajdował się tam mąż pewnej pani, która sama pozostała w Rosji. Z tą panią Jakuszew pozostawał już od dłuższego czasu w zażyłych stosunkach i zamierzał się ożenić. Chodziło o rozwód. Zarówno Jakuszew, jak i jego przyjaciółka jako prawni monarchiści byli również prawnymi prawostawnymi i nie uznawali zarówno sowieckich rozwodów, jako też sowieckich małżeństw w „Zagsach”. Mąż nie stawiał trudności. Obaj panowie przypadli sobie do serca, bo po dłuższej pogawędce okazało się m. in., że obaj byli i pozostali wiernymi monarchistami. Jakuszew pojechał dalej, a jego rozmówca wysłał do Berlina, zwykłą pocztą, do jednego z przywódców emigracyjnego ruchu monarchistycznego, obszerny list, w którym komunikował szczegóły rozmów z Jakuszewem, dotyczące sowieckich spraw politycznych i gospodarczych. Nazwiska Jakuszewa, chcąc być bardzo konspiracyjnym, nie podawał, ale nie pomyślał ani przez chwilę, że gdyby list ten wpadł do rąk sowieckich, to zidentyfikowanie informatora nie przedstawiałoby najmniejszej trudności właśnie ze względu na tematykę w nim poruszoną.

Gdy Jakuszew wrócił do Moskwy został natychmiast aresztowany. Na biurku przesłuchującego go komisarza leżała odbitka fotograficzna owego listu. Jakuszewa przesłuchiwał jeden z pomocników departamentu kontrwywiadowczego Czezwyczakji — Kijakowski. Naprawdę nazywał się on Wiktor Steckiewicz. Wywodził się z ugrupowań rewolucyjnych, młodzieży polskiej i należał w swoim czasie do konspiracyjnej organizacji wojskowej, współpracującej z polskim sztabem. Aresztowany przez bolszewików, zainteresował swoją osobą samego Dzierżyńskiego. Dzierżyński posiadał w sobie wiele uroku. W krótkim czasie Steckiewicz stał się jednym z najwybitniejszych funkcjonariuszy Czezwyczakji. Nie był to jedyny podobny sukces Dzierżyńskiego. W tym samym czasie do rąk bolszewickich trafił w Moskwie również i drugi oficer polskiego wywiadu, także wywodzący się z organizacji socjalistyczno-rewolucyjnych, por. Ignacy Dobrzyński, wysłany na robotę na tyły sowieckie wraz ze swą narzeczoną M. Nawrocką. Oboje uchodzili za nieprzejednanych antybolszewików i ich praca w polskich organizacjach wojskowych stanowiła prawdziwie bohaterską kartę. Lecz i nimi zajął się osobiście Dzierżyński i w rezultacie Dobrzyński, pod nazwiskiem Sosnowskiego, stał się również jednym z zaufanych czekistów.

Gdy analizowaliśmy w swoim czasie te wypadki zdrady, popełnionej przez ludzi zasłużonych dla polskiego ruchu rewolu-

cyjnego i niepodległościowego, ludzi, wydawałoby się najbar dziej godnych zaufania, przychodziło nam na myśl czy w stosunku do nich Dzierżyński nie uciekał się do zapewnień, że on sam jest nadal antyrosyjski i czy nie przekonywał ich, że w służbie czekistowskiej można najłatwiej dokonać krwawej zemsty na Rosjanach za wszystko co Rosja popełniła wobec Polski.

Steckiewicz-Kijakowski, bezpośrednio po wojnie polsko-sowieckiej, pracował pod nazwiskiem Kosiński w przedstawicielstwach sowieckich w Helsinkach i Rydze, jako eksponent wywiadu sowieckiego. Z tego tytułu był doskonale zorientowany w sytuacji państw bałtyckich. W szczególności znał dobrze organizację i personalia tamtejszej emigracji rosyjskiej. W każdym zaś razie wiedział on to, czego prawdopodobnie nie wiedział Jakuszew: na terenie Lotwy, Estonii i Finlandii znajdowały się aktywne organizacje monarchistów rosyjskich, pracujące intensywnie dla centrali monarchistycznej na terenie Berlina i dla wywiadu gen. Wrangla.

Kijakowski oświadczył Jakuszewowi, że Czeka uważa go za agenta organizacji emigracyjnej, której udzielał on informacji o sowieckich sprawach gospodarczych. Jako dowód służył ów list, którego odbitkę Kijakowski miał przed sobą.

Jakuszew przedstawił całą prawdę, to znaczy opowiedział Kijakowskiemu w jakich sprawach osobistych jeździł do Rewla. Aresztowano wobec tego również i narzeczoną Jakuszewa. Okazała ona więcej pomysłowości, aniżeli sam Jakuszew i zaproponowała, aby Czeka sprawdziła prawdziwość ich zeznań. W tym celu — proponowała — napisze ona list do swego byłego męża, który zostanie zawieziony przez któregoś z czekistów. Ten na miejscu będzie mógł sprawdzić, że Jakuszew nie należy i nie należał do żadnej organizacji emigracyjnej.

Kijakowski list przyjął, lecz misję oddawcy wziął na siebie. Narzeczoną Jakuszewa wypuszczono z więzienia, lecz samego Jakuszewa, nie czekając na wyjaśnienie sprawy, skazano na karę śmierci. Trybunał Czeka stanął na stanowisku, że Jakuszew mimo wszystko zdradził sowieckie tajemnice państwowe.

## 4

Steckiewicz-Kijakowski, tym razem dla odmiany pod nazwiskiem Koleśnikowa, wyjechał do Rewla z listem niedoszłej p. Jakuszew, gdzie przedstawił się adresatowi jako członek podziemnej antysowieckiej organizacji oficerskiej. Ustalił on bez trudu, że Jakuszew mówił prawdę. Również bez trudu zdobył zaufanie nie tylko u nieostrożnego konspiratora, ale również i u jego towarzyszy organizacyjnych. Przyjęli go oni jako bohatera. Dławił ich, przebywających w dobrocyce zamożnych i spokojnych stolic bałtyckich, kompleks niższości wobec prawdziwych bohaterów, którzy w okropnych warunkach sowieckich walczyli o „powrót do caratu”. Takiego właśnie bohatera widzieli oni w osobie Koleśnikowa, eks-rewolucjonisty polskiego, byłego oficera

polskiego wywiadu, a w danej chwili czekisty i faworyta Dzierżyńskiego.

Koleśników ponawiały szerokie kontakty, obiecał przesyłać informacje, dał kilka wnikliwych wskazówek odnośnie prowadzenia roboty antysowieckiej na emigracji i wrócił do Moskwy, gdzie Jakuszew oczekiwał z nocy na noc wykonania wyroku śmierci. Wraz z nim w celi znalazł się niejaki Edward Opperput. Historia, którą opowiedział o sobie Jakuszewowi, była również awanturnicza, jak tragiczna. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Upeninsz. Urodził się w 1884 r., był synem chłopca łotewskiego, skończył ze złotym medalem szkołę handlową, a w 1915 r. szkołę oficerską. Wojnę przeszedł najpierw na froncie niemieckim, a później kaukaskim. W czasie rewolucji był delegatem rad żołnierskich i został aresztowany przez bolszewików. Po pewnym czasie uwolniony pracował najpierw w organizacjach przysposobienia wojskowego, a później w sztabie wojsk ochrony wewnętrznej. Wyznaczony do walki z partyzantami antybolszewickimi, żywiłowo nienawidząc bolszewików, nawiązał kontakt z organizacjami kontrrewolucyjnymi na terenie Białorusi i wkrótce stał się, nie przerywając swojej oficjalnej służby dla bolszewików, jednym z kierowników tamtejszych organizacji antysowieckich. W tym charakterze przekraczał on parokrotnie granicę sowiecko-polską i jeździł do Warszawy dla nawiązania kontaktów z Borysem Sawinkowem. Borys Sawinkow po opuszczeniu Rosji założył na terenie Polski organizację antybolszewicką, która miała na celu przedostanie się do Rosji i rozpoczęcie tam powstania ludowego. W kontakcie z Sawinkowem i na jego polecenie, Opperput zorganizował na terenie Białorusi „Ludowy Związek Obrony Ojczyzny i Wolności”. Lecz gdy organizacja ta osiągnęła maksymalny rozkwit, został on sam w Mińsku aresztowany, torturowany i zmuszony do przyznania się do wszystkiego. Pod dyktando czekistów napisał on broszurę, mającą na celu zdyskredytowanie Sawinkowa. Broszura została wydana w 1922 r. w Berlinie. Opperput nie ukrywał przed Jakuszewem, że uważa siebie za bardzo winnego. Wyglądał na człowieka zupełnie złamanego i zrezygnowanego z dalszego oporu wobec bolszewików. Opowiadania Opperputa obfitowały w okrucieństwa. Lubował się w szczegółach tortur. Godzinami mówił o wszechpotężde i wszechwiedzy Czrezwyczajki.

## 5

Trzeba przyznać, że Opperput nie wiele nakłamał w tym co opowiadał Jakuszewowi. Pomiął on jedynie milczeniem to, że będąc w 1917 r. aresztowany przez bolszewików, już wtedy zgłosił się do nich na służbę i z punktu otrzymał przydział do Czecha. W tym czasie Łotysze byli bardzo cenieni przez bolszewików jako swego rodzaju kondotierzy rewolucji. Pułki łotewskie albo wracały do kraju przedzierając się przez front niemiecki,

albo też z pasją wyżywały swą nienawiść do Rosjan, dając się używać jako oddziały karne, tępiąc kontrrewolucję, burżuazję i w ogóle wszystko co się dało. Wielowiekowy ucisk narodowy stosowany przez Moskwę w stosunku do narodów ujarzmianych, sprawił, że bolszewicy w pierwszym okresie swojej niszczyтельской, anarchistycznej akcji, znajdowali chętnych pomocników właśnie wśród mniejszości narodowych. I stąd była w tym czasie ta wielka ilość Polaków, Łotyszów, Finnów, Gruzinów, czy Tatarów w urzędach sowieckich, a w szczególności w Czrezwyczajce.

Opperput, jako funkcjonariusz Czrezwyczajki, oddał bolszewikom wielkie usługi. Zarówno w Rydze jak i w Piotrogradzie nazwisko jego stało się postrachem „kontrrewolucji”. Ale o tym wszystkim oczywiście Opperput Jakuszewowi nie opowiadał. Nie opowiadał również, że wprowadził istotnie nawiązał on kontakt z organizacjami antybolszewickimi i oddziałami powstańczymi, ale uczynił to jako prowokator bolszewicki. Jako prowokator wystąpił on również wobec Sawinkowa.

Dziwny to był człowiek Borys Sawinkow! Napisano o nim wiele essayów i studiów. Jeden z najciekawszych jest pióra Winstona Churchilla. Ale nikt nie zanalizował tej jego dwoistości, która sprawiała, że obok wybitnej inteligencji i niepospolitego talentu politycznego i literackiego, obok wielkiej odwagi wojennej i cywilnej, dużego zmysłu organizacyjnego i niespożytej energii, było w nim tyle niewytłumaczalnej łatwowierności, lekkomyślności, naiwnego niemal dzieciennego romantyzmu. Podobne charaktery spotyka się zresztą dość często w tego rodzaju pracach o charakterze anonimowym, jak wywiad, terror, dywersja, a nawet poniekąd . . . dyplomacja. Potrafią one imponować swym doświadczeniem, znajomością rzeczy, lecz jakże często rozwój wypadków wykazuje, że w najbardziej krytycznych momentach ludzie tego typu popełniają wręcz niezrozumiałe gaffy i lekkomyślności. Taką gaffą w przeszłości Sawinkowa było jego bezgraniczne zaufanie do Azefa. Gdy Azef był sądzony przez rewolucjonistów rosyjskich, Sawinkow (już wówczas jeden z najgłośniejszych przywódców rosyjskiego ruchu socjalistyczno-rewolucyjnego) wołał z patosem: „Prędzej uwierzę, że brat mój jest prowokatorem, aniżeli Azef, najbardziej kryształowy człowiek, jakiego znam”.

Mimo ostrzeżeń ze strony polskiego kontrwywiadu Opperput zdobył sobie całkowite zaufanie Sawinkowa. Został on wprowadzony do najpoufniejszych tajemnic organizacyjnych i otrzymał od Sawinkowa polecenie zorganizowania i prowadzenia roboty na terenie sowieckim. W rezultacie cała organizacja założona przez Sawinkowa-Opperputa na terenie Rosji, ów „Ludowy Związek Obrony Ojczyzny i Wolności” była w gruncie rzeczy od początku do końca zorganizowana, prowadzona i w odpowiednim momencie zlikwidowana przez Czrezwyczajkę. Wówczas Opperputa odsunięto od akcji Sawinkowa i przerzucono go do innej pracy: zorganizowania podobnej prowokacji w sto-

sunku do monarchistów. W charakterze takiego prowokatora Opperput znalazł się w jednej celi z Jakuszewem.

Opperput brał później udział w opracowaniu planu ściągnięcia Sawinkowa na teren sowiecki. W 1924 r. Sawinkow, namówiony przez kilka osób ze swego otoczenia, udał się w ich towarzystwie, konspiracyjnie, do Rosji. Po przekroczeniu granicy został aresztowany. Towarzysze jego byli od dawna agentami sowieckimi. Proces Sawinkowa był przez bolszewików szeroko reklamowany. Wierny swemu romantyzmowi Sawinkow ułożył sobie efektowny, iście wallenrodowski plan: pokajał się, przyznał do wszystkiego i wyraził chęć współpracy z bolszewikami. Ale oszukać bolszewików było znacznie trudniej niż oszukać Sawinkowa. Moskwa nie wierzy w łzy i pokajania. Po dwuletnim prawie pobycie w więzieniu sowieckim Sawinkowowi udało się popełnić samobójstwo: wyskoczył z okna z 6-go piętra gmachu G.P.U.

## 6

Wróćmy do Jakuszewa. Gdy po dłuższym pobycie sam na sam z Opperputem został on wezwany przez Steckiewicza, był to już inny człowiek. Steckiewicz z punktu przystąpił do rzeczy. Bez względu na to czy Rosja jest biała czy czerwona, jest ona wciąż Rosją — mówił Steckiewicz. Można tak czy inaczej ustosunkować się do bolszewików, można ich zwalczać wewnątrz Rosji, ale nie można do tej walki szukać oparcia na zewnątrz, u obcych mocarstw, które czyhają tylko na możliwość rozgrabienia Rosji. I nie można walczyć z bolszewikami w kontakcie z emigracją rosyjską, która wysługuje się niewolniczo siłom wrogim Rosji.

To ostatnie Jakuszew zrozumiał najlepiej. To przecież właśnie przedstawiciele tej emigracji, przez swą nieostrożność i gadulstwo sprawili, że od kilku miesięcy oczekuje on z godziny na godzinę wykonania wyroku śmierci. Nienawiść Jakuszewa do emigracji nie miała granic. Niejednokrotnie miałem możliwość skonstatować, że psychologia zdrady jest znacznie mniej skomplikowana aniżeli to się wydaje na pozór. Namiętności osobiste, zawiedzione ambicje i nienawiść — występują niekiedy z taką siłą, że przesłaniają one cały świat i hamują całkowicie zdolność logicznego rozumowania i przewidywania.

Jakuszew zgadza się na wszystko. Steckiewicz rozwija przed nim plan konkretny. Zostanie zorganizowana na terenie Rosji organizacja monarchistyczna („Monarchistyczne Zjednoczenie Rosji”, zwane w skróceniu M.O.R.’em) na czele której staną odkomenderowani z Czrezwyczajki wyżsi jej funkcjonariusze: pomocnik szefa kontrwywiadu W. A. Styrne, W. S. Steckiewicz-Kijakowski (który, rzecz charakterystyczna, był w tym czasie naczelnikiem wydziału anglosaskiego kontrwywiadu Czrezwyczajki), szef cenzury wojskowej A. A. Langowoj, I. Dobrzyński-Sosnowski oraz Opperput, który do kilku poprzednio posiada-

nych nazwisk przybiera jeszcze jedno: Kosatkin, b. prokurator Dorożyński i in. Organizacja będzie posiadała natomiast reprezentacyjnego prezesa, dobrze znanego na emigracji generała armii carskiej, A. M. Zajączkowskiego. Zmuszono go do objęcia tej roli, grożąc rozstrzelaniem ukochanej córki. Zresztą „prezes” ten nie odgrywał poza tym żadnej praktycznej roli w dalszym rozwoju sprawy. Właściwe kierownictwo objął sam z-ca Szefa Czrezwyczajki-G.P.U.: Artuzow, który, o ile mnie pamięć nie myli, był Włochem i prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Ricchi.

Zadaniem całej tej organizacji, jak mówił Steckiewicz Jakuszewowi, miało być sparaliżowanie szkodliwej dla interesów Rosji działalności emigracji i przeciwstawienie się zaborczym koncepcjom wielkich mocarstw europejskich. Nie powiedziano oczywiście Jakuszewowi, że nie mniej poważnym celem było przyciągnięcie na lep monarchistycznych haseł i ujawnienie wewnętrznych elementów kontrrewolucyjnych. Jakuszew, jako jedyny monarchista z prawdziwego zdarzenia w tym nawskroś czekistowskim towarzystwie, przystąpił do wypracowania programu politycznego. Miał on pod tym względem całkowitą carte blanche: wszystko jedno co będzie pisał, byle to co napisze przypadło do gustu monarchistom na emigracji, wyrobiło w nich przekonanie, że nowa organizacja na terenie rosyjskim jest organizacją poważną.

Jakuszewa wypuszczono z więzienia. Polecono mu zadanie bodaj najważniejsze w całej aferze. Kazało mu udać się za granicę i nawiązać osobiście kontakt z pravicowymi organizacjami rosyjskimi, przedostać się do najwyższych ośrodków dyspozycyjnych, a przede wszystkim przeniknąć do kierowniczego ośrodka wojskowego. W swych wypowiedziach miał on trzymać się zasadniczego motywu: Rosja zaczyna budzić się po strasznych przeżyciach rewolucyjnych, zaczynają odzywać w niej potężne siły antybolszewickie, które nie mając technicznych możliwości dokonania przewrotu, powoli opanowują od dołu cały system bolszewicki. Bolszewizm dzisiejszy — miał mówić Jakuszew — nie jest już tym dawniejszym, groźnym komunizmem sprzed paru lat. Przeszedł on zasadnicze ewolucje. Nie tylko komunizm, ale nawet socjalizm na terenie Rosji zbankrutowały. Odradza się Rosja, stara, dawna, odwieczna Rosja. Wykładnikiem tego odrodzenia jest m. in. ta organizacja, którą reprezentuje Jakuszew. Byłoby rzeczą katastrofalną dla interesów rosyjskich, gdyby emigracja nie zrozumiała nowego przeobrażenia kraju. Byłoby straszliwym błędem, gdyby sprowadziła ona na Rosję interwencję obcych mocarstw. Sprawiliby to tylko, że naród rosyjski, nienawidzący interwentów, zblokowałyby się dookoła bolszewików. Emigracja powinna zrezygnować z bezpośredniej aktywności wewnątrz Rosji. Organizacja Jakuszewa dostarczy jej wszystkich potrzebnych wiadomości, wykona wszystkie zadania wywiadowcze. Emigracja natomiast powinna poprzestać jedynie na informowaniu wielkich mocarstw właśnie w tym du-

chu, który by ochronił Rosję przed przedwczesną rewolucją, albo też przed napaścią z zewnątrz. Przede wszystkim zaś emigracja winna zaniechać jakiegokolwiek aktywności terrorystycznej wewnątrz Rosji.

Jakuszew poinstruowany osobiście przez Artuzowa, wyruszył w końcu 1922 r. w pierwszą swoją podróż do Europy.

## 7

Wszystko to co nastąpiło dalej wydaje się dziś wręcz niewiarygodne. Jakuszew bez trudu nawiązuje kontakt z ośrodkami monarchistycznymi emigracji rosyjskiej i zdobywa sobie tak daleko idące zaufanie, że za drugim czy trzecim przyjazdem zostaje przyjęty przez samego wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Zresztą ten starszy pan nigdy nie odznaczał się zbyt dużą przenikliwością i ostrożnością. Całkowicie opanowany przez swą shisteryzowaną na tle mistycznym żonę, wytworzył on w swym otoczeniu podobną atmosferę, jaka cechowała Pałac Zimowy w ciągu ostatnich lat przedrewolucyjnych, a która dawała takie pole do działania różnym szarlatanom w rodzaju Rasputina.

Generałowie A. Denikin i P. Wrangiel byli bardziej ostrożni. Ten ostatni nie chciał przyjąć Jakuszewa, którego lansowali mu jako bohatera walki z bolszewikami najbliżsi jego pomocnicy wojskowi. Lecz jednocześnie nie zdobył się na zajęcie zdecydowanego stanowiska. Późniejsze wypadki wykazały, że Jakuszew miał wśród emigracji rosyjskiej, zarówno cywilnej jak i wojskowej, protektorów zgoła osobliwych. Należał do nich m. in. wieloletni szef sztabu gen. Wrangla — gen. Monkiewicz, w rękach którego spoczywała cała akcja na kraj. W końcu 1926 r. gen. Monkiewicz znikł bez śladu. I dopiero w jakiś czas później stwierdzono, że przez cały czas swego pobytu na emigracji, (to znaczy od 1920 r.) był on agentem sowieckim. Jak mówiły nasze informacje, gen. Monkiewicz jeszcze w 1932 r. pracował w Moskwie w G.P.U. i podobno był jednym z organizatorów porwania w 1930 r. następcy gen. Wrangla, — gen. Kutiepowa (nb. swego wielkiego przyjaciela, który miał do niego zawsze bezgraniczne zaufanie). Drugim protektorem kontaktu z M.O.R'em był gen. Klimowicz, b. dyrektor departamentu policji politycznej, a w tym czasie szef kontrwywiadu gen. Wrangla. Stał się on największym entuzjastą Jakuszewa i szeroko reklamował jego prawowierność uczuć i poglądów monarchistycznych. Wypadek z gen. Klimowiczem jest klasycznym przykładem jak dalece omylna jest niejednokrotnie fachowa opinia kontrwywiadowcza, skoro zaniedbuje rzeczowego opracowania sytuacji i polega wyłącznie na „intuicji” i „osobistym zaufaniu” do ludzi. Gen. Klimowicz reprezentował przecieź, zdawałoby się, ogromne doświadczenie w tych sprawach, a oto — proszę — popełnia w stosunku do Jakuszewa taki sam błąd, jaki popełnił niemniej doświadczony rewolucjonista, Sawinkow, w stosunku do Opperputa.

W krótkim czasie M.O.R. opanowuje całkowicie nie tylko prawe skrzydło, ale i większość emigracji rosyjskiej. Jakuszew, który dla konspiracji przybrał nazwisko Fiodorow, zdołał nawiązać kontakty nie tylko z ugrupowaniami monarchistycznymi, lecz i organizacjami o innych zabarwieniach politycznych. Pod jego wpływami prasa monarchistyczna i prawnicowa przybiera nowy ton. Przestrzega ona przed zbyt dużą aktywnością, przed podjudzaniem mocarstw europejskich do wojny z bolszewikami, stwierdza, że na terenie sowieckim następuje coraz potężniejsza ewolucja, że zbliża się samorzutne odrodzenie Rosji.

Zadania postawione Jakuszewowi nie ograniczyły się tylko do związania M.O.R'u z organizacjami emigracyjnymi. Szły one znacznie dalej. Jakuszew nawiązuje kontakty bezpośrednie ze sztabami poszczególnych mocarstw i zawiera szereg wielce charakterystycznych umów dwustronnych. Do sztabów tych wprowadzają go czołowi przedstawiciele emigracji rosyjskiej, którzy wystawiają mu świadectwa entuzjastyczne. Jakuszew odwiedza kolejno Rewel, Rygę, Helsinki, Warszawę, Berlin i Paryż. Szefowie poszczególnych wywiadów pertraktują z nim poważnie, polegając na opiniach cywilnych i wojskowych przywódców emigracji rosyjskiej. Któż lepiej — sądzą oni — winien był poznać się na tym czy Jakuszew jest godny zaufania czy nie, jak gen. Wrangiel, jego zastępca gen. Kutiepow, gen. Monkiewicz i gen. Klimowicz. Lecz Wrangiel z przyczyn niezrozumiałych nie chciał mówić o owych podejrzeniach czy zastrzeżeniach, gen. Monkiewicz był agentem sowieckim, a gen. Kutiepow i gen. Klimowicz byli największymi entuzjastami M.O.R'u w ogóle, a Jakuszewa w szczególności. Szefowie poszczególnych wywiadów widzieli przed sobą ogromne perspektywy. Jakuszew potrafił przedstawić schemat organizacji M.O.R'u jako wszechpotężnej sieci, której członkowie siedzieli we wszystkich urzędach sowieckich do wojska i G.P.U. włącznie. Jakuszew wymieniał nawet nazwisko jednego z czerwonych generałów, który pozostawać miał na usługach M.O.R'u — gen. Denisowa. Dopiero później okazało się, że tym Denisowym był w rzeczy samej wyżej wspomniany szef cenzury wojskowej, Łangowoj. Jakuszew nie ograniczał się wyłącznie do obietnic. Hojnie wyjmował ze swej teczki różne opracowania, memoriały, a nawet konkretne dokumenty, dotyczące gospodarki i spraw wojskowych Rosji. Wziamian za zobowiązanie dostarczenia odpowiedzi na pytania wysłane poszczególnym sztabom, Jakuszew prosił jedynie o ułatwienie łączności pomiędzy organizacjami emigracyjnymi a M.O.R'em na terenie Rosji. Prosił o przetrzymanie za granicę ZSRR ludzi M.O.R'u. Uważano to za drobniak i w krótkim już czasie kurierzy dyplomatyczni w swych walizkach zaczęli przewozić do Moskwy i z powrotem pocztą M.O.R'u. Na granicy sowieckiej kręcili się tuzinami członkowie M.O.R'u. Niektóre wywiady ustawiły nawet w konsulatach, względnie w przedstawicielstwach dyplomatycznych w Moskwie, specjalnych oficerów łącznikowych do kontaktowania się z przedstawicielami M.O.R'u na terenie Z.S.S.R.

Nie ma nic bardziej zgubnego dla każdego wywiadu jak taka sytuacja, kiedy otwierają się przed nim raptem, ni z tego ni z owego, wielkie a łatwe możliwości osiągnięcia materiału wywiadowczego. Wówczas kieruje on gros swych wysiłków i swojej energii na eksploataowanie tych możliwości. Zaniedbuje inne drogi, przestaje być twórczy. Tak stało się i w tym wypadku. Kontakty z M.O.R'em wydały się tak owocne, a jednocześnie stosunkowo tak mało kosztowne, zarówno pod względem sił ludzkich jak i kosztów materialnych, że zaabsorbowały one całkowicie pracę wywiadów. Po cóż było montować własne linie, po co dokonywać ryzykownych prac agencyjnych, po co było wyrzucać wielkie pieniądze, skoro niemal co tydzień przychodziły z Moskwy, w walizach dyplomatycznych, pięknie zapieczętowane koperty, które zawierały odpowiedzi na wszystkie niemal pytania i dawały coraz większe nadzieje na pogłębienie i rozszerzenie wywiadu we wszystkich kierunkach.

Jakuszew, jak się okazało, był nie tylko dobrym monarchistą i znakomitym organizatorem, był on również i doskonałym dyplomata. Ustawiał on przy poszczególnych sztabach swoich własnych przedstawicieli, którzy z godnością prawdziwych ambasadorów reprezentowali interesy M.R.O'u, całkowicie niezależnie od miejscowych ugrupowań emigracji rosyjskiej. Manewry dyplomatyczne Jakuszewa miały swój konkretny cel. Rozpoznawały one charakter kontaktów i współpracy pomiędzy poszczególnymi sztabami, z drugiej zaś strony stałe, a systematycznie wprowadzały intrygi i nieporozumienia, mające na celu osłabienie jej współpracy. Zgodni do niedawna szefowie wywiadów państw zaprzyjaźnionych zaczęli zachowywać się w stosunku do siebie niczym zazdrośni młodzieńcy w pogoni za posagiem milionerki.

## 8

Gdy w końcu 1922 r. Czeszyczajka montowała M.O.R. to zapewne ani Steckiewicz-Kijakowski, ani Artuzow, ani nawet sam Dzierżyński, nie wyobrażali sobie, że ta ich prowokacja rozwinię się w tak potężną afere, że z jednego kontaktu pomiędzy narzeczoną Jakuszewa a jej głupkowskim mężem — emigrantem w Rewlu, rozwinię się ogromna organizacja, obejmująca nie tylko większość emigracji rosyjskiej, ale również i większość sztabów i wywiadów europejskich. W krótkim czasie zaszła potrzeba starannego rozczłonkowania tej afery, nazwanej „Trustem” na poszczególne linie, tzw. „legendy”. W 1927 r., „legend” tych było około 50-ciu.

W miarę rozbudowy Trustu rosły apetyty Czeszyczajki - G.P.U. Przestało już chodzić tylko o sparaliżowanie akcji emigracji rosyjskiej i akcji obcych wywiadów. Rozpoczęto pracę głębszą, obliczoną na dłuższy dystans.

Jedną z takich długodystansowych legend Trustu było wykrzystanie przez Czeza organizacji „Eurazjatów”. Organizacja

ta powstała na terenie emigracji rosyjskiej w początkach 1922 r. Na czele jej stanęli profesorowie i uczeni rosyjscy: ks. Trubeckij, Aleksiejew, Sawickij i in. Organizacja miała cele pozornie czysto naukowe. Stała ona na gruncie spekulacyjnej teorii, że Rosja jako państwo nie jest ani Europą ani Azją, lecz jest oddzielną krainą — Eurazją. Eurazjaci zajęli jak najbardziej pozytywne stanowisko w stosunku do historycznego imperializmu rosyjskiego i wychodząc z założeń pozornie idealistycznych i anty-marksistowskich, mimowoli zarazili się historycznym materializmem i musieli automatycznie dojść w swych studiach do uznania bolszewizmu jako nieodzownego etapu rozwoju Eurazji.

Tego rodzaju pseudo-naukowe koncepcje jak najbardziej odpowiadały celom polityki sowieckiej. Chodziło przecież o to, by na terenie świata międzynarodowego, naukowego i politycznego, powstały koncepcje, uznające całość państwa rosyjskiego i przeciwstawiające się wszelkim próbom interwencji obcych do spraw Rosji. Kierownictwo Trustu otrzymało polecenie związane z ruchem eurazyjskim. W Truscie sprawami tymi zajął się Denisow-Langowoj. Wysłano do Europy paru kurierów, którzy mieli zakomunikować Eurazjatom emigracyjnym, że ich teorie nie są odosobnione, że na terenie Rosji Sowieckiej ruch eurazyjski ma wielką ilość zwolenników. Dla zdopingowania aktywności Eurazjatów urządzono nawet latem 1926 r. zakonspirowany zjazd Eurazjatów pod Moskwą, na który przybył zaproszony delegat Eurazjatów emigracyjnych — prof. Sawickij. Nie wiem czy był kiedy na świecie drugi podobny zjazd naukowy, na którym figurowałby tylko jeden uczony, w tym wypadku ówże prof. Sawickij. Wszyscy inni członkowie tego zjazdu byli agentami G.P.U., sprawnie wyreżyserowanymi przez Denisowa-Langowoj. Langowoj był człowiekiem kurtuazyjnym: wkrótce składa on rewizytę Eurazjatom, zaszczycając swą obecnością ich zjazd w Pradze.

## 9

Z Trustem związane są ściśle dwie sprawy, dość głośne w swoim czasie: kpt. Sidney Reilly i Ado Birk'a. Sprawa Reilly'ego ma za sobą obfitą literaturę, przeważnie fantastyczną i nieściłą. Nie będę szerzej, omawiał tej tragicznej historii i ograniczę się jedynie do przypomnienia faktów najważniejszych. Kpt. Sidney Reilly był jednym z najdzielniejszych i najwydajniejszych oficerów wywiadu brytyjskiego. Uważany był za specjalistę do spraw rosyjskich i na tym odcinku oddał wielkie usługi swemu krajowi. W 1925 r. został on zwabiony przez przedstawicieli Trustu na teren Związku Sowieckiego. Obiecano mu pokazać funkcjonowanie całej organizacji w terenie. W kilka miesięcy po przejściu przez niego granicy fińsko-sowieckiej, bolszewicy wydali komunikat, że sowiecka straż graniczna zastrzeliła paru osobników, wśród których rozpoznano kpt. służ-

by brytyjskiej — Sidney Reilly'ego. W istocie rzecz się miała inaczej. Reilly przyjechał „szczęśliwie” do Leningradu, a później do Moskwy i tam dopiero po kilku dniach został aresztowany. Nigdy nie miałem jasnego obrazu tej sprawy i nie wiem czy na prawdę została ona całkowicie wyjaśniona również i przez wywiad brytyjski.

W świetle tych informacji, które posiadałem w swoim czasie Trust miał zamiar początkowo wypuścić go z powrotem, właśnie jako świadka swych możliwości. Lecz w czasie przekraczania granicy, jak też i w toku rozmów z członkami Trustu, kpt. Reilly nabrał zdecydowanych podejrzeń, że cała organizacja jest od początku do końca bolszewicką prowokacją. Podejrzeń tych ukryć nie zdołał. Oczywiście w tych warunkach musiał zginąć, gdyż w żadnym wypadku nie było w interesie G.P.U. wypuszczenia świadka ich prowokacji (i to takiego świadka!) z powrotem do Europy. Kpt. Reilly jeszcze przez parę lat był więziony na Łubiance, gdzie podobno dostał pomieszania zmysłów.

Sprawa Ado Birk'a była bardziej skomplikowana. Był to poseł estoński w Moskwie, którego G.P.U. via Trust starało się zwerbować jako swego agenta. Cała sprawa ta obfituje w tak nieprawdopodobne szczegóły, że można byłoby o niej napisać osobny tom. Sprawę komplikuje fakt, że w tym samym czasie w poselstwie estońskim pracował inny Birk — Roman, który był łącznikiem wywiadu estońskiego do organizacji Trustu. W sprawie tej wystąpiła w sposób charakterystyczny już w tym czasie, współpraca G.P.U. z komisariatem spraw zagranicznych. Zastępca Cziczierina — Maksym Litwinow, wykonywał dzielnie zadania prowokatorskie. Romana Birk'a urabiali i inspirowali agenci G.P.U., a Ado Birk'a — urzędnicy komisariatu spraw zagranicznych. Zresztą sam Stalin nie byłby w stanie odpowiedzieć gdzie się kończy komisariat spraw zagranicznych, a gdzie zaczyna G.P.U. W tym bowiem czasie kierownikiem wydziału polskiego i krajów bałtyckich w komisariacie spraw zagranicznych był Mieczysław Łoganowski, który do dyplomacji został odkomenderowany z Czeka. Był to ten sam Łoganowski, który w 1923 r., będąc sekretarzem poselstwa sowieckiego w Warszawie, organizował wybuch składów amunicyjnych w cytadeli warszawskiej. Łoganowski był serdecznym przyjacielem Stec-kiewicz i Sosnowskiego.

Gdy się mówi o łączności sowieckiej służby dyplomatycznej ze służbą szpiegowską, trzeba mieć na uwadze, że w Rosji sowieckiej nie stanowią one dwu odrębnych resortów. Każdy urząd sowiecki, który działa na terenie zagranicznym, bez względu na to do jakiego resortu służby państwowej należy, musi wykonywać zadania szpiegowskie, prowokacyjne i dywersyjne, podobnie jak zadania takie musi wykonywać każda partia komunistyczna w każdym kraju, każdy komunista w każdym miejscu świata, jeżeli nie chcą być oskarżeni o „trockizm” lub szpiegostwo na rzecz kapitalistycznego imperializmu”. W pierwszych

latach po rewolucji były jeszcze tendencje ze strony niektórych dyptomatów: Cziczierina, Krasina, Rakowskiego, Krestyńskiego i in. — do ograniczenia bodaj tematów i zadań szpiegowskich przydzielanych dyplomatom i korpusowi N.K.I.D. (Komisariatowi Spraw Zagranicznych). Cziczierin panicznie bał się G.P.U. i jak mógł zwalczał inwazję czekistów w swojej centrali i na swoich placówkach.

Ale już Maksym Litwinow „dobrze zasłużył się” właśnie swą powolnością w stosunku do tych obowiązków i zadań, jakie przydzielano jego resortowi. Z biegiem czasu obowiązki te i zadania wzrastały coraz bardziej. I wreszcie przyjęta została zasada, że „prawdziwym”, wzorowym dyplomata „stalinowskim” może być tylko czekista, tylko taki bolszewik, który przeszedł nie tylko przez wyszkolenie teoretyczne w różnych „ogólnych” i „wyższych szkołach wywiadowczych”, „wojskowych szkołach dyplomatycznych” itp., lecz przez praktykę pracy gepistowskiej w terenie. Posterunek dyplomatyczny traktowany jest w Sowietach jako ukoronowanie działalności szpiegowskiej. Pierwszym organizatorem wydziału zagranicznego G.P.U., osławionego I.N.O., był Dawtjan, późniejszy znany „dyplomata” sowiecki na Bliskim Wschodzie i pierwszy sowiecki ambasador w Warszawie, zlikwidowany podczas czystek Jeżowa w 1937 r. (rolę „likwidatorki” odegrała podstawiona mu w charakterze żony piękna aktorka operowa — Maksakowa). W latach pierwszych piatilettek w sowieckim korpusie dyplomatycznym istnieją jeszcze dwie grupy „dyptomatów” i urzędników dyplomatyczno-konsularnych: prawdziwych i odkomenderowanych ze służby gepistowskiej. Ale już od 1939 roku, by zostać czołowym dyplomata, trzeba mieć stage szpiegowsko-dywersyjny, i to stage nie byle jaki. Wszyscy współcześni znani dyplomaci sowieccy: Gromyko, Bogomołow, Zarubin, Gusiew, Malik przeszli przez G.P.U. i służbę szpiegowską.

Lecz w tym okresie metody, przy pomocy których wciągano Ado Birk'a w sieci G.P.U. wydawały się zgoła niewiarygodne. Nie tylko, że szczerzo na niego jego własnych przełożonych i podwładnych, lecz nawet bito go i terroryzowano fizycznie i to w tym czasie, gdy był on jeszcze formalnie posłem akredytowanym. W rezultacie tych wysiłków G.P.U. osiągnęło to, że Ado Birk podpisał parę listów otwartych do prasy sowieckiej, zredagowanych przez G.P.U. i Komisariat Spraw Zagranicznych, w których to listach dyskredytował własny rząd i oskarżał politykę estońską o wiązanie się pakrami antysowieckimi z innymi państwami europejskimi, a zwłaszcza z Polską. Wydaje się, że w sprawie Birka, G.P.U. popełniło wiele gaff. Dlatego też trudno jest dojść o co ostatecznie G.P.U. chodziło. Przypuszczając należy, że Ado Birk miał odegrać poważną rolę, jako informator dyskredytujący politykę państw bałtyckich i państw zaprzyjaźnionych z nimi. Po pewnym czasie Ado Birk'owi udało się zmylić czujność eskorty i uciec do poselstwa fińskiego w Moskwie i wydostać się na teren Estonii, gdzie

był on sądzony przez trybunał stanu. Sprawa była nie tylko ponura, ale i dość pikantna, bo oczywiście figurowała w tym wszystkim kobieta. Trybunał stanu wydał wyrok uniewinniający.

Sprawa Birka wywołała ogromne wzburzenie w opinii międzynarodowej. Zrozumiiano, że polityka sowiecka nie kieruje się ani zasadami prawa międzynarodowego, ani zasadami ogólnie przyjętej etyki i moralności. Zrozumiiano to, no i... oczywiście nie wyciągnięto żadnych wniosków.

Sprawa kpt. Reilly i sprawa Ado Birka, miały, jak to zobaczymy, zasadnicze znaczenie dla dalszych dziejów Trustu.

## 10

Na 1926 rok przypada jedno z najefektowniejszych pociągnięć Trustu. Oto jego kierownictwo zaprasza do Rosji jednego z najwybitniejszych działaczy monarchistycznych na emigracji — W. W. Szulgina. Szulgin, wieloletni redaktor najbardziej reakcyjnego pisma w Rosji carskiej, „Kijewlanina”, uchodził za bezwzględny autorytet w sprawie ideologii i polityki monarchistycznej. Wielki entuzjasta polityki P. Stołypina, z radością powitał tezy M.O.R'u, nakazujące wierzyć, że bolszewizm stwarza warunki dla odrodzenia rosyjskiego faszyzmu. Zaproszenie przyjął skwapliwie i już w końcu grudnia 1926 r. przekroczywszy „kondspiracyjnie” granicę estońsko-sowiecką, znalazł się w Kijowie. Pobyt Szulgina na terenie Rosji trwał kilka tygodni. Poza Kijowem był on w Moskwie, Leningradzie oraz w paru miastach prowincjonalnych. Wszędzie pilotowali go członkowie Trustu, wszędzie odbywał on długie rozmowy z przywódcami Trustu. Miał niemal nieograniczone możliwości poruszania się w terenie i obserwacji rzeczywistości sowieckiej. W rezultacie został odśniony potęgą i możliwościami Trustu i obiecał jego kierownikom dać świadectwo temu, że wszelkie podejrzenia, jakoby Trust był w jakimkolwiek stopniu organizacją prowokacyjną, są nie tylko nieuzasadnione, ale najbardziej dla interesów rosyjskich szkodliwe. Przywódcom Trustu tak dalece zależało na świadectwie Szulgina, że prosili go nawet o napisanie i wydanie książki o rzeczywistości rosyjskiej i o tym, jaką rolę odgrywa w tej rzeczywistości organizacja rosyjskich patriotów. Sam Szulgin był zdziwiony: — jakto książkę? Przecież to może skompromitować i narazić organizację! Ale jego rozmówcy uspokoili go: — organizacja jest w tym stanie rozrostu i potęgi, że nic już jej nie może zaszkodzić. I oto Szulgin, po powrocie do Europy, zaczyna pisać jedyną chyba w swoim rodzaju książkę antysowiecką, bo pisaną pod dyktando sowieckie (zresztą, kto wie czy naprawdę jedyną?). Książka nosiła nazwę „Trzy Stolic” i została wydana w Berlinie w 1927 r. Ostrożny Szulgin, bojąc się mimo wszystko narażenia organizacji na dekonspirację — posyłał do Moskwy, do kierownictwa Trustu, odbitki ko-

rektorskie swej książki. Dopiero później miał się on dowiedzieć, że korektę tę robił sam zastępca szefa G.P.U. — Artuzow. Nie należy wątpić, że czynność ta musiała Artuzowowi sprawiać duże zadowolenie.

## 11

Od czasu powstania Trustu do chwili wydania książki Szulgina upłynęło przeszło 4 lata. W tym czasie — jak mówiłem — Trust stał się potężną organizacją, która nie tylko wewnątrz Rosji przyciągnęła do siebie wszystkie szczerze elementy monarchistyczne i antybolszewickie, nie tylko opanowała większość emigracji rosyjskiej, nie tylko przenikała do najważniejszych wywiadów antysowieckich, nie tylko zdobyła wpływ na informacje o Rosji sowieckiej całego szeregu stolic europejskich, ale również nabrała sama możliwości prowadzenia głębokiego wywiadu na terenie Europy i dywersji w stosunkach międzynarodowych. Można się więc słusznie zapytać czy przez ten cały, kilkuletni okres czasu nie zaistniały nigdzie podejrzenia. Czy nie zwróciły niczyjej uwagi te łatwizny, z jaką M.O.R. przerzuczał swoich ludzi przez granicę, z jaką zbierał i dostarczał informacji. Czy nie wydawało się podejrzanym, że organizacja ta jest niezdekonspirowana przez bolszewików wówczas, gdy mówiono o niej głośno po wszystkich stolicach europejskich, po wszystkich knajpach i kawiarniach emigracyjnych?

Trzeba przyznać, że podejrzenia były. Z biegiem czasu nawet powtarzały się one coraz częściej. Podejrzenia te mieli niektórzy emigranci rosyjscy. Ale nikt nie chciał czy nie był w stanie sformułować ich otwarcie i głośno, a jeżeli nawet ktokolwiek próbował to uczynić, to wnet był zakrzyczany przez entuzjastów „ofiarniej pracy podziemnego ruchu rosyjskiego”. Ideologia M.O.R'u jak najbardziej odpowiadała większości emigracji rosyjskiej. Było przyjemnie wierzyć, że bolszewizm sam się kończy, że Rosja wciąż pozostaje Rosją, że bez wysiłku wróci się do kraju. Wierzy się ostatecznie w to, w co się chce wierzyć. Była zresztą jeszcze poza tym jedna subtelność, która potęgowała tę wiarę. Książka Szulgina jest jej najjaskrawszym przykładem. Rzecz polega na tym, że monarchiści rosyjscy nie mogli dopatrzeć się istotnej różnicy pomiędzy Rosją bolszewicką, a tą Rosją w jakiej żyli sami i jaką zamierzali zorganizować po swoim powrocie. Dla nich Rosja była zawsze państwem, rządzone przez nieliczną mniejszość, w której ogół jest pod butem nieograniczonej władzy politycznej. Była więc to tylko kwestia osób, kwestia personalna: kto rządzi. Dawali temu wyraz czołowi monarchiści, stwierdzając publicznie, że ustrój sowiecki jest całkiem dobrym ustrojem i należy jedynie zastąpić władzę najwyższą przez monarchę. Tak pisał m. in. w 1927 roku sam pretendent do tronu rosyjskiego W. Ks. Cyryl Włodzimierzowicz, który stwierdził, że sowiecka konstytucja jest „całkiem dobra”. Należy jedynie usunąć górę („gołówkę”)! Szulgin, jeź-



dząc przez kilka tygodni po Rosji, nie dojrzał właściwie różnicy pomiędzy Rosją carską a Rosją bolszewicką. „Wszystko jest jak było, tylko nieco gorzej” — stwierdzał Szulgin z zadowoleniem. Czyż w takiej atmosferze tezy M.O.R.'u nie miały doskonałego gruntu wśród emigracji i czyż prowokacja bolszewicka nie mogła znaleźć wśród nich najgorętszych entuzjastów, którzy gotowi byłiby przysięgać, że mają do czynienia z samorzutnym narodowym zjawiskiem.

Sprawa Trustu wykazuje, że w gruncie rzeczy żadna emigracja nie jest w stanie dokonywać samokontroli, że nie jest w stanie ochronić się od prowokacji i agentur, że opinie emigracji w sprawach bezpieczeństwa nie mogą być uważane za obiektywne i rzeczowe, że ulega ona namiętnościom, wynikającym nie tyle z realnej oceny rzeczywistości, ile z chęci wierzenia w to, co odpowiada jej celom i programom politycznym.

Znacznie większą odpowiedzialność za nierozpoznanie Trustu, jako prowokacji bolszewickiej ponoszą wywiady sztabów poszczególnych państw, które z tym Trustem nawiązały kontakt. Tu jednak z kolei wystąpiła na korzyść prowokacji moskiewskiej ta gorączka informacyjna i pęd za łatwiznami, która cechuje w gruncie rzeczy każdą służbę wywiadowczą, poprzestającą na ilościowych efektach informacyjnych, a niezbyt orientującą się czy nawet nieciekawą tego obrazu, jaki powstaje na podstawie zdobytych materiałów. W tym czasie wywiady państw, graniczących z Rosją: fiński, estoński, łotewski, polski i rumuński, były to wywiady nowe, początkujące, nie mające doświadczenia. Mimo to uchodziły one w opinii innych, wielkich sztabów, za rzeczoznawców w sprawach rosyjskich z tytułu bądź swego położenia geograficznego, bądź też znajomości przez poszczególnych oficerów tych wywiadów powierzchownych cech życia rosyjskiego.

Lecz nawet i w atmosferze upojenia łatwymi sukcesami wywiadowczymi wywiady te musiały z biegiem czasu zetknąć się z takimi faktami, które nie mogły nie nasuwać podejrzeń. Pierwsze podejrzania powstały bodaj że u oficerów wywiadu brytyjskiego. Sprawa kpt. Reilly musiała umocnić wywiad brytyjski w tych podejrzaniach. Jeżeli chodzi o wywiad polski, to już w początku 1925 r. zaczęły nagromadzać się bardzo poważne wątpliwości. Szły one z trzech stron. Najpoważniejsze nasuwały się w wyniku przepracowań innych materiałów wywiadowczych w biurze studiów. Materiałów tych było sporo, większość ich pochodziła ze źródeł nie nasuwających wątpliwości. Otóż te materiały nie potwierdzały ocen i materiałów M.O.R.'u. Nie wynikało z nich bynajmniej, by bolszewizm przechodził ewolucję, by partia bolszewicka traciła swe siły na rzecz sił narodowych, by Rosja sowiecka traciła swą zdolność ekspansji politycznej i militarnej. Drugim źródłem podejrzeń był nasz wywiad graniczny. Późniejszy szef wywiadu polskiego, płk. St. M., pracujący wówczas na granicy, kilkakrotnie meldował, że ludzie Trustu nasuwają mu swoim zachowaniem i swymi

informacjami poważne zastrzeżenia i podejrzenia. Wreszcie trzecim źródłem był nasz eksponent wywiadowczy, w Rewlu-Tallinie, kpt. T. D., który na własną rękę rozpoczął kontrolę przechodzącej przez niego poczty M.O.K.'u. Uderzyły go rażąco nielogiczności, a zarazem zupełna bez troska organizacji M.O.R.'u w Rosji, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo organizacji. Przedstawiciele wywiadu polskiego kilkakrotnie zwracali uwagę gen. Kutiepowa na nasuwające się im wątpliwości. Ale oburzenie tego, dzielnego skądinąd generała, nie miało granic. Był najzupełniej pewny zarówno M.O.R.'u samego jak i jego przedstawicieli w Europie. Uderzające było to, że wkrótce po naszych ostrzeżeniach zaczęły krążyć wśród emigracji rosyjskiej pogłoski, że sztab polski jest obsadzony przez agentów G.P.U., którzy chcą utracić pracę monarchistów rosyjskich zarówno w Rosji jak też i wśród emigracji.

W 1926 r. polskim ministrem spraw wojskowych został Marszałek Piłsudski. Zapoznawszy się ze stanem naszego wywiadu na Rosję, Piłsudski zwrócił uwagę na to, że wywiad ten zbyt polega na kontakcie z M.O.R.'em i powierza mu wykonanie najodpowiedzialniejszych zadań bez należytego wysiłku w kierunku zdublowania tych zadań innymi drogami. Piłsudski polecił szefowi wywiadu katerynczynie zażądanie od M.O.R.'u elementów sowieckiego planu mobilizacyjnego.

W tym czasie w Paryżu bawił Jakuszew, któremu przedstawiciel naszego wywiadu zakomunikował zadanie. Jakuszew, zawsze gotowy wykonać każde polecenie, tym razem był wyraźnie niezadowolony. Tłumaczył, że M.O.R. chwilowo nie ma swoich ludzi w oddziale mobilizacyjnym sztabu sowieckiego, że będzie musiał przekupić ludzi obcych, a nawet z góry wyznaczył cenę: 10.000 dolarów. Była to na owe czasy suma poważna. Szef sztabu polskiego polecił zagwarantować tę sumę. Po paru miesiącach M.O.R. nadesłał żądane opracowanie i dokumenty. Przedstawiono je Marszałkowi Piłsudskiemu, który po paru dniach zwrócił je z adnotacją: „falszyfikat”. Biuro studiów sztabu dopiero po paru tygodniach wykryło na czym Piłsudski opierał swoją ocenę. Otóż plan ten twierdził, że na wypadek wojny bolszewicy zgrupują większość sił na lewym, południowym skrzydle swego frontu i podawał, dla przekonania nas o prawdziwości tego założenia, fałszywe dane przelotności linii kolejowych. Przy następnym pobycie Jakuszewa zakomunikowano mu naszą ocenę. Był bardzo zmieszany, a jego tłumaczenie wydało się jeszcze bardziej podejrzane. Tak więc w 1926 r. bolszewicy mieli w sprawie Trustu cały szereg momentów dla siebie nieprzyjemnych. W tych warunkach G.P.U. nie mogło oczywiście liczyć na to, by można było dłużej ciągnąć tę prowokację.

12

W kwietniu 1927 r. zjawił się w Helsinkach, przekroczywszy nielegalnie granicę, Opperput. Wraz z nim przybyła również kuzynka gen. Kutiepowa — Maria Zacharczenko-Szulc, która

od paru lat pracowała w M.O.R.'ze i uważana była za jednego z jego najdzielniejszych członków. Zacharczenko-Szulc należała do tej kategorii ideowych kontrrewolucjonistów, których M.O.R. wciągał do siebie, chcąc zachować kontrolę nad ich działalnością. Opperput opowiedział fińskim oficerom wywiadu i przedstawicielom emigracji rosyjskiej na terenie Finlandii następującą historię: M.O.R. nie jest organizacją czystą. Jest to organizacja założona przez G.P.U. i pozostająca pod jego kierownictwem dla sparaliżowania działalności emigracji rosyjskiej, dla zaabsorbowania pracy wywiadów poszczególnych sztabów i ich dezinformacji. Wszyscy kierownicy M.O.R.'u wraz z Jakuszewym i nim samym, Opperputem, są agentami G.P.U., ślepo wykonywującymi instrukcje z góry. O sobie Opperput opowiedział to, co opowiadał w swoim czasie Jakuszewowi, siedząc z nim w celi na Łubiance. Dodał tylko, że dłużej już nie mógł wytrzymać tej tragicznej i haniebnej roli, jakiej się podjął, że zdecydował się uprzedzić Marię Zacharczenko-Szulc i kilku ideowych monarchistów o istotnym charakterze Trustu i teraz oto przybywa zagranicę, by uprzedzić kierownictwo emigracji rosyjskiej.

Poza tym Opperput dodawał, że prowokacji bolszewickiej dopomogli w dużym stopniu agenci bolszewicy, ukryci w poszczególnych sztabach, w szczególności w sztabie polskim. Opperput dawał do zrozumienia, że sam szef polskiego sztabu generalnego jest agentem sowieckim. Jednocześnie Opperput stwierdzał, że największym sukcesem Trustu z punktu widzenia sowieckiego było to, że w przeciagu kilku lat emigracja rosyjska zaniechała terroru na terenie Rosji. Opperput namawiał przeto by teraz, ze zdwojoną energią przystąpiono do organizacji akcji terrorystycznej i sam proponował swą pomoc zarówno na emigracji, jak i w kraju.

W tym czasie był w Helsinkach szef sekcji rosyjskiej wywiadu polskiego, mjr. M.T., mój poprzednik, który ostrzegł wywiad fiński przed Opperputem, jako przed niebezpiecznym prowokatorem sowieckim. Według jego opinii Opperput nadal prowadzi grę prowokacyjną. Lecz w tym czasie został wezwany do Helsinek z Paryża gen. Kutiepow. Ten był innego zdania. Zacharczenko-Szulc była zachwycona bohaterstwem Opperputa i potrafiła wmówić w generała, że winien polecić mu zrehabilitować się całkowicie przez wzięcie udziału w akcji terrorystycznej na terenie Rosji. Opperput był w Finlandii przez parę miesięcy, prowadził w tym czasie ożywioną akcję prasową, lecz lekkomyślność szefów organizacji rosyjskich i wywiadu fińskiego była tak wielka, że nawet go na temat samego Trustu dokładnie nie przesłuchano. Opowiadał on tylko to co sam chciał i zeznania jego miały charakter raczej felietonów sensacyjnych, a nie zeznań współfaktora jednej z największych prowokacji w historii wywiadu. Opperputa nie tylko dopuszczono do opracowania planu akcji terrorystycznej na terenie Rosji, lecz nawet powierzono mu kierownictwo tą akcją na terenie samej Rosji. Latem 1927

roku wysłano do Rosji trzy „trójki”, które miały dokonać zamachów bombowych w Moskwie i w Leningradzie. Na czele jednej z tych trójek stanął sam Opperput.

Tylko jedna trójka dokonała w Leningradzie swego zadania. Jak się okazało później, stało się to tylko dlatego, że nie zastosowała się ona do instrukcji Opperputa. Sam Opperput zniknął bez śladu, a towarzysze z jego trójki, w tej liczbie i Maria Zacharczenko-Szulc, zginęli w lasach podmoskiewskich w walce z gepistami. Zginęli również i wszyscy inni terroryści. Wypadki „zorganizowane” przez Opperputa dały powód bolszewikom do szerokiego rozgłoszenia niebezpieczeństwa terroru dla władzy sowieckiej ze strony emigracji rosyjskiej i wewnętrznej opozycji.

Wyprawy Opperputa do Rosji zamykają formalnie historię Trustu. Od tej chwili ginie ślad po Jakuszewie i samym Opperputcie. O tym ostatnim były kilka lat później agencyjne informacje, jakoby był on przez G.P.U. wysłany na Daleki Wschód, gdzie pracował wśród tamtejszej emigracji rosyjskiej. Artuzowa, Styrne, Steckiewicz, Sosnowskiego i Łangowaja odznaczono orderem Czerwonego Sztandaru. Steckiewicz i Dobrzyński-Sosnowski pracowali nadal w kierownictwie G.P.U. w stopniach generalskich i zostali zlikwidowani dopiero w czasie czystek, dokonanych przez Jeżowa.

Ale była to tylko formalna strona likwidacji Trustu. W istocie aferę ciągnięto dalej. W ciągu tych kilku lat G.P.U. weszło głęboko do organizacji emigracji rosyjskiej, a zwłaszcza do organizacji wojskowych. To właśnie z Trustu powstały i wywodzą się w prostej linii takie afery jak porwanie dwóch kolejnych przywódców wojskowych organizacji rosyjskich na emigracji: gen. Kutiepowa i gen. Millera.

Straty, zadane przez Trust emigracji rosyjskiej, były nieobliczalne. Można bez przesady stwierdzić, że podcięły one możliwości polityczne i wojskowe tej emigracji tak dalece, że od 1927 r. rola jej jest już bardzo mizerna. Ale nie mniejszą szkoleń wyrządziła sprawa Trustu wywiadowi państw europejskich na Rosję odrywając je na przeciąg kilku lat od realnych, własnych możliwości, absorbując je dezinformacją i inspiracją, demoralizując aparaty wywiadowcze pozorną łatwością pracy. Trust był powodem wielu nieporozumień pomiędzy poszczególnymi wywiadami, rozbił to zaufanie, jakie początkowo łączyło je przeciwko bolszewizmowi. Oto dlaczego uważałem i uważam nadal sprawę Trustu za najbardziej ciekawą, szkolną sprawę dla wszystkich, którzy się interesują sprawami wywiadu na Rosję. Myślę również, że niestety po drugiej wojnie zaistniały bardzo podobne warunki, w których bolszewicy mogą bez trudu, na tych samych zasadach, skonstruować równie szkodliwą organizację prowokacyjną, jakim był tamten TRUST. Trust Nr. 1!

Ryszard WRAGA.

## Straty kultury polskiej

### Wspomnienie o Piotrze Borkowskim

Na kamiennej podłodze stoi stół; na nim miska kartofli, sałaty, koszyk wisien i butelka czerwonego wina. Dokoła stołu kilka krzeseł z białego, szerniałego od użytku drzewa. Przez otwarte drzwi widać letni dzień i stare drzewa dzikiego parku. Kilka godzin pracy lub lektury i skromna wieczerza stanowiły od czasów Sokratesa pierwszą przesłankę pogodnej równowagi ducha. Za chwilę siądziemy dokoła stołu; popłyną opowiadania o rzeczach, które widzieliśmy podczas długich wędrówek, pieśni, które słyszeliśmy w różnych krajach.

Dziś stoimy dokoła stołu w milczeniu, patrząc na krzesło, które zająłby, być może, Piotr Borkowski, gdyby *mors invis*a nie zatrzymała go daleko od nas, ostatnich może z jego niezliczonych przyjaciół.

Myśl nasza wraca do miejsc, w których widywaliśmy go przez ćwierć wieku: do pałacu w parku na dnie doliny w Strusowie, do jego lwowskiego mieszkania na Zygmuntońskiej, którego rzadkie meble — jak mawiał mimochodem — za życia jego nie były ani jednego dnia wolne od sekwestru, do „Romy” i do „George’a”, do mieszkania Henryka Tennenbauma w Warszawie na Kredytowej, gdzie zjedliśmy z nim wiele świetnych kolacji, wreszcie do *sallotino* o wyblakłych draperiach w mieszkaniu, które zajmował w Rzymie koło Porta Pinciana.

Jaki był sekret Piotra Borkowskiego i otaczającej go aury przyjaźni?

W pokoleniu swym Piotr był jednym z ostatnich ludzi niezależnych, korzystających z tego przywileju dla swobodnego i krytycznego rozważania spraw swego czasu. W swej fazie obecnej cywilizacja nasza zdaje się nie przewidywać na przyszłość tego rodzaju przywilejów. Skromną niezależność okupywać musimy ślubami ubóstwa, włączę po emigracjach i pracą w nie-

wdzięcznych zawodach. Nawet możność milczenia wymaga często przebywania na odludziu. Kupiona za taką cenę niezależność ma nieraz smak gorzki; jest w niej coś przekornego, napiętego jak protest. Brak jej tego, co w niezależności powinno być swobodne i nieprzymuszone.

Powolne deklasowanie się i ubożenie Europy, zwięzanie się ram, w których obracało się życie jej mieszkańców, sprawiło, że ostatnie pokolenie Europejczyków posiadających jeszcze niezależność materialną, czując się wszędzie zagrożone, stało się często napastliwe i cyniczne.

Od takich uczuć broniła Piotra Borkowskiego jego młodość wolna od trosk materialnych, jego szczęśliwe życie rodzinne i zawsze życzliwa, nienasycona ciekawość spraw ludzkich. Galicja Wschodnia z jej mieszaną ukraińsko-polsko-żydowską ludnością, podzieloną nadto na niezliczone grupy społeczne, dostarczała takiej ciekawości niewyczerpanego przedmiotu. Wcześniej już Piotr Borkowski uchodził za jednego z najlepszych znawców stosunków społecznych Galicji Wschodniej i we wszystkich jej grupach narodowościowych posiadał licznych i oddanych przyjaciół.

Za czasów liberalizmu i legalizmu austriackiego Galicja Wschodnia przeżyła kilkadziesiąt lat pokoju. W naszą epokę przemocy i bezwzględności Piotr Borkowski wszedł z żywymi jeszcze wspomnieniami czasów pokojowych. Okoliczność ta tłumaczy częściowo jego pogodę i równowagę. Mając w pamięci stosunki pokojowe jako stan niegdyś konkretnie istniejący a zatem możliwy, patrzył z nieufnością na różne koncepcje państwa pojętego jako permanentny stan oblężenia, które rozpowszechniły się w okresie międzywojennym. Lepiej niż ktokolwiek inny widział zresztą ich nieprzydatność w krajach o ludności mieszanej.

„Kto był kalifem przez jeden dzień, pozostaje kalifem na zawsze”, mówi przysłowie. Naszym młodszym towarzyszom, nie pamiętającym życia sprzed 1914, trudno jest zapewne ocenić, ile starsi zawdzięczają młodości spędzonej w czasach pokoju. W swym zaniedbanym ubraniu, z palcami zakopconymi dymem fajki, Piotr Borkowski miał w sobie zawsze coś naiwnie radosnego i dyskretnie podniosłego zarazem, coś z człowieka, który był w Arkadii i którego pocałowała tam pogodna muza sielankowa.

Dante nie ma być może racji pisząc, że nie ma rzeczy smutniejszej nad rozpamiętywanie szczęśliwej przeszłości w czasach niedoli. Niezapomniany Henryk Tennenbaum, który znał tytu *ci-devant*, mawiał, że *les nouveaux pauvres* znoszą na ogół ubóstwo znacznie pogodniej od osób, które nigdy nie posiadały pieniędzy i mają zbyt wiele złudzeń co do ich prawdziwej wartości. Zwłaszcza w okresach wielkich przewrotów pochłaniających fortuny publiczne i prywatne, posiadanie i władza stają się tak niepewne, że graniczą ze stanem przemijającej iluzji. Piotr Borkowski — jak wielu innych *nouveaux-pauvres* — przeżył

liczne zmiany swej sytuacji społecznej i materialnej pogodnie, bez śladu goryczy lub niecierpliwości.

Nasz zmarły przyjaciel był bardziej człowiekiem refleksji niż czynu. Każdy jednak myśliciel lub marzyciel skrywa w sobie nieraz zazdrośnie strzeżoną możliwość czynu swobodnego i nieprzymuszonego. Możliwości takie skrywał też w sobie Piotr Borkowski, który kilka razy wychodził ze swej rezerwy myśliciela i brał udział w życiu publicznym. Działalność jego posiadała zawsze charakter niezależny. Po przewrocie majowym piastował przez pewien czas godność wojewody lwowskiego i poznańskiego. Wkrótce jednak rozstał się z grupą rządzącą i znalazł się w opozycji. W okresie okupacji wcześniej rozpoznał warunki, które skazały na niepowodzenie poczynania polityczne emigracji. Nie oczekując niczego od mocarstw zachodnich ani od régimu warszawskiego i przewidując konieczność długiego okresu oczekiwania, przyjął w czasach warszawskiego NEP'u stanowisko konsula w Rzymie.

Tam również działalność jego miała charakter niezależny i tymczasowy. Okres NEP'u zbliżył się szybko do końca, i odwołanie Piotra Borkowskiego stało się wkrótce tylko kwestią czasu. Jeden z nas będąc w tym czasie w Rzymie, zapytał go czemu nie rzuca sam stanowiska nie mającego przyszłości i nie dającego mu nawet korzyści materialnych.

Na pytanie to Piotr dał niespodzianą odpowiedź, że funkcje konsula dostarczają mu pewnej satysfakcji moralnej. Każdego dnia zgłaszało się doń kilka osób, przeważnie emigrantów żydowskich, starających się o dokumenty niezbędne do zawarcia małżeństwa, wyjazdu lub uporządkowania stosunków rodzinnych i majątkowych. Nowi biurokraci warszawscy bądź bali się cokolwiek załatwić, bądź z właściwą im pogardą dla indywidualnego człowieka zbywali niczym petentów. Wolny już od trosk urzędniczych, Piotr w miarę możności wystawiał żądane dokumenty i znajdował drogę do załatwienia spraw.

— „Każdego niemal dnia udaje mi się coś załatwić i oddać komuś ważną usługę. Niewielu z nas posiada dziś takie możliwości”.

W naszych czasach pogardy Piotr Borkowski pozostał niezmiennie dobry i życzliwy. Wspominając go z przyjaźnią i wzruszeniem, pragnęlibyśmy złożyć na jego mogile wiązanek kwiatów z odległej Arkadii.

Maisons-Laffitte, czerwiec 1949.

Paweł HOSTOWIEC.

## Kronika kulturalna

### Sprawy sztuki w Polsce

Jakże się one przedstawiają naszym oczom?

Nie wiem czy po tej stronie był jakiś treściwy artykuł na temat sztuki w kraju — czy też wszystko kończyło się na doświadczeniach. Przeważnie mówi się, że tamtejsza sztuka to „zamówienia społeczne” a na resztę problemu macha ręką. „Zamówienia społeczne”, które zaczęły swoją karierę w literaturze, mają podłą reputację na gruncie emigracji, co jest słuszne, ale z wieloma zastrzeżeniami. Jest ogólne przekonanie, że w takim „społecznym zamówieniu” chodzi o wiele rzeczy paraliżujących szczerłość sztuki, o owo podszturchywanie artystów przez reżim, o nastroje panegiryku i kierowanego naturalizmu. Ale czy klimat tego rodzaju rzeczywiście opanował polską sztukę? Czy gromy krytyki nie lecą za wcześniej, bardziej z zasady wykpiwania stosunków krajowych, niż z doświadczenia i obserwacji. Próbkę „opinii publicznej” do analizy... Doświadczenia są, ale z terenu rosyjskiego a nie polskiego, w czym jest różnica. Już przed tym nalegałem na okoliczność, że w krajach satelitów nie jest tak samo jak w centrali rosyjskiej. Rosja stoi wobec bardzo trudnego zjawiska **odmiany** wszystkich swoich wartości dialektycznych w przeniesieniu na tereny satelickie. Jakby te same ciała odmieniały swoją wagę w strefie, gdzie obowiązuje inna siła przyciągania: w tenże sposób za moskiewską granicą — tracą pewne swoje cechy wypróbowane gdzie indziej hasła, reguły i tricki demagogiczne, które trzeba wówczas przykryć i stosować, przez co powiększają się różnice stylu w poszczególnych sektorach strefy. Różnice nad wyraz niebezpieczne, bo styl jest substancją cementującą cały ruch bolszewicki. Mam wrażenie, że Rosja wykonuje od kilku lat żmudną pracę synchronizowania i ujednoczenia tych rozprzęgających się elementów. W pewnych punktach praca najwyraźniej się rwie: choćby Tito, a można tego samego oczekiwać w Chinach. Sowieci nie chodzi o istotę doktryny, którą się posługują, tylko o zwią-

zane z tym zyski centralnej administracji z Kremla: kiedy zaszczerpiona doktryna objawia się, w jakimś miejscu strefy w swoim specyficznym stylu, robi to wrażenie, że komunizm może żyć niezależnie od liturgii Politbiura i dlatego z tym się walczy. Więc chodzi o system, a nie o jego cele socjalistyczne. W tej chwili system państw satelickich jest zbyt świeży, żeby jednolitość stylu mogła być już faktem i zdaje się, że ten stan prędko się nie zmieni. Uniform świeci nierzadko dziurami. W jednej z nich wiedzie naiwny i ruchliwy żywot polska plastyka i jeszcze za wcześnie, żeby jej śpiewać requiescat. Dotychczas nie rzeczywistego nie zaszło, co by kazało o niej myśleć jako o sztuce sfałszowanej. Niżej wyrażam zdanie, że nie jakieś zmiany, ale ich brak i w ogóle rozgardiasz teoretyczny cechują zagadnienie w tej chwili.

Co do przyszłości, to nasza podejrzliwość jest nieźle uzasadniona przez analogię. W Rosji nie maluje się farbami, ale mydłem czy demagogiczną wazeliną. Już przed wojną, oglądając reprodukcję obrazów sowieckich i pocztówki z rzeźbami hitlerowskimi, miało się wrażenie fatalnego kuzynostwa między jedną i drugą sztuką polityczną. Z takich pocztówek więcej dołatywało wiatrów ciągnącego niebezpieczeństwa, niż z rewelacji dyplomatycznych, bo próbki sztuki fabrycznej po obu stronach naszej granicy były w istocie rewelacją kuchni filozoficznej jednego i drugiego totalizmu, co obnażało ich kolektywną, barbarzyńską tożsamość.

Zdaje się że do Rosji nie przeniknęło ani trochę czadu z francuskiego abstrakcjonizmu, po prostu nie dano licencji importowej, ani jednemu z francuskich asów; ani Rouhault, ani Braque, ani Matisse, ani Picasso, ani nikt w ogóle, kto pozwała sobie malować krzywo nos i stopy bez palców. Jakie to zabawne, gdy się przypomni kokieterijny stosunek takich artystów jak Picasso, czy poetów jak Aragon i Eluard, do partii komunistycznej i do bolszewickiego państwa. Nie mogę w żaden sposób pojąć co ma do roboty sztuka któregoś z nich w środowisku, gdzie jedynie tępy naturalizm i kalkomania cieszą się debitem i wielkimi nakładami. (Mówiąc nawiasem, knebel stosowany w plastyce rosyjskiej musi być dużej skuteczności, jeżeli wśród takiej masy ludzkiej ani jeden talent nie wypchnął go na wierzch: jednak w literaturze taki się znalazł — Zoszczenko). Bolszewicy uważają za wskazane chwalić się przyjaźnią Picassa czy Aragona, ale to wcale nie znaczy, że wpuściliby do siebie rodzaj ich sztuki. Twórczość w tym abstrakcyjnym stadium rozwoju i lekceważąca przedmiotową treść modelu na korzyść treści artystycznej — nie znalazłaby żadnego zastosowania jako narzędzie demagogicznego oddziaływania. Mówiąc prościej nie nadaje się do tego żadna prawdziwa sztuka. Teza sztuki powszechnej w odróżnieniu od obecną sztuki kameralnej jest mądra i sprawiedliwa: ale ona niczym nie przeczy, że źródłem wrażeń twórczych jest jednostka. Bolszewicy zdają się forsować nieprawdopodobną sztukę nie tylko o celach, ale i o

podstawach kolektywnych: dlatego nic nie zapełni przepaści między Picassem, a którymś z ikonografów „radzieckich”, choćby ten stary cwaniak wypił nie wiem ile litrów wina kaukaskiego z Ilią Ehrenburgiem. Flirt z abstrakcjonistami jest dla reklamy. (Tak samo jest ze sztucznym kultem Majakowskiego, co by się okazało, gdyby Majakowski żył i mógł wpływać na literaturę współczesną w swej ojczyźnie). Komplimenty dla moderny, zresztą nieobowiązujące, są mimowolną konsekwencją nominalnej strony bolszewizmu: przecież marksizm uważa się za protektora każdej formy postępu. Natomiast praktyka w tej samej dziedzinie nie ma nic wspólnego z postępowaniem jest najlepszym przykładem „czarnej reakcji”, aby użyć ich uroczego słownika.\*).

Na terenie Rosji to wszystko jest chytrnością. Za to w Polsce zupełnie naturalnie przejmują się sztuką francuską, dyskutują po akademicku sprawę tzw. społecznego realizmu („sorealizmu”!), ktoś tam w „Kuznicy” uklepie jakąś formułę zbyt absurdalną, jak na polski teren: wtedy wznosi się żywioł dysputy, ustala pewien umiarkowany poziom kwestii, gdzie pożywią się artyści i Sokorski i dla Picassa coś się zostanie. Jak dotąd w niczym te księżycowe przypiływy elokwencji nie szkodzą szczerości wysiłku w pracowniach, skąd wychodzą utwory tak samo rozmaite jak przed wojną, dobre i złe, albo oryginalne — albo wyjęte z paryskiego żebra. Młodzi ludzie tłoczą się w liceach artystycznych i akademiach, a z czupryn kurzy się ten sam błękitny dymek liryzmu, który kiedyś — dajmy na to — w latach „Olesia i Maxa” Gierymskich oczadzał grupkę polskich monachijczyków. Więc dotąd wszystko w porządku. Trudno naszej plastyce życzyć czegoś innego, jak trwania takiej bezprogramowości, nad którą Ministerstwo Kultury i Sztuki może w skrytości boleje, ale nie umie jej czymś konkretnym zastąpić. Raczej powiększa efekty tego **pozytywnego** — by tak powiedzieć — bagażu, przedstawiając Polsce legendarnego Picassa. Dla czegoś z Zachodu, gdzie ruchliwego Pablo pamiętają jeszcze z czasów Gaugin'a, bo już się pierwszorzędnie zapowiadał jako spec auto-reklamy, obecna żarłoczność z jaką Polacy wydzierają sobie to imię, słowem le cas Picasso w Polsce — traci prowincjonalnym snobizmem. Zresztą można z tego odczytać całą naiwność rzekomego „sorealizmu”. Rząd warszawski najpierw mówi o „nadaniu nowego oblicza ideowego” i o przystosowaniu warsztatu artysty dla służby nowemu społeczeństwu — a zaraz potem dekoruje dwóch abstrakcjonistów, Eluarda i Picassa, orderem uznania i obwozi po Polsce jak misie ze Smorgoń. W tym okre-

\*) Warto by napisać jakieś studium w tym miejscu na linii bolszewickiej, gdzie w magiczny sposób odczyniają się walory imion nadawanych rzeczom, nazwy odwracają się tyłem i pożerają własną cielesność. Szczególny kaniibalizm i niech by się tam zajął jakiś semantyk. Inny rozdział byłby poświęcony artyście zachodnim, którzy starając się wejść w trwałe związki z bolszewizmem, nie rozumieją, że żenią swą twórczość z nonsensem. Smutny mezallans.

się nie było pisma, które by sobie nie zafundowało karykatury, anegdoty czy paru kompetentnych wypowiedzi o Pablo Picassie. Łysy Pablo nagryzmolił coś węglem na ścianie nowego gmachu w Warszawie i w ogóle czuł się jak podstarzała kokota fetowana w Pipidówce. Z rozbawieniem szukałem w szpaltach co też jakiś soc-publicysta może napisać o autorze obrazów mających z „potrzebami mas” tyleż wspólnego co sennik egipski z uprawą rzepy. Okazało się, że wszystkie organy świetnie się znają na Picassie: „Picasso — szeptały — ten największy realista, zamykający w nowej formie kształt epoki i bólu społecznego człowieka”. Ha! — widocznie powietrzna trąba słoworóbstwa szalejąca dziś nad Polską i w której wyżywają się żywioły przeważnie fałszywe, gotowe słoworobić tak samo w „Rycerzyku Niepokalanej” jak w „Głosie Ludu” — zapodziała gdzieś po drodze to, co powinno być jej elementem: pogardę do „gnijącej sztuki kapitalistycznej”, której bądź co bądź Picasso mógłby być perwersyjnym przykładem, z czegoż to roztargnienie wynikało? Z liberalizmu góry reżimowej, która na serio swoich instrukcji nie traktuje. Biorąc literalnie, oświadczenia rządowe są pełne galanterii. Każde z nich, bąkając coś o „ludowej fazie sztuki”, zastrzega się, że nie chodzi o naturalizm, a o znalezienie nowego wyrazu formalnego „adequatnego” z potrzebami chwili. (Nie lubię żartobliwego rodzaju pisania, którego mimowoli w ostatnich zdaniach użyłem, ale doznaję takich nastrojów zawsze, gdy czytam jakieś wyznania spadłe ze szczytu biurokratycznego, wszystko jedno w Warszawie czy gdzie indziej. Tym bardziej, gdy biurokracja mówi o kulturze. Więc mój żart jest po prostu „adequatny” z romantyzmem oficjalnej bzdury, która z góry nie chce mieć nic wspólnego z życiem).

Na niedawnym Kongresie Zjednoczonej Partii Robotniczej wice-minister Kultury i Sztuki oświadczył: „Planowanie kultury nie polega na planowaniu bezpośredniej produkcji dzieł artystycznych, ani ich tematyki, ale na planowaniu tych zagadnień, które składają się na powstanie nowej, społecznej bazy socjalistycznej kultury, oraz jej bazy materialnej”. Za to Żółkiewski precyzuje „sztuka jest propagandą nawet wtedy, kiedy się tego wypiera, doprowadzoną do perfekcji propagandą pewnej idei”. Żółkiewski ma rację, sztuka jest propagandą tej najspodniejszej warstwy idei, które są bazą człowieka jako istoty myślącej i moralnej. Sztuka polska tak jak jest w tej chwili, prowadzi propagandę zupełnie odwrotną do tej jaka by wynikała z kolektywnej ideologii sowieckiej, na której Żółkiewski modeluje swoje pracowite, nieraz uwodzająco ciekawe sofizmaty. Jest zresztą znaczna odległość między pozycjami, zajmowanymi w każdej sprawie przez „Kuźnicę” a miejscem daleko ostrożniejszym, na którym zatrzymuje się reżim. „Kuźnica” jest rodzajem bojowego rozpoznania, które toruje drogę kolumnie.

Gwara krytyki fachowej, publikowanej w „Głosie Plastików” i w „Przeglądzie Artystycznym” zaciemnia trochę wywody nową terminologią, ale w rozważeniach jest dużo sensu. W sposo-

bie stawiania zagadnień tzw. nowej epoki nie czuć, choć rozpycha się ona w każdej szpalcie. W styczniu zorganizowano w radiowiłkowskim Nieborowie obszerną dyskusję między plastykami i teoretykami, z której wynikało dobitnie, że zainteresowania artystów są wciąż poza oficjalnym programem. Eibisch przestrzegał przed „mechanicznym ujednoczeniem twórczości”. Kantor żądał malarstwa „rewolucyjnego w treści i formie”, a wrogiego kompilatorstwu. Jarémianka wskazywała na bezsens narzucania sztuce zadań publicystycznych. Wydaje się, że artyści czują się gospodarzami swego podwórka i mają nadzieje nimi pozostać.

Trudno wyprorokować, czy stanie się według tych nadziei. Czym więcej gromadzę danych, tym mniej czuję ochoty do sklecenia jakiejś efektownej tezy: że reżim naszą plastykę zwulgaryzuje, ograniczy albo odwrotnie: że mimo tendencji sowieckich, istotnie dobra koniunktura materialna i rozpęd w szkolnictwie artystycznym — pozwoli plastykom rozwinąć skrzydła.

Dziś sztuki plastyczne w kraju są silne i świeżą do swoim zdrowiu. Niebezpieczeństwo znajduje się w jakimś punkcie linii według której rozwija się wulgaryzacja życia polskiego w ogóle. Można dojść do wniosku, że osiągnąwszy ten punkt, plastyka straci swoje najprędniejsze cechy, uczciwość i niezależność, tak jak zaczyna się już dziać z pisarstwem. Ale pisarstwo, mając bez porównania więcej cech komunikatywnych, nadaje się dużo lepiej do użytku publicystycznego niż obraz czy rzeźba. W Nieborowie zwrócono uwagę — jakby chcąc zamiary rządowe delikatnie odciągnąć w inną stronę — że sztuki piękne pod tym względem nie wytrzymają konkurencji innych technik iluzyjnych, jak poligrafii i kina, wobec czego plastyka może zachować swoje funkcje abstrakcyjne. Ale to jej z linii niebezpieczeństwa nie sprowadzi, pozostają kwestią tylko odcinki czasu, które by stanowiły o odległości między plastyką a literaturą i teatrem, bo wszystko leży na tej linii czerwonej. Czas jest często rozstrzygającym szkopulem. Nie wiem, czy byłby sens brać pod uwagę to co nastąpi np. za pół wieku, może trzeba by najpierw wiedzieć, co za ten czas będzie tu na zachodzie, skąd grupka rodaków ciska swoje arbitralne opinie. Rozkraczonymi nogami, jak beczi na morzu, trzymamy się pewnych baz kulturalnych, których ruchomość zapewne przechodzi nasze spodziewanie: a strzelać w gwiazdy z tak skaczącej postawy byłoby procederem nadto abstrakcyjnym i mamy wszelkie prawo ludzkie traktować czas w małych odcinkach. Jeżeli sztuka polska upada, to z tym upadaniem może być tak, jak kiedyś modna śpiewaczka Sophie Arnould powiedziała na premierze o „Weselu Figara” Beaumarchais'go: — „Oui, c'est une piece qui tombera... qui tombera cent fois de suite”. Niech by tak w setkach płócien upadła polska sztuka, w międzyczasie wiele się może zmienić.

◆  
Pozycja starych, nawet bardzo starych (wszyscy oni przekroczyli siedemdziesiątkę) jak Dunikowski, Frycz, Weiss jest nie-

wzruszona, co dodatkowo popiera moje wrażenie, że sztuka polska nie uległa przewrotowi. Z tych, których nazywają „młodymi”, wybijają się Kantor, Stażewski, Jaremińska, Włodarski. W grafice są siły ustalone, nie nowe: Cieślewski, Kulisiewicz, Jurkiewicz jako najmocniejsi. Wystawa retrospektywna grafiki była w Brukseli i porównanie z grafikami belgijskimi wykazało wyższość polskiego temperamentu i ruchliwości w zdobywaniu nowych, zakrytych wyrazów formy, która zwykle podstawi się artyście najbanalniejszym frontem i potrzebna jest pewna zaciekłość, pewna kostyczność duszy, żeby wywracać kreskę na brzuch, grzebać w jej trzewiach. Kulisiewicz i Jurkiewicz mają ten ruch drapieżności i budzą tym do siebie zaufanie. (Zresztą dajmy spokój komentarzom, jest to najbardziej bezużyteczna część krytyki plastycznej: o obrazie nie więcej można powiedzieć niż o smaku).

Nie miałem już możności zobaczyć w Krakowie wystawy Sztuki Nowoczesnej, z której można się było zorientować, że w Polsce po dawnemu krzyżują się główne kierunki sztuki zachodniej, a w ogóle przeważa abstrakcjonizm, o którym różne artykuły starają się mówić w czasie przeszłym. Zdaje się, że niektórzy przechodzą z pewnym opóźnieniem, jak ospę, nudne szaleństwo surrealistów. Ale na czele są plastycy rasowi, o założeniach barwnych czy konstruktywnych. Nowosielski, Stażewski, Kantor, Jaremińska — wszystko nazwiska do zapamiętania. Ciekawe, że w systemie kulturalnym inspirowanym przez Gierasimowa, tacy ludzie mogą uchodzić za dobrych twórców, których dzieło rzekomo „rozwiązuje szereg problemów dręczących epokę”. Nieporozumienie ogromne, ale póki można, pieczmy w nim swoje kasztany.

Nieraz łapię się na myślach co w programie reżimu jest dobre, a co złe i to na myślach naznaczonych jakąś łapeczywością, jakbym rozważał znaczenie łupów, które kiedyś będą do podziału. Czy nie warto by wyrobić takiej postawy w sferach publicznej i dyskutować zachodzące w kraju przemiany według ich przydatności do tutejszej mizernej publicystyki, tylko jakoś inaczej, na wyższym szczeblu nastrojów i z szacunkiem. Żadnej nie ma wątpliwości, że jeśli przyjdzie kiedykolwiek organizować naród w innych niż dzisiejsze warunkach, to trzeba będzie setki obecnych rozwiązań uznać za dobre, czasami za świetne, z których żaden rząd nie zrezygnuje, bo nie zrezygnuje z nich naród. Mówię tu na podstawie rozróżnienia między aktywnością socjalizmu, który w wielu kwestiach pozostał socjalizmem mimo uniformu bolszewickiego — a aktywnością Politbiura, która odmienia wartości kursujące w Polsce. Wielu z tych wartości wystarczyłoby odebrać firmę sowiecką i przywrócić parytet życia niepodległego, aby okazała się ich słuszność społeczna. W próbach obecnej organizacji sztuki w Polsce, zarysowuje się jedna tendencja, niepopularna na zachodzie, a przecież bardzo ciekawa: mecenas państwa, dba o podstawy materialne artysty, daje tzw.

zamówienia społeczne i wprowadza sztukę w prąd aktualności. O tym chcę coś napisać w zakończeniu. Może za jednym zamachem uda się pogrzebać jakieś przesady.

Trzeba zostawić na boku interpretację przedmiotu, bo o tej nie da się powiedzieć dwu różnych zdań. Ale czy sama zasada „zamówień społecznych” wchodzi w prerogatywy twórczej wolności, którą przyzycycałiliśmy się uważać za warunek sine qua non sztuki? Czy może kwestia twórczej wolności jest źle sformułowana.

Wygląda na to drugie. „Zamówienie społeczne” polega na zaproponowaniu artyście przedmiotowego tematu i konkretnego tła, w którym dzieło się znajdzie, np. tła architektonicznego. W duchu pojęć rdzennie plastycznych, propozycje tego rodzaju ograniczyłyby się więc do podsunęcia artyście pretekstu pracy. Tu, aby osiągnąć bardziej popularne zrozumienie powyższej myśli, aby przekonać pana Smitha, Dupont’a i Nowickiego, należałoby z zakasnymi rękami widać się do odwalania całych kawałów ignorancji, jaka wciąż króluje w popularnych wyobrażeniach o sztuce. (Zawsze mi się marzyły jakieś łatwe wykłady, jakieś regularne lekcje w czasopismach na ten najbardziej zapoznany temat — mimo że okazy sztuki, obrazy czy rzeźby są do oglądania na każdym kroku). Publiczność musiałaby albo przyjąć na słowo honoru, albo zrozumieć, że treść obrazu nie polega na żadnych zjawiskach literackich, które trzeba się nauczyć rozróżniać od wrażeń płynących z kombinacji linii barw, z ich wzajemnego ułożenia — bo dopiero one są treścią plastyczną utworu i mają własne życie organiczne. Biedna publiczność musiałaby się dowiedzieć, że to co przeważnie bierze za formę, jest w samej rzeczy treścią, a mniemana treść jest tym właśnie co nazwałem pretekstem. Sztuka jest tą dziedziną zjawisk, w której dochodzi do idealnego stopienia cech formy z cechami treści, co ma charakter jakby chemiczny. Więc namalowanie kilku kolorowych smug w jakimś ułożeniu rytmicznym — albo namalowanie jabłka na serwecie, stanowi równoważnościowy akt plastyczny. Na tej podstawie mówi się o malarstwie przedmiotowym czy bezprzedmiotowym, a Picasso jest uważany za artystę tak samo jest Cesanne i Ver Meer z Delf. Czytelność obrazu nie może wpłynąć na jego ocenę. Picasso kiedyś ładnie to powiedział: — Dla czegoż ptaków nie pytamy o zrozumiałość, zachwycając się ich śpiewem? Zresztą byłoby nonsensem namawiać artystę do porzucenia znaków iluzyjnych, jeżeli jest do nich przywiązany. Oba style winny istnieć obok siebie, bo w najlepszym razie jest wszystko jedno czy plama ma kształt zrozumiały, czy abstrakcyjny — w obu wypadkach zachowuje potencję plastyczną.

Wobec tego — aby wrócić do „zamówień społecznych” — wskazanie tematu nie krępuje zagadnień plastycznych i artysty nie powinno być obojętne co rzeźbi czy maluje: cygaro Churchilla, wasy Stalina, symboliczną statuetkę dla Syndykatu Drukarzy — czy statuetkę do gabinetu magnata zapalczanego. Właści-

we zagadnienie zacznie się, gdy, przyjąwszy jedno z tych zamówień i zapoznawszy się z miejscem gdzie dzieło ma stanąć, przystąpi do wyboru materiału i samej budowy plastycznej utworu. Twórczość plastyczna, przynajmniej w swojej szlachetnej esencji, nie może polegać na tym, że artysta jest natchniony do zrobienia, dajmy na to, Bitwy pod Pacanowem — a w żaden sposób nie może się nakłonić do odmalowania Kongresu jakiegś tam Partii. Może tu zachodzi różnica poglądów politycznych, ale to inna sprawa, bo przecież kwestię „zamówień” badamy w środowisku, które nie stosuje przymusu. Natchnienie nie może dotyczyć cech anegdotycznych utworu, tylko jego istoty plastycznej.

Malarz J. Zamoyski opowiadał, że kiedyś w Warszawie służąca jego wystąpiła z propozycją, żeby namalował wizerunek na sztandarze Związku Chrześcijańskiej Służby, którego była widocznie aktywnym członkiem. Miała być na tym sztandarze Matka Boska w niebieskiej szacie, trzymająca na ręku Dzieciątko. Dzieciątko musiało trzymać spadający w dół różaniec. Nie dość na tym: po różańcu miały się wspinać dusze, pokutujące w czyścisku. Trudno wyobrazić sobie lepszy prototyp „zamówienia społecznego”, pokazany w całej swej naiwności i psychologicznym obnażeniu. Babina wiedziała o co jej pobożności chodzi — i zwracała się o pomoc do sztuki. Sztuka w takim wypadku winna zachować się pozytywnie. Zamoyski uważał, że projekt nie zgadza się z materiałem (malowanie na miękkim płótnie) i poradził haft — ale zamówienie wziął poważnie, uważając je za problem równie dobry, jak każdy inny. Ciekawy moment zainteresowania się artysty kanwą, **miejscem**, w które miał wpiąć przyszłe swoje dzieło. To co pozornie jest skrzepowaniem komicznymi szczegółami, może się okazać zewnętrzną podniętą, która krystalizuje energię. W zakreślonych konkretnie ramach wycobrażnia zaczyna odczuwać swoje siły: może bez tych ram byłaby energią nie zrealizowaną, jak płyn nie ujęty naczyniem.

„Zamówienie społeczne” jest rodzajem mecenatu, bez którego artysta — jak wykazuje doświadczenie — nie może istnieć. W okresie, gdy skończył się mecenat magnatów czy miast, artysta musiał sobie stworzyć sztuczny, kameralny rodzaj twórczości, tzw. malarstwo sztalugowe. Łatwo dowieść, że ten typ malarstwa urodził się w warunkach przymusowych i nie ma zastosowania w życiu, do którego sztuka jako funkcja rdzennie ludzka i społeczna, wszystkimi siłami dąży. Dzisiejszy obraz jest przejawem sztuki paradoksalnym, bo bezużytecznym. Obraz renesansowy, zanim powstał, znał swoje miejsce w konkretnym budynku i tworzył aktywny element w toku życia: dziś został wyrzucony na jego marginesy, dostaje się w przypadkowe otoczenie, albo idzie do muzeum. Trzeba iść za nim do muzeum, aby zeń korzystać, co jest nonsensem, bo obraz ma taką samą rolę w życiu jak wazon, ozdoby ubrania, dom i otaczające barwy i dźwięki. W swojej istocie społecznej sztuka jest użyteczna, tak jak wszystko co człowieka dotyczy i tego żadne spekulacje

estetyczne nie zmieniają. Rozpowszechnienie się sztuki wstydlivej, kameralnej — z jednej strony rzuciło artystę w upokarzające warunki i stworzyło weń mimowolny kompleks, że jest bezrobotnym trutniem, a z drugiej — odzwyczailo masy od potrzeby sztuki, bo masy nie mają czasu, żeby chodzić do muzeów, muszą mieć sztukę w domu i na ulicy, w każdym przedmiocie, na który oczy padają. Tymczasem żyjemy otoczeni tandetą.

Powrót do mecenatu, który z natury społecznej naszych czasów, musi być mecenatem państwowym — załatwia obie strony sprawy, a nie wchodzi w kompetencje sztuki. Juliusz II kląjami zapędzał Michała Anioła do Sykstyny, co było sprzeczne z wolnością obywatelską, ale z punktu widzenia wolności twórczej nie było w tym nic złego. Michał Anioł wpuścił papieża do kaplicy nie wcześniej, aż ukończył zasadniczą partię fresku. Mecenat zdaje się naturalną konsekwencją naszych stosunków i może by uratował artystę od krzywdzącej biedy a sztukę od zwiotczenia w formach narcyzowatych, nikomu niepotrzebnych.

Zbigniew FLORCZAK.

NAJTANIEJ ● NAJLEPIEJ ● NAJSPRAWNIEJ

obsługuje swoich klientów

«LIBELLA»

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue Saint-Louis en l'Île — Paris IV<sup>e</sup>.

Katalogi bezpłatnie na żądanie



## « Sami swoi »

**Jerzy Pietrkiewicz:** „SAMI SWOI” (Zdarzyło się w czasie żniw...); sztuka w trzech aktach. Reżyseria Leopolda Kiełanowskiego. Dekoracje Jana Smosarskiego.

Ruchliwy, rozumny i pracowity Polski Teatr Dramatyczny w Londynie wystawił nową sztukę polską, napisaną przez autora awangardowego, Jerzego Pietrkiewicza, pod tytułem „Sami Swoi”. Pasjonujący debiut dramatyczny inteligentnego poety sprawił prawdziwą przyjemność tym wszystkim, którzy w sztuce chcą widzieć sztukę, a w prawdziwym teatrze chcą mieć teatr omieciony starannie z mgiełek, smaczków, aksamitnych głupstewek, będących popisem nudnych rutyniarzy. Ten prosty, oszczędnie zbudowany dramat, mający za temat normalne zdarzenia, które mogą przytrafić się w każdym środowisku ludzkim, a więc i wiejskim, był jednak zaskoczeniem dla niektórych londyńskich publicystów i nałogowych recenzentów, którzy, jak słyszą słowo „chłop”, od razu dostają gęsiej skórki i ogromnie są niezadowoleni, że chłopci też są ludźmi. Prasa jednak przyjęła na ogół sztukę dobrze, tak samo widownia, rekrutująca się z różnych warstw emigracyjnych.

Konflikt pokazany przez Pietrkiewicza na scenie, powstaje tysiące razy w każdym środowisku, ilekroć wykazuje ono żywotność socjalną i biologiczną, a nie jest tylko zakrzepłą mallowanką na szkle, za które dla okraszy, by obraz nie był zbyt ubogi, pisarze zatykali do niedawna pęki pawich piór i wstążki. Jeśli ktoś szuka w sztuce teatralnej Pietrkiewicza jeszcze jednej odbitki „Wesela”, czy streszczenia „Chłopów”, pomylił się, gdyż autor nie jest epigonem, ale prawdziwym artystą.

W nienazwanej wsi w Ziemi Dobrzyńskiej, w której autor się prawdopodobnie urodził, u wójta odbywa się normalna krzątania żniwna. Wójt ma syna, na schwał parobczaka, który jest z początku popychadłem, parobkiem, nic nie znaczącą, młodą figurą zakochaną w wójtowej wychowawicy. Do tejże wychowawicy smali cholewki przodownik policji, komendant miejscowego posterunku. Cóż, zdarzenie zwyczajne! Powtarza się ono w życiu i na scenie tysiąc razy. Spory chłopskie? Kłótnie rodzinne. Tak. W sztuce Pietrkiewicza jest sporo tych drob-

nych, rozsianych, bardzo ludzkich konfliktów. Nie to jednak stanowi o barwie sztuki, ale sposób ich kompozycji. Widzieliśmy setki sztuk pisanych dla ludu, czasem nawet przez chłopów, te same elementy powtarzały się w nich po tysiącokroć, ale rzadko były tak dobrze wyzyskane.

Jak rozwiązał sztukę Pietrkiewicz? — W pierwszym akcie ukazuje się na scenie wójtowa, jej wychowawca Zocha, syn wójta Stach. Od pierwszej chwili po kilku słowach i ruchach zaczyna promieniować atmosfera chłopska. Dialog jest o rzeczach prostych; jakiś sen, podanie wody spragnionemu parobkowi, pogoń za złodziejem wioskowym, który jest poza tym miejscowym wierszokletą, ukazanie się na scenie przeciwnika wójta, bogatego chłopca Nawirskiego; upłynęło zaledwie kilka minut i od razu jesteśmy w samym sednie konfliktów rodzinnych, gromadzkich, sercowych, gospodarskich i samorządowych. W drugim akcie narasta nowy konflikt, kiedy na scenie zjawia się przodownik Wiarkiewicz, puszczający się w koperciaki do wójtowej wychowawicy. Wciąż jesteśmy jednak opleceni zainteresowaniem na około centralnej postaci sztuki — wójta, chociaż jest on obecny tylko za kulisami. Czekaemy cały czas jego pojawienia się choćby przy końcu aktu drugiego; tymczasem zdarza się nieszczęśliwy wypadek, wójta przysgniała wóz, wiemy wszystko o całym zdarzeniu, ciąży ono nad sztuką, ale nie oglądamy go, choć tak mocno przeżywamy na scenie. Umiejętność rozłożenia akcji i mistrzostwo wykorzystania przestrzeni poza kulisami dla podkreślenia i wywołania napięcia, jest jednym z wielkich osiągnięć artystycznych Pietrkiewicza. Akt trzeci znowu jest wśród niesłabnącego zainteresowania widza przysgnieciony wójtowskim dramatem, rodzinną tragedią, chociaż wójta wcale nie pokazano na scenie, gdyż leży on w trumnie w kościele. Wszyscy jednak i w trzecim akcie zależą wciąż od siły i potęgi tego człowieka nawet po śmierci, gdyż testamentem spisany podczas choroby zupełnie nieoczekiwanie naznacza swym jedynym i całkowitym spadkobiercą i gospodarzem — popychanego parobczaka, Stacha. Rodzina oczekuje pogrzebu, zajęta jest robieniem wieńców, sporami majątkowymi, żalami wzajemnymi, wypominaniem sobie niewdzięczności, w czym bierze zwłaszcza żywy udział Genka, córka wójtostwa wydana za męża do miasta za urzędnika powiatowego Felicjana Kukułkę-Wisniewskiego.

W czasie tych sporów rodzinnych zachodzi za sceną przemiana w duszy, sercu i światopoglądzie wczorajszego parobka, który w pierwszym akcie był zwyczajnym, wiejskim chłopakiem, w drugim przerażonym nieszczęściem ojca, zatroskanym o gospodarstwo synem gospodarskim, a w trzecim akcie jest już zupełnie odmiennym człowiekiem, wydającym rozkazy i polecenia, tak jak jego ojciec-wójt przed kilku jeszcze dniami. Umiejętność, umiar, spokój w używaniu różnych scenicznych środków dały tutaj Pietrkiewiczowi duże teatralne zwycięstwo. Po sce-

nie z Marychą, siostrą Brzózki, złodzieja wierszoklety i z przodownikiem Wiarkiewiczem, ojcem jej nieślubnego dziecka, gdy scena opróżnia się z uczestników udających się na pogrzeb, po zamknięciu lokalnego sporu o władzę w gminie przez wyrażenie żalu przez oponenta wójta, Nawirskiego, kiedy nastąpiło oczyszczenie wszystkich związanych w dramacie konfliktów, pozostali sami Zocha i Stach. Ona nie może jeszcze zrozumieć dlaczego tak się odmienił. Wychodzi zresztą z uczuciem, że coś się musiało ukochanemu stać. Tutaj wyrosła niebezpieczna pauza dramatyczna. Można było zniszczyć cały urok i dotychczasowe powodzenie wszystkich trzech kapitalnie napisanych aktów, gdyby tych kilka ostatnich chwil zostało fałszywie dramatycznie, lub sentymentalnie scenicznie rozwiązanych. Pietrkiewicz, bardzo odważnie podgarnął dramat do najwyższego punktu, prowadząc w kilkunastu zdaniach i w kilkudziesięciu ruchach napięcie do szczytu. Matka, Zocha, organista, wszyscy proszą Stacha, siedzącego w zasumowaniu na ławie, używając całej skali prób od synowskich, miłosnych do lekceważących słodkich, jak np. organista, aż Nawirski, stary, chytry kmieć, magicznym słowem „gospodarzu, czekają na was, gospodarzu!” podrywa go; gospodarz wstaje z godnością, w kilka sekund razem z jego krokami brzmi jeszcze potem to wezwanie w powietrzu, nawet gdy zapadła już kurtyna. To istotnie doskonała sztuka.

Naturalnie nikt jeszcze nie mógł nabrać nigdy wyobrażenia o sztuce teatralnej, czytając najbardziej szczegółowe jej opisy i streszczenia. Właściwie streszczenia sztuk powinny być zabronione prawem; odzierają one bowiem z połysku nawet najlepsze sztuki, które przecież są do oglądania, a nie do czytania. Trudno jednakże powstrzymać się tutaj od prymitywnego choćby streszczenia całości i poszczególnych epizodów, gdy chce się przeprowadzić doraźną polemikę lub wymienić poglądy z tymi, którzy inaczej patrzyli i co innego widzieli w tej samej sztuce. Niektórzy zarzucają autorowi, że jego chłopci są nie ciekawi. Inni znów, że odarli ich z rzekomej poezji. A jeszcze inni zarzucają, że chłopci w niej są nieprawdziwi. Mamy tu do czynienia z sądami rozbieżnymi nie tylko co do samej treści, ale co do formy dramatycznej, a także co do treści i formy teatralnej. Nieporozumienia takie są stare. Skorzystam z marginesu i postaram się na niektóre zarzuty odpowiedzieć merytorycznie.

Niektórzy widzowie i recenzenci byli obrażeni chyba za to na autora, że ostatni raz byli w prawdziwym teatrze w tym roku, w którym autor się jeszcze nie urodził. Zdziwieni byli, że zamiast Wernyhory ze srebrną trąbą, na scenę wszedł zwyczajny przodownik policji i zamiast „Ksiąg Pielgrzymstwa Polskiego” mówił inne głupstwa. Tak samo było dla nich niespodzianką, że zamiast poety zjawił się obszarpany złodziejaszek, który nic nie mówił o Capri i o róży, a natomiast mówi o swojej własnej biedzie.

Wielu widzów musiało chyba spaść z księżycą, skoro uznali, że „Sami Swoi” nie przedstawiają prawdziwych chłopów. Ci zapewne wciąż sądzą, że chłopci to takie stworzenia, które urodziły się do płacenia podatków, a rozmnażają się gdzieś po ciemku pod piastową gruszą. Dziwi nas tylko to, że udało się do tego jeszcze czasu przechować w socjalistycznej Anglii taki wspólny rezerwat kołtuństwa.

A wreszcie jest jeszcze pewna grupa ludzi, na której nam powinno bardzo zależeć, to widzowie, którzy dopiero teraz zaczynają po raz pierwszy w życiu chodzić do prawdziwego teatru. Tym niewątpliwie sztuka Pietrkiewicza obok odświeżającego zastrzyku przyniosła sporo kłopotów.

„Sami Swoi” to sztuka realistyczna, unikająca szczęśliwie przeładowania balastem ideologicznym, a cała pasja polityczna autora została skoncentrowana w doskonałej, w pewnych chwilach wyśmienicie farsowo narysowanej sylwetce drobnego urzędnika miejskiego Kukułki-Wiśniewskiego. Że niektórym widzom podczas śmiechu z Kukułki wykrzywiały się równocześnie usta do płaczu, to raczej dobrze świadczy o celności dowcipu poety.

Byli i tacy, którzy zarzucali Pietrkiewiczowi radykalizm społeczny, szarganie rzekomo uczuć patriotycznych itp. Muszę rozczarować tych oskarżycieli, ponieważ wieś dobrzyńska pokazana przez Pietrkiewicza w niczym nie jest radykalna. Po pierwsze wieś ta ma dwór, a więc nie jest typową wsią polską z ostatniego dwudziestolecia, gdyż była nią bezapelacyjnie wieś bez dworu. Mało kto wie, że dwory, majątki kościelne, latyfundia magnackie, majątki państwowe nie miały więcej razem w przedwojennej Polsce niż dwadzieścia siedem procent ogólnej powierzchni państwa polskiego. Można zatem przyjąć, że wsie dworskie, z patronatem dziedziców, a także z ich wpływami na życie wiejskie, nie zajmowały więcej jak od siedemnastu do dwudziestu procent wsi polskich, czyli jedną piątą. Wieś Pietrkiewicza, to taka wieś, gdzie wprawdzie dotarł już Kukułka-Wiśniewski, ale gdzie jeszcze nie dotarły nawet „Wici”, co dopiero mówić o innych grubo radykalniejszych organizacjach chłopskich. Ale to tym lepiej dla tej sztuki, gdyż przez oszczędzenie jeszcze jednej czy dwóch postaci, zyskała ona niewątpliwie na scenicznej zwartości. Że chłopci nie chodzą w niej w sukmanach, a dziewczęta nie pokazują się w dzień żniwny w jedwabnych bluzkach, czy w gorsetach? A któż w gorsecie zwała snopy z wozu do stodoły? Chyba wariaci. Chłopci pobiliby takiego recenzenta, który kazałby im kosić koniczynę w sukmanach lub układać kopy w kierezji.

Dużo się już od pięćdziesięciu lat w świecie zmieniło i to na szczęście, na lepsze! Chłop z dziewiętnastego wieku nie podobny jest do chłopca widzianego przez Wyspiańskiego, a chłopci Reymonta nie długo żyliby razem w zgodzie sąsiedzkiej z dzisiejszymi, prawdziwymi chłopami krakowskimi czy lubel-

skimi, bo albo wymarliby z głodu, albo Kukułka-Wiśniewski do spółki z przodownikiem Wiarkiewiczem sprzedałby ich na „kości” pierwszemu lepszemu handlarzowi. Chłopi Pietrkiewicza mają więc autentyczną barwę realizmu i zaradności, choć targają nimi te same namiętności ludzkie co ich dziedzicem i starostą w miasteczku powiatowym. To są chłopi na codzien i od święta, a nie tylko chłopi od święta, i to święta Trzeciego Maja!

Wielkie szczęście, że sztuki teatralne, podobnie jak wszystko co powstaje w narodzie o pewnych tradycjach kulturalnych, nie spadają z powietrza. Z piasku trudno jest ukreślić bicz. Pietrkiewicz ma wielu i to doskonałych w ostatnim stuleciu teatru polskiego poprzedników, którzy napisali i wystawiali z ogromnym powodzeniem — wśród nie mniejszego oburzenia — utwory sceniczne na tematy chłopskie. Zapoczątkował serię chłopskich tematów Józef Korzeniowski „Karpackimi Góralami” w roku 1840. Do dziś dnia ta radykalna, rewolucyjna sztuka grana jest z olbrzymim powodzeniem w dobrych teatrach ludowych. Czas tylko, z realistycznej w pierwotnym założeniu i układzie sztuki Korzeniowskiego, uczynił obecnie sztukę kostiumową. Ale Huculi w okresie pierwszych przedstawień „Karpackich Górali” szumieli rzeczywiście w życiu tak barwnie, swobodnie i buńczucznie. Można wymienić również zbudowaną w czarnym, realistycznym rysunku sztukę „Skapany świat” Władysława Orkana. Także Władysław Ludwik Anczyc dał nie byle jaki realistyczny obraz „Chłopach Arystokratów” a wzbogacił teatr ludowy w doskonałe jeszcze dzisiaj jednoaktówki — „Łobzowanie”, „Błązek Opętany”, „Flisacy”.

Również nie należałoby ze zbyt wielkim przekąsem mówić o „Zaczarowanym Kole” Lucjana Rydla, gdyż ta baśń sceniczna do dziś dnia może zachwycać tysiące dzieciennych widzów. Daleko surowsze wrażenie wywierają dramaty takie jak „Kława” Stanisława Wyspiańskiego czy „Niespodzianka” Karola Huberta Rostworowskiego, ponieważ doktryna tragiczna w młodo-polskiej realizacji ze sztuk realistycznych przemieniła je na sztuki naturalistyczne, ciężko strawne nawet dla twardego widza.

Bogaty repertuar błyszczący od wszystkich ogni i zapału dał zespół autorów regionalnych, a zwłaszcza w sztukach kostiumowych jak np. farsy Krumłowskiego i Turskiego, widowiska i inscenizacje Marii Bachledy-Curusiówny, Heleny Roj i Mieczysława Rytarda, Stanisława Siczki, Roberta Rydza, Piotra Borowego, Stanisława Ligonia, Andrzeja Stopki, Jędrzeja Cierniaka, Zofii Stolarzowej, ks. Skierkowskiego, Pobratymca.

Osobną, udaną grupę stanowi kilkanaście sztuk na tematy chłopskie w ostatnim trzydziestoleciu, spośród których „Pastorałka” Leona Schillera, wiele utworów Stanisława Młodożeńca, Brunona Jasieńskiego, Tytusa Czyżewskiego, „Polityka i Mi-

łość” Józefa Rączkowskiego, cieszyły się zasłużonym uznaniem i powodzeniem.

Wymieniłem w dużym skrócie kilkunastu poprzedników autora „Sami Swoi”, gdyż przyjemnie jest zawsze czuć za plecami oparcie, zwłaszcza, gdy ta tradycja jest doprawdy dobra. Również przyjemnie jest stwierdzić, jak pewne motywy i akcenty podobne ptakom wędrownym przenoszą się z jednej ziemi do drugiej. Weźmy takiego Brzózkę. Tkwi on głęboko w tradycji teatru chłopskiego, gdzie zawsze planetnicy, dziwacy, wróże lub czarownice używały szlachetnej mowy wiązanej w odróżnieniu od reszty ludzi, którym się dobrze powodziło. Nawet modlitwa Brzózki przed obrazem Matki Boskiej zawędrowała ze Skalnego Podhala do Ziemi Dobrzyńskiej, chodząc zresztą po całej Polsce, gdzie tylko była bieda.

Sztukę Jerzego Pietrkiewicza wystawił Polski Teatr Dramatyczny w Londynie wprost pysznie. Obsada znakomita. Z niej widać, jak doskonałych i o bogatej skali aktorów posiada ten teatr. Reżyseria Leopolda Kielanowskiego rozświetliła dialogi, napięła do sekundy wszystkie ruchy, skróciła przejścia do minimum, wydobyla omal każdy konflikt i pojedynczy rytm na powierzchni, odprowadzając je idealnie do głównego strumienia, który huczał aż do zapadnięcia kurtyny, grał iskrami, chłostał ironią, szarpał satyrą, wstrząsał prostotą, nie uroniwszy ani jednej okazji dla pokazania każdego epizodu. Dekoracje Jana Smosarskiego były ozdobą tekstu, dały mu ramy tak akuratne, że częstokroć wydawało się, iż jesteśmy nie na widowni, ale na scenie i bierzemy razem z aktorami udział w sztuce.

Na małej, kilkumetrowej scenie „Ogniska Polskiego” przez dwie godziny aktorzy grali żywą wieś. Nie mam dość pochwał dla nich. Jadwiga Butscherowa, jako Wójtowa, miała dystynkcję, delikatność i wdzięk cichej kmiotki, dla której mąż był niepojętym mocarzem, o którym nie myśli się nigdy inaczej, jak tylko z miłością i oddaniem. Swada chłopska tej znakomitej aktorki była czysta i kryształowa jak woda z Popradu, czy Dunajca. Zocha „zagrana” była przez Marię Arczyńską również bardzo dobrze. Postać ta jest akwarelowa, przypomina raczej obraz malowany farbami wodnymi, niż krzepką figurą wiejskiej dziewczuchy. To też jest zgodne z tradycjami teatru chłopskiego, gdzie postacie sierot były malowane pastelowo, lub delikatną akwarelką. Stach zarówno w pierwszym, drugim, jak i trzecim akcie, w ujęciu Wacława Krajewskiego, był doskonałym typem wiejskim. Gesty, tak ważne w jego roli, Krajewski — wprost, jakby wymierzył centymetrem. To dobry aktor!

Feliks Karpowicz pokonał dużo trudności, by wydobyc z liwego wierszoklety Brzózki i kiepskiego złodziejzaka sceniczną figurę, na którą, na przemiany, uwzięły się wszystkie nieszczenia, by rozjaśnić mu dopiero twarz niespodziewanym podarunkiem nieba w postaci przyrodniego szwa-

grostwa aż z samym komendantem posterunku. Mówił naiwne wiersze zabawnie, co przypominało czasem niektóre wieczory poetów w Londynie. Brawo! Przdownik policji Wiarkiewicz w ujęciu Jerzego Kopczewskiego, był — moim zdaniem — kapitalny. Ujęcie to podobno uraziło niektórych widzów. Sądzę, że połączenie głupoty z ćwierć inteligentkim pyszałstwem, tępoty z zawodowym przeszkoleniem, dało dobrą sylwetkę komendanta posterunku; może jest w tym trochę przesady, ale wielu policjantów wyglądało tak zabawnie w życiu. We wszystkich epizodach, jako radny gminny Grzegorzewski, był znakomitą portretem głuchego jak pień, starego kmiecia, Józef Bzowski. Bzowski ośniewał wszystkim: ruchem, gestem, pauzami, gwarą i charakteryzacją. Widać, że zjadł zęby w teatrze ludowym. Julia Kraszewska, jako córka wójtowej, Genka, musiała chyba dobrze podpatrywać wiejskie panny wychodzące za mąż za egzekutorów podatkowych w mieście. Była w każdym calu dobra, poczawszy od „cierpienia” na ciasne buciki, aż do jej państwowo-twórczych wypowiedzi, w których, gdy podniecenie mieszało gwarę z normalnym ludzkim językiem, tworzyło wiele bardzo komicznych sytuacji. Barbara Reńska, jako siostra Brzózki, dzielnie znosiła dopust boski i jako uwiedziona przez policyjną lirykę okolicznościową dała błyskotliwą, plastyczną figurę „przespanki”, bardzo dobrze podkreśloną. Znakomity był Roman Ratschka, jako organista. Jego polip w nosie, ceremonialność gestu, modlitewne składanie rączek na widok pełnego kosza jaj, to co nazywamy „duchem” wiejskiego organisty, parowało z niego jak alkohol a miało zapach święconej wody i bezgranicznej miłości do... pieniędzy. Kapitalna również postać.

Dwie figury, jak dwa mocne słupy, podtrzymywały dodatkowo całą sztukę. Honoru kmieci bronił Nawirski, któremu Artur Butscher dał monumentalną oprawę. Honoru „narodu” bronił wyśmienity tak samo aktor Wacław Modrzeński. Oni obaj, ukazując się na scenie, wznosili od razu samym zjawieniem się doskonale nastroj. Butschera, tego świetnego aktora pamiętam od dwudziestu kilku lat, jeszcze z nowosądeckiego Teatru Dramatycznego. Rozwój tego talentu w ciągu tych lat jest prawdziwym fenomenem.

Modrzeński powinien dostać po przedstawieniu srebrny wieniec od związku zawodowego egzekutorów podatkowych i urzędników starostwa w Dobrzyniu, a także od związku tych co „wyrąbawali wolność”, za postać Felicjana Kukułki-Wisniewskiego. Widzieliśmy prawdziwy teatr z prawdziwego zdarzenia, który wystawił prawdziwą sztukę prawdziwego autora.

Takie wyniosłem wrażenie, wychodząc z teatru. Inni widowie i inni pisarze odnieśli inne wrażenia. Ale ja biorę odpowiedzialność tylko za siebie i piszę tak, jak widziałem.

Marian CZUCHNOWSKI.

## *Sprawy i troski*

### Bilans emigracji w Anglii

Od chwili deuznania legalnego rządu R. P. w Londynie mijają obecnie cztery lata. W cztery lata po upadku powstania listopadowego emigracja ówczesna, u progu roku 1836, już była przeżyła swój „Sturm und Drang”; i chociaż książę Adam niestrudzenie miał działać jeszcze przez ćwierć wieku, było już rzeczą jasną, że nadzieje i marzenia ówczesnych tułaczy nie miały być zniszczone; jednostki stworzyły wielką literaturę, inne zabiły raz jeszcze na widowni politycznej w roku 1848 czy nawet później; ale dla ogółu zaczął się już nowy okres — dostosowania do warunków emigracyjnych i zapewnienia sobie bytu.

Oczywiście, każda analogia jest naciągana i złudna. Między naszą sytuacją — tułaczy londyńskich — a losem naszych praojców zachodzą znaczne różnice. Ich była garstka — około 10 tys. załedwie — nas w samej Wielkiej Brytanii jest, według ostatnich obliczeń, 164 tysięcy. W ówczesnym okresie zatargi Zachodu z Mikołajem I były dziecinną igraszką w porównaniu z głębokim konfliktem obecnym między Wschodem a Zachodem, każdej chwili grożącymi straszliwym wybuchem. Ale tym niemniej można już dzisiaj z doświadczeń ostatnich czterech lat wyciągnąć pewne wnioski.

W roku 1945 cała nasza emigracja była wyraźnie polityczna. Trzon jej stanowiło nasze wojsko na Zachodzie — 250 tys. ludzi w chwili zakończenia działań wojennych; ponadto około 5 tys. polityków i urzędników w Londynie, przeszło milion Polaków w Zachodnich Niemczech i drobniejsze garstki powojennej emigracji we Francji i za oceanem.

Nie byliśmy *quantité négligeable*: najlepszy tego dowód — to wysiłki Anglików, zresztą uwieńczone całkowitym powodzeniem, w kierunku „rozładowania” tej masy oraz sparaliżowania naszej akcji. W ciągu paru lat ubiegłych trzy czwarte wychodź-

ców z Niemiec wróciło do Polski; trochę się rozlało po świecie; z tych 200 tysięcy, które jeszcze zostały w zonach zachodnich, przeszło połowa na pewno uda się jako "siła robocza" do krajów ościennych a w większej mierze za morza; reszta — to nieszczęsny osad wszystkich wojen i katastrof, ludzie starzy, chorzy czy wykoleni, którzy wymrą, zaginą bez śladu, tak jak tyle poprzednich fal naszego uchodźstwa — choćby potomkowie wielu naszych dawnych sybiraków.

Boleśniejszym był powrót przeszło stu tysięcy wyborowego żołnierza z Wielkiej Brytanii. Było ich zbyt mało, by mogli w Polsce samej stworzyć jakąś siłę, z którą bierutowcy musieliby się poważnie liczyć; a w Anglii ich obecność mogłaby znacznie wzmocnić nasze stanowisko, sprawić, że Anglicy poważniej musieliby się z naszymi postulatami liczyć. Ten znaczny ubytek świeżej i dobrej krwi zawdzięczamy głównie niezmiernie powolnemu tempu, w którym do połowy lata 1947 r. PKPR zwalniał szeregowców "do cywila"; i próżne byłoby roztrząsać czy to opóźnienie spowodowane było raczej złą wolą Anglików czy też podświadomym działaniem samych polskich oficerów, w których interesie leżało utrzymanie jak najdłużej wysokich stanów. Ale stało się — i z naszego wojska została na Zachodzie zaledwie połowa. Była to prawdopodobnie najtęższa duchowo i fizycznie emigracja, którą kiedykolwiek w długich naszych dziejach wysłaliśmy (jak zawsze bez naszej ku temu woli) zagranicę; więcej nawet — sądzę, że nigdy żaden naród tak znacznego odsetka najlepszych, najinteligentniejszych, najbardziej "robotnych" swych synów nie odstąpił krajom emigracyjnym.

Część tego wyborowego materiału utraciliśmy dalej na rzecz emigracji zamorskiej — mniej jednak niż spodziewać się należało: około 12 tys. do Argentyny, i po parę tysięcy do Australii i Kanady; do innych krajów — głównie Stanów Zjedn. i Płd. Afryki wyjechały tylko setki. Miejsce ich zajęli nowi przybysze, głównie z Niemiec, trochę z Polski (przeważnie inteligencja i rodziny), ponadto repatriowani do Anglii polscy cywile, uciekinierzy z Rosji, którzy wojnę spędzili w Afryce, Indiach czy na Bliskim Wschodzie. Tak więc obecnie na 160 tys. Polaków w Anglii tylko połowa pochodzi z wojska — reszta to „najnowsza” emigracja, dopiero powoli aklimatyzująca się na wyspie. Mniej wyrobiona, mniej dzielna, mniej tęga fizycznie, przede wszystkim: wśród repatriantów z Afryki etc. jest duży procent prostych bardzo ludzi z kresów wschodnich, bab nawet niepiśmiennych, których waloru nie da się porównać z kwiatem naszych sił zbrojnych.

Obecnie proces "migracji", jeżeli chodzi o nasze środowisko w Anglii, można uważać za z grubsza zakończony. Do Polski — obecnej — wrócą już chyba tylko jednostki. Niewątpliwie od wpływ do innych krajów, przeważnie egzotycznych, niekiedy jednak również i do Francji, będzie trwał nadal, ale nie będzie przybierał charakteru masowego — chyba żeby Stany Zjednoczone stanęły przed naszą rzeszą otworem; wątpię by sięgał

10 tysięcy rocznie. Z drugiej strony będzie trwał i dopływ, trochę z Niemiec (skromny), trochę z Polski, o ile komuniści będą wypuszczać rodziny — takie wypadki, zwłaszcza starych rodziców, rzadziej dzieci, zdarzają się sporadycznie, ale znowuż nie przypuszczam, by cyfry, które mogą wchodzić w grę, mogły przekraczać parę tysięcy rocznie. Wreszcie wymieranie: nie jesteśmy rasą długowieczną, ale procent starców jest wśród nas tak nieznaczny, że i ten ubytek będzie, powolny, nie przekraczający około tysiąca głów rocznie.

Jak zawsze, nie mamy żadnych dobrych statystyk: wśród tylu biur i stowarzyszeń powinno się znaleźć choć jedno, które by porządny, naukowy instytut statystyczny zorganizowało. Z obserwacji i fragmentarycznych danych wynika wszakże, że nasza emigracja jest wybitnie męska, chyba tylko w 15 czy 20% składa się z kobiet, przeważnie sprowadzonych żon i trochę dziewcząt ściągniętych przez Anglików z Niemiec w ramach E.V.W. Los tych dziewcząt jest zresztą zapewniony, bo mężów wśród Polaków mogą znaleźć bez trudności: w "Dzienniku Polskim" opowiadano mi, że na ogłoszenia matrymonialne kawalerów nadchodzi jedna lub dwie odpowiedzi; na każde — jakże rzadkie! — ogłoszenie kandydatki do stanu małżeńskiego — po sto i więcej. Tylko bardzo stare Polki nie mają żadnych szans. Ostatnio w Londynie parę krzepkich 50-letnich wdów czy rozwódek, z dorosłymi dziećmi, które normalnie nie mogłyby marzyć o sukcesach matrymonialnych, znalazło z łatwością wcale dobre partie.

Nie mamy też statystyki dzieci. Musi ich być mało, bo większość chłopców z wojska pozostaje w stanie bezżennym; starsi emigranci mają dzieci przeważnie w Polsce, i wiele małżeństw nie połączyło się po wojnie, czy to dlatego, że żon nie dało się sprowadzić, czy też — niestety częściej — z powodu rozwodów czy faktycznej separacji która czy obu, czy jednej przynajmniej stronie dogadzała. Ale faktem jest, że nawet i małżeństwa polskie w Anglii — że tak powiem "funkcjonujące" — są w znacznej mierze bezdzietne lub ograniczają swe potomstwo do jednego dziecka. Liczne rodziny — to niemal wyłącznie rodziny już założone przed wojną. Nie słyszałem ani o jednym wypadku, by jakaś para, która gniazdo założyła od 1939 r. w Anglii, spłodziła czworo czy pięcioro dzieci. Nawet gdy jakieś małżeństwo ma troje dzieci, wszyscy wybałuszają oczy i kiwają głowami. Na pewno nie przypominamy tych czterdziestu tysięcy francuskich chłopów, których Ludwik XV osadził w Nowej Francji, i którzy się rozrosli w ciągu 2 wieków do obecnych czterech milionów Kanadyjczyków-Francuzów. Jeśli się nasza rozrodczość w Anglii nie zmieni — a nie widzę oznak takiej zmiany — to po upływie jednego pokolenia — nawet bez dalszej emigracji — Polonia tutejsza jeśli nie wymrze, to zmaleje o połowę. O tym by się nasza młodzież, która przybyła tutaj w wieku 18 lat czy więcej, mogła wynarodowić, jestem przekonany, że nie może być mowy. Ale jeśli chodzi o dzieci — sytuacja jest odwrotna. Dzieci

małżeństw mieszanych będą oczywiście Anglikami. Małżeństw tych — przeważnie ze Szkotkami — było w czasie wojny około 6 tysięcy; na ogół okazały się bardziej trwałe, niż Polaków między sobą, rzadko jednak mają więcej niż jedno dziecko; dzieci te nie są objęte żadną ewidencją, bo do polskich szkół nie chodzą, kosztów ich wykształcenia Education Committee for Poles nie pokrywa. Są one całkowicie dla Polski stracone.

Nie lepiej wygląda sprawa dzieci małżeństw czysto polskich, przynajmniej jeśli chodzi o inteligencję; oddawane niemal wyłącznie do internatowych szkół angielskich, używające przez 9 miesięcy wyłącznie języka angielskiego w szkole, mówią po polsku prawie bez wyjątku fatalnie i niesłuchanie niechętnie. Są to Anglicy i Angielki polskiego pochodzenia — i nawet pytanie, jak długo będą się do tego pochodzenia przyznawać. Obecna generacja polska w Anglii nie wynarodowi się nigdy — następna będzie znikoma liczebnie (dzieci polskich jest tu nie więcej niż około 10 tysięcy), i jeśli się nic nie zmieni, zatraci swój kontakt z polskością jeszcze szybciej i gruntowniej niż nowe pokolenie Polonii amerykańskiej. W Stanach Zjednoczonych nacisk opinii w kierunku wynarodowienia, czy przynajmniej zapomnienia o swoim pochodzeniu jest znacznie słabszy niż w obecnej, tak rasistowskiej i ksenofobicznej Anglii.

Do tej niezmiernie słabej rozrodzności naszej Polonii brytyjskiej przyczynia się poza ubóstwem, bezżennością, rozłączeniem rodzin i przykładem Anglików (którzy prawie wszyscy stosują „birth control”) również i mnogość rozwodów wśród naszych rodaków. Smutne to ale prawdziwe. Wśród naszej inteligencji procent rozwodników przekracza 50% — jest chyba najwyższy na świecie. Co gorsza, nawet małżeństwa zawarte już po wojnie, rozlatują się po paru miesiącach współżycia. Stąd dowcipy, jak np. nazywanie Caxton Hall (urzędu stanu cywilnego) „Polską Katedrą”, stąd nawet doskonała, a boleśnie prawdziwa satyryczna komedia Budzyńskiego „Powrót żony” — oparta na przerażeniu i rozpaczce męża, którego ukochana połowica niespodziewanie przybywa z kraju. Osobiście skłonny jestem sądzić, że to notorycznie fatalne polskie pożycie małżeńskie jest raczej zawinione przez żony niż przez mężów; mężczyźni się łatwiej adaptują, żony szalenie narzekają, a nadmiar Polaków-kawalerów, wdowców, rozwodników czy choćby mężów gotowych do odlotu i uwicia nowego gniazdka stwarza naturalnie pokusy. Jakkolwiek bądź główną niewątpliwie przyczyną tej plagi rozwodowej jest upadek wierzeń religijnych, który zawsze odbija się bardziej na moralności (tzn. niemoralności) kobiet niż mężczyzn. Jest to problem, który powinienby być przedmiotem poważnych studiów socjologicznych. W Polsce upadek obyczajowości bigoci i rasiści chętnie przypisywali wpływom żydowskim: obecnie wśród nas Żydów prawie nie ma (tylko bardzo nieliczni i niemal wyłącznie ochrzczeni zachowali kontakt z życiem polskim na emigracji), a rozbijanie węzłów małżeńskich pobiło wszystkie przedwojenne rekordy. W stosunku do rozwo-

dów, rozputy, cudzołóstwa, konkubinatu itd. nie widać śladu nawet jakiegokolwiek reakcji naszej opinii publicznej. Polskie kancelarie adwokackie w Londynie żyją wyłącznie ze spraw rozwodowych. Jakżeż te przelotne związki mają mieć dużo dzieci?

Upadek religijności wśród naszej emigracji ma i ujemne skutki polityczne. Katolicy angielscy są katolikami serio — i są dla nas najprzyjaźniej usposobioną częścią tutejszego społeczeństwa. Oni jedni powitali nasze pozostanie w tym kraju z radością, spodziewając się, że przyśpieszymy nawrócenie Anglii. Niestety obecnie są tak zgorzseni naszym indyferentyzmem, że ich stosunek przyjazny wyraźnie ostygł. Zdają sobie sprawę, że nasz katolicyzm jest tylko kwestią płytkiej, narodowej tradycji. A jeśli na katolików już nie możemy rachować, to na kogo? Nasi rodzimi masoni nie mają w lożach tutejszych żadnych kontaktów, socjaliści angielscy są germanofilami, protestanci zdecydowanie Polski nie lubią, Żydzi nie darowali nam przedwojennych wyryków antysemitycznych. Więc gdzie mają być nasi naturalni alianci?

Emigracja polska w Anglii z politycznej staje się wyraźnie zarobkowa. Zainteresowanie „polityką” jest nadal bardzo żywe, ale podczas gdy w r. 1945 wypełniało ono treść życia, dzisiaj przybiera charakter dodatkowy, „passe-temps” — pierwsze miejsce zajęły niepodzielnie troski i kłopoty materialne. Przeciwny Polak czyta „Dziennik Polski”, zaglądnie do polskiej restauracji, rzadziej do jakiegoś polskiego stowarzyszenia, pójdzie chętnie na polską zabawę — ale na tym bez mała koniec.

Nasza emigracja jest uboga. Uboga nie w sensie przedwojennym, kresowym: nędzy nie ma, i jeśli chodzi o szeroki ogół to od 2 lat, odkąd wszyscy się zabrali do pracy, powodzi mu się znacznie lepiej — bo zamiast mizernego żołądka każdy inkasuje przeciętnie po 5 £ tygodniowo. Nie można też twierdzić, że Polacy stanowią samo dno proletariatu angielskiego, jak np. było niewątpliwie we Francji po pierwszej wojnie światowej. Przede wszystkim nasi uchodźcy w znacznej mierze nie mają rodzin na utrzymaniu — paczki mniej kosztują — toteż przy tych samych poborach mają więcej pieniędzy do wydania od najuboższych Anglików. Trafili tutaj też na okres, w którym los klasy robotniczej wybitnie się poprawił: robotnikowi się dzisiaj na ogół lepiej powodzi niż inteligentom na niższych szczeblach, i tak np. sztygar zarabia więcej niż urzędniczyna na poczcie czy w banku. Nie spotyka się Polaków obdartych czy głodnych. Ponadto Polacy — to przeważnie krzepkie chlopy, stąd są poszukiwani do zawodów fizycznych, wymagających mocnych mięśni — a te są specjalnie dobrze płatne. W całości i przeciętnie nasza emigracja w Anglii jest lepiej sytuowana niż jakakolwiek inna grupa polska czy to w Polsce czy na obczyźnie, z wyjątkiem Polonii amerykańskiej. Ma to zresztą i ten skutek, że część naszej emigracji dobrze sobie z tego zdała sprawę i już do Polski nie

wróci: stanowi ona dotychczas znikomą mniejszość — która jednak z każdym rokiem będzie wzrastać.

Atoli w bogactwie nie może być mowy. Wszystkie legendy o polskich bogaczach w Anglii okazały się, jak zwykle, zupełną fantazją. Milionera nie ma ani jednego. Ludzi mających po 10 i więcej tysięcy funtów można obliczać na tysiąc najwyżej — nawet i to jest pewno szacunkiem zbyt hojnym. Istnieje może parę tysięcy, którzy odłożyli czy "zarobili" w okresie inflacji po wojennej po parę tysięcy funtów. Ale "interesy" polskie na ogół się nie udały — prosperują tylko przedsiębiorstwa paczkowe, mniej restauracje, i na tym koniec. Dorabiają się najwięcej, ale również skromnie, polscy rzemieślnicy, w wielu dziedzinach zresztą bardzo cenieni — i tak np. niektóre słynne na cały świat londyńskie firmy luksusowego obuwia zatrudniają dzisiaj wyłącznie szewców-Polaków. Farmerzy nasi — jest ich około tysiąca — wiążą koniec z końcem, nikt nie dorobił się fortuny. Rzecz dziwna, że choć jesteśmy narodem rolniczym, to jednak tutaj, jak i we Francji i w Ameryce, ciągniemy do wielkich miast, na rolę idziemy niechętnie.

Geograficznie, Polacy są rozrzućeni po całym Zjednoczonym Królestwie, z wyjątkiem Irlandii Północnej, gdzie prawie nas nie ma. Okręgi naszego definitywnego osiedlenia są dotąd płynne — i nawet w ciągu tylko 4 lat ostatnich nastąpiły poważne przesunięcia. Polonia szkocka zmalała o przeszło 75%. W roku 1945 w Londynie było zaledwie 10 tys. Polaków, dzisiaj szacuje się ich liczbę na 30 tys. (notabene jesteśmy obecnie najliczniejszą grupą cudzoziemską na obszarze "Wielkiego Londynu" według oficjalnych statystyk policji — dotychczas byli nią stale „Niemcy”, tzn. niemieccy Żydzi). Poza Londynem, drugim wielkim ośrodkiem jest Lancashire — okolice Manchesteru, gdzie zwłaszcza skierowano wielu ex-D.P.ów i D.P.sek z Niemiec do pracy w przedsiębiorstwach. Trzeci większy ośrodek — to Eastern Midlands: Nottingham, Leeds i Leicester. Farm polskich jest najwięcej w Walii. Ale bez mała wszędzie można spotkać Polaków. Większość już może dogadać się po angielsku. Rzecz ciekawa: w inteligencji kobiety uczą się szybciej i mówią lepszym akcentem niż mężczyźni; wśród masy jest na odwrót. Mężczyźni też mniej narzekają. Prawie wszyscy prowadzą życie gheftowe — i stosunków z Anglikami utrzymują niezmiernie mało.

Może największym walorem naszej masy emigracyjnej jest jej chęć do pracy i zwłaszcza uczciwość. Przykład wymowny: w ciągu 2 lat tutejsze polskie biuro pośrednictwa pracy umieściło przeszło półtora tysiąca Polaków, przeważnie jako służbę domową. Nie było wypadku zażalenia, że któryś z zatrudnionych coś ukradł. Udział Polaków w życiu przestępczym jest znikomy. Poza legendarnym Zborowskim nasze środowisko wydało dotąd tylko 2 czy 3 morderców, niewielu bardzo złodziei, najwięcej spraw wytoczono Polakom o pobicie, niemal zawsze na tle zatargów miłosnych. Więcej znacznie jest samobójstw.

Wszystko razem, poziom jest doskonały zważywszy zwłaszcza niezmiernie ciężkie doświadczenia większości naszych tułaczy. Emigracja rosyjska miała większe pieniądze, większe stosunki, większą popularność i, zdaje się, więcej jednostek wybitnych: nie mamy wśród nas żadnego Sikorsky'ego, żadnego ballet polonais, żadnego Szalapina, żadnego Mereżkowskiego (tzn. autora o światowym nazwisku), żadnego Wertynskiego, który był furorą Paryża. Rosjan zgubił poziom ich masy. Nasza góra jest słaba: ratują nas szeregowcy, ci szarzy, nieznanani Polacy, którzy karier i majątków nie robią i nie zrobią, ale każdemu krajowi dostarczą sumiennych, porządnych obywateli.

Masa polska przysporzyła sobie wiele dodatnich cech angielskich, nie tylko w angielskim autobusie czy kawiarni zachowują się Polacy doskonale, nie podnosząc głosu, nie robiąc tych burd i awantur, które były plagą w Polsce; ale nawet w stołwce kombatantów gdzie są sami swoi, i to wcale nie żadna elita, uderzają dobre table-manners, nie ma wrzasków i kłótni. Inny objaw, godny zanotowania: prostytutka jest plagą wszystkich apatridów. Rosjanki wypełniły domy publiczne od Szanghaju do Buenos Aires. Na szczęście w tej profesji — liczniejszej chyba w Londynie niż w Paryżu — nie ma śladu naszych rodaczek. I w ogóle w dzielnicy tutejszej Bohemy w Soho, gdzie roi się od sutenerów włoskich, greckich, maltańskich, żydowskich etc. — nie znajdzie się Polak choćby na lekarstwo. Skądinąd zmały też legendy o polskich sukcesach erotycznych. Polski cywil jest wyraźnie mniej atrakcyjny od polskiego lotnika czy żołnierza. Polki z reguły żadnego powodzenia u tubylców nie mają. "La belle Polonoise" — ten mit XIX-go wieku, kiedy to w Polkach kochali się prawie wszyscy wielcy ludzie — Napoleon, Balzac, Stendhal, Goethe itd. — rozwiął się zupełnie. Jako rasa nie możemy pretendować dzisiaj do urody; często słychać głosy zdziwienia gdzie się podziały nasze piękne rodaczki, których przecież w Warszawie widziało się dość dużo, a których teraz niestety nie widać wśród nas niemal wcale.

Najgorsza jest naturalnie sytuacja naszej inteligencji: co więcej, podczas gdy warunki bytu naszych b. żołnierzy polepszyły się w ciągu ubiegłych 2 lat, pozycja b. oficerów, którzy stanowią gros naszej inteligencji, wydatnie się pogorszyła. Oprócz końca P.K.P.R. działają tu i inne czynniki: równoczesne wyschnięcie wszystkich polskich pieniędzy publicznych, kwestia wieku — inteligenci są z reguły znacznie starsi, — ogólna sytuacja inteligencji w Anglii, gdzie zubożała bardziej niż inne warstwy i w łonie której konkurencja jest bardzo ostra, wreszcie niedostosowanie naszych inteligentów — w łwiej części b. urzędników i zawodowych wojskowych — do zawodów cywilnych. Najlepiej się stosunkowo wiedzie technikom i lekarzom, ponadto aptekarzom, ale sytuacja wielu ludzi jest nader ciężka. Na tym większe zasługuje uznanie odwaga, z którą nieraz ludzie ongiś zamożni czy piastujący odpowiedzialne stanowiska zabrali się do pracy fizycznej czy rzemiosła; wielu jednak zostało zmuszonych do

zwrócenia się do Assistance Board, którego zasiłki wystarczają by nie umrzeć z głodu, lecz nie pozwalają żyć. Jest rzeczą charakterystyczną, że studenci, pobierający stypendia (jest ich cztery tysiące) znajdują się nieraz w lepszych warunkach niż starzy, wybitni literaci, dziennikarze, działacze czy urzędnicy. Jeśli chodzi o całą tę warstwę — co najmniej około 10-20 tys. ludzi, to największą ich tragedią jest brak przyszłości. Nie mogą marzyć o zarobieniu dosyć by odzyskać choć w przybliżeniu standard życiowy swej klasy, nie mogą też liczyć na odpowiednią pracę u Anglików, a o tym, by sama emigracja mogła tylu ludzi utrzymać, nie może absolutnie być mowy. Ten problem jest najcięższy — wygląda dzisiaj gorzej niż rok temu, a za rok będzie jeszcze znacznie boleśniejszy. A przecież bez tej inteligencji odegranie przez naszą emigrację jakiegokolwiek roli, politycznej czy choćby kulturalnej, jest niemożliwe. Ci, którzy sobie wyobrażają, że niewielkimi tylko środkami można zabezpieczyć "działalność polityczną" nie zdają sobie sprawy z tego co mówią. Chodzi o utrzymanie całej warstwy, nie paru jednostek. A bez zapewnienia środków egzystencji naszej inteligencji muszą runąć i te nieliczne placówki kulturalne, które nam zostały — księgarnie, prasa, teatry, organizacje. Te resztki polskiego życia umysłowego, a co za tym idzie i politycznego, będą musiały bez pomocy z zewnątrz zczecznać i zamrzeć. Przewiduję szereg bolesnych tragedii.

Jedyny odcinek naszej emigracji, który wyraźnie nie zdał żadnego egzaminu — to nasze sfery polityczne. Naprawdę zbyt wielu ludzi się polityką zajmuje, a raczej w politykę bawi. Stała się ona pewnego rodzaju zabawą zawodowców, rodzajem bridge'a, narkotyku, nałogu. Jest rzeczą charakterystyczną, że ogromna większość tzw. polityków — to są ludzie, którzy siedzą tutaj od 1940 r., tylko nieliczni przybyli po wojnie z Polski czy z Bliskiego Wschodu. Wszyscy ci ludzie, choć nieustannie toczą ze sobą spory, w niczym w gruncie rzeczy się nie różnią — albowiem jałtańczycy hurmem wyjechali do Polski w 1945 r. w poszukiwaniu nowych posad i karier (co się niewiele udało). Reszta klóci się o słowa, o formułki, o przyjemność klócenia się, bo dzisiaj nawet już nie wchodzi w grę pieniądze, a efekty są żalodne. Pomimo niezliczonych rywalizacji, kapliczek, szalonego rozproszkowania, nie widać osobistych antypatii, tej zacieklej nienawiści, która np. jeszcze po 20 latach dzieliła byłych aktywistów i pasywistów z pierwszej światówki. Bardziej żywe i realne uczucia antypatii wzbudzają wśród nas tylko dwie grupy — Mikołajczyka i tzw. sanacji. Jeśli chodzi o Mikołajczyka, to sprawa jest jasna — i nie sądzę by łatwo było uczuciowe sploty związane z Jałtą i Moskwą tak łatwo przełamać, jak to sobie niektórzy politycy nasi wyobrażają. Jeśli zaś chodzi o "sanację" — to pojęcie to jest dość ustalone: w żadnym wypadku nie jest jednoznaczne z tym co np. Kot i Modelski uważali za sanację; ale jest pewne jądro, pewne nazwiska, które wywołują u wielu wcale nie sztuczne a zupełnie pra-

wdziwe uczucia furii i nienawiści, i to wcale nie wyłącznie w szeregach partii anty-majowych.

Gdybyśmy jakimś cudem wrócili do Polski wyzwolonej nawet jeszcze w r. 1947, to by ośrodek londyński jeśli nie rządził Polską, to przynajmniej przewodził jej narodzinom, poważnie by wpłynął na organizację jej form politycznych. Dzisiaj rozproszkowanie jest tak wielkie, a w dołach taka apatia, że nie byłoby to takie pewne. Gdy do tego dodać absolutną niechęć Anglików do zajmowania się sprawą polską czy w bliższej czy w dalszej przyszłości, trzeba dojść do wniosku, że istotny ośrodek życia polskiego na Zachodzie może powstać tylko w Stanach Zjednoczonych. W pierwszej wojnie światowej — Paryż; w drugiej — Londyn; w trzeciej może być tylko Nowy Jork. Już i teraz Polonia angielska interesuje się bardziej podróżami do Waszyngtonu niż rozgrywkami w Londynie.

Taki jest więc bilans. Jest niewesoły. W ciągu 4 lat naszego na Zachodzie powojennego pobytu nie zdołaliśmy uniemożliwić zasadniczego planu komunistów: zdjęcia sprawy polskiej z porządku dziennego i zerwania więzów narodu polskiego z Zachodem. Bezsilnie się przypatrujemy sowietyzacji Polski, i tak samo bezsilnie wyrażnemu odwróceniu się Anglii od karty polskiej, nie tylko koniunkturalnie na dzisiaj, ale i długofalowo. Sami nie możemy ani potężnych prądów, które grają na rzecz pogrzebania sprawy polskiej na Zachodzie, odwrócić, ani utrzymać tej inteligencji polskiej na wychodźstwie, bez której samo pojęcie emigracji politycznej staje się mrzonką i fikcją. Nie chodzi o wynajdywanie winnych, o rzucanie kamieniem. Ważniejsze jest wyciągnięcie z tych smutnych doświadczeń odpowiedzialnej nauki. Streszczę ją w jednym zdaniu: naszą przyszłość, naszą działalność, naszą rolę, nasze nadzieje możemy oprzeć tylko o Amerykę. Droga do Warszawy wiedzie nie przez Londyn, a tylko i wyłącznie przez Waszyngton.

W. A. ZBYSZEWSKI.

**P O L S K A**  
**PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNI**  
**SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ**  
**w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641**

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. **KULTURY**, **WIADOMOŚCI** i **ORLA BIAŁEGO**.



# “ORZEL BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja  
c/o St. Starzewski  
45, WARRINGTON CRESCENT, LONDON, W. 9.

Przedstawicielstwa w Austrii, W. Brytanii, Francji  
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech  
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce  
w Stanach Zjednoczonych.

## ● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

## ● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

## ● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton  
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)  
przyjmują przedstawicielstwa „Orla Białego”,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma  
BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

## *Najnowsza historia Polski*

### Operacja « Whitehorn »

(KARTKI Z PAMIĘTNIKA KURIERA)

#### 1

Ocknąłem się w becze śmiechu. Dwa rzędy łóżek i widok „połamańców” z rękami albo nogami na wyciągach, w gipsach i bandażach upewnił mnie, że jestem w szpitalu. Przymknąłem znowu oczy i próbowałem odtworzyć sobie w pamięci, jak się to wszystko stało.

Najprawdopodobniej złamałem rękę już w samym momencie skoku. Kiedy znalazłem się w powietrzu i próbowałem przepisowo ściągnąć w dół szelki spadochronu okazało się, że prawa ręka odmawia posłuszeństwa zwisając bezwładnie.

— „Pull down” — wrzeszczał ktoś z dołu zdenerwowanym głosem.

Wiatr skręcił lekko linki i czasza spadochronu nie była całkowicie rozwartą. Usiłowałem odkręcić się ruchami tułowia i nóg, ale nie było na to zawiele czasu. Ziemia zbliżała się bardzo szybko, stanowczo za szybko. Grzmotnąłem wreszcie całym ciałem i wtedy dopiero poczułem przejmujący, ostry ból w prawym ramieniu.

— „Hallo John, what has happened?” — wołał z daleka angielski instruktor, biegnąc w moją stronę.

Nie zdążyłem nawet odpowiedzieć. Straciłem przytomność.

Przez tyle lat udało się jakoś uniknąć łapanki za zakrętem ulicy, wsypy w robocie, udało się wybrnąć z niejednej trudnej sytuacji, odbyć kilka ryzykownych podróży i szczęśliwie dotrzeć do W. Brytanii. A teraz oto „przymusowe lądowanie” na własnym grzbiecie przerywało niespodziewanie mój „lot” w polowie drogi. Rok temu wartki nurt wciągnął mnie dosyć nagle w sam środek wydarzeń rozgrywających się między Londynem

a Warszawą. Teraz, w ciągu kilku sekund fatalny przypadek odrzucił mnie daleko na stojące i spokojne wody, na ubocze wojskowego szpitala, „somewhere” w zapadłej, angielskiej wiosce.

Lekarz zawyrokował, że złamanie jest ciężkie i przed upływem czterech miesięcy nie ma mowy o powtórzeniu skoku. Cztery miesiące wydawały mi się okresem nieskończonego długim, tak długim, że chyba — myślałem — wojna skończy się do tego czasu. Miałem bardzo słabą nadzieję, czy uda mi się wypełnić do końca swoją misję i powrócić do kraju.

Skądże mogłem domyślać się, że w tym samym czasie, gdy pogrążony w przymusowej bezczynności i nie wesołych myślach tkwię w szpitalu, bardzo odległe wypadki decydują o moich dalszych losach.

Może i pozostałbym w Anglii do końca wojny, gdyby nie to, że . . . . Hitler wciąż silił się nad wynalezieniem nowych sposobów zalania Anglikom sadła za skórę, że jeden z tych sposobów Niemcy zaczęli wypróbowywać w Polsce, że wreszcie tajemniczy pocisk — jak meteor — spadł pewnego ranka z nieba na ziemię w wiosce Sarnaki, nie wybuchł i dostał się „żywem” w ręce A. K. Ważniejsze części pocisku trzeba było dostarczyć do W. Brytanii a najbardziej zależało na tym samym Anglikom. Bez tej dodatkowej przynęty wątpić należy, czy operacja „Whitehorn” doszłaby w ogóle do skutku w tych dramatycznych okolicznościach, jakie powstały w końcu lipca 1944 r.

Nie miałem najmniejszego pojęcia o tym wszystkim, nie wiedziałem w ogóle, że można przedostać się do Polski inaczej jak skacząc z nieba na ziemię, kiedy po wyjściu ze szpitala zameldowałem się u szefa Oddziału Specjalnego płk. Protasewicza z ręką na temblaku.

Na widok mojej zasepionej miny pułkownik uśmiechnął się i powiedział:

— Niech pan rozchmurzy oblicze. Pierwsza operacja z „siadaniem” samolotu na ziemi w Polsce, udała się i przywiezieni z kraju wysłannicy znajdują się już we Włoszech. Przy następnej tego rodzaju okazji wyślemy pana.

Wysłannicy przywiezieni z kraju pierwszym „mostem” — (taki był polski kryptonim operacji) — przybyli do Londynu w kilka tygodni później. Wśród nich znajdował się gen. Tabor, który w bardzo krótkim czasie zawiądnął całkowicie Oddziałem Specjalnym. I tu nagle wyrosła przeszkoda, której najmniej oczekiwałem.

Przybyły generał był człowiekiem nastawionym do ludzi z zasady nieufnie. Nie stanowiłem wyjątku od reguły, chociaż nigdy nie widzieliśmy się na oczy.

Przy pierwszym spotkaniu generał Tabor przeszedł mnie na wylot podejrzliwym spojrzeniem spode łba i zapytał:

— A wam ojciec do czego tak śpieszno? Wy macie jechać do kraju z informacjami o położeniu ogólnym? Znamy takich

informatorów, znamy. A z waszym wyjazdem to jeszcze zobaczymy.

Ze złamaną ręką albo nogą można się było od biedy z Londynu do Warszawy przedostać, ale wobec decyzji generalskiej nie było innej rady jak tylko stuknąć obcasami i zameldować:

— Rozkaz, panie generale.

Na szczęście wkrótce nadeszła lakoniczna depeza podpisana przez Lawinę \*)

„Oficerów: Zycha i Dowmuntta \*\*) proszę natychmiast odejść z powrotem do kraju.

(—) Lawina.

Teraz nie mogło być już żadnej wątpliwości, co do mego powrotu. Przygotowania na bazie do „mostu” dobiegały końca i chodziło tylko o to, by jak najszybciej znaleźć się we Włoszech. W tym celu trzeba było prosić Anglików o przerzucenie mnie do bazy w Brindisi drogą lotniczą. Sprawa oparła się znowu o gen. Tabora, który okazał się równie nieufny i nieprzychylny jak za pierwszym razem:

— Pojedziecie statkiem tak jak inny — zawyrokował — nie jesteście ojciec żadnym „ekstra-gościem”.

Tym razem zaoponowałem energicznie. Podróż okrętem trwa kilka tygodni. Nie uważam się za nic lepszego od każdego innego skoczka, jeżeli jednak informacje i zlecenia, którymi nabiło mi głowę, mają przedstawiać jakąkolwiek wartość dla odbiorców w kraju — Komendanta Głównego, Delegata Rządu i Stronnictw — pomiędzy wyjazdem z Londynu, a przybyciem do Warszawy powinien upłynąć możliwie najkrótszy okres. Poza tym wymknąć się może jedyną w moim położeniu możliwość przedostania się do kraju „mostem”.

Wszystkie te argumenty na nic się nie zdały. Generał Tabor postanowił, że mam jechać do Włoch drogą morską.

Zbieg okoliczności znowu przyszedł mi jednak z pomocą. Naczelnny Wódz udawał się z początkiem lipca na inspekcję II Korpusu do Włoch i zadecydował, że znajdzie się dla mnie miejsce w jego samolocie. Wszystkie trudności zostały w ten sposób ostatecznie usunięte i mogłem teraz poświęcić cały czas przygotowaniom do swego zadania.

W owym czasie każdy wysłannik Polski Podziemnej zajmował w Londynie wyjątkową pozycję będąc traktowany niemal jako pełnomocny „ambasador” kraju. Na skutek sporów i różnych chorób trawiących emigrację, punkt ciężkości spraw polskich po śmierci generała Sikorskiego przeniósł się zdecydowanie znad Tamizy nad Wisłę. To przesunięcie ośrodka dyspozycji odczuwałem bardzo wyraźnie w czasie swych podróży. Zarówno przy wykonywaniu swych zadań po powrocie z

\*) „Lawina” — pseudonim gen. Bora w korespondencji z Londynem.

\*\*) Por. Dowmuntt dotarł do Londynu na krótko przed nadejściem tej depezy i został zatrzymany dla wykonania swego zadania.

Polski jak i teraz, w momencie wyjazdu, pozostawiony byłem wyłącznie własnej inicjatywie i dyrektywom otrzymanym z kraju. Zawierały się one w jednym zdaniu, jakie padło w czasie odprawy u Komendanta Głównego: „ma pan być jak gąbka nasycona wiadomościami o położeniu w kraju, która pozwoli wycisnąć z siebie w Londynie wszystko co wie, nabierze w siebie jak najwięcej informacji od rządu, stronnictw i wojska, potrzebnych nam tu dla naszych decyzji i powróci z tym wszystkim do Warszawy”.

Minister Romer i ambasador Raczyński przyszedli mi z pomocą w wykonaniu drugiej części tego zadania, udostępniając bogate dossier naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Całymi dniami przesiadywałem teraz w jednej z ogromnych sal ambasady, mając przed sobą stertę akt, raportów, notatek i protokółów z rozmów. Wszystko to usiłowałem objąć pamięcią, by utrwalić w głowie jak umiałem najlepiej.

Działo się to w ostatnich dniach czerwca 1944 roku, kiedy pociski „V-1” grzmocły bez przerwy w Londyn. Szyby w wielkich oknach ambasady drżały nerwowo przy każdej eksplozji, a w sąsiednim pokoju strwożona sekretarka, panna Marysia przykucała z lekka nad maszyną do pisania, ilekroć słychać było zbliżanie się złowrogiego warkotu.

Lektura, którą byłem pochłonięty, czyniła tak wstrząsające wrażenie, że wszystko co się wokół działo, przestało w ogóle docierać do mojej świadomości. Dwa razy w czasie wojny doznałem jak gdyby uderzenia ciężkim obuchem w głowę. Za pierwszym razem było to w Sztokholmie, zaraz po aferze katyńskiej, kiedy po raz pierwszy wydostałem się z Polski. Jeden z moich polskich opiekunów przyniósł mi wtedy plik gazet angielskich i polskich z Londynu jako lekturę „do poduszki”, żebym to mógł odpocząć po trudach podróży i dobrze zasnąć. Zacząłem czytać wieczorem a skończyłem rano.

Gdybym z księżycą spadł nagle na ziemię, wstrząs nie byłby silniejszy, tak straszliwy kontrast zachodził między tym obrazem, jaki wytworzyliśmy sobie o stosunku sojuszników do Polaków w Londynie, o emigracji, a rzeczywistością przezierającą z tych gazet, rzeczywistością, z którą zetknąłem się wtedy naocześnie i bezpośrednio po raz pierwszy.

Podobny i jeszcze silniejszy wstrząs przeżyłem po raz drugi teraz — kiedy kartka za kartką odsłaniała przede mną straszną, nieodpartą prawdę. Rząd Polski w Londynie i społeczeństwo w kraju walcząc o niepodległość walczyły o straconą już pozycję. Gdyby ograniczyć się choćby do jednego faktu wybranego z wielu, czyż można było inaczej rozumieć zapadłą już w Teheranie decyzję, oddającą całą Polskę bez zastrzeżeń, bez reszty, bez względu na dalszy bieg wypadków wojennych pod niepodzielną okupacją Czerwonej Armii? Czyż można było inaczej rozumieć treść i sens właściwy długich dialogów Mikołajczyka z Churchilllem, Edenem, Rooseveltem? Inaczej zu-

pełnie czytałbym te kartki dziś — jako dokument historyczny, odnoszący się do niedawnego, ale już zamkniętego rozdziału naszej przeszłości. Inaczej czytałem je wtedy, gdy niejedno zdanie z tych długich rozmów, które toczyło dwóch, trzech panów w zaciszu ministerialnego gabinetu, stanowiło wyrok na kilkudziesiąt milionów żywych ludzi całkowicie nieświadomych swego losu. Ludzi, którzy na moich oczach cierpieli, znosili nędzę, walczyli, martwili się i cierpieli, a przede wszystkim ginęli z nadzieją i żyli nadzieją.

Tu na emigracji wiedział o tym wszystkim rząd — kilkunastu, może kilkudziesięciu, a może tylko kilku ludzi. Reszta przeczuwała, odgadywała, obawiała się. Tam w kraju od najniższych dołów aż do samej góry społeczeństwo żyło w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości nie wiedząc o niczym i niczego się nie domyślając.

Czy było to winą rządu, który ukrywał prawdę przed społeczeństwem? Sam fakt, że przede mną jako wysłannikiem kraju otwarto tu bez wahania wszystkie tajemnice, wszystkie skrytki i safety przeczył temu najwyraźniej. Przyczyna tkwiła gdzie indziej. Człowiek, który przez szereg lat żył w izolacji, w zupełnym oderwaniu od reszty świata, który wierzył w coś bardzo silnie, bo tak mu nakazywał jego podświadomy instynkt zachowawczy, mógł przekonać się, że rzeczywistość nie odpowiada jego wyobrażeniom tylko w bezpośrednim z nią zetknięciu. Zadawałem sobie pytanie, czy uwierzą mi, jeśli im powtórzę najwierniej to co przeczytałem przed chwilą? Nie, nie uwierzą. Tysiące podejrzeń przyszłoby mnie samemu do głowy wobec człowieka, który wówczas — w czerwcu 1944 roku — powiedziałby mi w Polsce, że zostaliśmy zdani całkowicie na łaskę i niełaskę Rosji. Wydawałoby mi się to sprzeczne z logiką i zdrowym rozsądkiem, nie pasujące do wszystkiego co prawdopodobne. Nie uwierzyłbym tak jak inni nie uwierzą z pewnością mnie. Uwierzą jednak czy nie uwierzą, moim obowiązkiem będzie przedstawić im ten obraz najdokładniej.

Po zapoznaniu się z aktami i raportami przysłała kolej na rozmowy z przedstawicielami stronnictw. Trzeba było dużego wysiłku, aby utrwalić w głowie jak na kliszy fotograficznej różne zlecenia, postulaty, zapytania i informacje, by broń Boże nie pomylić czegoś, nie poplątać, oceny położenia endeków nie powtórzyć w kraju przez omyłkę socjalistom albo na odwrót. Bo każdy dawał własną ocenę sytuacji.

Bagaż w mojej głowie był już bardzo ciężki, gdy pewnego ranka zadzwieczał telefon w moim pokoju:

— Pan Premier oczekuje pana u siebie w mieszkaniu o trzeciej po południu 10 lipca — zawiadamiał sekretarz Mikołajczyka.

O wyznaczonej godzinie znalazłem się w prywatnym mieszkaniu premiera na Bayswater. Nie czekałem długo na moment, kiedy do pokoju wszedł Stanisław Mikołajczyk.

Premier na wstępie podkreślił z naciskiem, że będzie mówił ze mną zupełnie szczerze i liczy na to, że do momentu, kiedy znajdę się w kraju, treść naszej rozmowy zachowam całkowicie przy sobie.

Właściwe znaczenie tego zastrzeżenia zrozumiałem dopiero w toku dalszej rozmowy. Szereg faktów, o których mówił premier nie było zupełnie znanych moim poprzednim rozmówcom, nie wyłączając nawet członków rządu.

Na wstępie Mikołajczyk opowiedział krótko o swojej podróży do Stanów i o rozmowach z Rooseveltem, które znałem już zresztą z raportów ambasadora Ciechanowskiego. Podkreślał dużą serdeczność przyjęcia i przywiązywał znaczenie do słów Roosevelta, który wyraził nadzieję, że uda mu się uratować dla Polski Lwów i Zagłębie naftowe. Powiedział wreszcie o pomysłach prezydenta, jaki narodził się w czasie rozmów waszyngtońskich, wysłania depechy z Waszyngtonu do Moskwy proponującej Stalinowi zaproszenie Mikołajczyka na bezpośrednią rozmowę.

— Odpowiedź nadeszła wkrótce po moim wyjeździe — ciągnął Mikołajczyk — i była podobna do poprzedniej. Stalin uzależniał mój przyjazd od przyjęcia z góry wszystkich warunków, które miały stanowić właśnie temat naszej rozmowy.

Przywidując bliską ofensywę sowiecką i zbliżania się momentu, kiedy wypadki dojdą do swego punktu kulminacyjnego — mówił dalej Premier — postanowiłem podjąć próbę nawiązania bezpośrednich rozmów z Rosjanami tu w Londynie. Pierwsza taka rozmowa miała miejsce między Lebediewem a pośrednikiem, którym był profesor Grabski. W następnych ja sam brałem udział.

— Proponowałem Rosjanom natychmiastowe nawiązanie stosunków dyplomatycznych, uzupełnienie umowy lipcowej protokołem o współdziałaniu wojskowym na terenie Polski i o przejęciu administracji. Proponowałem wreszcie ustalenie linii demarkacyjnej do chwili ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy granic. Jeżeli by Rosjanie przyjęli te warunki, deklarowałem z naszej strony gotowość nadania naszej ekipie rządowej takiego składu, który zapewniłby przyjazne współdziałanie ze Związkiem Sowieckim.

— Lebediew wydawał się z początku zupełnie przychylnie usposobiony wobec naszej oferty, ale mówił, że musi odwołać się do Kremła po instrukcje. Wszystko zmieniło się raptownie po 2 czerwca, a więc od chwili rozpoczęcia sowieckiej ofensywy na północy i jej błyskawicznych sukcesów. Na ostatnie spotkanie Lebediew przyszedł w znacznie gorszym nastroju i oświadczył z miejsca, że nie ma o czym dużo mówić, jeżeli rząd polski nie zgodzi się na linię Curzona jako ostateczną granicę, jeżeli prezydent i Naczelny Wódz natychmiast nie ustąpią, jeżeli rząd nie zerwie z konstytucją i nie odwoła publicznie swych „oszczerstw” w sprawie Katynia. Lebediew za-

pytał, czy mogę przyjąć te wszystkie warunki. Odpowiedziałem, że nie wiele widzę wspólnego między tymi żądaniem a zapewnieniami marszałka Stalina, że pragnie silnej i niepodległej Polski. Na tym urwały się rozmowy.

— Panie Premierze — zapytałem — z tego co usłyszałem rozumiem, że sprawy stanęły na razie na martwym punkcie. Czy będę mógł powiedzieć w kraju na co premier liczy i jak należy przewidywać dalszy rozwój wypadków. Niewątpliwie będę oto pytany.

— Inicjatywa znajduje się w tej chwili w rękach Churchilla — odpowiedział Mikołajczyk — i podjęcia rozmów z Moskwą albo w Moskwie można oczekiwać każdej chwili.

Milczał chwilę, po czym ciągnął dalej nie patrząc na mnie i jakby głośno myśląc.

— Istnieją dwie możliwości — mówił — jeśli Rosja będzie chciała sowietyzować Polskę siłą i terrorem — szanse kompromisu nie istnieją. Amerykanie i Brytyjczycy stoją jednak na stanowisku, że Rosja prowadzi jedynie politykę własnego bezpieczeństwa, pragnąc uchronić się na przyszłość przed możliwością nowej agresji. W takim wypadku możliwość kompromisu istnieje. Za cenę zrezygnowania z naszej suwerenności w polityce zagranicznej możemy jeszcze uratować wolność wewnętrznego życia politycznego, Stalin, mając do wyboru rządu komunistów polskich wobec których społeczeństwo nastawione jest wrogo, albo rządu ludzi, którzy mają za sobą poparcie ludności i są rzeczywiście gotowi do prowadzenia polityki sojuszu — może wybrać to drugie. W pierwszym wypadku musiałyby politykę w stosunku do Polaków prowadzić przy pomocy pałki i knuta, w drugim będzie mógł zdobyć dla niej znacznie solidniejszy fundament.

— Niech pan powtórzy naszym ludziom w kraju — usłyszałem na zakończenie naszej rozmowy — żeby nie brali pod uwagę możliwości konfliktu mocarstw zachodnich z Rosją. W ciągu następnych dwudziestu, trzydziestu lat nie będzie drugiej wojny. Stoją przed nami dwa cele: ocalić biologiczne siły narodu i nie dać się skomunizować. Jedynym atutem jakim rozporządzamy jest poparcie społeczeństwa. Ja osobiście wierzę w społeczeństwo. Musimy użyć tego poparcia dla wykazania, że jesteśmy gotowi do współpracy z Rosją. Armia Krajowa musi walczyć z Niemcami do końca i wspierać postępy Armii Czerwonej bez względu na trudności. Nie możemy pozwolić sobie na to, abyśmy w tym krytycznym momencie zostali wyłączeni z rodziny narodów sprzymierzonych.

Ostatnie zdania wypowiedział Mikołajczyk z dużym naciskiem, podkreślając każde słowo.

Żaden z nas nie wiedział, że właśnie w tym samym dniu, 10-go lipca 1944 roku, na południe od Prypeci rozpoczęła się sowiecka ofensywa Armii Rokossowskiego. Ruszyła ku Warszawie fala, niosąca Stolicy jej tragiczne przeznaczenie.

Żegnając się ze mną bardzo serdecznie, Mikołajczyk rzucił trochę zagadkowe zdanie: „Następnym razem spotkamy się w Warszawie . . . . i to wkrótce . . . . w okolicznościach może nie bardzo przyjemnych.

Długo zastanawiałem się nad sensem tych słów, ale zrozumiałem je dopiero znacznie później.

Nazajutrz Dakota generała Sosnkowskiego wystartowała w drogę do Włoch. Byłem jednym z jej siedmiu pasażerów. Unośli się nad tą drogą wspomnienie innej podróży, która rok temu zakończyła się tragicznie u stóp gibraltarskiej skały. Każdy o niej myślał a nikt jakoś nie odzywał się na ten temat. Raz tylko to milczenie zostało przerwane. Było to już w Gibraltarze.

Uprzejmy syn Gubernatora Gibraltaru — chłopak w stopniu kapitana liczący lat na pewno nie więcej jak 18-ście oprowadzał nas po twierdzy. Z najwyższego szczytu skały rozciągały się wspaniałe, rozległe widoki na południe, aż po góry Atlasu mające na horyzoncie po drugiej stronie cieśniny, a na północ daleko w głąb hiszpańskiego brzegu. U podnóża skały szeroka, betonowa wstążka lotniska przecinała w poprzek półwysp. Na środku stał samotnie generalski samolot podobny z góry do skrzydlatego owada, pilnie strzeżony aż przez trzech wartowników. Z dala kręcili się robotnicy, którzy codziennie przychodzili tu na robotę z hiszpańskiej strony. Wzrok wszystkich obecnych odruchowo pobiegł dalej ku morzu, gdzie na wprost startowego pola, o jakieś 300 metrów od brzegu kołysała się samotna boja.

Anglik uchwycił nasze spojrzenie:

— Ta boja ma znaczenie symbolu — objaśnił lakonicznie — wskazuje dokładnie miejsce, w którym spadł w morze i rozbił się rok temu samolot generała Sikońskiego.

Generał Sosnkowski miał mnie odprawić przy sposobnej chwili, w czasie podróży. Owa sposobna okazja nadarzyła się w czasie dwudniowego postoju w Algierze. Generała wraz z całą switą ulokowano we wspaniałej willi jakiegoś francuskiego milionera, która w czasie inwazji Sprzymierzonych na Sycylię służyła za kwatery Eisenhowerowi. Rozmowa toczyła się w uroczej altance pięknego, wschodniego ogrodu. Patrząc i słuchając generała myślałem mimowoli o dziwnym kontraście, jaki zachodził między Premierem a Naczelnym Wodzem. Trudno na prawdę byłoby dobrać dwóch ludzi tworzących bardziej jaskrawe przeciwieństwo zarówno w zewnętrznym wyglądzie, w ruchach, w sposobie myślenia i w charakterze. Sosnkowski ma hetmańską powierchowość, wielkopańskie zachowanie i ruchy. Gdyby go ubrać w kontusz wyglądałby jak żywcem zdjęty ze starego portretu nad kominkiem. Mikołajczyk jest typowym okazem polskiego chłopca. Sosnkowski mówi powoli z namysłem, lecz płynnie i precyzyjnie. Mikołajczyk myśli i wyśławia się logicznie, lecz jakby z pewną trudnością, mówi przy tym twardym poznańskim akcentem. Sosnkowski ma umysł

bardziej statysty niż wojskowego. Analizuje i przepowiada wnikliwie i głęboko lecz w tej analizie brak najczęściej pozytywnej konkluzji wskazującej stanowczo i wyraźnie określony kierunek działania. Zacięte, małe usta Mikołajczyka i skupiony zamknięty w sobie wyraz twarzy zdradzają człowieka o wielkim uporze, zaciętości i woli. Mogli się wzajemnie wspaniale uzupełniać. Było niestety inaczej: obaj czuli do siebie instynktową niechęć, odpychali się wzajemnie. W ciągu z górą roku najbardziej decydującego dla losów kraju ci dwaj ludzie, z których jeden był szefem rządu, a drugi Naczelnym Wodzem spotkali się wszystko pięć razy. Prawie za każdym razem spotkanie i rozmowa musiały być przygotowane przez pośredników.

Różnica w ich zapatrywaniach polegała głównie na tym, że Mikołajczyk wierzył w to, iż można równocześnie prowadzić na zewnątrz politykę sojuszu i przyjaźni z Rosją, a na wewnątrz „nie dać się skomunizować”, Sosnkowski natomiast z góry tę możliwość wykluczał. Premier nie wierzył w wojnę, Naczelnym Wódz — w stabilizację stosunków na świecie na długi okres czasu. Generał Sosnkowski przewidywał powtórzenie przez Rosję polityki z lat 1939, 1941: tj. masowe deportacje ludności i eksterminację narodu. Obaj nie wierzyli w możliwość uratowania niepodległości wobec postawy sojuszników zachodnich. Konkluzje ich były w gruncie rzeczy podobne. Mikołajczyk chciał ratować biologiczną substancję narodu przez ustępstwa wobec okupanta, Sosnkowski miał na myśli masowy exodus bardziej wartościowego i zagrożonego elementu szczególnie z A. K. na Zachód. Zarówno jeden jak i drugi obstawali przy tym, by walkę z Niemcami prowadzić konsekwentnie do końca. Mikołajczyk widział w tym atut w swej polityce pojednania z Rosjanami, Sosnkowski stał na stanowisku, że stroną łamiącą zobowiązania sojusznicze nie może być w żadnym razie Polska. Chciał zachować na przyszłość wszystkie moralne i formalne prawa Polski jako skrzywdzonego sojusznika.

Sosnkowski był zdecydowanym przeciwnikiem powstania, ale mówiąc o tym miał na myśli powszechne powstanie w całym kraju. Powstanie w Warszawie nie leżało w chwili naszej rozmowy w planach „Burzy”, więc o tej ewentualności nie mówił. Z naciskiem natomiast zalecał, że w wypadku, gdyby w toku wojny powstała okazja opanowania polskimi siłami jakiegoś miasta, należy to bezwarunkowo uczynić, by świat wiedział, że pomiędzy armiami sowieckimi i niemieckimi walczy o swoje prawa na własnej ziemi suwerenny Naród Polski.

Rozmowa nasza ciągnęła się długo, bardzo długo. Generał mówił o trudnościach jakie napotykał w przeprowadzeniu i wykazaniu słuszności swego punktu widzenia. Mówił o swoich obawach o przyszłość najbliższą i dalszą.

Z początku wspominał o tym, że chciałby, abym poleciał z nim razem do Ankony, abym mógł zobaczyć II Korpus w akcji i być w ten sposób żywym łącznikiem między dwoma członkami Pol-

skiej Armii, z których jeden walczy na ziemi włoskiej, a drugi w kraju.

Następnego dnia zmienił nagle zdanie i zdecydował, że mam odejść natychmiast do bazy polskiej w Brindisi.

Rozstaliśmy się w Casercie pod Neapolem. Było to w dniu 15-go lipca. Mniej więcej w tym samym czasie, w Warszawie zapadła decyzja zmiany planu „Burza” i wzniesienia powstania w stolicy w momencie, gdy wojska sowieckie znajdują się w bliskości.

Naczelnik Wódz dowiedział się o tej decyzji z depechy Komendanta Głównego.

Nie otrzymałem jednak żadnych nowych instrukcji do przekazania w Warszawie i w ciągu następnych dziesięciu dni oczekiwania na ziemi włoskiej na odlot do kraju nie zobaczyłem już gen. Sosnkowskiego.

## 2

Wkrótce po moim zameldowaniu się w polskiej „Bazie” we Włoszech nastąpiła odprawa, na której objaśniono mi wszystkie szczegóły „operacji Whitehorn” czyli „Mostu”. Oprócz mnie lecicie miało do Polski jeszcze trzech innych skoczków.

— Proszę dokładnie zapamiętać to miejsce — mówił por. Dybowski wskazując je na olbrzymiej mapie, która zajmowała całą ścianę pokoju operacyjnego.

Wszystkie nasze spojrzenia spotkały się we wskazanym punkcie, położonym opodal ujścia Dunajca do Wisły. Tu właśnie znajdowało się nasze lądowisko.

— Radzę dobrze zapamiętać odległość, drogę do najbliższej stacji i najbliższego większego miasta. Nigdy nic nie wiadomo. Może tak się złożyć, że obraz tej mapy w pamięci będzie waszym jednym przewodnikiem.

— Cała operacja — mówił dalej — od chwili wylądowania na ziemi do momentu startu z wylądowaniem i załadowaniem ludzi i sprzętu nie może zająć więcej czasu jak 6 minut. Tak było za poprzednim razem.

— Pan, panie poruczniku — mówił zwracając się do mnie — jako komendant ekipy będzie do spółki z nawigatorem odpowiedzialny za kolejność załadowania.

— Na pierwszym miejscu bagaż — powiedział z naciskiem i popatrzył na mnie znacząco. — Na drugim — ekspert, na trzecim — „Brzoza”, na czwartym — „Tomasz”, ostatni „Celt”. Jeżeli z jakichkolwiek powodów maszyna nie będzie mogła zabrać całego ładunku należy zabierać ludzi w tej kolejności.

Z tego co wiedziałem, nie trudno było domyśleć się, że tajemniczy bagaż zawierał części „neue Waffe”, która spadała w Sarnakach. „Tomaszem” był mianowany właśnie następcą Prezydenta R. P. — Tomasz Arciszewski. Ale kim u licha był ów

„Brzoza”,\*) który wprawdzie ustępował pierwszeństwa częściom „V. 2” i ekspertowi, lecz zajmował w kolejności miejsce przed Tomaszem Arciszewskim.

— W jakim czasie można się spodziewać odlotu — rzucił ktoś z naszej czwórki.

— Równie dobrze jutro jak za miesiąc. Wszystko zależy od pogody. Jeżeli nad Bałkanami jest pogoda, to za Karpatami pada deszcz, albo na odwrót, jeżeli jest w końcu ładnie we Włoszech, nad Bałkanami i w Polsce to lądowisko jest mokre po wczorajszym deszczu. I tak w kółko. Aż w końcu pewnego dnia pogoda jest piękna na całej trasie, lądowisko suche, na miejscu powietrze „czyste”, zapach Niemców za blisko nie załatuje i wtedy lecicie.

— Cała procedura jest dziecinnie prosta — objaśnił dalej Dybowski. Rano o 10-tej dostajemy komunikat meteorologiczny od Anglików, że wszystko jest „O.K.”. O 12-tej radiostacja „Mostu” daje sygnał przyjęcia. Jeśli powtórzmy go o 5-tej po południu, możecie szykować się do drogi. O 8-ej samolot idzie w powietrze, a my depeszujemy o odlocie. Dla pewności BBC z Londynu nadaje umówioną melodię. Po północy powinniście być na miejscu. Wtedy oni dają nam znać, że maszyna wystartowała, a my w parę godzin później, że przyszła z powrotem w porządku. Na tym kończy się cała historia.

Dostaliśmy hasła i adresy melin w Warszawie. Z chwilą przybycia do Polski nasze cichociemne drogi rozchodziły się. Naprzód parami jak w walcu figurowym: Wolniak i Starzyński w lewo na Elektorálną, Bilski i ja na prawo na Hożą, a później pojedynczo każdy do swojej roboty.

Zaczęły się teraz denerwujące dni oczekiwania. Jeżeli komunikat meteorologiczny był dobry, czekało się w napięciu nadejścia godziny dwunastej. Telegrafista „Mostu” w kraju nie był gadatliwy i rzadko dawał się sprowokować wołaniom Bazy. Nie chciał po prostu ściągać niebezpieczeństwa na głowę sobie i innym. Tylko od czasu do czasu chwytął za klucz i nadawał w powietrze kilka sygnałów potwierdzając, że jest, że żyje i czuwa. Telegrafista na Bazie oceniali, że musi to być człowiek „bez nerw”, który pracuje wolno, ale dobrze. Drogi cichociemnych krzyżują się czasem w podziemiu i tak też było z tym telegrafistą. Okazało się, że był nim skoczek „Gapa”. Spotkałem go w pół roku później pod Opocznem, gdzie szykowaliśmy się do czwartego „Mostu”, który niestety nie doszedł do skutku.

Nasz tryb życia stawał się monotony i denerwujący. Po złożeniu wizyty w pokoju operacyjnym i usłyszeniu nieodmiennie tych samych słów: „dziś nic nie będzie”, maszerowałem do sąsiedniej willi na wiadomości radiowe. Wypadki rozwijały się z nadzwyczajną szybkością. Londyn niemal codziennie nadawał

\*) Okazało się później, że był nim p. Retinger.

nowe sensacje. Walec rosyjski toczył się caraz prędzej w kierunku Warszawy. Z niepokojem patrzyłem na czerwoną nitkę frontu na mapie w pokoju operacyjnym. Co dzień przesuвано ją bliżej i bliżej na zachód w kierunku miejsca, gdzie miało nastąpić lądowanie.

Wiadomość o zamachu na Hitlera stworzyła na Bazie taką atmosferę, jak gdyby wojna skończyć się miała w ciągu kilku dni. Rosjanie zajęli Wilno, Chełm, Lublin i zbliżali się do Lwowa i Warszawy. Odległość frontu w linii prostej od naszego lądowiska wynosiła już nie więcej jak 150 kilometrów. Spadła na nas wówczas jeszcze jedna wiadomość: Moskwa ogłosiła w dniu 23 lipca o utworzeniu Komitetu Wyzwolenia. Dalszy kierunek wypadków politycznych w kraju zarysował się z tą chwilą z całą wyrazistością. W tym środowisku ludzkim jakim była Baza polska we Włoszech, ta ostatnia wiadomość wywołała szczególnie głębokie wrażenie. Stąd w każdą pogodną noc wylatywali nad Polskę nasi lotnicy, tu ponad stu ludzi oczekiwało na skok do kraju.

W sercach budzą się zwykle ludzkie wątpliwości. W oczach czyta się pytanie, którego nikt nie stawia głośno. Co za sens? Czy jest po co skakać, latać, zrzucić broń, nastawiać karku, czy jest sens, by nasi krwawili się pod Anconą, gdy Rosjanie zajmują dziś i zabierają Wilno i Lwów i jutro zajmą Warszawę i zabiorą niepodległość.

Każdy z nas chyba musiał wtedy stawiać sobie takie pytania i każdy szukał na nie odpowiedzi. A znaleźć właściwą odpowiedź i drogę wyjścia było równie trudno tym, którzy stali u steru jak i szarym ludziom na dole. Łatwo jest krytykować i ferować sądy o przeszłości. Wtedy — każda decyzja była zła.

Szukając rozwiązania tych dręczących wątpliwości znajdowałem je sam dla siebie w myśli, że przecież chodzi w tej walce nie tylko o nasze życie narodowe i indywidualne, ale o s t y l tego życia. Może to jest wadą Polaków, a może i zaletą, że czasami piękność tego stylu przedkładamy ponad samo życie. Gdybyśmy jednak w naszej niebezpiecznej sytuacji geograficznej chcieli żyć tylko życiem bezpiecznym i spokojnym bez względu na ten styl, jedni z nas już dziś myśleliby po rosyjsku — drudzy po niemiecku.

W dniu 24-go lipca rano komunikat meteorologiczny zapowiada piękną pogodę nad całą Europą południowo-wschodnią. Czekamy z napięciem do godziny dwunastej na oczekiwany głos z kraju. Radiostacja „mostu” nadaje wreszcie sygnał gotowości. Wydaje nam się wszystkim, że to już dziś.

O godzinie piątej po południu z kraju nadchodzi odwołanie operacji. Tej nocy mają się odbyć tylko loty ze zrzutami broni.

Major Jaźwiński zabiera mnie na lotnisko w Brindisi, skąd startują nasze Halifaxy i Liberatorzy lecące nad Polskę. Niebo nad lotniskiem roi się od maszyn. W dzień pogodny jak teraz startuje ich ponad sto, a może i więcej, wioząc broni i ludzi

do północnych Włoch, Grecji, Albanii, Jugosławii i Polski. Jeden samolot za drugim podchodzi do startu i wzbija się w powietrze w odstępach co pół minuty.

W porównaniu z ilością maszyn, które lecą nad Bałkany i do Włoch północnych, sześć polskich samolotów stanowi zespół niewielki. Major Jaźwiński narzeka na niewystarczającą ilość załóg i samolotów. A załogi to stare i wysłużone. Większość lotników odbywa już swoją trzecią „kolejkę” lotów. Stare wygi — widać to z ich oblicza.

Gawędząc z nimi wtedy na lotnisku w Brindisi, nie przypuszczałem, że za dwa tygodnie zobaczę ich znowu w bezprzykładnej szarzy powietrznej nad powstańczą Warszawą. Stały mi przed oczyma ich twarze, gdy nad dachami Starówki, Śródmieścia i Mokotowa przelatywały olbrzymie skrzydlaste cienie Liberatorów i Halifaxów wśród piekielnego jazgotu niemieckiego ognia. Dla większości, ten moment kiedy zrzucali nam broń i amunicję na Plac Napoleona, Krasińskich, Trzech Krzyży był ostatnią chwilą w ich życiu. Zginęli prawie wszyscy. Wiele maszyn paliło się już w powietrzu, nad samym miastem, ciągnąc za sobą długą smugę dymu i ognia.

Wtedy jednak, gdy rozmawialiśmy na lotnisku w Brindisi nie przeczuwali jeszcze swego bliskiego przeznaczenia. Owszem, lubili loty nad Polską. Jeśli nie można być w kraju, to przynajmniej chociaż nad nim polatać. W porównaniu z wyprawami nad Berlin, albo nad Ruhrą, te loty wydawały im się szkolną wycieczką krajoznawczą.

Czekaliśmy na lotnisku do momentu, gdy ostatnia maszyna uniosła się w powietrze. Towarzyszący nam Anglicy zaprosili nas na kolację do pobliskiego klubu oficerskiego.

W klubie, u wejścia do sali jadalnej wisiał surowy napis: „Oficerowie, którzy po godzinie 6-tej przyjdą do klubu w shortach nie będą obsługiwani”.

Powstała kłopotliwa sytuacja. Właśnie ja jeden z całego towarzystwa nie będąc przygotowany na to zaproszenie miałem na sobie shorty. Anglicy próbowali wziąć mnie między siebie i przemycić niepostrzeżenie do wielkiego stołu w roku sali, którego długi obrus zwisający aż do ziemi mógłby ukryć nagość moich łydek.

Maitre d'hotel wyrósł natychmiast jak spod ziemi.

— Panowie — oświadczył — gentelman jest w shortach. Jestem „extremely sorry”, ale nie będę mógł podać obiadu.

Czułem, że dobrą kolację należy uznać za bezpowrotnie straconą.

Pułkownik Morgan próbował wdać się na boku w pertraktację z „maitre d'hotelem”, po czym obaj znikli.

W ogromnym pośpiechu konsumowałem „hors d'œuvres” oczekując, że lada chwila zostanie wyrzucony za drzwi. Zdążyłem już dobrać do deseru, gdy płk. Morgan wrócił z wyrazem triumfu na twarzy.

Sprawa oparła się o komendanta miasta — obwieścił — który gotów jest pożyczyć panu na dzisiejszy wieczór własne spodnie. Zechce pan udać się ze mną do niego.

Przerwałem rozpoczęty deser i poszedłem o kilka ulic dalej do komendy miasta. Uprzejmy „town mayor” okazał się człowiekiem, przy którym Napoleon wydawałby się ogromnym mężczyzną. Wróciłem na salę w „długich” spodniach sięgających nieco poniżej kolan. Optycznie biorąc różnica była niewielka, ale formalności stało się zadość i gospodarze wieczoru mieli miny zadowolone i sumienia spokojne, a ja otrzymałem lekcję poglądową poszanowania angielskich zwyczajów towarzyskich.

Następnego dnia komunikat meteorologiczny znowu zapowiadał piękną pogodę. Przyjąłem to obojętnie, nastawiając się z góry na to, że wieczorem wyjdą z tego nici tak jak wczoraj.

Właśnie w tym samym dniu kierownik „mostu” w Polsce, niejaki „Włodek” miał nielada orzech do zgrzyzenia. W miarę zbliżania się frontu teren nasyczał się coraz bardziej cofającymi się jednostkami wojska niemieckiego. Sytuacja była trudna a utrzymanie całego aparatu liczącego ponad stu ludzi, który miał za zadanie przyjęcie i osłonę „mostu” stawało się w tych warunkach rzeczą coraz bardziej niebezpieczną.

Łądowanie Dakoty mogło się odbywać tylko na trzyletniej koniczynie, która zapewniała ziemi odpowiednią twardość. Nie każde pole odpowiadało wszystkim skomplikowanym wymaganiom i nie dziwno, że wybór Niemców, szukających polowego lotniska dla swoich samolotów kurierskich i myśliwców padł właśnie na to samo miejsce, które miało służyć za lądowisko naszej Dakocie.

I oto pewnego poranka — 25 lipca — dwa niemieckie Storchy usiadły sobie najspokojniej w świecie na oczach Włodka na „jego” lądowisku. Przy tym złożyło się tak właśnie, że tego dnia pogoda we wszystkich trzech strefach nad Włochami, Bałkanami i Polską była idealna, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Wypuszczenie z ręki takiej okazji mogło oznaczać, że „most” w ogóle do skutku nie dojdzie. W tej sytuacji Włodek musiał pobrać szybką i trudną decyzję. Wychodząc ze słusznego założenia, że Niemcy nie będą ryzykowali pozostawienia samolotów na noc w polu, w bezpośredniej bliskości lasów, zdecydował się nadać sygnał przyjęcia, mając na lądowisku dwa niemieckie Storchy a we wsi oddalonej o tysiąc metrów oddział niemieckich czółgów.

Sygnał przyjęcia nadany o 12-tej w południe powtórzony został o piętej. W godzinę później jechaliśmy w „jeepach” na lotnisko. Tu cała nasza czwórka — wciąż jeszcze występująca w mundurach wojskowych, znikła na chwilę w namiocie, z którego po jakimś czasie wyłoniło się czterech tajemniczych „dzemsów” po cywilnemu, z kieszeniami powypychanymi olbrzymimi rewolwerami i najróżniejszymi przedmiotami. Całość robiła nader podejrzaną wrażenie.

Start odbył się punktualnie co do minuty, o godzinie ósmej wieczorem. Na ziemi żegnali nas oficerowie z Bazy i Anglicy, a w powietrzu żegnały nas Włochy cudownym widokiem swego wybrzeża, skapanego w promieniach wieczornego słońca i obramowanego błękitem Adriatyku.

Samolot zakreślił szerokie koło nad miastem i portem, po czym wziął kurs na północny-wschód.

Różne myśli ogarnęły mnie w tym momencie. Przypomniałem sobie noc na Dworcu Wschodnim w dniu wyjazdu z Warszawy. Mżył kapuśniak. Czekałem na peronie w tłumie niemieckich żołnierzy jadących na urlop z frontu wschodniego. W pewnym momencie zaczęły wyć syreny na alarm. Warszawa znała już te alarmy lotnicze bez bomb, wiedziała co one znaczą. Daleko czy blisko nieznany towarzysz z Anglii przybywa do kraju w tym momencie, gdy ja się z nim rozstaję. Jeden odchodził, drugi przychodził i tak zamykało się to koło, dla którego kraj i Warszawa była celem i punktem wyjścia jednocześnie.

Dziś to koło zamykało się znowu. Kończyłem swoją wędrówkę z Warszawy do Warszawy, która rozpoczynała się dla mnie wtedy, w deszczową, jesienną noc na Dworcu Wschodnim.

Zapałał już mrok, gdy nadlecieliśmy nad Jugosławię. Z gór ciemniejących tam w dole, pod nami, zaczęły nas wołać migotliwe, niespokojne światła reflektorów i ognisk. Placówki partyzanckie czekały na odbiór broni. Nigdy nie przepuszczałem, że mogło być ich aż tak dużo. Z góry, te znaki i wołania dziwnie tajemniczo robiły wrażenie. Kocioł bałkański kipiał tej nocy życiem i walką.

W kabinie zaczęło się dawać we znaki przejmujące zimno. Sięgnęliśmy do termosów z gorącą herbatą. Bilski i Wolniak milczeli. Ja wdałem się w pogawędkę ze Starzyńskim, którą ze względu na huk motorów prowadziliśmy trąbiąc jeden drugiemu w ucho.

Może to było nad Lublaną, a może nad jeziorem Balaton, gdy z ziemi zaczęły iść w naszym kierunku świetlne pociski, przypominające żarzące się kielbaski. Można było obserwować jak biegną ku nam, i kończą swoją drogę w powietrzu gwałtownym błyskiem. Smugi reflektorów zaczęły się ślizgać po niebie. Dakota zrobiła kilka uników, zakołysała się lekko w prawo i w lewo i popłynęła dalej nie przejmując się zbytnio.

Pomyślałem jak bardzo względne jest poczucie niebezpieczeństwa. Nasza Dakota była zupełnie nieuzbrojona i miała bardzo małą szybkość. Wybrano ją do „siadanych” operacji tylko ze względu na jej wyjątkowo krótki start. Wobec myśliwca była bezbronna jak dziecko. Każde spotkanie z nieprzyjacielem w powietrzu było dla niej śmiertelne. Łądowanie w nocy, w polu, na terenie okupowanym przez nieprzyjaciela należało zapewne do przedsięwzięć nie wiele mniej ryzykownych aniżeli skok z bombowca. A jednak nie odczuwałem zupełnie tego nie-



dającego się opisać zwierzęcego uczucia strachu, które przeżywałem przed każdym skokiem ćwiczebnym w Anglii, kiedy obiektywnie biorąc niebezpieczeństwo było bez porównania mniejsze aniżeli na przykład przy przekraczaniu z nielegalnymi papierami strzeżonej przez Gestapo granicy w Kutnie albo w Nowym Dworze.

Rozmyślania te przerwał nawigator — jedyny Polak wśród załogi, który wszedł właśnie do naszej kabiny.

— Szykować się — oznajmił nam — jesteśmy już po północnej stronie Karpat w Polsce. Ze względu na równowagę maszyny w czasie lądowania wszyscy czterej musicie umieścić się z przodu na tych oto beczkach z benzyną.

Spojrzeliśmy z respektem na cztery ogromne beczki.

— W razie fajerwerku, można sobie dziury w nowych spodniach wypalić — mruknąłem pod nosem.

Pod nami wiła się wąska wstążka Dunajca. Znowu jakieś mocne światło zaczęło wołać nas z dołu. To już tu? Nie, lecimy dalej. W ciągu półgodziny mijamy jeszcze dwie czy trzy czuwające w dole placówki. Z dala przed nami zapala się wreszcie długi, nieforemny prostokąt, a obok niego wielka świetlna strzała wskazuje kierunek wiatru. To już na pewno nasze lądowisko.

Ze środka prostokątu silny reflektor wysłał w naszym kierunku literę alfabetem Morse'a — literę „D”. Dakota nadaje literę „A”. światłami policyjnymi na obu skrzydłach, zatacza ogromne kołisko nad całą okolicę i podchodzi do lądowania.

Spod obu skrzydeł maszyny buchnęły snopy oślepiającego światła dwóch reflektorów.

Siadamy posłusznie na beczkach z benzyną i czekamy w napięciu na moment spotkania z ziemią. W tej samej chwili dzieje się coś dziwnego. Samolot wytraca już szybkość, wydaje się, że już, już dotknąć ma gruntu i oto nagle w ostatniej chwili pilot daje pełen gaz i całą siłą motorów usiłuje znowu wyciągnąć maszynę w górę. Reflektory gasną. Ciemna linia lasu i wierzchołki drzew migają tuż pod skrzydłami. Jesteśmy znowu w powietrzu, znowu zakreśliłyśmy krąg nad lądowiskiem. Ci na dole najwidoczniej denerwują się i światło sygnalizacyjne zaczyna coraz szybciej migać. Prawdopodobnie reflektory oślepiły pilota, który stracił przez to z oczu blade światła stojennych lamp, znaczące granice lądowiska. W ostatniej chwili zorientował się, że leci prosto na ścianę lasu i zdołał jeszcze wyciągnąć maszynę w górę.

Podchodzimy drugi raz do lądowania. Tym razem wszystko odbywa się szczęśliwie. Czujemy dosyć mocny wstrząs, Dakota sunie chwilę po ziemi. Do kabiny wpada nawigator i wywala drzwi.

Osiemnaście ciężkich waliz ze sprzętem wyrzucamy z samolotu w ciągu kilkunastu sekund! Z zewnątrz dochodzi zgiełk, głosy komend i nawoływań ludzi krzyczących jeden przez dru-

giego. Samolot otaczają chłopcy na bosaka, uzbrojeni w karabiny, rozpylacze, błyskawice, steny. W tym samym momencie, kiedy chciałem zeskoczyć na ziemię, ktoś podcina mi nogi i kilka par twardych, chłopskich rąk unosi mnie w powietrzu. Rozstaje się w tym momencie na zawsze z nowiutkim kapeluszem, który dostałem w „Szóstce” na Upper Belgrave Street przed wyjazdem z Londynu, a który teraz polski wiatr zdejmuje mi z głowy na powitanie. Przed oczyma miga mi siwa bródka czarno ubranego, starszego pana i w tej samej chwili przypominam sobie, że mam przecież pilnować kolejności załadowania. Próbuję coś mówić i oponować, ale mój głos ginie beznadziejnie w ogólnym zgiełku i wrzasku. Pozwalają mi wreszcie stanąć na własnych nogach, kiedy jesteśmy już co najmniej o 100 kroków od samolotu. Oglądam się za innymi. Jesteśmy w komplecie. Każą nam biec przez łąkę w kierunku dwóch chłopskich furmanek, czekających na skraju lasu. Przed chwilą straciłem kapelusz, teraz o mały włos byłbym zostawił oba buty w rowie z wodą, w który wpadam w ciemności grzęznąc po kostki w błocie.

Jesteśmy wreszcie na wozach chłopskich i mogę zebrać myśli. Patrząc z niepokojem na zegarek — sześć minut przeznaczonych na lądowanie, wyładowanie i start już minęło. Dakota ani na chwilę nie gasi motorów. Ich warkot rozlega się wśród nocnej ciszy niczym grzmot, który postawiłby na nogi wszystkich zmarłych w dniu Sądu Ostatecznego, a obecnie na powietrno zbudził wszystkich Niemców w promieniu co najmniej kilku kilometrów. Mija dziesięć i piętnaście minut. Zaczynamy denerwować się na serio. Motory wreszcie stają, Dakota najwidoczniej nie może wystartować.

Przyczyna była prosta. Koła samolotu ugrzęzły do połowy w ziemi, zbyt miękkiej po niedawnym deszczu. Załoga i chłopcy próbowali daremnie ruszyć maszynę z miejsca. Pilot zamienił kilka słów z pozostałymi członkami załogi i zdecydował: podlewać koła benzyną, wszystkich ludzi na bok — będziemy palić maszynę!

Rozkaz padł po angielsku i chłopcy zrozumieli go dopiero wtedy, gdy załoga wyciągnęła baki z benzyną i zaczęła polewać koła. Poniosły się głosy protestu. Za pośrednictwem nawigatora — Polaka, Włodek zaczął energicznie tłumaczyć, że pozostaje jeszcze jeden sposób: podkopać koła, jeśli są narzędzia w samolocie, a jeśli ich nie ma, wyciągnąć spod nich ziemię gołymi rękami.

Czas płynął, ustał wprawdzie hałas motorów, ale głosy i nawoływania ludzkie niosło daleko po nocnej rosie. Gdzieś za lasem padło kilka pojedynczych strzałów karabinowych. Nasz wóznicza z prawdziwie chłopską flegmą zaczął objaśniać sytuację:

— Tam za lasem — wskazał batem kierunek — stoją we wiosce szkopy. Przyšli wczoraj rano, to pewno pójda dalej o świtanu. Będzie z 10 czołgów i kupa samochodów, ino bardzo zmęczone i ducha nie mają, bo ich tera ruski bije to i nie bedom po nocy w lesie rezykować. Gorsze, że nasze chłopaki tam za la-

sem mają powiedziane, że tylko do pierwszej w nocy wartują, a później mogą sobie iść.

Na domiar złego, gdzieś nad naszymi głowami zaczął kołować samolot. Może to któryś z naszych Halifaxów wracał, a może niemiecka maszyna nas wypatrzyła?

Na wszelki wypadek sprawdziłem czy pistolet odbezpieczony. Na rozum biorąc starcia z Niemcami należało oczekiwać lada chwila.

Tymczasem Dakota zapuściła znowu motory i próbowała ruszyć, wypuszczając znowu spod skrzydeł dwa snopy światła, które przecinając ostro ciemności sięgały chyba aż po horyzont. Słuchaliśmy w napięciu warkotu motorów. Ruszy wreszcie, czy nie? Pojedziemy sami na naszych wózkach czy dołączą wysłannicy i załoga.

Niestety, po paru minutach motory stanęły znowu. Okazało się, że pod koła trzeba podłożyć deski.

Dochodziła już druga w nocy i z wyznaczonych sześciu minut zrobiło się już pięć kwadransów, kiedy motory zawarczały po raz trzeci i samolot wniósł się wreszcie w powietrze.

— Oby tylko dolecieli szczęśliwie — westchnął Bilski.

— Sporą część trasy będą musieli przelecieć nad Bałkanami już przy dziennym świetle.

Do wozu przyleciał zadyszany i podniecony, ale promieniejący Włodek. Ciężki miał dzień, ale grunt, że się wszystko udało.

Włodek i jeszcze jakiś inspektor z A. K. z Tarnowa byli jedy- nymi inteligentami wśród z górą setki chłopów. Poza tymi wy- jatkami cały „most” przeprowadzony był wyłącznie chłopskimi rękoma.

Włodek siedział z tyłu za nami na furze i usta mu się nie zamykały. Nerwy w nim się widocznie odpęrzyły i klekotał jak najęty, chociaż mało kto go słuchał.

Co za przeskok gwałtowny z jednego świata w drugi w ciągu tej nocy — myślałem. Jeszcze kilka godzin temu pędziliśmy jee- pem na lotnisku po asfalcie szosy, rozżarzonem w południo- wym włoskim słońcu. Przejeżdżaliśmy między dwoma rzędami palm nieruchomych, wyprostowanych jak na baczność. A teraz oto wlecemy się chłopskim wózkiem po piaszczystej, leśnej dro- dze. Las szumi, koła wozu nurzając się w piachu skrzypią sobie jakąś cichutką, monotonną melodię, a gałęzie kłaniają nam się na powitanie lekko i łagodnie.

Dniało już, kiedy niebieskie ściany zagrody chłopskiej zama- jaczyły przed nami poprzez zieleń sadu.

Na podwórku czekali gospodarze, a w chałupie na stole — chleb razowy, twaróg, mięso wieprzowe, kruche ciastka i prze- pyszny bimber. Gospodyni na widok naszej bosej eskorty uzbro- jonej w rozpylacze powtarzała sama do siebie pod nosem:

„Wojsko, wojsko, p o l s k i e wojsko!”

W parę godzin później żegnani na furach strzemiennym bim- brem odjechaliśmy w dalszą drogę do Brzeska.

O tej porze na wybrzeżu afrykańskim skrzyżowały się drogi dwu ludzi: — Stanisław Mikołajczyk, który tej samej nocy wy- startował z lotniska w Northold w drogę do Moskwy — spotkał w Rabacie Tomasza Arciszewskiego, udającego się z kraju do Londynu.

Jan NOWAK.

Już ukazał się Nr 3 miesięcznika

Ruchu Chrześcijańsko-Spolecznego

**UNIVERSUM**

zawierający m. in. artykuły Z. Abdanka, M. Brzezińskiego, Al. Janty, Dr J. Jasnowskiego, B. Kopia, R. Wragi, W. Zaleskiego i inn.

**Cena numeru (sprzedaż i prenumerata z przesyłką pocztową) w Anglii 1 sh. (Red. i adm. 17, Penywern Rd., London SW 5), w Niemczech 80 fen. (Red. i adm. Muenchen-Allach, Waldhornstr. 25).**

PRZEDSTAWICIELSTWA w innych krajach: **Argentyna**, Libreria Polaca, Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires; cena 1 pes.; **Belgia**, Librairie Polonaise en Belgique 42, rue Defacqz, Bruxelles. Cena 8 fr. b.; **Holandia**, Poolsch Aalmoezenier, Gasthuistr. 45, Heerlen (Limburg). Cena 80 cent. tylko w prenumeracie; **Kanada**, Polish Book and Newspapers Agency, 107, Givins str. Toronto, Ont. Cena 25 cent., z przesyłką lotniczą 70 cent.; **Stany Zjednoczone**, L. Dudarew-Ossetajski. «Wilno», Ventoura Boulevard, Agoura, P.O. Box 113, California, cena 25 centów, z przesyłką lotniczą 70 centów; **Szwajcaria**, «Pod Prąd», Fribourg 1, case postale 155, cena 60 rp.; **Włochy**, J. Grochowski, via della Croce 81/8, Roma, cena 80 lir.

Podane wyżej ceny dotyczą zarówno sprzedaży poszczególnych egzemplarzy, jak i prenumeraty z przesyłką pocztową. Czytelnicy z innych krajów proszeni są o przekazywanie należności do administracji w Londynie.

Na żądanie administracja w Londynie lub w Monachium wysyła bezpłatnie numery okazowe.

## Książki

### Prawdy i legendy dziejów narodu wybranego

Pod tytułem *Oblicze Matki* ukazała się w Szwajcarii po niemiecku nowa książka Zofii Kossak.<sup>\*)</sup> Napisana na zamówienie, stanowi ona tom drugi zbioru pt. *Orient und Okcident*, redagowanego przez ks. Franza Neuwirtha we Fryburgu, a wydawanego przez znany dziennik katolicki *Neue Züricher Nachrichten*.

Pani Zofia Kossak ma swój własny, wysoce oryginalny pogląd na dzieje Polski i ich ducha. Pamiętając ciągle o celu książki i czytelniku dla którego jest pisana, nie możemy niestety uważać tego za jej zaletę. Przeciwnie — z tego właśnie czynimy autorce największy zarzut. Poglądy autorki są może nawet bardziej oryginalne, niż pewnych polityków i publicystów, którzy obdarzyli nas na emigracji poprawkami historycznymi do dziejów ojczyźnych, napisanych przez historyków. Bardziej oryginalne, ale za to jeszcze mniej uzasadnione. Tamte przynajmniej przeznaczone są dla Polaków. W pracy, napisanej niemal wyłącznie i przede wszystkim dla obcych, wskazana była dużo większa ostrożność w formułowaniu sądów i w zasadniczym „rysunku” tego „oblicza Matki”, dużo bardziej należało się liczyć z ustaloną przez historyków interpretacją. Nie wydaje się nam celowe, nawet w myśl popularyzacji koniecznej z uwagi na przygotowanie przeciętnego czytelnika, powtarzanie pewnych wersji jakoby wyjętych z pełnych bajek „dziejów ojczyźnych dla klas niższych”, wydanych na początku tego wieku i dawno zakwestionowanych przez nowsze badania naukowe.

<sup>\*)</sup> Zofia Kossak: *Das Antlitz der Mutter*, Bilder und Gedanken zur Geschichte Polens. Aus dem polnischen Manuskript übersetzt von Alfred Loepfe, Buchreihe „Orient und Okcident”, herausgegeben von Franz Neuwirth, II. Band, Verlag der Neue Züricher Nachrichten, Zürich 1948, str. 178.

Gdzie istniały w nauce historii wersje sprzeczne, lepiej było sprawę pominąć, a w każdym razie, wybierając jedną z kilku wersji, zaznaczyć istnienie innych, wybór zaś krótko uzasadnić. Gdzie jest tylko jedna powszechnie przyjęta wersja, nie wolno było formułować własnej, zupełnie nowej i dowolnej z punktu widzenia naukowego. Autorka nie uniknęła błędu metodologicznego, jakim jest osądzanie pewnych faktów z przesłuchania ich z punktu widzenia poglądów dzisiejszych oraz przykładaniu do wydedukowanych ideałów, miast do otaczających ich ówczesnej rzeczywistości. Nie brak na koniec nawet wyraźnych błędów i omyłek, jakkolwiek dotyczą one jedynie drobniejszych szczegółów.

Ale największe zastrzeżenie budzi sama myśl przewodnia pracy, główny motyw dziejów Polski, przewijający się przez całą książkę i wyraźnie kilkakrotnie sformułowany. Oto zdaniem p. Kossak przeznaczeniem Polski, jej misją dziejową nie było być bynajmniej stanowić „przedmurze chrześcijaństwa”, ale być pomostem między Wschodem a Zachodem, związać Rosję i wschód europejski ze światem cywilizacji zachodniej przez nawrócenie Rosji na katolicyzm. Tej swojej misji Polska nie wypełniła i za to Bóg pokarał ją upadkiem i utratą niepodległości, wiekową męką niewoli i katastrofą ostatniej wojny. Naród Polski to — podobnie jak Naród Izraela — naród wybrany spośród wszystkich innych przez Opatrzność Wieczną dla spełnienia wielkiej misji. Skutkiem upadku wiary naród nasz tego od Boga przeznaczonego mu zadania nie spełnił i za to dotknął go gniew boży. W ujęciu Zofii Kossak życie religijne narodu polskiego było dominującym czynnikiem w jego dziejach, a wszystkie tak złożone elementy upadku Polski wprowadzone są do jednego źródła — upadku wiary. Historia Polski jest niewątpliwie powiązana najgłębiej z katolicyzmem. Nie czujemy się na siłach rozpatrywać i analizować tych powiązań — jest to praca ogromna, wymagająca nie tylko dużej znajomości dziejów ojczyźnych, ale i głębokich studiów specjalnych. Wydaje się jednak, iż takie ujęcie jest dużym uproszczeniem zagadnienia, jest niczym nieuzasadnionym sprowadzeniem złożonego zjawiska do jednej, jedynej przyczyny. Osobiście widzielibyśmy trudność w odpowiedzi na pytanie tak proste, jak to dlaczego upadek wiary, powszechny w Europie tego okresu, nie sprowadził nieszczęść na inne narody, w których upadek ten był na pewno większy, niż w narodzie polskim. W koncepcji autorki znajdziemy zapewne odpowiedź bez trudności, bo wszak nasz naród jest narodem wybranym. Ale jest to kwestia mistycznej wiary raczej, niż faktów historycznych. Nie widzimy natomiast żadnego sensu w takim właśnie przedstawieniu istoty naszych dziejów czytelnikowi zagranicznemu. Zapewne nie łatwo jest na użytek tego właśnie czytelnika wypośredkować prawdę o przyczynach upadku Polski historycznej, prawdę oscylującą między dwiema skrajnymi tezami — jedną zwalającą wszystko na rozkład wew-

nętrny Rzeczypospolitej, drugą szukającą przyczyn w spisku zaborczych sąsiadów. Ale wyjście z tego problemu, znalezione przez autorkę, wydaje nam się raczej szkodliwe i sprawie polskiej na świecie nie przynoszące żadnego pożytku.

Oczywiście p. Kossak nie pomija i innych przyczyn upadku Polski. Są to jednak w jej ujęciu raczej przyczyny pośrednie, których źródłem prawdziwym i głębokim jest upadek wiary w polskim społeczeństwie. Te inne przyczyny, to niesprawiedliwość społeczna, bieda i ucisk chłopów i mieszczan oraz anarchia polityczna. Pierwszy zwłaszcza problem podkreślony jest kilkakrotnie, co wytworzyć może w umyśle czytelnika obcego zupełnie fałszywy pogląd na tę stronę polskiej historii. Jest to jak gdyby spóźnione echo tak modnego na ten temat „samobiczowania, które przeżyliśmy w przełomowych latach 1945/1946. Sytuację chłopów w Polsce historycznej wolno rozpatrywać jedynie na tle ówczesnej epoki i stosując jako miarę porównawczą nie późniejsze zdobycze demokracji czy wskazania katolickie, ale sytuację jaka wówczas była udziałem tej warstwy w innych cywilizowanych państwach w ogólności, a u naszych sąsiadów w szczególności. Nie ma żadnych rozsądnych powodów, dla których moglibyśmy wymagać od naszych przodków, aby wyprzedzili świat cały o dwa wieki, o ile nie przyjmujemy tezy o narodzie wybranym, który miał szczególne zadania, a więc i szczególne obowiązki. Ponieważ jednak w poglądzie swym na tę zwłaszcza kwestię p. Kossak nie jest odosobniona, wypada w kilku bodaj zdaniach i w zakresie, w jakim możliwe to jest w skromnych ramach recenzji, z tezą tą podyskutować. Otóż sytuacja chłopów nie była w Polsce przedrozbiorowej gorsza, niż w innych państwach na zachodzie Europy. Przeciwnie — poddanie dawnych wolnych kmieci władzy patrymonialnej panów nastąpiło u nas później niż np. w Niemczech i we Francji, a historia tych dwu właśnie narodów zna dużo gorsze wypadki nadużyć i straszliwego ucisku chłopów, niż dzieje Polski. O Rosji zaś i nawet mówić nie warto. Historia nasza nie zna potwornych wojen chłopskich, jakie toczyły się na zachodzie, nie zna wypadków handlu ludźmi, co było ulubionym procederem panów niemieckich. Taki znawca naszych dziejów, jak Oswald Balzer stwierdził, że pańszczyzna nigdy nie osiągnęła u nas tych rozmiarów, co na zachodzie Europy. W XVIII w. szereg państw, sąsiadujących z Polską, podpisało traktaty, zobowiązujące do wydawania sobie nawzajem zbiegłych chłopów. Historyk austriacki Grünberg zaznacza, że Polska do traktatów tych nie przystąpiła, gdyż jej włóścianie nigdzie nie uciekali. Tenże sam wiek XVIII przynosi w Polsce pierwsze próby reform w kwestii chłopskiej, wcześniej niż w innych krajach; reformy zaś konstytucji 3-go Maja, choć tak niedoskonałe, wzbudziły niepokój w Rosji i Austrii. To samo dotyczy i mieszczaństwa. Jeszcze w w. XVI-tym, a nawet i XVII-tym mieszczaństwo polskie było stanem zamożnym. Upadek mieszczaństwa następuje już po upadku jego na zachodzie, gdzie wiek XVI przynosi ruinę sta-

nu mieszczańskiego w Niemczech. Nowe mieszczaństwo, wzbogacone i potężne, wyrasta na zachodzie dopiero w w. XIX, w epoce rozkwitu przemysłu fabrycznego tj. wtedy, gdy Polska już nie miała niepodległości. Szereg miast polskich zachował do końca istnienia historycznej Rzeczypospolitej swe prawa w zakresie spraw publicznych. Teza więc, że bieda i pozbawienie praw chłopów i mieszczan spowodowała m. in. upadek Polski i była wielkim grzechem polskiego narodu nie wytrzymuje krytyki. Dlaczegoż bowiem nie odbiło się to na dziejach Niemiec, Francji, a przede wszystkim Rosji? Zresztą, jeśli chodzi o mieszczaństwo, p. Kossak nie jest konsekwentna, gdyż równocześnie biada kilkakrotnie nad zażydzeniem miast polskich, oddaniem w ręce żydowskie całego handlu, przy czym ujmuje to aż tak krańcowo, że czytelnik może odnieść zupełnie fałszywe wrażenie, iż w ogóle mieszczaństwo polskie nie istniało i że cała warstwa mieszczańska była żydowska! Skoro jednak, wedle autorki, mieszczaństwo nie miało żadnego wpływu, handel i przemysł oraz rzemiosło były w zupełnym upadku, to czyż nie jest obojętne, kto je dzierżył? Zupełnie natomiast pomija p. Kossak szereg błędów w polityce polskiej (jak np. tak przez nią wychwalany marsz Sobieskiego pod Wiedniem), które może niewiele przyczyniły się do upadku Polski.

Ulegając modzie tak powszechnej dziś w kraju, a mającej zwolenników również i na emigracji, autorka zdecydowanie nie lubi Jagiellonów, ma natomiast słabość do Piastów. Zdaniem jej Jagiellonowie nigdy nie byli tak mocno związani z narodem polskim, jak Piastowie. Zarzuca im przede wszystkim prowadzenie własnej polityki dynastycznej i nieodzyskanie dla Polski ziem zachodnich. Jak gdyby zapomina o tym, że to właśnie Piastowie ziemię te utracili (a Piastowie śląscy zniemczyli się i wydali na zgermanizowanie swe księstwa) i że Jagiellonom zawdzięczamy złamanie potęgi krzyżackiej i pokojową granicę na zachodzie na przeciąg lat kilkuset! Szczegół ten nie byłby może sam przez się ważny i godny podkreślenia, gdyby nie okoliczność, iż łączy się on ze stosunkiem p. Kossak do marszu Polski na wschód i problemem rosyjskim w naszych dziejach, z których jakoś autorka nie umie sobie poradzić, mimo, że w niespełnieniu przez naród polski misji na wschodzie widzi przyczynę wszystkich klęsk. Zajęcie się wschodem spowodowało zdaniem jej definitywną utratę ziem zachodnich, a ponadto wpłynęło na zubożenie samej Polski. W rezultacie czuje się raczej negatywny stosunek do poczynań Polski na wschodzie, które były pewnego rodzaju oderwaniem się od przyrodzonej bazy narodu piastowskiego Polski właściwej. Jest w tym oczywiście brak konsekwencji. Problem rosyjski bowiem wszedł do dziejów Polski wraz z unią. Przyniesiony został niejako w posagu przez Litwę. Jakżeż bez unii i bez marszu ma wschód, na ziemię ruskie, które Polska wciągała w zasięg cywilizacji zachodniej, mogło w ogóle być możliwe spełnienie owej misji

dziejowej, zdobycie dla zachodu Rosji i nawrócenie jej na katolicyzm?

Wbrew powszechnej ustalonej przez historyków odpowiedzialności za niedojście do skutku unii polsko-rosyjskiej, która jak wiadomo obciąża przede wszystkim Zygmunta III, a następnie Jezuitów i rodzinę Potockich, p. Kossak przerzuca tę odpowiedzialność na cały naród polski. Było to zapewne potrzebne dla uzyskania podbudowy pod zasadniczą tezę o winie narodu wybranego za niespełnienie powierzonej mu przez Opatrzność misji dziejowej. Ale to twierdzenie należało udowodnić. Nie możemy uznać za dowód powołanie się na fakt, iż w tym czasie król już nic nie mógł bez sejmu. To król, a nie sejm utracił kandydaturę swego syna, królewicza Władysława na tron carów. Poza tym warunkiem unii ze strony Rosjan była „zachowanie świętej wiary prawosławnej”, a co za tym idzie i przyjęcie tej wiary przez cara Władysława. Zdaniem Bobrzyńskiego ta właśnie okoliczność, jak też i duża już w tym czasie tradycja odrębności państwowej Moskwy, nie wróżyły ewentualnej unii takiego powodzenia, jak unii polsko-litewsko-ruskiej. W konsekwencji Bobrzyński nie widzi błędu politycznego w odrzuceniu unii. Jakkolwiek zresztą zapatrywać się będziemy na to (teza Bobrzyńskiego może bowiem podlegać dyskusji), pozostaje faktem, że wersja p. Kossak jest fałszywa i pełna wewnętrznych sprzeczności. Jakże bowiem naród polski miał doprowadzić do unii i nawrócenia Rosji na katolicyzm, skoro właśnie pozostawienie prawosławia było głównym warunkiem unii a Zygmunt III rozbił ją, upierając się przy tym nawróceniu? Poza tym w sprowadzeniu przyczyn rozdziału Rosji od Europy do różnicy religijnej jest duże uproszczenie. Niewątpliwie religia prawosławna jest bardzo ważnym elementem tego rozdziału, ale nie mniej ważnym jest również dziedzictwo mongolskie. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że do rozbiorów Polski granica Europy były na wschodniej granicy Rzeczypospolitej, mimo różnicy religijnej, dzielącej mieszkańców ziem wschodnich od reszty Polski i świata zachodniego.

A w ogóle sprawa Rosji jest słabą stroną p. Kossak. O ile problem niemiecki w dziejach Polski jest doskonale przedstawiony i autorka zapoznaje czytelnika zarówno ze źródłami odwiecznego konfliktu dziejowego, jak z jego historią aż po ostatnią wojnę, okupację niemiecką i powstanie warszawskie, o tyle problem rosyjski jest jakby trochę stonowany wbrew oczywistości historycznej. Dotyczy to również, a raczej przede wszystkim ostatniego okresu. Autorka pisze o okupacji niemieckiej, ale nie wspomina o rosyjskiej. Pisze o upadku powstania warszawskiego, ale próżno szukalibyśmy wytłumaczenia dlaczego powstanie upadło! Wreszcie utratę ziem wschodnich tłumaczy p. Kossak tym, że na tych ziemiach byliśmy obcyi przybyszami i pozostaliśmy, z wyjątkiem Lwowa i Wilna, cienką warstwą Herrenvolku, panującą nad obcym i niczym z polskością nie związanym ludem. Wszystko to nie wydaje nam się słuszne,

a już w żadnym wypadku nie widzimy sensu w podawaniu takiej wersji czytelnikowi zagranicznemu. Przykro nam bardzo, że w tym miejscu musimy sformułować najostrożniejszy sąd, ale po prostu narzuca się stwierdzenie niemal braku poczucia odpowiedzialności.

Szereg jeszcze twierdzeń i sformułowań p. Kossak budzić może wątpliwości i nadaje się do dyskusji. Ograniczymy się jednak do sprostowania oczywistych błędów i omyłek. I tak Kazimierz Wielki nie był ostatnim z rodu, unia polsko-litewska była inicjatywą panów małopolskich, a nie Jagiełły, konstytucja 3-go Maja, wbrew zapewnieniom autorki, była właśnie zamachem stanu, a w każdym razie uchwalona została w sposób sprzeczny z obowiązującymi regulaminami przez zaskoczenie opozycji, kiedy to w czasie, gdy rozjechała się ona na wakacje świąteczne, nagle projekt uznano za wniosek i szybko uchwalono. Nie chcemy bynajmniej twierdzić, że trzeba było o tym pisać, ale w tym stanie rzeczy nie wolno było zapewniać czytelnika obcego, że konstytucja ta nie była zamachem stanu. Dalej sejm galicyjski nie wybierał wcale posłów do parlamentu wiedeńskiego; był to sejm krajowy, a wybory do parlamentu odbywały się osobno. Również, wbrew twierdzeniu autorki, car rosyjski żadnej deklaracji o odbudowaniu Polski po wybuchu wojny światowej nie składał. Deklarację, a raczej odezwę wydał nie car, ale generalissimus wojsk rosyjskich w. ks. Mikołaj Mikołajewicz, co pozbawiało ją jakiegokolwiek znaczenia prawnego, a ponadto nie zawierała ona bynajmniej obietnicy wskrzeszenia niepodległej Polski. Wreszcie błędem jest również używanie terminu „emigracja” w stosunku do Polaków, przebywających poza krajem w latach 1940 — 1945. O „emigracji” można mówić dopiero po roku 1945!

Nie można pominąć milczeniem jeszcze jednego osądu p. Kossak. Dotyczy on Piłsudskiego. Nie chodzi bynajmniej o ocenę Marszałka i jego polityki wewnętrznej. Ale p. Kossak pisze dosłownie: „jako Litwin z pochodzenia nie rozumiał on psychiki narodu polskiego”! Tak o Józefie Piłsudskim pisać naprawdę nie wypada. To niesłychane wprost twierdzenie upoważnia łańkowiec do użycia argumentu ad personam — zresztą poważnie z nim dyskutować nie można. O ile nas pamięć nie myli, Kossakowie są pochodzenia ruskiego i bodaj jeszcze kilka pokoleń temu byli prawosławnymi. Jakim prawem p. Kossak odmawia Piłsudskiemu, którego pochodzenie „litewskie” sięga jeszcze pierwszych Jagiellonów, zdolności zrozumienia polskiej psychiki, sobie implicate też zdolność przypisując? Przyjmując rozumowanie autorki, musielibyśmy z kolei odmówić jej kwalifikacji do pisania o polskiej duszy, a samym sobie — jako również „gente Rutheni” — warunków do pisania niniejszej recenzji! Cóż zresztą uważać dziś należy za właściwą „psychikę polską”, skoro przez wieki wlało się do krwi polskiej tyle litewskiej i ruskiej (że inne pominiemy), iż, wedle znawców przedmiotu,

od szeregu pokoleń za najbardziej typową i dominującą ucho-  
dzi u nas psychika polsko-ruskiej szlachty?

Na tym moglibyśmy właściwie zakończyć nasze rozważania, nie  
dotykając strony formalnej książki, gdyby nie chodziło o Zofię  
Kossak, o pozycję ustaloną, która już samym nazwiskiem opa-  
trza utwór stemplem zaufania do jego jakości, przynajmniej  
formalnej. Niestety, autorka nawet to zaufanie zachwiewa, nie  
przekonywując do swego talentu tą książką czytelnika przygod-  
nego, a rozczarowując wielbiciela. Trzy tylko bowiem rozdzia-  
ły noszą cechy charakterystyczne stylu p. Kossak — reszta (a  
jest ich z zakończeniem 18-cie) została z niewiadomych powo-  
dów osierocona, pozbawiona znaków rozpoznawczych rytmu, tak  
odmiennego u każdego pisarza.

Trudno dociec w czym leży przyczyna tej nierówności i draż-  
niącego dysonansu. Czy w temacie, który początkowo autorkę  
zainteresował i nagle zniechęcając, zwiódł na drogę, wytłocz-  
oną przez suchą i naiwną formę szkolnych podręczników? Czy  
kokieteryjne widzimisię wielkiej pisarki, która, raz wszedłszy na  
wyżyny, może sobie na wszystko pozwolić?

Co by jednak nie było powodem, stała się rzecz zła i ucierpiała na  
tym książka, czytelnik, a przede wszystkim lansowany przez p.  
Kossak slogan o narodzie wybranym. O ile bowiem pierwsze  
rozdziały miały dużą siłę sugestywną, następne zniszczyły ją  
całkowicie, odsłaniając naiwnie dreptający mistycyzm, godny  
bractwa św. Zyty. Z biegiem wieków i rozdziałów niewiele po-  
zostało z pięknie zaczętej baśni o Polsce, a „oblicze Matki”, pod-  
stawione pod światło wiary, zdeformowane zostało niestety przez  
pryzmat dewocji.

Nie łatwo jest powiedzieć coś o przekładzie na język niemiec-  
ki dra Alfreda Loepfe, nie znając polskiego rękopisu. Chyba  
jedynie to, że dając w pierwszych rozdziałach świetną próbkę  
stylu p. Kossak, znanego z innych jej utworów, gubi się w  
rozdziałach dalszych, podobnie jak autorka, co może mu być  
poczytane jedynie na korzyść, gdyż ukazuje cechę najbardziej  
charakteryzującą wytrawnego tłumacza, jaką jest umiejętność  
zachowania indywidualności stylu autora. Drobne zastrzeżenia  
może jedynie wzbudzić używanie określenia „Russland” na Ruś  
i „Russen” na Rusinów (słowo „Ruthenen” pojawia się nie wia-  
domo dlaczego dopiero w w. XIX przy sprawie Galicji wschod-  
niej) oraz słowa „Republik” na określenie historycznej Rzeczy-  
pospolitej. Polska bowiem ówczesna nie była republiką w po-  
wszechnym tego słowa użyciu, a struktura jej odpowiadała ra-  
czej angielskiemu „Commonwealth”. Toteż ostatnie publikacje  
w języku francuskim piszą: „La Rzeczpospolita” i termin ten  
powoli się przyjmuje. Należałoby coś podobnego wynaleźć dla  
nomenklatury w języku niemieckim.

Aleksander KORCZYŃSKI

i Janusz KUCHARSKI.

## Czyżby nowe prądy w literaturze kryminalnej?

Wiek dwudziesty przyniósł ze sobą nie tylko pędzące pociągi  
pośpieszne, samoloty przenoszące ludzi w rekordowym tempie  
z jednego miejsca kuli ziemskiej na drugie, nie tylko coraz szy-  
bsze i sprawniejsze środki wzajemnego mordowania się i nie  
tylko umiejętność przenoszenia głosów ludzkich i dźwięków na  
falach eteru. Przyniósł ze sobą także powieść kryminalną.

Gdzieś czytałem, że jakoby jednym z pierwszych dowodów za-  
chwiania równowagi psychicznej jest zanik poczucia czasu.  
Człowiek, który uległ wewnętrznemu wstrząsowi i którego wia-  
dze na skutek wstrząsu tego utracił chociażby chwilowo i czę-  
ściowo swą normalną prawidłowość w działaniu, żyje w kon-  
flikcie z czasem. Stopień i napięcie tego konfliktu jest różny,  
cecha jednak zasadnicza tego konfliktu — to ciągły pośpiech,  
to ciągle i nieodstępne uczucie zbyt powolnego toczenia się wy-  
darzeń, to niezadowolenie i niepokój wywołane tym uczuciem.  
Człowiek, którego równowaga psychiczna jest zachwiana śpieszy  
się nieustannie. Tak mówią przynajmniej psychiatrzy.

Nie potrafię powiedzieć czy psychiatrzy mają rację, wiem jed-  
nak, że w wieku dwudziestym cały świat ogarnięty jest gorączką  
nieustannego pośpiechu. W wieku dwudziestym ludzie są pod-  
rażnieni i nerwowi, bo wydaje im się, że pociągi idą jeszcze  
zbyt wolno, że samoloty nie poruszają się dostatecznie szybko  
i wypadki polityczne w swym rozwoju mają ślimaczą i ospałą  
powolność. Cały świat żyje w konflikcie z czasem. Przyczyn tego  
konfliktu szukać zapewne należy w skomplikowanych i złożo-  
nych zjawiskach, ich ustalenie wymagałoby bez wątpienia ob-  
szernego studium. Nie myślę się jednak — mam wrażenie —  
stwierdzając, że zjawisko trwania naszej epoki w pewnym nie-  
porozumieniu z czasem ma charakter ogólny i powszechny. Tak  
ogólny i powszechny, że wychodzi poza dziedzinę wyścigu tech-  
nicznego, że rozrasta się i obejmuje całokształt naszych dążeń  
i że materializuje się nie tylko w pragnieniu posiadania goto-  
wych ubrań, elektrycznych maszynek do mielenia kawy i auto-  
matycznie podnoszących się i opadających łud od samochodów.  
Materializuje się także w literaturze.

W literaturze niepokój wywołany zachwianym poczuciem czasu dał powieść kryminalną i dał zawrotnie popularne obecnie w Ameryce tak zwane „comic strip”, które wychodząc w książkach, osiągają nakłady 60 milionów egzemplarzy. Nie chciałbym rozpisywać się dłużej nad stwierdzeniem tym, które wydaje mi się dosyć oczywiste. Pragnąłbym tylko przypomnieć, że zachwiane poczucie czasu dąży przede wszystkim do maksymalnej oszczędności tego czasu z jednej strony, do jego skondensowania i sprężenia, z drugiej zaś do zapomnienia o jego istnieniu. Cóż bowiem może być bardziej irytującego dla człowieka, który niecierpliwi się — jak powolne posuwanie się wskazówek zegarka. Konflikt z czasem wyraża się więc w niechęci do każdego wysiłku (intelektualnego także) i w dążeniu i umiejętności przenoszenia się w inny świat. Oba te postulaty realizują i powieść kryminalną i comic stripy. Tym tłumaczyć należy ich nieprawdopodobną popularność i tym tłumaczyć należy fakt, że znalazły się one w ślepym zaułku.

Najpierw kilka pobieżnych uwag o powieści kryminalnej.

Stworzony przez Conan Doyle schemat powieści kryminalnej i jej założenia są niezmiernie proste. Istota powieści tej na tej prostocie jest oparta, w niej tkwi. Dokonano więc gdzieś jakiegś zbrodni, którą oglądamy z jednego tylko punktu widzenia — z punktu widzenia intrygującej i tajemniczej zagadki — kto zbrodnię tę mógł popełnić. Wszystkie inne aspekty zbrodni, jej znaczenie moralne, humanitarne, psychologiczne są skrupulatnie pominięte. Cała uwaga autora i w konsekwencji czytelników skupiona jest na pasjonującej grze wykrycia zbrodniarza, na wysiłku odcyfrowania więcej lub mniej zawilej szarady. Grę tę z jednej strony prowadzi przebiegły i maskujący się zbrodniarz, z drugiej strony równie przebiegły, planujący w sferach niedostępnej dla zwykłego śmiertelnika spozostawczości, nieśmiertelny i niewrażliwy na niebezpieczeństwa nadczołwiek, który czasami nazywa się Sherlock Holmes, czasami Rouletabille, a jeszcze gdzie indziej Hercule Poirot. Gra między tymi dwiema przebiegłościami musi być absorbująca, pochłaniająca, pełna nieoczekiwanych wydarzeń i niebezpieczeństw i prowadzi nieuniknienie do zwycięstwa nadczołwieka. Oto schemat powieści kryminalnej. A jej założenia, to wywołanie w czytelniku jak największego i jak najbardziej prymitywnego napięcia, dążenie do całkowitego skoncentrowania uwagi jego na wątku i szybko toczącym się biegu akcji i odwrócenie uwagi od wszystkich braków takiego schematu i takich założeń. Taki schemat bowiem i założenia prowadzą z konieczności autora do ślizgania się po powierzchni wszystkich zagadnień i do wysiłku kumulowania niesamowitości i najbardziej nieprawdopodobnych wydarzeń. Jest to w swoim rodzaju wyścig techniczny. W konsekwencji jako jedyne kryterium tak zwanej dobrej powieści kryminalnej zarysowuje się umiejętność trzymania czytelnika w szachu do ostatniej strony, umiejętność zakonspirowania zbrodniarza i utrudnienia jego wykrycia. Inne kryteria byłyby śmieszne i za-

bawnie nie na miejscu. Im przebieg zbrodni jest bardziej za-  
wiły, im proces ustalania kto zbrodnię tę popełnił zawiera wię-  
cej pełnych emocji wydarzeń tym łatwiej o książkę takiej mó-  
wimy, że jest interesująca i dobrze napisana. Bo dzięki temu,  
że autor ślizga się po powierzchni zagadnień, a także dzięki we-  
wnętrznemu przekonaniu o nieuchronnym zwycięstwie nadczoł-  
wieka, wszelki wysiłek z naszej strony jest wyeliminowany, da-  
lej zaś dzięki całkowicie absorbującej nas akcji następuje nader  
łatwe zanurzenie się nasze w innym świecie. Czytając powieść  
kryminalną, dokonywujemy maksymalnej oszczędności wszel-  
kiego wysiłku z naszej strony i zapominamy o zbyt powolnie po-  
ruszających się wskazówkach zegarka.

Nic też dziwnego, że przy tych założeniach powieść krymina-  
lna znalazła się w ślepym zaułku. Od czasów bowiem Conan  
Doyle aż do rozchwytywanych obecnie książek Agathy Christie,  
Filipa Oppenheima, czy Charlotte Armstrong, powieść ta nie  
posunęła się o krok naprzód. Drepcze w miejscu. I wydaje się,  
że wyżej wspomnane założenia wszelki krok naprzód unemo-  
żliwiają.

Wrażenie jednak, że założenia powieści kryminalnej unemo-  
żliwiają jej rozwój okazać się może na szczęście pozorne i pra-  
wdziwe tylko w stosunku do nie wszystkich. Przekonania tego  
nabrałem po przeczytaniu książki Stefana Kisielewskiego pod  
tytułem „Zbrodnia w dzielnicy Północnej”.\*)

Książka Kisielewskiego ma wszystkie cechy zasadnicze, narzu-  
cone klasycznym schematem powieści kryminalnej. Mamy więc  
tajemniczą zbrodnię, której ofiarą pada, zdawałoby się, odsu-  
nięty od życia, samotny i pogrążony w badaniach naukowych  
prof. Galard, mamy gwiazdę policji śledczej komisarza Gromela,  
który z oddaniem, narażaniem własnego życia i bezinteresowną  
pasją zagadkę coraz bardziej komplikujących się przyczyn tej  
zbrodni próbuje rozwiązać, mamy też pochłaniającą w najwyż-  
szym stopniu akcję, najeżoną nieoczekiwanymi i pełnymi emocji  
spięciami, nie pozwalającymi na przerwanie lektury książki tej  
choćaby na chwilę (powieść Kisielewskiego przeczytałem jed-  
nym tchem, irytując się wszystkimi przeszkodami mogącymi  
spowodować przerwę w czytaniu), mamy skumulowanie wątków  
i ukrytą do ostatniej chwili w niewiedzy postać zbrodniarza.  
Pod wszystkimi tymi względami książka Kisielewskiego spełnia  
pragnienia i żądania przeciętnego pozeracza romansów krymi-  
nalnych. Ogólnie przyjęte w tym gatunku piśmiennictwa kryte-  
rium zastosowane do powieści Kisielewskiego na pewno dopro-  
wadzi do stwierdzenia, że książka jego w niczym nie ustępuje  
powszechnie uznanym znakomitościom. Wynik takiego badania  
wypadnie dla Kisielewskiego pozytywnie.

Ale obok tego w książce jego jest coś więcej — coś, co nie  
wiem, jak będzie ocenione przez przeciętnego konsumenta kry-

\*) Stefan Kisielewski: *Zbrodnia w Dzielnicy Północnej*. Poznań. Księgarnia  
Zdzisława Gustowskiego 1948.

mińskiej literatury, lecz coś, co skłania mnie z kolei do przypuszczenia, że przed tak zwanym eufemistycznie popularnym gatunkiem twórczości istnieją pewne możliwości rozwojowe. Że to coś w książce Kisielewskiego istnieje, jest bez wątpienia rzeczą odkrywczą i ciekawą. Lecz na czym to coś polega, w czym różnica między książką Kisielewskiego a innymi bratnimi jej wzorami się zarysowuje?

Najogólniej mówiąc Kisielewski w „Zbrodni w dzielnicy Północnej” nie ucieka przed problemami, nie unika ich, nie przeskakuje nad nimi ze zręcznością godną zaiste lepszej sprawy. Robi natomiast rzecz pouczającą i ciekawą. Spiętrzoną i trzymającą czytelnika w najwyższym napięciu akcję wykorzystuje do zakreślenia problemu, do jego ukazania i zmuszenia przez to do przemyślenia. Zbrodnia u Kisielewskiego nie jest tylko skomplikowaną szaradą. Przyczyny morderstwa prof. Galarda wychodzą daleko poza normalne porachunki osobiste, lub chęci zysku. Za morderstwem tym kryją się skłębione, tajemnicze i wrogie sobie namiętności ludzi ogarniętych żądzą władzy. Namiętności te przybierają różne szyldy, ubierają się w slogany i hasła, konstruują wzniosłe ideologie i wypisują szlachetne cele na swych sztandarach. Grupy tych różnie nazywających siebie ludzi, pchanych ambicjami politycznymi mają wspólną im wszystkim cechę — nieliczenie się ze środkami w dążeniu do władzy i niecofanie się przed niczym w tym dążeniu. Zabójstwo prof. Galarda i cierpliwe tropienie mordercy przez Gromela dają Kisielewskiemu odskocznnię do odsłonięcia i ukazania od wewnątrz całej skomplikowanej struktury współczesnego państwa. Widzimy więc z jednej strony nielegalne, antyrządowe i terrorystyczne partie, z drugiej zaś cały zawili aparat państwowy z policją śledczą, z płatnymi agentami, zmierzający do ochrony prawa i struktury państwa. Te wzajemnie zwalczające się światy powiązane są ze sobą tajemniczymi niemi osobistych rozgrywek, ambicji i miłości, oraz intrygami, nieufnością i cynizmem ludzi pracujących na dwu frontach jednocześnie. W tym ukazaniu morza płątaniny interesów osobistych i państwowych prowadzącego do zatarcia się nieomal całkowitego linii mającej rozgraniczyć te właśnie interesy — Kisielewski odbiega na pewno daleko od przeciętnego romansu kryminalnego. Cała budowa świata namiętności i dążeń ukrytych za morderstwem prof. Galarda jest ciekawa, dowcipna i niebanalna. Ale Kisielewski nie poprzestaje na tym. Myśl swoją doprowadza do końca. Zatarcie się linii między interesami państwowymi i osobistymi prowadzi zdumionego komisarza Gromela do wykrycia zacierania się również kryteriów w ocenie zbrodni. Dotychczas, to jest do zabójstwa prof. Galarda, dla Gromela zbrodnia miała jedno tylko oblicze. Była czynem naruszającym porządek państwowy i społeczny i ochrona tego porządku wymagała bezwzględnej wykrycia sprawcy naruszania ładu i ukarania go. Tymczasem zawile interesy państwowe i równie zawile metody ochrony tych interesów, cała koronkowa, misterna i cyniczna gra policji poli-

tycznej, ukazuje mu możliwości istnienia i dokonywania zbrodni dla obrony właśnie interesów państwowych. W takich wypadkach sprawca zbrodni nie jest zaaresztowany i skazany na karę wyrokiem sądowym, lecz żyje spokojnie na wolności, by dopiero w jakiś czas potem zginąć na przykład w tajemniczym wypadku samochodowym. To ukazanie dwustopniowości pojęcia zbrodni zmusza czytelników książki Kisielewskiego do zastanowienia się i przemyślenia pewnych zagadnień. I dlatego książka jego nie jest zwykłym romansem kryminalnym i dla tych względów też powiedzieliśmy, że Kisielewski dzięki połączeniu pełnej napięcia akcji z problematyką zarysowuje pewne możliwości rozwojowe przed tak zwaną powieścią popularną.

Książka Kisielewskiego jest poza tym satyrą. Dowcipną satyrą na stosunki w nowoczesnym państwie, na skłócenie wewnętrzne organów państwowych i partyjniactwo. Kisielewski o tych rzeczach mówi z humorem, czasami na pół poważnie, czasami na pół wesoło. Połączenie dowcipnej satyry z akcją kryminalną ma — mam wrażenie — największe szanse rozwojowe.

Przypomina mi się też z tego tytułu Al. Cap. Każdy z nas czytający pisma amerykańskie o ile nie śledził, to w każdym razie widział tak zwane comic stripy. Znamy Dagwood'a z Blondie, Dick Tracy'ego, Louisa i wielu innych. Wszyscy ani nie wychodzą poza bardzo prymitywne pojęcie humoru i komicznych sytuacji, lub tak, jak Dick Tracy pogrążeni są w najbardziej naiwnych uproszczeniach powieści kryminalnej. Na tym dosyć ponurym, płaskim i monotonnym tle wyrasta według mnie jedyne Al Cap ze swoim stripem Lil' Abner, Lil' Abner to połączenie pełnej napięcia czasami akcji z dowcipną bardzo satyrą, z oryginalnym humorem, złośliwą i pełną komizmu fantazją. W Lil' Abnerze jest i pełne dobrośliwego wyrozumienia rysowanie słabości ludzkich i pełne zjadliwego krytycyzmu wykrywanie fałszu i zakłamania. Wszystko zaś rozgrywa się w krainie fantazji, państwie zwanym Słobowia, gdzie przeniesione udręki, nieporozumienia i namiętności ludzkie nabierają pozbawionych sensu wymiarów. Al Cap w porównaniu ze swymi kolegami, autorami stripów wydaje się bezsprzecznie odkrywcy, inteligentny, zabawny, złośliwy i swiftowski. Myślę też, że zasługuje on w pełni na dłuższe i na pewno interesujące opracowanie.

Al Cap wprowadzając dowcipną fantazję i satyrę do „stripów” otwiera nowe horyzonty przed nimi. Kisielewski robi to samo chociaż jeszcze dosyć nieśmiało i ostrożnie w swej „Zbrodni w Dzielnicy Północnej”. Jestem przekonany też, że otwarcie drzwi dokonane przez Kisielewskiego zasługuje na przykłaśnięcie i żywą pochwałę.

Józef URSYN.



## List do redakcji

Eppstein, 21 czerwca 1945.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z pięknym wspomnieniem Władysława Pobóg-Malinowskiego o Wacławie Lipińskim («Kultura», nr 3/20) nie będzie może niestosowne jeżeli dorzuci się do tego kilka szczegółów z okresu konspiracji w czasie wojny, które są mi znane.

Z Wacławem Lipińskim nie zetknąłem się w Kraju w czasie wojny, ale miałem o nim ciągłe relacje od Juliana Piaseckiego i jednego z jego najbliższych współpracowników «Koral». Julian Piasecki w Kraju pozostawał w konfliccie z W. Lipińskim i «Łukaszem» (Hemblem) i stąd relacje jego zabarwione były często subiektywną oceną, niemniej jednak charakterystyczną i zawsze opartą na rzeczywistych faktach.

Wpierw chciałbym stwierdzić, że Konwent Organizacji Niepodległościowych (KON) nie powstał chyba w r. 1939, jak podaje W. Pobóg-Malinowski, ponieważ bez wszelkich wątpliwości formacja ta powstała dopiero w jesieni 1942 r. i pamiętam bardzo dobrze, że nazwa tej organizacji była zupełnie nowa i przedtem nieznaną. Do r. 1942 istniała luźna grupa pilsudczyków, skupiona wokół «Myśli Państwowej». Po powrocie marsz. Śmigłego-Rydza do Kraju, czynione, a po jego śmierci kontynuowane były próby utworzenia z tej grupy jednolitej organizacji pilsudczyków. Nie dało to rezultatu i w sierpniu 1942 r. powstał Obóz Polski Walczącej pod kierownictwem J. Piaseckiego, a w dwa lub trzy miesiące potem właśnie Konwent Org. Niepodl. pod kierunkiem «Łukasza» (Hembla). W KON Lipiński redagował «Myśl Państwową», która stała się organem tej grupy.

W Kraju W. Lipiński wypowiedział się przeciw marsz. Śmigłemu-Rydzowi, aczkolwiek — jak wiem to od J. Piaseckiego i jak to wynika również z relacji W. Pobóg-Malinowskiego — pozostawał z nim w najbliższej łączności na Węgrzech. J. Piasecki miał to bardzo za złe Lipińskiemu, wyominając mu, że skorzystał z archiwum marsz. Śmigłego przy opracowaniu książki o kampanii wrześniowej oraz z jego zaufania.

Książka Lipińskiego o kampanii wrześniowej, jako pierwsze wydawnictwo na ten temat oparte na źródłach sztabu polskiego, ukazała się w Kraju w dwu — o ile pamiętam — wydaniach. Drugie wydanie wyszło nakładem Obozu Polski Walczącej, drukowane w jego drukarni w nakładzie 2 tys. egz. Książka ta jest napewno zachowana w Kraju.

Niestety nie nastąpiło pojednanie — jak to podaje W. Pobóg-Malinowski — pomiędzy O.P.W. a KON i rozdwojenie trwało do grudnia 1944 r. Połączenie obu organizacji nastąpiło w pięć miesięcy po śmierci J. Piaseckiego i «Łukasza» (Hembla) w powstaniu warszawskim i odbyło się ono — o ile wiem — bez żadnego udziału W. Lipińskiego w okolicach Warszawy, bodaj w Leśnej Podkowie. Przedtem istniała wprawdzie komisja porozumiewawcza obu organizacji, ale nie doprowadziła do konsolidacji, a jed- nie złączyła nieco atmosferę początkowych, ostrych starć. Na zewnątrz organizacje obie występowały odrębnie i prowadziły niezależną, a nawet często sprzeczną ze sobą taktykę.

Domysły W. Pobóg-Malinowskiego w sprawie rzekomej radiostacji jakoby uruchomionej przez W. Lipińskiego nie wrdają się prawdopodobne. Nie

funkcjonowała żadna radiostacja KON, o której byłbym na pewno słyszał w Kraju, ponieważ interesowaliśmy się w O.P.W. żwwo akcją K.O.N. i mielibyśmy o niej dokładne informacje.

W. Lipiński aresztowany został w jednej z napał prywatnych, modnych w okupowanej Warszawie jadalni — po obiedzie, kiedy opuszczał lokal. Lipiński zachowywał podobno mało ostrożności i padł tego ofiarą. W czasie rewizji w jego domu, Gestapo zabrało archiwum o nieocenionej wartości, w którym znajdowały się bogate materiały z okresu września 1939 r., przywiezione z zagranicy. Ukryte były w jakiejś szafce w kuchni. Straty tego archiwum nie mógł przeboleć J. Piasecki tym bardziej, że przedtem żądał jego oddania.

Po zwolnieniu W. Lipińskiego przez Gestapo, kontakty z nim ze strony organizacji zarówno O.P.W. jak i K.O.N. zostały zerwane. Lipiński w tym czasie nie brał już dalszego udziału w pracach konspiracyjnych i podobno bardzo z tego powodu cierpiał, ale twarde zasady konspiracji w owym czasie nie pozwalały tu na żadne ustępstwa.

Po raz ostatni o Lipińskim słyszałem w Kraju w grudniu 1944 r. w Krakowie. Odwiedził mnie wówczas w mojej krakowskiej kryjówce Aleksander Bocheński. Tłumacząc mi namiętnie, że trzeba za każdą cenę szukać porozumienia z Rosją — powiedział mi wtedy, że czytał u hr. Ronikiera z R.G.O. obszerny memoriał, napisany przez Lipińskiego Wacława, skierowany do Prezydenta Raczkiewicza. W memoriale tym Lipiński miał przedstawić nową sytuację nakazującą zwrócenie całego frontu polskiego wyłącznie przeciw Rosji, jako głównemu wrogowi Polski. Memoriał ten miał Ronikier zanieść do Londynu samolotem, dokąd, za zgodą Niemców — jak twierdził Bocheński — miał się Ronikier udać. Do podróży tej nigdy — jak mi wiadomo — nie doszło. Bocheński miał mi ten memoriał dostarczyć do przeczytania, ale z nieznanym mi przyczyn memoriał tego nie otrzymałem.

Klaudiusz HRABYK.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY  
I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą  
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać  
się do wymienionej firmy

# „POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym  
tygodnikiem społeczno-religijnym  
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza ..... 15 Frs.

Prenumerata kwartalna ..... 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1<sup>er</sup>  
C.C.P. 4955-03

## EASTERN QUARTERLY

niezależne pismo w języku angielskim, poświęcone sprawom Europy Środkowej i Wschodniej oraz sprawom Bliższego i Środkowego Wschodu. — Numer za pierwszy kwartał 1949 roku zawiera m. in. artykuły:

**Tendencies towards integration and regional federal movements, The soviet militarism, Estonia, The Cominform and Jugoslavia, oraz szereg ciekawych recenzji, jak również kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych.**

Cena: 3/- za pojedynczy egzemplarz (post free, Air Mail extra), prenumerata roczna 12/-.

WYDAWCA: The Morven Press Limited, 32, Bolton Gardens, London, SW 5.

Wydawca: **EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »**  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Imprimerie S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20<sup>e</sup>)

Dépôt légal: 3<sup>e</sup> trimestre 1949.

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

### PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egzempl. pojed.	Prenumerata	
		½ roczna	Roczna
<b>FRANCJA:</b> «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV <sup>e</sup> .....	120 fr.	650 fr.	1200 fr.
<b>W. BRYTANIA:</b> «GRYF» Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London E.C. 1. ....	3 sh.	16 sh.	30 sh.
<b>WŁOCHY:</b> Jan Grochowski, 81, via della Croce, Roma. ....	200 lir	1200 lir	2000 lir
<b>SZWECJA:</b> Red. Norbert Zaba, Kallsärsgatan 3, Stockholm .....	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
<b>NIEMCY:</b> Wydawn. «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel Bienberg, U. S. Zone ...	2,50 DM	15 DM.	25 DM.
<b>SZWAJCARIA:</b> Dr Mieczysław Sangiewicz, Fribourg 1, case 155. ....	1,80 sfr.	10 sfr.	18 sfr.
<b>ARGENTYNA:</b> Jan Miecznikowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires .....	2,50 pes.	15 peso	25 peso
<b>KANADA:</b> Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski 400, Palmerstone Blvd., Toronto/Ont., tel. ME 0609 .....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>U.S.A.:</b> M. K. Dziewanowski, 9, Oxford Street, Cambridge 38, Mass. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
<b>BELGIA:</b> Imprimerie «La Colonne» S.P.R.L., 22, rue de la Braie, Bruxelles (Bourse) ...	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
<b>AFRYKA POŁUDNIOWA:</b> Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydeham, Johannesburg	3 sh.	16 sh.	30 sh.

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr. przy prenumeracie rocznej — 240 fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listowym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ech egzemplarzach

**W** związku z okresem letnim, bieżący numer *Kultury* ukazuje się jako numer podwójny (lipiec-sierpień). Ze względu na zwiększoną objętość, cena jego w sprzedaży detalicznej wynosi: we Francji — 200 frs, w W. Brytanii — 5 sh; w Argentynie — 4 peso; w Niemczech — 4 DM; we Włoszech — 300 lirów; w Kanadzie — dol. 1,25; w Belgii — 35 fr. belg.

**Z**GODNIE z zapowiedzią, w wżeśniowym numerze *Kultury* będziemy drukować powieść André Malraux pt.:

**Walka z szatanem**

w tłum. M. Czapskiej.

Następnie kolejno ukażą się powieści:

Curzio Malaparte:

**Historia dnia dzisiejszego**

i

Graham Greene:

**Chwała i władza**

oraz artykuły i szkice: R.P. Jean Danielou S.J.: *Prądy intelektualne współczesnej Francji*; Franz Borkenau: *Niemcy a Polska*; J. Pilatowa: *Rozmowy o języku*; J. Holcman: *Niewinny spacer po New Yorku* i in.

Bibliografie: *Uzupełniona bibliografia druków Polski podziemnej* w opracowaniu H. Lerskiej; *Bibliografia polonistów niemieckich* w opracowaniu J. Kowalika; *Prasa polska w Niemczech* St. Kopera.